

J. Müller

NA PRZEŁĘCZY

STANISŁAW WITKIEWICZ

RS

NA PRZEŁĘCZY

WRAŻENIA I OBRAZY Z TATR

WYD. DRUGIE, POWIĘKSZONE, BEZ ILUSTR.

I. PO LATACH ❧❧❧ II. TATRY
W ŚNIEGU ❧ III. NA PRZEŁĘCZY



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1906



K/06

wit
Na

15164 ~~55.114~~

39 (438) + 796.52 (438) (091)

Miejska Biblioteka Publiczna
w Zakopanem

82-92



0003-015164-00

2/13/2016

PO LATACB

Pojęcia nasze o świecie zewnętrznym są, albo uświadomieniem bezpośredniego stosunku naszej duszy, do jego zjawisk, albo też wnioskiem, wyprowadzonym z porównawczego ich zestawienia, lub doświadczalnego badania. Albo doznajemy wrażień, uświadamiamy je sobie i, za pomocą jakichkolwiek znaków ujawniamy tylko te wrażenia, albo też wnioskujemy, wprowadzając do sądu, oprócz naszych stanów subiektywnych, jeszcze jakąś miarę, która ma nam zapewnić poznanie możliwie ścisłej prawdy. W jednym i drugim wypadku, o słuszności naszych pojęć rozstrzyga jednak ostatecznie, nasza osobista zdolność pojmowania, nasze ja szczególne, nie dające się usunąć z żadnej czynności umysłowej. Codzienne doświadczenie, jak i historia ludzkiej umysłowości dowodzą ciągle i zawsze, jak stale i łatwo myśl ludzka błądzi. Jednostki i całe tłumy bywają opanowywane, na jakiś czas, przez pewne prawdy, które pokoleniom następnym wydają się fałszem, lub wprost obłudem. Ile razy więc myśl wypowiedzianą w pewnym czasie, ma się na nowo, po upływie lat ujawnić, należy wartość tej myśli sprawdzić i zbadać, czy ona jeszcze jest prawdą, lub czy już może stała się fałszem. Należy sprawdzić, czy wrażenia odebrane od pewnych

zjawisk były tylko złudzeniem chwilowych stanów psychicznych, czy też odbiciem wielkich i trwałych zjawisk życia, w niezmiennych, żywiołowych pierwiastkach ludzkiej duszy. Są bowiem takie jej stany, które zabarwiają wrażenia w sposób tak szczególny, przypadkowy, że po ich ustąpieniu, rzeczy i zjawiska wydają się całkiem innymi, i człowiek staje wobec pytania: kiedy właściwie odczuwał i spostrzegał prawdziwie, a kiedy błędził pod wpływem chwilowego psychicznego zboczenia.

Bezwzględną wartość zjawisk poznajemy przez bezpośrednie ich odczuwanie — względną, przez porównawcze badanie. Przepaść i szczyt są zawsze w pewnym stałym stosunku do naszej duszy, uświadamiającej zjawiska te zawsze temi samemi swemi władzami względną zaś wysokość szczytu i głębokość przepaści mierzymy łokciem lub metrem. Bezwzględną siłę ludzkiej duszy mierzymy napięciem energii jej władz — względną, poznając jej przystosowanie do zagadnień społecznych. Męstwo jest zawsze męstwem, czy będzie służyć przemocy, czy sprawiedliwości. Kiedy Mickiewicz, ujrzawszy Czatyrdah, doznał wrażenia bezwzględnego ogromu, na wyrażenie którego znalazł tylko jeden wykrzyknik bezgranicznego podziwu: — Aa!! — czuł bezwzględnie słusznie, chociaż Czatyrdah jest małą górą, wysokości tatrzańskich regli. Gdyby przedtem widział Mont Blanc, nie doznałby już może takiego wrażenia. Niemniej jednak to pierwotne wrażenie jest słuszne i prawdziwe, gdyż zgodne z logiką życia ludzkiej duszy. Przez doświadczenie zmienia się względny nasz stosunek do zjawisk, ale bezwzględny pozostaje ten sam. Niema przepaści bez dna, ale dla człowieka, który w nią wpada, jest ona zawsze bez dna, ponieważ przez nią wylatuje

się w wieczność — albo w nicość... bez względu na to, czy głębokość jej wynosi sto, czy tysiąc metrów.

Sztuka, będąc w przeważnej części wynikiem tego właśnie bezpośredniego zetknięcia się duszy ludzkiej ze światem zewnętrznym, w istocie swojej jest odbiciem wrażeń i powstałych pod ich wpływem wzruszeń i stanów psychicznych, i, o ile jest takim szczerem odbiciem, dzieła jej mają najbardziej trwałe cechy, to jest przez czas najdłuższy i przez największą ilość ludzkich pokoleń są pojmowane i uważane za prawdziwe. Na tem opiera się trwała wartość dzieł sztuki, wartość, która ponad względniemi ich różnicami i chwilowemi zmianami upodobań, utrzymuje wśród ludzkości możliwość współżycia ze znikłemi pokoleniami i możliwość współczuwania duszom, które treść swoją wypromieniowały gdzieś w mrocznych głębiach przeszłości.

Moja książka o Tatrach jest zbiorem obrazów i wrażeń. Stosunek mój do zjawisk tatrzańskiego życia, w owym czasie był, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie artystyczny, — «za malarski», jak mówił prof. Chałubiński. Dzięki temu jednak dziś, po kilkunastu latach, kiedy pierwotne, bezpośrednie, czyste wrażenia mogłem sprawdzić dłuższą i bliższą obserwacją, zmierzyć doświadczeniem i porównawczem badaniem, nie zdaje mi się, żebym się bardzo w tych moich wrażeniach i wnioskach mylił.

Od chwili pierwszego zetknięcia się z tym światem, przeszło dużo czasu, a jeszcze więcej życia... To, co było wynikiem tylko bezpośredniego odczucia nowych zjawisk, przeszło fazę analizy, a wszystkie wrażenia pierwotne i czysto obiektywne wnioski, zmieszały się z inną treścią, treścią osobistego czuciowego sto-

sunku. Odczytując jednak te karty, widzę, że jak natura tatrzańska pozostała niezmienną, podobnież ludzie, pomimo zmiany warunków bytu i stosunków zewnętrznych, w istocie swojej pozostali prawie ci sami.

— Duch ludzki nie da się złamać, jak kij na kolanie — mówił ks. Stolarczyk — jeszcze mniej da się złamać taka potęga, jak Tatry. Książka więc, pisana przed kilkunastu laty, jeżeli była wówczas prawdziwym obrazem natury tatrzańskiej, jest nim i dzisiaj, jak jest prawdziwym obrazem ludzkiego życia, o ile jego owoczesne formy dotąd trwają; trzeba ją tylko uzupełnić obrazem zmian, które zaszły w stosunkach ludzi między sobą i między naturą.

Zdania, że natura jest niezmienną, nie należy jednak brać ściśle i dosłownie. Natura również się zmienia.

Szybkość i nagłość, z jakimi zachodzą zmiany w życiu ludzkim; sprzeczność uderzająca, gdyż bezpośrednio boleśnie odczuwana, jego celów, wysiłków i skutków, sprawiają, żeśmy przywykli w niem widzieć chaos przyczyn i następstw, nie ujętych w celowe łożysko, przyczyn i następstw, szeregujących się z szybkością i nagłością, która burząc, w krótkich chwilach, wyniki długoletnich starań, ugruntowała wyobrażenie o zmienności i nietrwałości ludzkiego życia, w przeciwieństwie do stałych i zawsze, jakoby logicznych, zjawisk życia natury. Jest to złudzenie. Natura tak, jak ludzie się zmienia i jest identycznie takim samym chaosem przyczyn i skutków, jak ludzkie życie. Zmiany, jednak, zachodzące w niej, dzieją się zwykle w tak wielkich okresach czasu, że setki, tysiące ludzkich pokoleń przechodzi i ginie, rozmieconych przez wichry czasu, nim zmiany te nastąpią. Ale i w naturze są kataklizmy,

gwałtownie i brutalnie naruszające powolny bieg zdarzeń. Setki lat cierpliwej i zacieklej pracy natury w pewnym kierunku, niszczy jeden wybuch siły tejże samej natury. Zwarty las smrekowy, który przez wieki trzymał się potężnymi korzeniami skalnego podłoża i rósł długo, naprzekór wszystkim wrogim siłom, pada od jednego porywu halnego wiatru. Natura tak samo, jak człowiek, tworzy, aby niszczyć, buduje, by burzyć, dźwiga, żeby poniżyć, pogłębia, by wyrównywać, i równa, aby napowrót rozdzierać równinę przepaściami i wypiętrzać w skalne grzbiety. Tysiące lat może przejdzie i setki pokoleń, zanim się zwali łeb Giewontu w Strążyski wąwóz, ale się zwali, bo ponad trwałością skał, są większe siły i prawa.

Tak jest w życiu natury i tak jest w życiu ludzkim. Człowiek z chwilą, w której się urodził, zaczyna zbliżać się do śmierci. Góra, którą wydzwignęła budownicza siła świata, zanim dosięgła przeznaczonego kresu wysokości, zaczyna się kruszyć i rozpadać... Umysł ludzki, szukający stałości bytu i logiki zdarzeń, rzucił w przepaść, która się w tem miejscu przed nim otwiera: Opatrzność, los, fatalizm, determinizm, przyczynowość i inne słowa — przepaść pozostała otwartą... Pozostają tylko te same normy stosunków sił — formy materji zmieniają się ciągle, jak pozostają niezmienione elementarne siły ludzkiej duszy, pomimo zmian w formach życia.

Po nad Tatrami noszą się ciągle i szturmują ich gmach skalny przeróżne moce. Cały legion sił, a może tylko różnych przejawów jednej siły, pracuje nad ich zniszczeniem, nad nadaniem innej formy tej potwornej bryle materji. Od piorunu, który szcerbi wirchy i strąca

w przepaście odłamy granitu, do wody, która żłobi sobie drogi w skałach, rozsadza je, zamarzając w szparach i rozkrusza na luźnie trzymającą się kupę kamieni, która pod wpływem stale i niezmiennie działającej, niwelującej siły ciężenia, stacza się w doliny; od słońca i powietrza do człowieka, który oskardem i dynamitem ryje się, jak robak w podwalinach skalnych — wszystko to sili się nad zniszczeniem czegoś, na zbudowanie czego zużyły się potworne wysiłki energii twórczej i potworne masy materii. Jednego jednak życia ludzkiego za mało, żeby dojrzeć jakąś zmianę w szczerbatej linii, którą się Tatry odcinają na tle nieba. Stoją one wśród tego chaosu, krzyżujących się wpływów, z fatalistycznym spokojem rzeczy nadmiernie wielkich, które nawet nie mogą uświadomić sobie tego mrowia drobnych napaści, tej nieustannej szarpaniny sił wrogich.

Tam więc, w tej skalnej pustyni, nie zmieniło się nic, od czasu, kiedym ją pierwszy raz widział.

Tak samo stożą się w błękit nieba nagie, poczerńnięte łby wirchów, tak samo zręby turni prują fale chmur i tak samo wznoszą się strome, ciemne ściany krzesanic; jak dawniej na dnie dolin, zawałonych wantami, bielą się łożyska potoków i jak dawniej wre, kipi, szamocze się i pieni ich chłodna, przezroczysta woda; tak samo w mgłę słonecznego blasku leżą ciche wody szmaragdowo-granatowych jezior i z tym samym szumem i sykiem rozbijają się w brylanty i lśniące po złomach skalnych blaski, lecące bez wytchnienia siklawy. Tak samo śnią wielkie polany, zalane słońcem i kwiatami i płyną po zboczach ciemną falą lasy kosodrzewiny. Jak dawniej, ze strasznym łopotem, szarpia się o granie wirchów, skrzydła halnego wiatru, przewalając

po nad gmachem Tatr, potworny ocean chmur, kłębiących się w szalonym wirze. Huk piorunu rozlega się potwornemi echemi po labiryncie ścian skalnych, i bełkoce w głębiach jakichś pustek, ukrytych w cielsku gór. Tak samo opary, mgły, obłoki, chmury noszą się nad Tatrami, kryjąc je w mrokach, zlewając na nie potopy wód, siekąc gradem, zawalając śniegiem, lub roztopiając w drżącej srzędze sierpniowej pogody. Tak samo też wzbiera wiosenną ulewą, rozdarte szeroko, kamieniste łoże potoków, i pędzi ruda, gęsta, z pianą wściekłości, kłębiącą się w mętym nurcie, szalona, nieprzytomna fala wody górskiej, w której szamocze się nieokiełznana, nie dająca się ująć w zwykłe tamy, potężna energia młodości i wiosny. Rwie brzegi, unosi potężne smreki i toczy z hukiem grzmotu ogromne wanty i ławice żabic i piargów, napęliając przestwór jakimś bestyjalnem rzeniem i ogłuszającym rykiem.

Tam, w tym górnym świecie, po za ludźmi, wre zawsze ta sama chaotyczna walka sił, rozegrywa się ten sam dramat, czy farsa stworzenia, targa się ten sam splot przyczyn i skutków, który zaczyna się w zaledwie przeczuwanej dali, a kończy się w niedostrzegalnej, nawet dla fantazyi, otchłani czasu.

Im dalej od ludzi, tem mniej zmian.

Natura ta jest za potężna, za samowolna, zanadto nie poddająca się kulturze, to jest wyzyskowi ludzkiemu, żeby to mrowie mogło ją zniszczyć, lub przerobić. Dziesiątki i setki tysięcy ludzkich istot przeszło i przechodzi, żłobiąc drobne ślady swego pochodzenia, przedepnując percie, widne tyle, co percie owiec, rzucając mosty na potokach, wbijając klamry i łańcuchy w lite ściany turni. Zmienia to względny stosunek ludzi do

natury, lecz nie narusza istotnego stanu jej bytu. Przepaść otwarta, pod wiszącym na klamrze taternikiem, nie zmaląła, szczyt, stający przed nim dęba, nie zniżył się, chociaż trochę mniej obawy i trudu doświadcza wobec nich człowiek.

Ubóstwo natury jest zresztą, jej najlepszą przed człowiekiem obroną. Z jej potęgą i wrogiemi przeszkodami, które mu stawia, potrafi on walczyć przebiegle, nieustraszenie i skutecznie, dopóki spodziewa się wydrzeć jej bogactwo, lub wyjaśnienie, drażniących jego umysł, tajemnic istnienia. Ale na tych szczytach, na których nie można nic zasiać, ani nic zebrać, w tych kamiennych pustyniach, z których nie można wydrzeć żadnego bogactwa, człowiek przestaje być drapieżnym niszczycielem natury i staje się artystą, kontemplacyjnym czcicielem, lub też tak bezinteresowną, w stosunku do natury, istotą, jak taternik, lub alpinista. Jednakże, w miarę dłuższego istnienia ludzkości i komplikowania się jej potrzeb, natura jest coraz bardziej wszechstronniej, głębiej, niemiłosierniej przez człowieka wyzyskiwaną, i nie da się przewidzieć, gdzie się wyczerpie jego pomysłowość w przetwarzaniu materii — nikt nie może przypuścić, co i z czego ludzie będą jeszcze wyrabiać, ani jakie siły natury potrafią spętać i zmusić do pracy za siebie.

W świecie tatrzańskim, wola ludzka najsilniej wpłynęła na los zwierząt. Walka z jednemi, opieka nad innymi, wprowadza bezpośredni udział człowieka w warunkach zwierzęcego istnienia. To, co człowiek chce, żeby żyło, będzie żyć, dopóki jakieś ostateczne zmiany w samej naturze, nie zniszczą podstawowych warunków bytu. W Tatrach, jak gdzieindziej, człowiek od wieków

tylko tępił. Jeżeli z niezmiernych stepów Ameryki, mogły zginąć milionowe stada bawołów i szary niedźwiedź ma coraz mniej komyszy, w których może się lęgnąć, cóż mówić o Tatrach, niewielkiej skalnej wyspie, której wszystkie przesmyki i legowiska, przebiegły myśliwiec poznał i tropił w nich, z zaciekłością ogara i inteligencją wyższej rasy ludzkiej, wszystko, co żyło i co się dało osiągnąć strzałem, lub złapać w sidła i podstępne doły.

Z niedźwiedziem prowadził walkę, jak równy z równym, głowa na głowę — naprawdę oko za oko, ząb za ząb; wydierał z ziemi zaspane świstaki i bił je, wypruwając z nich tajemniczy tłuszcz — panaceum na wszelkie choroby; strzelał kozice dla mięsa; bił orły przez zawiść łupu, nienawiść i zwierzęcą potrzebę morderstwa, która się nazywa myśliwskim instynktem; bił głuchanie na klepisku, wyrzynał sarny ugrzęzłe w śniegach, obdzierał kuny i wydry z futra, łapał przebiegłą liskę, i, broniąc swoich stad, bez miłosierdzia tępił wilki, a zbłąkane w Tatry stada dzików, obsaczał w ostępach bez wyjścia i mordował bez wyrzutów sumienia, tylko «przepytując», że wymawia imię «dzikiej świni».

Słowem bił i tępił wszystko, co żyło na ziemi, w niebie i w wodzie, bo ani pstrąg «z krasną cętką», ani mały potworny głowacz, nie zdołały się ukryć przed nim w swoich wartkach wodach. Kiedy się opamiętał, ułaskawił świstaka i kozicę, resztę, po dawnemu, oddając na łup, lub robiąc z tępienia przywilej pewnych jednostek.

To, co jeszcze ocaliło zwierzęta przed ostatecznym wytępieniem, to istnienie tej złowrogiej fikcji ludzkiego

świata, jaką jest własność. Dzięki niej przy każdej jamie świstaczce, przy każdym rogach kozicy, przy każdej skórze niedźwiedziej, rozpoczynała się walka pomiędzy ludźmi, w imię prawa własności, nad czemś, czego nie posieli i nie wyhodowali, co bez ich jakiegokolwiek udziału wydała natura. W Tatrach, jak gdzieindziej, w imię najdzikszego pojmowania prawa własności, człowiek polował na człowieka i czuł się rozgrzeszony z postania kuli w pierś kłusownika. Tak było i tak jest zresztą dzisiaj. W gospodarstwie przyrody, ta zawiść, ta newroza posiadania, ma wielkie znaczenie. Nietylko ocalono świstaki i kozice, zaprowadzono jelenie, których nie było i dano możność przetrwania niektórym innym gatunkom zwierząt.

Świat więc zwierzęcy dotąd nie uległ radykalnym zmianom. Dotąd, tonąc w miękkich mszarnikach, pasie się w borówkowej gęstwi, lub na szałasiskach, a niekiedy drze pasy z jałówek, On, niedźwiedź; dotąd na zawieszonych nad przepaściami upłazach, pasie się płochliwa i lotna kozica; świstak, w cichych dolinach, rozstawia swoje czaty, na które spada, jak meteor, ważący się w otchłaniach nieba, orzeł; dotąd ryś, to straszne widmo mrocznych lasów, czai się, jak cisza i zjawia się, jak krwawa błyskawica między stadkami saren; dotąd na świtaniu klepka na hamiskach głuchań i kwili po turniach, wróg orła, uszaty puhacz. Jeden wilk zginął do nogi. To pierwszy z pokonanych.

Reszta postaci Sabałowych epopei, po dawnemu zamieszkuje tatrzańską pustynię — tylko niema już Sabały!

Człowiek dzisiejszy jest wynikiem całej sumy przyczyn, których pierwsze ogniwa sięgają w głąb, naj-

pierwotniejszych przejawów bytu istot żyjących. Jak wszystkie zjawiska atmosferyczne, wypełniające dnie dzisiejsze, są następstwem zachwiania się równowagi temperatury i napięcia elektrycznego, gdzieś u początków świata, podobnie, dzisiejsze zjawiska psychiczne są wynikiem potrącenia pierwotnej duszy o świat zewnętrzny. Wykształcone pod naciskiem przemożnych sił przyrody, pierwotne instynkty trwają, chociaż zmienione warunki czynią je bezużytecznymi, trwają, szukając ujścia w sztucznie wytwarzanych warunkach działania. Tam zaś, gdzie stosunek człowieka do natury, sprawa jego bytu, spotyka się z niezmienionymi, pierwotnymi formami jej życia, człowiek zachowuje pierwotne instynkty i sposoby zapewnienia sobie istnienia w najczystszej początkowej postaci. W Tatrach natura nie dała się dotąd nagiąć w zupełności do zmienionych powszechnie stosunków i warunków istnienia ludzkiego, i dlatego przechowało się w nich parę form bytu człowieka bardzo archaicznych, sięgających w daleką przeszłość. Myślistwo i pasterstwo, jedyne do niedawna sposoby bytowania człowieka w Tatrach, jedno jeszcze tleje choć z trudem, drugie trwa w pierwotnej, starożytnej formie.

Wobec małego obszaru Tatr, wobec coraz gwałtowniejszego zalewu ich przez falę ludzką, istnienie zwierząt dzikich jest zupełnie na łasce i niełasce człowieka. Roztacza on nad nimi opiekę, żeby je mordować z pewnym systemem. Pierwotny instynkt morderczy nie daje się wypruć z ludzkiej duszy, ale warunki bytu, zniszczenie niezależności natury, zmuszają ludzi do świadomego współdziałania w utrzymaniu pewnych gatunków zwierząt, w celu zadosyć uczynienia tej wła-

śnie żywiołowej pasji gonienia i mordowania istot żywych, i zapewnienia sobie największych z ich śmierci zysków. To się nazywa: polowanie racjonalne. Na polskiej stronie Tatr, w celach czysto idealnych, zaopekowano się kozicą i świstakiem; na węgierskiej, racjonalne polowanie zapewnia im ochronę i byt, po to, aby w pewnych dniach ludzie uprzywilejowani sprawiali tłumne rzezie.

Jest to zjawisko bardzo znamienne, że tak zwane klasy wyższe, ze wszystkich pierwotnych instynktów uczyniły swój przywilej, szczególną ozdobę swego życia i wszędzie starają się o zachowanie wyłącznie dla siebie prawa i możliwości uprawiania, w formie tak zwanego sportu, pierwotnych dzikich żądź i czynów. Tylko, że czerwono-skóry myśliwiec preryi, jak i myśliwiec tatrzański toczyli prawdziwą i zobopólnie ryzykowną walkę ze zwierzęciem, podczas, gdy cywilizowany i wy rafinowany człowiek wyższej kultury zadawalnia się, czemś tak poniżającym, jak *Tire aux pigeons*, lub wystrzeliwaniem, na rzecz właściciela polowania, tłumy zegnanych w kociołek, ogłuszonych strachem zajęcy...

W Tatrach, warunki życia zwierząt coraz bardziej zbliżają się do warunków zamkniętego i strzeżonego zwierzyńca — pierwotny więc myśliwiec nie może się tu utrzymać. Sabała i jego towarzysze: Nędzowie, Tatarowie, Pajaki, Obrochtowie i Jarząbki już się nie mogą powtórzyć. Instynkt myśliwski jednak nie wygaś, ale musi się zadawalniać podstępem i przebiegłym kłusownictwem, które nieraz kończy się «pertykułem», więzieniem, jeżeli nie czemś gorszem. Jeszcze są myśliwi, ale niema polowania. Poskrócali oni rury dubeltówek, wydoskonalili sposoby ich rozbierania i krycia pod cухą

i dalej wykradają się do hal, wiedzeni niepokonaną potrzebą, porywani niepohamowaną żądzą, wyjąca w piersi, po za regle, w węgierskie turnie i doliny. Ale coraz to trudniej, coraz ciaśniej i niebezpieczniej. Jak wytępiono «do korzenia» zbójnika, tak samo zginie myśliwiec, ten najmędrzy i najciekawszy typ górala. Stopniowo zamienia się on w legendę, która chwyta się ostatniego, który żył naprawdę jeszcze wirchowem życiem — Sa-bały — i na nim się kończy.

Inaczej jest z pasterstwem. Dogasające wprawdzie ognisko pierwotnej pasterskiej kultury jeszcze istnieje. Jeszcze z wiosną ciągną ku halom stada krów i wielkie kierdele owiec, i pasą się w odludnych dolinach i na górnych upłazach; jeszcze brzęczą turconie, spizaki i kłapace, zwija się dym ponad dziurawym dachem szałasów, jeży się wykrotami strąga; kurzy się z czarnego kotła żętyca i biały krąg sera świeci się na tle okopconych ścian, jak księżyc na tle ciemnego nieba. Jeszcze dziki, namiętny krzyk juhasek rozdziera głuchą ciszę skalnych pustaci, jeszcze sterczą po turniach, jak spiżowe posągi, poczerńiałe pustacie juhasów, smagane wichrami naremnic, i Baca, świecąc mosiężną spinką, na obwędzonej nad watrą piersi, kłaga po dawnemu mleko, wyciska oszczyпки i płaci niemi za halne pastwiska. Czy na długo tak będzie? Mniejsza o to. Tymczasem jednak, za tym skalnym progiem, jeszcze istnieje to wszystko, z czem się spotykało tam przed laty.

Prawie wszystko...

Tatry, to nie są tylko skalne garby i rumowiska zastygłe w martwocie. Ten świat ma swoją roślinność, która skuta z nim warunkami klimatu i gleby, żyje, we-



dług płodozmianu, którego człowiek nie zdołał jeszcze całkowicie naruszyć. Wyrębuje on wprawdzie całe zbocza regli, ogałaca te biodra Tatr z ciemnej przepaski smreków i buków, ale las, z siłą fatalną, odradza się, a własna zapobiegliwość zmusza człowieka do odsadzania nowych pokoleń leśnych. Ten las odrasta naraźnie szybko, i co rok długie bicze wirchowców jeżą się, jak zielone świece na choince, ale w dalszych latach rozwoju, smrek halny rośnie powoli i trzeba paruset lat, żeby się stał godnym być ścianą w boku chałupy, na dawny bohaterski sposób, zawiązanej. Po niedosiętych źlebach, po niedostępnych dolinach, bytują jeszcze potężne postacie drzew, które, wiekową walką, wbiły zaciekle korzenie w opokę i zagarnawszy szerokim ich splotem ogromne przestrzenie ziemi pod siebie, siedzą twardo i niewzruszenie, nie dając się potędze halnego wiatru, ani naporowi przylatujących z zachodu naremnic.

W charakterze smreka jest jakiś układ archaiczny, jakiś hieratyzm dawnych posągów i obrazów, jakaś nieindywidualna zależność od siły zewnętrznej. Smrek jest smutny, senny, wyczekujący, jak gdyby nasłuchiwał, jak gdyby czegoś w milczeniu się spodziewał. Ma on jedną chwilę radośną, kiedy na ciemnych, obwisłych strzępach jego cetyny, zakwitają purpurowe, pachnące, tryskające żywicą młode szyszki. Chwila to dziwna, w której smrek przypomina twarz zawsze smutną i ponurą, na której na mgnienie wy błyska uśmiech radośny i jasny. Smrek jest, jak szary tłum ludu, w którym oko niewprawne nie dopatruje się osobowości jednostek. Ale kto żyje z ludem i ze smrekiem, ten wie, ile indywidualnego charakteru i wyrazu kryje jednolity i jedno-

kształtny na pozór tłum, ubrany w jednakie sukmany i jedną zieleni cetyny.

Są książki japońskie, które w szeregu obrazów przedstawiają historię roku, skryzalizowaną w życiu roślin. Od pierwszej gałązki brzoskwini, zakwitającej na tle szarego jeszcze ogrodu, kiedy inne rośliny tulą się w słomianych okryciach, kolejno przesuwają się różne chwile życia roślin, aż do zczerwieniałego jesienią liścia klonu, połyskującego deszczem na tle szarej zasłony, aż do zimowej pustynnej bieli, nad którą unoszą się czarne sylwety kruków. Ponieważ tekst takiej książki jest dla nas niezrozumiały, cała więc jej treść z przedziwną subtelnością, wypowiada się obrazami, suggestywnie umysł delikatnie, lecz przenikliwie i głębokoko. Natura tatrzańska ma tak znamienne, tak subtelne przejawy istnienia, że jej życie dałoby się całkowicie wypowiedzieć kolejnym powstawaniem i zanikaniem kwiatów i liści.

Po martwocie zimowej, życie wraca w Tatry, z potężnym oddechem halnego wiatru. Wiosna prawdziwie tatrzańska, robi wrażenie nagłego przybywania, gdzieś z południowych wysoczyzn nieba, jakieś zaczarowanej siły, która w jednej chwili swoim tchnieniem budzi życie i barwi rudą, martwą ziemię cudownymi blaskami.

Nagle, z opromienionej słońcem ziemi, wykwiata krokus, przebijając białymi kielkami brzegi zasp, zbitych, na zboczach wschodnich, przez wichry zimowe.

W srebrnych promieniach wiosennego słońca, zatacza się w głębi biały gmach Tatr, mieniący się błękitem i fioletem, lśniący połyskami śreni i opalizujący w roztopionej bieli, niżej ciągną się lasy, siwiejące

w resztkach zimowej sacy, jeszcze niżej smreki wyprostowały konary, zgięte pod ciężarem okiści i grają barwą wypłowiałych aksamitów, a polana na Toporowej Cyrhli mieni się, jak jakaś wyśniona makata, tkana ze złota i przetykana fioletowo-różowym kwiatem, poły-skliwym, mieniącym się, drżącym, przezroczym i nikłym, jak opar, świetnym, jak słońce, załamane w dziwnych kryształach, świeżym, jak rosa, przepyszny i skromny, prostym i obfitym do nadmiaru, do szaleństwa. Nic równie dziwnego, zdumiewającego nie ma nasza ziemia nad ten rozkwit potężny i silny, tak cudownie czułego i wrażliwego kwiatu, tuż obok trwającej jeszcze zimy, kwiatu, który kwitnie w straszne wiosenne kurniawy i zamyka się z trwogi przed najlżejszym przyćmieniem słońca, przed przyciszonym hukim wczesnego grzmotu, a otwiera się niekiedy do człowieka, jak do świetlnego promienia.

Polany płyną świetną, mieniącą się falą kwiatów, a na zboczach regli zakwita różowe wilcze łyko, rozsiewając przenikliwy zapach, zmieszany z zapachem rozgrzanej ziemi, mchów zwiędłych, zeschłych traw i liści. To wiosna tatrzańska.

Potem po łąkach wysypują się gwiazdki ciemno-szafirowych gencjan, tak świetnych, że się zdają promieniować, jak małe ogniki, w rudawej jeszcze trawie; Między dolomitowemi szaremi turnicami na małych upłazkach i zboczach, w szparach skał zakwita wielka i świetna gencjana *acaulis*, obok cudownej prymuli żółtej, nie jak złoto, ale jakby samo żarzenie się zórz wieczornych, z liściem płowym, osypanym srebrzystym prochem i przejmującym, miłym zapachem. Szara skała, rude mchy, grudki czarnej prochnicy, a na tem baje-

czny szafir gencjan i jasne złoto prymul, stanowią niezrównaną harmonię barwną.

Na krajach lasów, na słonecznych polankach, między turniami i smrekami, wykwita tak niesłychanie wyrefinowanego kształtu liliowa soldanella, i łagodnie się odbija od blado-żółtych kluczyków. Białe anemony i liliowe drobne kwiatki w cieniach lasów barwią rude od przegniłego liścia zakątki; brzegami potoków i młak zapalają się jaskrawe zadry żółtego kaczeńca.

Te kwiaty wiosenne, nikłe wielkością, zdają się niechcieć przejść niepostrzeżone w przyziemnej nizinie i zginąć bez współczucia, zdają się swemi świetnemi i jasnemi barwami wołać i zatrzymywać myśl ludzką przy sobie.

Im wyżej wznosi się słońce, im dłużej świeci, tem więcej i coraz bogatszych form rozwija się w świecie tatrzańskich roślin, aż póki na drugim krańcu lata jesienne kurniawy nie zasypią liliowych łąk Orawic, pokrytych Zimowitem, tak obfitym i tak podobnym do wiosennych krokusów.

Latem regle od wschodu do zachodu, zdają się pokryte zbitą ławą ciemnych smreków. Ale z wiosną, na pewnej wysokości zwija się, fałdujący się po żlebach pas świetnej, złoto-zielonawej, młodej zieleni buków. Słońce, sypiące się z południa, roztapia zieleń smreków w jedną ciemną, przysłoniętą oparami powierzchnię miękkiego aksamitu, na którym złotawa zieleń buków drży, mieni się, świeci i błyszczy, jak złoto i żółte topazy, w których odbity błękit nieba łamie się zielonawym odbłaskiem. Jest to jedna z piękniejszych chwil w Tatrach, które niekiedy przysypane młodym śniegiem błyszczą w górze na tle ciemnego błękitu i zdają się

ze swoją srebrną zimą, być jakimś innym, «trzecim światem». Wtedy to, pnąc się po wyniosłych, gładkich, srebrzystych pniach ciemnych jodeł i po gęstwi młodej smreczyny zakwita tatrzańska ljana, Klematis, góralski Gośćcowiec, przerzucając z gałęzi na gałąź swoje długie, giętkie, powiewne smugi, na których się zapalają, jak błędne ogniki, blade kielichy liliowych kwiatów.

Życie, coraz bujniejsze, bogatsze opanowuje Tatry. Zwarta gęstwa najrozmaitszych kwiatów zalewa rąbaniśka, zapełnia źleby, opanowuje wykroty, rozpościera się brzegami potoków, wysypuje się na piargach, błyszcząc w słońcu i tajemniczo przegląda z cieniów.]

Wszędzie chwieją się miękkie kępy bujnej paproci; wznoszą się świeczniki różowego Złotogłowu; zwisają ciemno fioletowe grona Tojadu, świecą się w gęstwi białe, żółte i liliowe złocienie, ogromne pompony purpurowych ostów, rozwiane, chwiejne płatki wielkich bławatków, żółte kity rozwartych chciwie kielichów naparstnic, festony gencjan, bramujące brzegi lasów, białe gwiazdy rumianków, potężne łodygi i kuliste baldachimy Litworu, wszystko to zmieszane, splątane, skłębione, zbija się w nieprzebytą, pachnącą, rosistą gęstwę, wybuchającą z zapadlisk ku słońcu. W dolinach, wśród płowego owsa, zakwita świetny różowy mieczyk, purpurowe kity kipszyny, mieniające się turkusowo fioletowe kępy Wilczyńca i płynie miedzami żółty dzwonek, ziele dziwożon. Przykopy zapadłych młynków, długie strugi potoków, toną w potężnej zieleni podbiałów, który zwartą ławą olbrzymich liści obsiada ich brzegi. Wysypuje się rój storczyków, od pospolitej kukułki, błyskającej z wiosną na młakach, do kulistych, blado-liliowych storczyków górskich i całego mnóstwa innych,

napełniających powietrze silnym, odurzającym zapachem, aż do bajecznego Trepka królowny. Po górnych halach roztacza się przepych żółtych lelui, złotych kozłowców, na piargach, pod kosodrzewiną, żółta, nakrapiana Goryczka nęci ku sobie niedźwiedzia, a na brzegu topniejących resztek śniegów, mak halny chwieje się białymi płatkami. Pachną zбочa malinami, czernią się mszarniki borówkami i fosforyzują smugami różowawych wrzosów a w niskiej trawie świecą dziwne rozety Dziewięciorników. Wszędzie bogactwo i siła życia, zdająca się spieścić, aby spełnić swój czyn, zanim znowu jesienny podmuch halnego wiatru nie zapowie nadciągającej zimy. Stopniowo gaśnie barwny blask kwiatów, brunatnieją łodygi, zwijają się liście, zwarte i silne kępy rozpadają się omdlałe i tarzają się zmięte, zgniecione, blade, żółte, pokryte ciemnymi plamami zgnilizny. Czerwienieje liść buków, czernieje zieleń jesionów i olszyn i kiedy, z poświstem i szumem, zwała się groźna kurniawa, zasypuje śniegiem szafirowe przyziemne gencjany, żółte kluczyki i samotne soldanelle, które, zwiedzione czarem jesieni, biorą ją za wiosnę i zakwitają na nowo.

Wiatr zdziera czerwono-żółte liście z buków, zasypuje nimi potoki, tak, że woda cichnie i ginie pod grubą warstwą, starannie przez jej prąd ułożonego, rdzawo-żółtego pokładu.

Znowu roślinność zapada w martwość, ale nie cała. Jest taki gatunek czujnej i wytrwałej wierzby, który wśród zimy osypuje się długimi ogonkami białych, wełnistych, jak kłaczki waty, kotków. Teraz na Tatry spada zima, i życie ich staje się tylko grą światła i szamotaniem się wichrów, przesypujących tumany śniegu. Tak żyją, walczą, umierają i zmartwychwstają Tatry

A ludzie?

Profesor Chałubiński i Sabała stali się już legendą, symbolicznymi znakami. Spiżowe ich postacie, postawione obok siebie na pomniku, wyrażają chwilę przełomu w życiu ludzkim pod Tatrami. Jeden jest blaskiem wschodu nowych czasów, drugi, ostatnim odbłyśkiem zachodu dawnych. Spotkali się oni w Tatrach i w dziwny sposób, genialny mędrzec, człowiek wielkiej nauki, ogromnej kultury umysłowej, wielkiego serca, charakteru i uspołecznienia — Chałubiński — i Sabała, stary myśliwiec, morderca niedźwiedzi, włóczęga tatrzańskiej pustyni, niekiedy towarzysz zbójników, cały jednolicie wytworzony przez Tatry, ledwo umiejący się podpisać, bez innej kultury, prócz tej którą wszczepia w duszę walka i współzycie z naturą, ci dwaj tak od siebie dalecy, tak odmiennych losów i światów ludzie, że nawet samo zestawienie ich imion zdaje się dziwactwem, ci dwaj właśnie tak dobrze się rozumieli i tak rozumnie się uwielbiali. Kiedym wrócił z Zakopanego, po pierwszej tu bytności w zimie, i poszedł do profesora Chałubińskiego, on słuchał w milczeniu mego opowiadania, potem z szafy, stojącej tuż przy jego biurze, wyjął małe, wątle i zgrabne gęśliki Sabały i, nic nie mówiąc, pokazał je, trzymając w dwóch rękach, jak przedmiot cenny i drogi. Zrozumiałem wszystko. Dla tego też Sabała spiżowy, siedzi dziś na wancie i opowiada przechodniom o — Jego Wielkości, Wielkomożnym panu, który, z wierzchołka swej kolumny, patrzy ku Tatrom.

Po nad kulturą jest wyższa, ściślejsza miara wartości człowieka — jest bezwzględna wartość jego ja. Można być genialnym bez żadnego wykształcenia i uczo-

nym bez żadnej inteligencji. Takie odmiany się zdarzają. Chałubiński był genialnym mędrcom i człowiekiem wielkiej kultury umysłowej, Sabała był genialnym bez żadnej absolutnie kultury w znaczeniu nabytej nauki, ale miał umysł, który się w każdym zjawisku życia doszukiwał najistotniejszej treści, który w bezpośrednim zetknięciu się z życiem ludzkim i życiem natury, doszedł do ogromnego wyrobienia i głębokości. O ludziach takich mówi się, że są obdarzeni szczególnie wielką intuicją rozumiejąc pod tem jakąś szczególną władzę umysłu która jakby z niczego wytwarza ideje. Tak nie jest, intuicja jest poznawaniem prawdy, za pomocą własnej indywidualnej metody myślenia — nie za pomocą metody przyjętej przez większość, i dla tego wydaje się ona czemś, co jest po za zwykłą funkcją umysłu. Ludzie, których umysłowość jest wynikiem jak najsamodzielniejszego wpijania się umysłu w świat zewnętrzny, samoucy, którzy jak najmniej używają «szczudeł metody i systemu», są szczególnie wrażliwi na odczuwanie tej bezwzględnej wartości dusz innych ludzi. Sabała miał w tym kierunku zmysł niezawodny, i z nadzwyczajną słusnością oceniał, komu należy «grać na tej pierwszej, a komu na drugiej, abo i całkiem na basach», tą muzyczną przypowieścią określając wartościowy stosunek znanych mu «panów». Dla Sabały najdziwniejszymi ludźmi, jakich znał, ludźmi, o których mówił z zachwytem i uwielbieniem, byli: Helena Modrzejewska i profesor Chałubiński. Był on wogóle zdania, że »nie każdy z panów tak do znaku głupi«, i doskonale oceniał ich rzeczywistą wartość. Profesor Chałubiński, o ile jego sądu nie mąciła bezgraniczna pobłażliwość, doskonale też wiedział, ile jest warta istotna treść ludzi, niezależna

od nabytych i noszonych w mózgu, jak w torbie, wiadomości i pojęć.

Dziś obaj są przeszłością — legendą. Tylko, że legenda Sabały coraz staje się pełniejszą, coraz plastyczniejszą i znaną, a legenda Chałubińskiego zaciera się przez brak historyi jego życia. Co za nienagrodzona szkoda, że człowiek taki, który mógł o sobie powiedzieć: — «Stały otworem ludzkich serc podwoje, patrzyłem w mózgi, jak alchemik w słoje», człowiek, który naprawdę, przez lat kilkadziesiąt trzymał za puls historię swego kraju, który miał w życiu chwile niezrównanej siły i dramatyczności, chwile, w których się stawał rozstrzygającym czynnikiem historii, człowiek, który od nędzarzy do najpotężniejszych ludzi, znał wszystkich w chwilach zupełnego rozpętania duszy z wszelkiego konwenansu i przymusu, który, jak nikt inny znał istotę człowieka w jej najskrytszych tajnikach, co za szkoda, co za strata, że człowiek taki nie spisał tego, co wiedział, nie zostawił pamiętników swojej duszy i swego czasu! Czy znajdzie się w końcu ktoś, który odbuduje to dziwne życie wielkiej myśli, wielkiego czucia i czynu i zapewni dalsze istnienie tej dziwnej duszy?

Był jeszcze jeden człowiek, z którego zniknięciem zamknął się na zawsze pewien bardzo znamieny okres bytu Zakopanego — to ksiądz Stolarczyk. Była to postać o nadzwyczaj wybitnej indywidualności, która nadała szczególny charakter stosunkom ludu góralskiego do kościoła. Ks. Stolarczyk był apostołem, między pastersko-zbójniczym społeczeństwem, najodludniejszej siedziby w Polsce, ale apostołem na swój sposób, bardzo daleki od wszelkich ustalonych o apostołstwie pojęć, sposób, który nic nie miał wspólnego z apostołstwem,

naprzykład, ś-tego Franciszka. Była to wielka inteligencya, nieraz zadziwiająco subtelna, złączona z grubemi instynktami i potężną organizacją cielesną. Wprowadzał on tu katolicyzm, zawierając mnóstwo kompromisów milczących z «niedającemi się złamać, jak kij na kolanie» narowami góralskiego ducha. Nawrócenie tego ludu było na razie, rodzajem osobistej i warunkowej umowy między księdzem, a każdym poszczególnym członkiem kościoła. Jego osobisty autorytet narzucony rozumem, wolą, sprytem i znajomością słabych stron ludzkiej natury, stanowił o związku dusz z kościołem. Ołtarz, ambona, konfesyonał, nie same przez się, nie przez siłę idei, którą propagowały, oddziaływały na niewiernych, którzy pomалу stawali się wiernymi, one oddziaływały, ponieważ tam był, ks. Stolarczyk — Stolarczyk, a nie ktokolwiekbądź inny.

Nic lepiej nie charakteryzuje tych szczególnych stosunków, jak ostatnia absolucya, którą ksiądz Stolarczyk udzielił pewnemu, umierającemu Kubie. Kuba, jako Kuba, różnie z nim bywało i nie zawsze prosto... Był to bardzo inteligentny, przebiegły, wytworny, a niegdyś piękny, dzielny i awanturniczy chłop. Kiedy Kuba umierał, ks. Stolarczyk był właśnie chory, ale się porwał i poszedł go wypowiadać. To wpłynęło na pogorszenie stanu zdrowia i przyspieszyło śmierć proboszcza zakopiańskiego. Kiedym mu wyrzucał, że się nie zaszanował i nie wyręczył wikarym, odpowiedział: — Ksiądz musi, jak żołnierz, umierać na stanowisku. Kuby nikt inny nie mógł spowiadać ino ja, bo Kuba nikomu by tego co mnie nie powiedziała i nie mógł powiedzieć. Ja Kubowe lepiej znam niżli on sam, i mogę mu przypomnieć, o czem zapomniał. — Zatem dla

Kuby, kościół bez księdza Stolarczyka nie miał, ani prawa do jego sumienia, ani mocy rozgrzeszania. Jest to zasadniczy rys w stanowisku ks. Stolarczyka, jako pośrednika między ludźmi a Bogiem. Miał on wszystkie przymioty, a może i wszystkie wady, które mu pozwoliły spełnić tu swoje zadanie i przetrwać wszystkie trudności, jakie mu się przeciwstawiły. Jednym z jego środków oddziaływania była nadzwyczajna, oryginalna i żywa wymowa. Nie można odżałować, że się nie spisywało jego kazań, tak oryginalnych jako forma i tak niespodzianych i świetnych jako myśl. Była to wymowa, działająca tak bezpośrednio, tak wprost do danego człowieka, że widać było na słuchaczach, jak myśl ich jest trzymana przez kaznodzieję, jak na smyczy i nie może się wydrzeć z pod jego suggestyjnej przemocy.

Raz ks. Stolarczyk, ubrany w karmazynową, adamaszkową kapę, stał nad otwartą mogiłą, w której leżał Maciek Pitoń, czekając, aż go «ziem święta» przykryje. Nie wiele dało się o nim, ku zbudowaniu wiernych powiedzieć. Lud słuchał, wpatrzony w usta starego proboszcza, a kiedy ks. Stolarczyk wzniosł oczy do nieba i prosił Matkę Boską, żeby się zaopiekowała grzeszną duszą Pitonia, wszyscy zadarli głowy i z wytężoną uwagą spojrzeli w błękit... Zdawało się, że wszechmoc Boska odłożyła wszystkie inne sprawy nieskończoności i zajęła się wyłącznie Maćkiem Pitoniem. Świat stanął i stary Pitoń wstąpił, za przewodem ks. Stolarczyka, w wieczność...

Górale, wogóle tak doskonale władający mową, tak wytworni styliści, słuchali jego kazań, nietylko jako religijnej nauki, ale też tak, jak się słucha dobrej literatury. Kiedy tych kazań nie stało, byli tacy, dla któ-

rych nabożeństwo niedzielne straciło wszelki urok. Woleli iść na «ranią», niżli na sumę. Ks. Stolarczyk był rzeczywiście wśród tego ludu powagą, on tu nietylko coś, on dużo tu znaczył i mógł kierować ludzkiemi czynami. Jego władza była rzeczywiście władzą, wynikającą nietylko z urzędu, lecz z jego rozumu, silnej woli, i — trzeba mówić prawdę — silnej ręki. Jemu by nikt nie śmiał odpowiedzieć tak, jak odpowiedział Sabała, nie w porę, według jego mniemania, moralizującemu wikarremu:

— Nie bedem gadoł z pachołke — bo i tak nie długo z samym gazdom się uwidzem! — Umiał on być giętkim, ale też umiał być stanowczym. Wielkie doświadczenie, znajomość góralskiej natury wogóle, i charakteru każdego Wojtka lub Maćka po szczególe, stanowiły też jego siłę. Z jego śmiercią, kończy się w historii Zakopanego okres szczególnej teokracji i rozpoczyna się zwykły układ powszechnych parafialnych stosunków.

Ani profesor Chałubiński, ani ks. Stolarczyk, ani Sabała, — nie mieliby co robić w dzisiejszem Zakopanem. Dwaj ostatni, ponieważ znikły zupełnie warunki i stosunki, w których oni żyć i działać jedynie mogli — pierwszy, gdyż to, co się stało z Zakopanem, jest bezwzględnie innem, niż to, o czem on mógł marzyć...

Zmieniło się wszystko, wszystkie warunki i formy ludzkiego życia — od kościoła do karczmy.

Biedny, ubogi kościółek ks. Stolarczyka, budowany niekiedy jego własnymi rękami, ozdobiony ołtarzami barokowemi, roboty Wawrzyniaka, który na zupełnem odludziu, w pustkach gołych wirchów Gliczarowa uprawiał barok, zdobiąc nim wszystkie zwykłe sprzęty gó-

ralskiego gazdowstwa, ten ubogi, nie złożony i nie malowany, kościółek stał się dziś tylko zabytkiem przeszłości, resztką dawnych stosunków. Robi on wrażenie zabytków paleontologicznych, świadczących o rozwoju istot, ze szczebla na szczebel. Jego duszą i życiem był pierwszy proboszcz zakopiański, dziś pozostała tylko drewniana skorupa, do której przywiązanych jest tyle tradycyj i wspomnień zakopiańskiego życia. Teraz wznosi się tu murowany kościół parafialny, kościół Jezuitów, kaplica Bernardynów, nie licząc kilku kaplic prywatnych. Wszystko to wskazuje tę ogromną drogę jaką w tak krótkim czasie Zakopane zrobiło, wskazuje i przyrost ludności i przyrost bogactwa. Religia opiera się na duszach, ale jej urządzenia i organizacja jej urzędu opiera się na zamożności bezpośrednio otaczającego je środowiska ludzkiego. Jak dawniej trudno było widzieć w Zakopanem wróbla, gdyż warunki życia górali były takie, że nie mógł on nic z nich dla siebie wydobyć, tak samo niemożliwem by było utrzymanie się tu zakonów i księży, gdyby się tak do gruntu nie zmieniły i materyalne i moralne warunki istnienia. Zmienił się też i stosunek górali do kościoła, stracił cechy wyłączności i świeżości i rozlał się w powszechnym, biernym charakterze stosunków religijnych. Trzeba tu stwierdzić jedno spostrzeżenie, nad religijnem życiem ludu. Religia chłopska nie jest ściśle taką, jakiej uczy katechizm, jest ona dotąd związana z innymi pierwiastkami, albo dawnych wierzeń, albo też z dodatkami i zboczeniami, wynikającymi z potrzeb psychicznych, którym religia nauczana dziś w szkole i kościele nie czyni zadość. Zabobon jest niczem innym, tylko takim dopełnieniem religii, która nie jest w stanie przeniknąć

i oświetlić wszystkich tajnych zaułków pierwotnej duszy i rozstrzygnąć morza zagadek, jakim jest ludzkie życie.

Po pierwszej misyi, która się tu odbyła, przed wielu laty, pozostała następna tradycja: — Chodzili czarnoksiężnicy i ponastawiali het po polach krzyży, i wzieni korzec gruli, zrobili truchłe, jak dla nieboscyka, wsypali te grule i zagrzebli, a tak dokleni ziem, co bez siedm roków niekciało nic urosnąć. Głód był telo, co ludzie jaze pukali. Toż to wzieni i te krzyże posprzewracowali; no toz to popuściło! — Tradycja ta była do ostatnich czasów tak żywa i tak przytomna, że kiedy przed kilku laty przyszli tu misjonarze, popłoch padł na dusze górali. Mówiono, że przy stawianiu misyjnego krzyża, księża będą pytać: — Czego chcecie — krzyża, czy chleba? — i zmawiano się, żeby wołać: — Chleba! — bo inaczej przyjdzie znowu siedm lat głodu i żywienie się wirchowcami smreków, szypułkami młodych skrzypów, kminem i warmuzem. Świadomi mówili: — Misjonarze tyz ta majom takom władę, i kieby chcieli lud zestrasyć, mogliby ziem piknie dokląć — ale lud skrusał, o! skrusał! — Zabobon, czyli reszta dawnych wierzeń, lub nowo powstałych sposobów wyjaśnienia drażniących umysł i czucie, powikłanych tajemnic bytu, łączy się z religią z katechizmu i wytwarza splot pojęć, który jest nieraz bardzo daleki od ścisłej zgodności z dogmatyzmem katolickim. Starzy górale z ich sceptycyzmem znikają, nowe pokolenie coraz bardziej przystosowuje się, pód względem obrządkowym, do kościoła, a uczuciem dorabia do religii urzędowej to wszystko, co jest potrzebne, żeby był chłopski był możliwy, żeby znalazł dostateczną oporę w powikłaniach życia. Religia

chłopska jest rzeczywiście szczególną religią, pełną nadzwyczajnego interesu dla badaczy. Lud wierzy w Matkę Boską Kąlową i Ludzimierską, ale też wierzy w czyszczącą i zbawczą siłę ognia i wody; wierzy w «plugaca, który, jak raz okiem chluśnie», to urok się człowieka chwyta; wierzy we Wszechmoc Boską, ale wierzy i w dziewięć wągli puszczonej na wodę; szuka on opory i ratunku i w «mentalikach» i w pielgrzymkach do Rzymu, i w «niespodzianych krzyżkach», swastykach, którymi znaczy od węglów chałupy, do garnusia z masłem — wszystko; wierzy on, że «cosik» strzeże zbójnickich pieniędzy, a cosik innego zbawia duszę... Wszędzie otacza człowieka to «cosik», ten świat tajemnic, wszędzie uderza jego umysł niepewność i niejasność stosunku przyczyn i skutków! — które wyjaśnić, lub któremu zapobiedz może Pan Jezus, Matka Boska, lub »cosik«... Religia, której się lud uczy, jest za martwa nie zaspakaja tęsknego rwania się dusz do tajemniczego bóstwa, nie jest żywym fermentem dla myśli, ani ogniem rozpalającym serca. Racyonalizm w dowodzeniu, godzenie się z istniejącym, faktycznym ustrojem stosunków, zawilość, niezrozumiałość obrządków, nie związanych bezpośrednio z uczuciem, wszystko to wywołuje potrzebę uzupełnień, których dostarcza pierwotna logika i wyobraźnia zawsze twórcza — tak się tworzy religia chłopska. Wychowawcze znaczenie religii jest dziś bardzo ograniczone, wskutek wystąpienia na pierwszy plan, egoistycznych interesów każdej jednostkowej duszy. Spełnianie obowiązków względem Boga, spełnianie, opłacone powodzeniem w tem życiu i rajem w tamtem, ogromnie zacieśnia dusze. Istota chrześcijaństwa, bezinteresowne, bezwzględne oddanie

siebie na rzecz bliźniego, jezt zredukowane do zera, do dawania groszowej jałmużny, do wydzielania śmiesznie małych odsetek od pieniędzy i czasu. Duch ofiary, duch poświęcenia, który jedynie jest w stanie ludzką duszę wyrwać z ciasnego, graniczącego z bytem zwierzęcym istnienia, przygnieciony praktycznymi sprawami życia, nie działa jako konieczna sprężyna ludzkich czynów. Religia jest za oportunistyczna, zawiera za dużo kompromisów z egoistycznymi sprawami życia jednostek, zanadto poddaje się współczesnemu ustrojowi państwa i społeczeństwa, za mało patrzy w przyszłość, w której jedynie może być urzeczywistnione to, co jako idea znane jest od tysięcy lat. Religia jest najwyższą sferą umysłową, do jakiej sięga dusza ludu, byłaby ona potężną i rozstrzygającą siłą wychowawczą, gdyby ożywił ją wielki duch czystego chrześcijaństwa, gdyby ona stała po nad nędzami życia, nie mocą sprawnej organizacyi swego urzędu i umiejętnego wyzyskania zdarzeń i ludzkich słabości, tylko mocą wyższości własnej swej żywej treści.

Pomiędzy osiadłymi tu rozmaitymi odmianami ludzi, należących do organizacyi kościelnej, najbliższymi rzeczywistego chrześcijaństwa są Bracia III-go Zakonu Św. Franciszka, posługujący ubogim, powołani do życia, bodaj pierwszy raz w Polsce w tej formie, przez Brata Alberta. Ci ubodzy i posługujący ubogim, cisi, pobożni i pracowici ludzie, mają tu klasztor, uczeplony na lesistych zboczach Krokwi, klasztor, w którym wycieńczeni służbą w przytułkach miejskich, przychodzą odpoczywać, modląc się i pracując. — Kaby syćka ludzie byli tacy, nie trza by było nijakik socjalistyk, — w śrybnych butak by chodzili i syćkiego mieli

po gardło! — mówi góral, zdumiony ich pracowitością. Ale ich życie jest czemś więcej, niż pracą — jest miłością.

Na drugim krańcu zagadnień życia, w zakresie zdobywania materialnych warunków bytu, niemniej zaszły ogromne zmiany w istnieniu górali.

Każda przyczyna nie ogranicza się jednym tylko skutkiem, rozchodzą się one na wszystkie strony nakształt kół na wstrząśniętej powierzchni wody, a niekiedy bywają tak dalekie w swojej istocie, od pierwotnej przyczyny, że niema między nimi napozór żadnych związków. W życiu też ludzkim nieraz czysto idealne, bezinteresowne potrzeby duszy prowadzą do znamienych skutków w sferze czysto materialnych zagadnień.

Czem były Tatry, dla pierwszych ludzi ze świata, którzy tu przyszli? Pięknym widokiem. Możliwością psychicznego zatapiania się w dziwnym, czarującym i wzniosłym objawie życia natury. I ta, tak bezinteresowna przyczyna, doprowadziła do radykalnych zmian w ekonomicznych stosunkach pod Tatrami, zmian, które dobitnie dowodzą, że piękno jest tak rzeczywistym, tak dotykającym, materialnie koniecznym pierwiastkiem ludzkiego życia, jak chleb, lub inne najkonieczniejsze warunki bytu.

Góral miał dwa zasadnicze sposoby zdobywania środków do życia: pasterstwo i rolnictwo. Dodatkowymi źródłami zarobku były: *b a n d o s y* — wędrowka w doliny na kośbę, przez jakiś czas praca «na bani», to jest w kopalniach, wędrowki na zarobek do «Peštu» — wogóle wędrowki z ostatniej biedy, żeby przeżyć. Do tego przybyło nowe pole pod uprawę: *P a n, G o ś ć*. Pole wdzięczne i urodzajne, zwłaszcza w pierwszych czasach,

kiedy nieunormowane wzajemne stosunki, oparte bardziej na dobrem uczuciu dla ludu, czyniły gościa hojniejszym, a poborca podatkowy nie zdołał opamiętać się i wyprowadzić wszystkich tak przyjemnych dla państwa konsekwencji, nowego ukształtowania się stosunków.

Otóż ten gość, ze swoją bezinteresowną manią do Tatr, a następnie manią życia, uratowania zdrowia, spłynął w podtatrzańską dolinę w takiej obfitości, że przewrócił wszystko do góry nogami.

Pasterstwo tleje, rolnictwo staje się coraz bardziej najzbytkowniejszym zajęciem, bezinteresownem oddawaniem się rolniczemu sportowi, lub niedającym się otępować pierwotnemu instynktowi, który zmusza do spełniania funkcji, przy zmianie warunków życia zbytecznej. Owiesek i gruleta, które się tu rodzą, nie są w żadnym stosunku do cen ziemi i pracy, jakie są w Zakopanem do wzięcia. To też ziemia się wyprzedaje, a górale, idąc za wciąż żywą pasyą do pracy na roli, za zdobyte pieniądze kupują dalej większe skrawki gruntu. Ci zaś, którzy nie wychodzą, chociaż nie stracili pasyi do pługa i gnoju, niemniej budują coraz gęściej domy dla gości i pomалу podporządkowują swoje życie pod sprawę obsłużenia i wyzyskania wędrowniej ludności. Nowe sposoby zdobywania bytu kłócą się zresztą nieraz z pierwotną żywiołową pasyą do roli. Przemysł drzewny — stolarski i rzeźbiarski — nie może się rozwinąć, ponieważ góral — rzeźbiarz lub stolarz — przedewszystkiem chce być gazdą. Stolarzem jest on tylko z przypadku, z biedy, dodatkowo i zarobionych rzemiosłem pieniędzy nie wkłada w rozwój warsztatu, tylko przykupuje tam «brzyzek», owdzie «młacke», albo skrawek lasu. Płaci za to ogromne pieniądze i albo po da-

wnemu sadzi grule, albo buduje przedewszystkiem dom dla gości. Zmiana, jaka zachodzi w warunkach bytu górali, jest bezpośredniem przejściem z rolniczo-pasterskich stosunków, — do hotelarstwa. Przemysł, w znaczeniu wytwórczem, nie podnosi się, gdyż stały i gwałtowny przyrost ludności napływowej, wędrownej, zajmuje wszystkie zdolne do pracy ręce. A po za tem, stoi przecie otworem «Ameryka», która zaczyna zastępować i bandosy i skromne wycieczki po ciężki zarobek za Tatry — na Węgry. Do tej Ameryki jeżdżą oni tak, jakgdyby ona była o miedzę. Zdobywają pieniądze, przykupują gruntu i znowu jadą po więcej. Spryt, rzutkość, inteligencya górali i szczęśliwe okoliczności sprawiają, że takie np. radykalne zmiany, jak wprowadzenie kolei żelaznej, nie rujnują ich. Nie mogąc jeździć parokonnemi wozami po gości do Chabówki, budują małe, jednokonne wózki, sprowadzają zgrabne powoziki z Węgier i furmanią po Zakopanem, a prześliczna nowa droga do Morskiego Oka, kompensuje stratę Chabówki. Wogóle, lud ten jest tak inteligentny, tak orientujący się w zmienionych okolicznościach, o ile naturalnie nie przechodzą one zakresu jego wiedzy, że od razu rozumie konieczność zmian w rozmaitych warunkach życia, wymaganych przez gości, i śpieszy je wprowadzić. Słowem, gość, pan, stali się osiã, około której obracają się wszystkie materyalne sprawy góralskiego bytu. Ten gość napływa tu w takiej ilości, coraz częściej też staje się z gościa stałym mieszkańcem tak, że Zakopane w sposób gwałtowny traci, a raczej straciło charakter wsi i staje się miasteczkiem, na drodze do zostania miastem. Dawniej, przechodziło się je wzdłuż i wszerz, słysząc wszędzie: — Niek będzie pokwalony! —

znało się wszystkich, wiedziało co i jak, do kogo przegadać, porozumiewało się jednym słowem, które, i dla górala i dla mnie, streszczało całą moc wiadomych nam obu spraw i myśli. Dziś góral już nie nadaje charakteru ulicy. Tonie w nadmiarze «ceprów», odsuwa się w głąb ruchu, po za frontowe domy, przeznaczone na sklepy i mieszkania dla gości. Zresztą, nie ma on dziś czasu na tak bliskie, częste, osobiste obcowanie, jak kiedyś. Dawniej, z musu był góral Feakiem, kochającym się «w gęśli graniu, toż w płasach i odpoczywaniu». Warunki klimatyczne i ubóstwo ziemi zmuszały go do bezczynności i wytwarzały, z drugiej strony, tę wszechumiejętność, z jaką góral przeżywał dni wolne od orania, koszenia i kopania gruli. Góral był dawniej dla gościa wszystkim. I towarzyszem i przewodnikiem, i służącym i krawcem, i stróżem i pełnomocnikiem we wszystkich sprawach z urzędami; był furmanem i baletnikiem, kucharzem, szewcem i współpracownikiem w rozmaitych badaniach nad naturą Tatr i nad życiem ludu. Cieszył przytem swoim pięknem, zachwycał doskonałością mowy, delikatnością i uprzejmością obejścia. Odpowiadało to nadzwyczaj nerwowemu temperamentowi, ruchliwej i żądnej zmian wyobraźni i wrodzonej towarzyskości górala, a dla gościa, było na tem odłudziu, rzeczywistem dobrodziejstwem. Wytwarzało to bliskie współzycie, ciągłą obecność i wzajemną zależność, pewien dyletantyzm wielostronny, bez pedanteryi, bez określonych terminów i ścisłości w dotrzymywaniu obietnic. Była to improwizacya — nie metoda życia.

Dziś się zmieniło. Życie wzięło górali w swoje kluby, dając im możność pracy i zarobku, po za oso-

bistem, bezpośredniem opiekowaniem się gościem, którego warunki bytu unormowały się na sposób ogólno-miejski. Górale zatem, znikają coraz bardziej z powierzchni życia i z bliskich towarzyskich stosunków. Wywołuje to nawet wyrzekania na ich obojętność, interesowność i niewdzięczność, ale po nad tem cięży właściwie surowe prawo życia, które zmieniając warunki bytu i gościa i górala, zmieniło też z konieczności ich wzajemny stosunek. Zmieniło w obrębie Zakopanego, gdyż w górach, na wycieczkach pozostało po dawnemu, i góral jest zawsze tym samym dobrym przewodnikiem i opiekunem.

Miarą zmian, zaszłych w warunkach życia w Zakopanem, może być dzisiejszy stan wsi, leżących w okolicy, a których stosunki odpowiadają dawniejszym stosunkom zakopiańskim, z czasów przed napływem gości. Przykład: widły do gnoju, sprzęt najpospolitszy, najkonieczniejszy, jak wszystko u górala, pomimo swego pospolitego przeznaczenia, są sprzętem zgrabnym i ozdobnym. Składają się z trzech zębów, z których środkowy, przedłużony stanowi rękojeść, a połączone są między sobą dwiema poprzecznymi deszczułkami. Zrobione z bukowego drzewa, zgrabnie, porządnie, zfazowane i wygładzone, kosztowały jeszcze w roku zeszłym, na targu w Zakopanem dziewięć centów, dziś kosztują dwanaście do czternastu. W Zakopanem niktby za guldena nie podjął się dziś wyrobu takich wideł! A przecie nietylko trzeba je zrobić, ale i o parę mil przywieźć i stracić dzień na kupczenie niemi. Wszystko wskazuje, że zarobki górali się zwiększają gwałtownie, że gazdowie albo mają więcej pieniędzy w kasach, albo więcej i kosztowniejszych domów, albo też, że

przykupują w odleglejszych miejscach większe przestrzenie ziemi. Dobrobyt wzrasta, a jednocześnie góral, pod wieloma względami, żyje gorzej, biedniej i brzydziej.

Stała się rzecz dziwna, choć konsekwentnie wynikająca ze zmiany stosunków. Myśmy znaleźli górala w pysznej, ozdobnej chacie, otoczonego artyzmem, który przezierał z każdego sprzętu, każdego szczegółu pospolitego użytku. Jego chałupa była skarbnicą kultury dawnej, przechowanej przez ten lud, kultury, która wprawdzie żyła, ale nie rozwijała się, wskutek nieruchomości warunków ludowego życia. Była też ona skazana na konanie, na zanik i zdawała się czekać ocalenia, wołać o ratunek. Uratowaliśmy ją. Chata góralska wydała z siebie typ wyższego budownictwa; wytworny sprzęt i ornamentyka stały się źródłem rozwoju wielkiego ruchu artystycznego, a poszukiwania wskazały, że to budownictwo i zdobnictwo niegdyś kwitły na całym obszarze Polski. Cóż się stało? Dzisiejszy góral, ten zakopiański zamożny gazda, który tak świetnie umie budować, który ma taki zmysł piękna, proporcji i konstrukcji, ten góral w swoim życiu cofnął się wstecz, i żyje jak nędzarz w ciasnocie, ciemnocie, zaduchu i brudzie. Wszystko dla gości, dla zdobycia za ich pomocą bogactwa. Więc stare chaty poprzera-biano na wygodniejsze mieszkania, stawiają się nowe, ozdobne i wygodne domy, a wszyscy górale przenieśli się do szop, pod wspólny dach z krowami, koźmi i owcami i tam żyją, jak nędzarze. Jest to zapewne chwila przejściowa, ale smutna. Nie potrzebując dla siebie ozdoby życia, góral zatraci z czasem dziś jeszcze tak żywe poczucie artystyczne, które mu pozwoliło prze-

chować pierwiastki ogólnopolskiej kultury, w formach najbardziej wyrobionych i najbogatszych.

To samo prawie dzieje się z mową ludową. Kiedy my wprowadzamy ją do literatury, jako świetny, żywy i silny wyraz narodowego ducha, góral przez podręczniki szkolne, przez wojsko, przez stykanie się z potworną gwarą urzędów, zaczyna psuć i zatracać ten prześliczny swój język. Pozostaje jeszcze strój, którego piękno ma dotąd taki urok, tak jest silnie z góralem zrosnięte, że z trudem daje się z użycia usunąć. Bardzo szczególny jest porządek, w jakim góral pozbywa się różnych części tego stroju, bądź bogacąc się, bądź też z jakich innych powodów, jak na przykład, ożenienia się z ceperką, która chce, żeby wyglądał, jak p'a n. Naprzód znikają kierpce, potem kapelusz; dalej zjawia się pańska koszula, kamizelka, krawat, nareszcie znika cuha, zamieniona na jakiś żakiet, — pozostają najwytrwalej, najdłużej — portki. W nich jest szczególna moc obyczajowa i szczególny czar elegancyi i piękna. Jak panowie, przebierając się za górali, zaczynają od włożenia cyfrowanych portek, tak dla górala przebierającego się za pana, ostatnią rzecz własną, którą z siebie zrzuca — sąportki. Zdarza się to jednak rzadko, a dzisiaj, jako jeden ze skutków rozwoju góralskiej sztuki, strój zachowywany jest nawet przez zbogaconych, lub niegazdujących górali. Daleko dawniej i radykalniej zaczął się zmieniać strój kobiety. Nie mówiąc już o dawniejszych, haftowanych srebrem namitkach, o adamaszkowych i atlasowych kieckach i gorsetach, haftowanych zapaskach i fartuchach, ale nawet te czerwone i pomarańczowe chusty, które my tu zastaliśmy, wszystko to znikło, i tłum bab jest coraz mniej kolorowy, mniej

malowniczy, cały upowity w ciemne, brunatne i czarne chusty i odziewaczki. Jeszcze jedna część stroju, która trwa i przetrwa zdaje się wszystkie inne, jest serdak, przyjęty dziś jako konieczne ubranie przez wszystkich mieszkańców Zakopanego — górali i panów.

Strój jednak ludowy znika wszędzie i na to niema zdaje się rady. Warunki życia są takie, że po za wsią rodzinną, po za jakimś obrębem etnograficznym, strój ten staje się ciężarem, krępuje i utrudnia swobodę ruchów i stosunków. Pomimo całego pozornego «*demokratyzowania*» się społeczeństwa, pomimo wyjścia ludu na pierwszy plan czynników historycznych, pomimo teoretycznego uznania i praktycznego wyzy-skania jego znaczenia społecznego i politycznego, sukmana i cuha redukują po dawnemu człowieka do roli niższej, upośledzonej jednostki. Jeden z najwybitniejszych posłów ludowych, do sejmu i parlamentu, opowiadał z dobrodusznym humorem, na jakie kłopoty i nieprzyjemności naraża go jego brunatna z błękitną wypustką sukmana.

Jakkolwiek sprawa stroju ludowego nie jest żadnym zasadniczym czynnikiem życia, tkwią w niej jednak te same powikłania pojęciowe, co we wszystkich innych składnikach, tego, co się nazywa kwestyą ludową. Kwestya ta streszcza się w pytaniu, postawionem przez jednego mądrego górala: — Jak się utrzymywać, żeby być cłkiem cywilizowanym, a przecie chłopem polskim ostać? — Jest ona splotem mnóstwa zagadnień, dotyczących stosunku mas ludowych do tych warunków i form społecznego życia, które się utworzyły po za ludem, jako konieczna, choć przejściowa forma bytu, uważana za wyższą; jest splotem zawiłym, którego do-

tąd dosyć jasno nie sformułowano i który z trudnością da się ująć w rozmyślnie stawiane mu programy, a będzie się raczej rozwijać na podstawie wzajemnego stosunku wszystkich sił społecznego ustroju.

«Uświadomienie ludu», jest jednym z tych haseł, które są w tej chwili rozwojowymi zasadami narodowego bytu. Tylko, że to uświadomienie, przychodząc z zewnątrz ludu, od rozmaitych partyj polityczno-społecznych, jest właściwie dążeniem partyjnego ducha, do wyzyskania mas ludowych, które nowoczesny ustrój dopuścił do udziału w życiu politycznym — za pomocą prawa głosowania i wybieralności. Jakkolwiek jest ono dzisiaj jeszcze ograniczone, jakkolwiek terażniejszy ustrój polityczny utrzymuje całkowicie podział na stany, według norm powstałych w czasach feudalnych, — głosy jednak chłopskie dużo już dzisiaj w życiu politycznym znaczą. Głosy — nie myśl, gdyż ta jest jeszcze daleką od świadomego działania.

Parlamentaryzm, za który tyle krwi wylano, jest dziś wogóle bardzo zdyskredytowany, cóż mówić o stosunkach tutejszych, gdzie byt ludu jest tak bardzo daleki od zagadnień «wielkiej», albo nawet i średniej polityki, którą uprawiają rozmaite partye. Kiedy podczas stanu wyjątkowego, ogłoszonego z powodu rozruchów antyżydowskich, dzienniki biadały nad ludem, pozbawionym praw politycznych, jeden z najmędrszych w okolicy chłopów, zapytany, czy bardzo odczuwa zawieszenie swobód obywatelskich, odpowiedział: — Panie! telo mi płaci stan wyjątkowy, co i autonomija. To ta nie dla chłopca. — Ale w dniu wyborów, które tu, jak gdzieindziej zresztą, są, dla wszystkich klas, dniami najniższego stanu dusz, najhaniebniejszego opanowania umy-

słów przez zawiść, nienawiść, fałsz, oszczerstwo — lud, razem z resztą społeczeństwa, wykonywa n a j w y ż s z e prawo władzy, mianując swoich pełnomocników do sejmu i parlamentu, prawodawców, więc ludzi stojących ponad wszystkimi czynnikami zbiorowego życia. Przed laty, tymi chłopskimi posłami byli wyłącznie ludzie z innych, «wyższych» warstw, do których należeli zwykle najwięksi panowie, posiadacze najobszerniejszych latyfundiów — dziś są już i posłowie chłopi, co jest wskazówką zmian, jakie rzeczywiście zaszły w życiu ludowem. Posłów tych jest mało, znaczą oni nie dużo, ale są — są małą, ale rzeczywistą cyfrą w rachunku politycznym.

Jednym z pewników, których uczy historia, jest, że rozstrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urzędzeń, instytucye, tylko jest stan dusz ludzkich danego społeczeństwa. Nic nie pomoże najdoskonalsza ustawa, najstaranniej obmyślany ustrój, jeżeli materiał ludzki jest lichy, jeżeli etyka i umysłowość jednostek, stanowiących społeczeństwo, stoją nisko. Rozprawy parlamentów, przebiegłe kombinacye polityków, wysiłki ministrów, wszystko to w dniu stanowczym okazuje się niczem, ponieważ [po za tem niema dobrych obywateli. Przeklinane *Lib er um V et o*, Nietzsche uważa za jeden z najszczytniejszych objawów zbiorowego życia — i słusznie, tylko trzeba było, żeby go używali inni ludzie, niż owocześni obywatele Rzeczypospolitej... Dla ludzi, którzy żyją z ludem tak, jak my w Zakopanem, na stopie rzeczywistej równości i wspólności, która wydobywa na wierzch najistotniejsze pierwiastki dusz, powyższe wnioski stają się absolutnemi prawami, których siły dowodzi życie w każdym dniu powszednim.

Jeżeli do ludu nie przychodzi się ani z «przebaczenia anielską pogardą» klas, wierzących w swoją wyższość, ani z demokratycznym uczuciem, chcącym się zaopiekować niedolą ludu; jeżeli się nie jest agitator-em na rzecz stronnictw demokratycznych, ani na rzecz większej własności, lub rządu, jeżeli się żyje z ludem w tem zbliżeniu i wzajemnem poszanowaniu, które po nad różnicami form, pozwalają ujawnić się istotnej treści dusz ludzkich, to sprawa ludowa przedstawia się ogromnie inaczej, niż z punktu haseł teoretycznych, lub partyjnych dążeń.

Przedewszystkiem lud, widziany z tego zbliżenia, przedstawia się jako całość, utrzymująca się tylko pod naciskiem warunków ekonomicznych, które jednak nie tworzą z ludu zbitej masy, zasadniczo, masowo różniącej się od reszty społeczeństwa — jak stado wróbli od orłów. Lud składają ludzie, zupełnie tak samo różni między sobą indywidualnie, jak we wszystkich innych klasach społecznych. To, co stanowi odrębność ludowego życia, to są, po za warunkami ekonomicznymi pewne, zewnętrzne normy stosunków, pewne formy obyczajowej kultury, pewne pojęcia umysłowe — które się przeciwstawiają podobnym zewnętrznym warunkom, określającym odrębność innych klas społeczeństwa. Dusza człowieka z ludu jest w gruncie identycznie taka sama, jak dusza człowieka z arystokracji, lub mieszczaństwa, o ile ono jest tego samego rasowego pochodzenia. Wszyscy żyjemy pod przemocą i przewagą wielkich wymagań życia, wobec których różnice warstw, a nawet indywidualności, najwybitniejszych jednostek, są czemś stosunkowo nieznacznym. Człowiek z ludu oddany jest na pastwę tych samych pragnień i namiętności,

tych samych nadziei i zwątpień, na pastwę tych samych niemiłosiernych elementarnych praw bytu, co ludzie innych warstw społecznych. Różni się on pojęciami — nie różni się uczuciami.

I tu jest właśnie ta zaporą, w której tkwi niemożność podniesienia ludu na wyższy szczebel, przez klasy wyższe, ponieważ klasy te są wyższe bogactwem, zbytkiem, wyrafinowaniem form obyczajowych, pojęciami umysłowymi, a nie różnią się rodzajem uczuć, pożądań i pragnień. Rozwój zaś społeczny, osiąga się nie przez kształcenie pojęć — lecz przez kształcenie uczuć. Najwznioślejsze zasady, którym nie odpowiadają równie wzniosłe uczucia, są tylko martwymi formułkami. Wyższe stanowisko społeczne, to dotąd większa ilość środków zaspakajania łapczywych instynktów: posiadania i używania. Nie mówię o jednostkach lepszych, wyższych istotnie, które są i których jest coraz więcej, mówię o ustalonych normach życia skupień ludzkich, które nazywamy społecznymi klasami.

Między tymi, co zajmują to wyższe społeczne stanowisko, a tymi, co go pożądają, krążą ludzie idei, prorocy, najczęściej przez jednych i drugich kamienowani, gdyż oni to usiłują przerabiać «zjadaczy chleba w aniołów», a wszelkie anielstwo jest zabijaniem siebie — dla innych, lub dla idei, zabijaniem, które nie jest prawidłem normalnego życia...

To też stronnictwa, chcące pociągnąć lud za sobą i wyzyskać dla swoich partyjnych celów, mającą mu przed duszą tem, co jest do zdobycia z bogactwa, czy ze znaczenia i stanowiska, nie rozumiejąc, że grają na tych właśnie instynktach, które wytwarzają i arystokrację i plutokrację, i wogóle wszelkie zrzeszenia,

oparte na nadmiarze posiadania bogactwa i przewagi społecznej, — na możliwości zadowolenia najsilniej rozbudzonych egoistycznych instynktów.

Kiedym raz wytłómaczył góralom, czym jest prawdę socjalizm i kiedy każdy z nich, po namyśle, zobaczył zatarte ślady swoich miedz i kołków granicznych i zrozumiał, że to szczęście, jakie mu daje zaspokojenie egoistycznej chciwości, zdobywanie i używanie indywidualnej własności, zniknie — w duszach ich zrobiło się ciemno, pomimo, że doskonale zrozumieli, o ile stosunki między ludźmi zmieniłyby się na lepsze, chórem też odpowiedzieli: — Ono by ta było, ino co nikt na to nie przystanie! — Identycznie taką samą w treści, choć inną w formie dają odpowiedź inne klasy, posiadające, na hasła społeczne, dotyczące zmiany zasad posiadania.

Stosunek klas wyższych do ludu, jest jeszcze taki, jak człowieka do drapieżnych ptaków. Człowiek uważa jastrzębia za szkodnika, ponieważ on chce zjeść kuropatwę, którą człowiek woli zjeść sam. Na podobnem stanowisku stoją warstwy posiadające więcej, wobec ściśle i prosto sformułowanych dążeń społecznych, gdyż każda droga, prowadząca do społecznej sprawiedliwości prowadzi do innego podziału bogactwa, pojmowanego jako cała suma dobra duchowego i materialnego.

Wszystko zatem, co się ma spełnić w przyszłości, jako faktyczna zmiana stosunków, musi być rozstrzygnięte w ludzkich duszach — bez tego niema postępu. «Wstrętne słowa», jak mówił William Morris, bogaty i biedny», muszą zginąć, ale tego nie dokonają żadne prawa, dopóki z dusz ludzkich nie znikną instynkty,

dzięki którym te wstrętne słowa stały się potrzebne, dla oznaczenia konkretnych zjawisk.

Dotąd jednak dziewięćdziesiąt dziewięć części siły ludzkiej duszy, wyteża się w służbie tego instynktu posiadania. Zdobywać, bronić i używać własności, to jest najistotniejsza treść życia jednostkowego i życia zbiorowego. Cóż więc dziwnego, że sprawa ta jest najistotniejszą osią życia ludu, że ona je wypełnia, a często przepelnia, gdyż w materyalnych warunkach życia ludowego zdobywać jest trudno, a bronić i używać czasem prawie niema czego, ponieważ niema bogactwa zaoszczędzonego.

Ta sprawa najbliższa, sprawa życia, tak pochłania to istnienie, że na taki zbytek, jak ^{ma} polityka, niema w niem miejsca, ani czasu. Austria broni jakichś swoich interesów na półwyspie bałkańskim, — ale co u dyabła! to może obchodzić Maćka Mardułę, lub Wojtka Tyrałę, który gdzieś w polanach wysiewa dwa korce owsa, znosi w płachcie siano z hal, a pan Jezus ma u niego jedną tylko krowicę? A jednak i Marduła i Tyrała wpływają na losy świata. Rozstrzygają oni przez swego posła o polityce na półwyspie bałkańskim, prowadzą walkę z ministeryum, albo je wspierają, udzielają kredytu, lub odmawiają, i głęboko zastanawiają się nad skutecznością trójprzymierza!

Nigdzie zapewne lepiej, bliżej, dotykalniej nie widzi się tych strasznych sprzeczności, potworności dzisiejszych stosunków niż tutaj, ponieważ rzadko gdzie można obserwować takie bezpośrednie zetknięcie się sfery ludowej z tem, co się uważa za wyższy stopień cywilizacyi, lub co nim jest naprawdę.

Inaczej jednak być nie może. Lud, który historia

powołuje do udziału w zawiłych zagadnieniach bardziej złożonych stosunków życia zbiorowego, musi sam dojść do odpowiedniego temu zadaniu wykształcenia. Nikt nie jest mądry z cudzego doświadczenia. Zanim masy ludowe dojdą do tego wyrobienia politycznego, muszą przejść przed najrozmaitsze próby, zawody, bezsensa — od których zresztą wcale nie są wolne klasy wyższe.

Ta sfera wyższa nie jest czemś jednolitem. Psychologia jej, tak jak i sfery ludowej składa się z jednej strony z instynktów pierwotnych, z drugiej, z dążeń uświadomionych i uzasadnionych, jest też ona skupieniem jednostek, których indywidualne dążenia objawiają się w postaci mniej lub więcej pożądliwego egoizmu, rozprzegającego zbiorowe cele. Ta różnorodność pierwiastków, składających «sferę wyższą», wpływa na różnorodność jej oddziaływania na lud.

Partye polityczne, ciągnąc lud, każda w swoją stronę, jedne w imię jego upośledzonych praw i społecznego dobra, inne, usiłując zachować pewną patrymonialną przewagę, rzekomo dla dobra samego ludu, z racji jego niedojrzałości politycznej, inne znowu, po prostu niechcąc, żeby lud wyszedł z klubów ich władzy, wszystkie razem rozkołysują ludowe masy, przyczyniają się do ich «uświadomienia», już choćby dla tego, że je wciągają coraz bliżej i głębiej w wir życia politycznego. Lud jednak nie pójdzie za żadną z tych partyj wyłącznie, właśnie dla tego, że są partyjami, że przedstawiają albo ciasne instynkty, albo ciasno pojęte idee. Z braku wielkich idei w obiegu, co odpowiada brakowi wielkich umysłów i charakterów, życie polityczne jest ciągle dreptaniem po manowcach taktycznych, broniem

lub zdobywaniem drobnych zysków. Chociaż każda z partyj zdaje się mówić do drugiej:

Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną,

Pójdę gdzieindziej i lud pójdzie za mną!

tak nie będzie. Lud pójdzie swoją drogą, drogą, którą mu wskazują z jednej strony, ogólnoludzkie elementarne dążenia, pragnienia i potrzeby, z drugiej, stopień i rodzaj kultury, którą lud już posiada, splot pewnych pojęć i pewnej obyczajowości, która ma swoją odrębność. Na kierunek tej drogi partye uświadamiające wpływają, wywołując rozmaite zboczenia i chwilowo wrywając z toru, tak jak bywają przytrzymywane i wrywane ze swoich dróg eliptycznych planety, pod wpływem sił zewnętrznych.

Naturalna logika zdarzeń prowadzi lud, do zdobywania miejsca w szeregu «klas wyższych», z drugiej zaś strony egoizm masowy, wyrażający stopień upośledzenia w prawach i w posiadaniu, każe się masom ludowym uznawać za skupienie ludzi o wyższych, lepszych cechach i przeznaczeniu społecznym. Dążeniem koniecznym w rozwoju życia zbiorowego jest wyjście z norm dzisiejszego bytu chłopskiego, a jednocześnie i chłop i chłopstwo uznają się, za coś szczególnie godnego istnienia. Są to te powierzchowne sprzeczności i złudzenia, w których się błąka dusza ludzka, szukająca szczęścia, a więc wyjścia po za istniejące dziś potworne wiązania stosunków społecznych.

Skomplikowana kultura klas wyższych szturmuje mateczniki ludowego bytu, nie tylko przez wdzieranie się w nie polityki. W ścianie prawnej i obyczajowej, która dawniej oddzielała lud od reszty społeczeństwa, wybito tyle wyłomów, że jest ona dziś tylko wałem

z gruzów, utrudniających jeszcze swobodny dostęp, ale nie broniących go w zupełności. Po za ten wał sięgają wszelkie wpływy — wszelkie dążenia, od politycznych szacherek, do szczerych porywów społecznych uczuć i poważnej myśli o przyszłości narodowej.

W pojmowaniu teoretycznym i rozstrzyganiu praktycznym «kwestyi ludowej», po za interesownem wyzyskiwaniem ludowego budzenia się i po za bezinteresownem współczuciem dla nędz ludowego bytu, jest jeszcze jedno stanowisko — stanowisko, etnograficzno-artystyczno-uczuciowe, albo niekiedy sentymentalne, z którego lud przedstawia się, jako pewna sfera ludzkiego istnienia, interesująca przez swe szczególne cechy i formy, swoją odrębność w stroju, obyczaju, mowie, przez pewien poetyczny duch archaiczny, przez urok niezwykłości i oryginalności — co wszystko, ludzie, stojący na tem etnograficzno-artystycznym stanowisku, radziłyby zatrzymać w rozwoju i utrzymać w tym stanie, w jakim w pierwszej chwili to zjawisko ludowe uderzyło ich umysł. Lud wyobrażany tu jest, jako szczególna grupa etniczna, wyjęta z pod praw nieuniknionych gdzieindziej przemian, jako skupienie ludzkie, które powinno być wyodrębnione i zachowane, jakby pod kloszem, od wpływów zewnętrznych i zhamowane w życiowych procesach. Tkwi w tem stanowisku resztką dawnych pojęć demokratycznych, które wyobrażały człowieka prostego, jako istotę doskonalszą organicznie, nie zepsutą cywilizacją, w której jakoby tkwi całe zło ludzkiego bytu; z pojęciem tem łączy się odczuwanie elementarnych cech narodowych, zachowanych czyściej u ludu, a zarazem rzeczywiście artystyczne upodobanie w formach życia, mających tak wybitne i ory-

ginalne cechy. Stanowisko to w stosunku do rzeczywistego życia ludu, jest z gruntu błędne. Lud nie da się zatrzymać w rozwoju, — nie może się zatrzymać i sam, poza wszelkimi zewnętrznymi wpływami, zmieniać się musi przez prostą konsekwencyę życia. Od stroju i obyczaju, do warunków i środków zdobywania bytu, wszystko się zmienia, niekiedy na lepsze, czasem zaś przez proste podstawianie się innych form tej samej treści. Formy tej kultury ludowej, bardzo cennej, ale pierwotnej, muszą się zmieniać naturalną drogą rozwoju wewnętrznego, z drugiej zaś strony są niszczone, zanim się zdążą samodzielnie rozwinąć, przez formy, bardziej wyrobione, kultury obcej, przybywającej z zewnątrz. Nie trzeba myśleć, że zjawisko to odbywa się tylko w sferze ludowej, identycznie to samo dzieje się w sferach wyższych, które przejmują formy obcej kultury zupełnie tak samo, jak lud. Dzieje się to dzisiaj i działo się zawsze, i jest jednym więcej dowodem tożsamości objawów psychicznych, na wszystkich szczeblach społecznej drabiny.

Dla zrozumienia też kwestyi ludowej, trzeba przy jej badaniu zejść ze wszystkich ograniczonych, ciasnych stanowisk, trzeba zejść do dna duszy ludu i zrozumieć, że jej potrzeby i pragnienia są zasadniczo te same, co klas wyższych, choć się przejawiają inaczej. Jeżeli komu się zdaje, że te wszystkie grube przejawy egoizmu ludowego są czemś innym, od objawów wyrafinowanego egoizmu klas wyższych, to się bardzo myli. Chciwość jest chciwością, czy przedmiotem chęci posiadania jest kupa gnoju, czy brylant, świecący jak gwiazda. Próżność bab wiejskich, obwieszonych w niedzielę chustami i obutych w cyfrowane kierpce, przy-

wiązane na białej onucce do pół łydki czarnemi nawłokami, jest ta sama, co próżność kobiety wielkiego świata, której głowę zdobi kapelusz, będący, po prostu, dziełem sztuki, a nogę obejmuje czarna jedwabna pończocha i lśniący pantofelek. Duma rodowa i pycha, pochodząca z bogactwa, rozpiera tak samo pierś Gąsieniców, jak i Zbarazkich. Człowiek! — człowiek! — oto co trzeba widzieć w chłopie i w panu, żeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei. Traci się złudzenia, ponieważ wtenczas odpadają wszystkie arystokratyczne i demokratyczne uprzedzenia tłumów, a zyskuje się nadzieje, ponieważ widzi się iskry dobra, błyskające po wszystkich duszach, błyskające tymczasem, jak błędne ogniki, ponieważ dusza jest to ta część człowieka, którą się właściwie ludzie prawie nie zajmują, która wśród chaosu zdarzeń, gór przeciwieństwa i mroków błędu i niepewności walczy o zdobycie świata, o przepromienienie życia.

Odrzuciwszy wszelkie uprzedzenia, wynikające z ciasnych pojęć klasowych, lub partyjnych, doszedłszy tak zupełnie blisko do człowieka, widzi się dopiero jego rzeczywiste siły i istotne przyczyny jego słabości. Skoro się wniknie w ten sposób w życie ludu, spostrzega się, do jakiego stopnia to życie, tak skrępowane przez przyczyny zewnętrzne, jest bardziej jeszcze zależne od przyczyn wewnętrznych, leżących w samym człowieku. Widząc człowieka »gołego« w pojęciu braku pieniędzy, prawie nagiego, niekiedy, pod względem ubrania i z duszą z konieczności obnażoną, widzi się doskonale, że o tę duszę, pojętą jako cała suma władz umysłu i czucia, powinno iść przedewszystkiem, że ona to jest tym rozstrzygającym czynnikiem zagadnień ży-

cia jednostkowego i zbiorowego. Widząc, w jakim ta dusza jest stanie u ludu pod względem zaopatrzenia w umysłowe narzędzia, potrzebne do zdobywania bytu i zabezpieczenia istnienia, widząc, w jak ciasnym kręgu zamykają się z konieczności jej czucia i myśli, uświadamia się doskonale, że nawet ta minimalna ilość dobra materialnego, teraz przypadająca na chłopa, mogłaby zapewnić mu znacznie większą sumę dobrobytu, szczęścia i wzniosłości, niż zapewnia dzisiaj. Chłop, mając wszystkie te same pragnienia i potrzeby, co inne klasy społeczne, stoi bezradny wobec swego pólka, wobec swego bydła, wobec choroby, wobec śmierci — wobec każdego zagadnienia bytu społecznego czy osobistego. W »polu ludzkości« jego zagon jest zostawiony tak nisko, że jego środki, w walce o życie, graniczą niekiedy z pierwszymi czasami początków epoki metali, podczas kiedy na »wyższym zagonie« tego samego pola elektryczność wyrugowuje już parę. Tu, w tem upośledzeniu ograniczenia sił umysłowych, tkwi rdzeń wszystkich trudności kwestyi ludowej. Dopóki to nie zostanie rozstrzygnięte, chłop pójdzie, jak mysz lub suseł, instynktowo na wędrownkę, szukać »ka lepiej i lekcej«, da się niekiedy postrzelać przez żandarmów, przy wyborach jakiegoś pana, który potem będzie gadał cicho »w korytarzach Izby« i milczał jak pień w sali obrad tejże Izby, będzie ciągle na woli podszeptów rozmaitych sprytnych lub brutalnie bezwzględnych działaczy, albo będzie im przeciwstawiał tępy i niemy upór, który go wprawdzie uchroni od ryzykownych prób, zawodów i natychmiastowej straty kilkumorgowej fortuny, ale zatrzyma w rozwoju i doprowadzi ostatecznie do zguby. Do niedawna ludzie, którzy szczerze nawet współczu-

wali ludowi, widzieli w jego niedoli głównie zagadnienie dobrobytu materialnego. Zdawało im się, że rozstrzygnięcie kwestyi dochodu równa się podniesieniu poziomu ludzkiego istnienia. Nędza dusz za mało była brana pod uwagę w rachunku społecznym, a wyobrażenie, że wyższy poziom posiadania bogactwa odpowiada istotnemu podniesieniu się ludzkiej istoty, doprowadziło do przekonania, że mędrszym, lepszym, więcej wartym człowiekiem można być tylko poza sferą ludowego bytu. Tak zwany »człowiek inteligentny« jest to do dziś pojęcie, które się nie godzi ze stanem »chłopskim«, »inteligentny człowiek« jest to »pan«, wszystko jedno, czy on jest pierwszym w pokoleniu przyszłych panów, czy też jednym z ostatnich w szeregu licznych pokoleń pańskich. To też jednostki, które otrzymywały wyższe wykształcenie, opuszczały sferę ludową, dezertowały z niej i przyłączały się do panów i nie tylko nie wpływały na podniesienie umysłowego i moralnego poziomu ludowej sfery, lecz przeciwnie, były drogokazami krętych dróg, na jakich się »robi karyery«, zdobywa fortunę i znaczenie. Pierwsze też pokolenia takich panów, wychodzących z ludu, były zazwyczaj niesłychanie mało warte społecznie. Były to najczęściej typy, zwane w Rosyi k u ł a k a m i, typy łapczywych egoistów, którzy dorwali się do miski z pomyjami dobrobytu i nie widzą nic, ponad ten dobrobyt i znaczenie, godnego w życiu do zdobywania i posiadania. Taki Józek lub Jędrak, Wojtek czy Maciek, przedzierzgnięty w pana, nabiera z łatwością »manier sytego bydlęcia«, któremi, póki był »prostym«, imponowały jemu znowuż »klasy wyższe«, bije »po pysku« Jędrków i Józków, którzy jeszcze chodzą w cyfrowanych portkach, daje im

do pocałowania rękę z powagą i pewnością, że ją pocałują, słowem, zachowuje się zupełnie odpowiednio do swego wyższego stanowiska społecznego, używa wszystkich przywilejów społeczno-towarzyskich, jakie się mu należą z tytułu posiadania większej od zwykłego chłopca fortuny, patentu dojrzałości, stopnia uniwersyteckiego, lub stanowiska urzędniczego. W zjawisku tem tkwi gorzka i straszna ironia życia. Jest ono dobitnym dowodem, że na »wyższym zagonie pola ludzkości« panują złe stosunki, obowiązują złe i fałszywe zasady i normy życia.

W istocie, jeżeli jednostki, wychodzące ze sfery ludowej i zajmujące stanowiska w szeregach klas wyższych, nie stają się tem samem ludźmi wyższymi psychicznie i etycznie, jeżeli, podstawiając się na miejscach zajmowanych dawniej, z powodu ograniczeń prawnych, wyłącznie przez jednostki klas wyższych, człowiek z ludu zmienia tylko zewnętrzną skorupę, lecz nie wznosi swojej duszy na wyższy stopień uspołecznienia, jeżeli to stanowisko w szeregach wyższych może on zająć przez proste, choćby krzywemi środkami, zdobycie większego dochodu, w takim razie niech »klasy wyższe« wyperswadują sobie swoją »w y ż s z o ś ć!« Jednostka, która zajmuje miejsce w ich szeregach, zmienia tylko cel pociśków swojej pożądlivości, środki zaspokajania pożądań swego egoizmu, ubranie i gwarę — na tem koniec. Dążąc do wydobycia się z szeregów ludowych, walczyła ona z klasami wyższemi, stawszy się ich członkiem, zwraca się z konieczności razem z nimi przeciw ludowi, przeciw tym, którzy masowo dążą do zmiany stosunków posiadania. Zmienia ona środki działania, — z prostaczych sposobów zarobkowania wznosi się do »operacji finansowych«

przedsiębiorstw przemysłowych, wielkich pensyi, lub wielkich szachrajstw. Zamiast cuhy i sukmany wkłada anglez lub smoking; zamiast mówić: — Niech będzie pochwalony! — mówi: — Całuję rączki! — do wyższych, bo do niższych mówi: — Słuchaj no! — albo: — Możesz iść! — zupełnie, jak klasy wyższe. Zwiększając szeregi tej, lub owej odmiany klas wyższych, ma ona na celu tylko zdobycie bogactwa, osiągnięcie władzy i znaczenia, zaspokojenie uczucia dumy i próżności, w czym tkwi możność odczuwania własnej siły i przewagi, a zarazem bezpieczeństwa, — a często bezkarności — słowem tego, co stanowi istotny urok należenia do warstw wyższych i istotne ich cechy klasowe.

Powszechnym fermentem życia jest chciwość, zaś i nienawiść — oto istota wszystkich nędz i nieszczęść społecznych i wszystkich tragedyi narodowych.

Dopóki zasadniczą sprężyną czynu ludzkiego jest współzawodnictwo w zdobywaniu i używaniu, dopóty niema co mówić o wyższości jednych klas nad drugimi. Klasy wyższe muszą naprzód podnieść swoje dusze na istotnie wyższy poziom psychiczny i etyczny, żeby mogły naprawdę tam z góry podać rękę ludowi. Tak, jak jest teraz, nowe, świeże warstwy, wychodzące z ludu, wkracząc na ten »wyższy zagon«, zmieniają tylko formy, gdyż treść istotna dusz jest, tu i tam, ta sama.

Mając możność poznawania dusz ludzkich we wszystkich warstwach społeczeństwa, mogąc na olbrzymim materiale faktów, zdobytych w bezpośrednim poznawaniu jednostek ze wszystkich sfer, wszystkich przegródek społecznych, sprawdzić straszliwą tożsamość ludzkiej duszy, przestaje się wierzyć w specjalne cnoty

i zbrodnie pewnych klas społecznych. Wszystko to są tylko ludzie... Biedne istoty, między których myślą a czuciem, słowem a czynem leżą bezdnie sprzeczności, niewspółrzędności, niekonsekwencji. Niema cnót ani zbrodni, należących wyłącznie do pewnych klas, jakkolwiek są pewne straszne objawy zła, wynikające bezpośrednio z ich istnienia.

Każdy przywilej nie tylko stwierdza i obwarowuje pewien stan posiadania, ale jest zarazem streszczeniem całej sumy chciwości, złości i zawiści, które to posiadanie na wyłączną własność danej jednostki czy grupy oddało. Dlatego to przywileje znoszą się zawsze wśród walki, nowe prawa piszą się krwią, — a niekiedy, bardzo rzadko, miłością, która jest przeczeniem wszelkiej wyłączności, wszelkiego egoizmu — klas czy jednostek.

Fatalnym przymiotem każdej własności jest tkwiąca w niej konieczność zwiększania się, a zwiększać się można tylko kosztem czegoś i kogoś. Chciwość nie ma granic i na tej drodze kolizja interesów jest nieunikniona, a zgoda klas jest niemożliwą, dopóki one istnieją. Lud, jako jednostka ekonomiczna, będzie zawsze w przeciwieństwie do każdej innej jednostki ekonomicznej. Może on się godzić z innymi klasami w sferze zagadnień umysłowych, lub w chwilach klęsk, grożących podstawom plemiennego bytu, ale jako pewna cyfra posiadania będzie dążył do zwiększenia się, do opanowania coraz większej ilości dóbr. Będzie dążył, albo jako cała warstwa społeczna, do radykalnych zmian społecznego ustroju, albo będąc odepniętym odrywać się coraz częściej jednostki, zdobywające miejsce tam, gdzie jest więcej dobra materialnego do użycia. Jednostki te,

w dzisiejszych stosunkach, pójdą po linii najmniejszego oporu, która nie zawsze jest drogą prostą...

Termin *demokratyzacja* jest fałszywie stosowany, do określenia dzisiejszego przeobrażania się społeczeństw. Pewne umysły naiwne i ogarnięte złudzeniami arystokratycznymi przychodzą nawet do wniosku, że ta »demokratyzacja« jest fatalnem złem, jest upadkiem i wyężdżają tęskne spojrzenia poza zwrotny punkt historyi, jakim była Wielka rewolucya. To, co dziś się dzieje, jest raczej »arystokratyzacją«. W istocie, jeżeli na arystokratyzm będziemy patrzeć nie jako na przywilej, oparty na prawie, lecz jako na faktyczny stan posiadania większej ilości dóbr materialnych i duchowych, w takim razie, coraz większy udział w tem posiadaniu jednostek z ludu, jest jego arystokratyzowaniem się. Jeżeli zamiast jednego p a n a jest stu, zamiast jednego uczonego jest dziesięciu, to bynajmniej nie znaczy, że się świat demokratyzuje, jeżeli tylko bogactwo i nauka są wyższym stanem uspołecznienia, przeciwnie, on się właśnie podnosi i sięga do wyżyn arystokratycznych. Że na tych wyżynach, nie wszystko jest wyższem — uczy codzienne doświadczenie. Arystokratyzowanie się ludu, przez udział w życiu sfer wyższych posiadaniem większej ilości dóbr materialnych, znaczeniem społecznem i udziałem we władzy, nie wydaje żadnych dodatnich skutków dla życia społecznego, dlatego, że sfera ta nie rządzi się wyższymi zasadami etycznymi i nie jest poruszana wznioślejszemi uczuciami. Przy zetknięciu się kultury pańskiej i chłopskiej tworzą się, niestety, cuchnące bagna społecznej nędzy, fermentujące plugawemi instynktami łapczywego egoizmu... Jest to bardzo znamienym faktem, że gdzie tylko

wyższe klasy zbliżają się do ludu, natychmiast zaczynają same wyrzekać, że lud się demoralizuje! Często wyrzekania te są tylko zgrzytem egoizmu, który chce wziąć jak najwięcej, a dać jak najmniej, kupić jak najtaniej, a sprzedać jak najdrożej, zgrzytem egoizmu, wspólnego wszystkim ludziom, niekiedy jednak wyrażają istotne zachwianie się obyczajowości ludowej.

Kultura ludowa jest, lub była, pewną całością obyczajową i zwyczajową, w której wszystkie normy ludzkich stosunków były w pewien sposób ustalone. Pojęcie dobra i zła, obowiązku i prawa i wogóle wszystkich więzów społecznego ustroju miały tu swoje formy, pewną powagę i dyscyplinę. Przy zetknięciu się z kulturą klas wyższych, całość tej ludowej kultury rozpada się, robią się w niej szczyrby, rozluźniają się więzy obyczaju, znika powaga pewnych pojęć, a komplikujące się warunki życia uniezależniają jednostki, którym ciasno jest w więzach chłopskiego ustroju, chłopskiej kultury. Porowatość zaś ciała społecznego pozwala żyć i działać w niem, rozmaitym odmianom ludzkich istot, które nie dają się ująć w sieć prawa, a uciekły z sieci obyczaju i które, ogarnięte chaosem, panującym w złożonych warunkach bytu klas wyższych, nie mogą pogodzić sprzeczności pojęć i czynów, wykluczających się wzajemnie, a jednak będących nieodłącznym objawem życia.

Jeżeli w obyczajach danego społeczeństwa ludożerstwo jest zjawiskiem normalnem, jeżeli jest uznane za godziwy i moralny sposób odżywiania się, zjedzenie polędwicy bliźniego nie poniża tego, kto ją zjadł; jeżeli jednak ludożerstwo uznane jest za czyn zły i podły, a jednak ktoś, zjadając polędwicę bliźniego, może nie-

tylko bezkarnie istnieć wśród społeczeństwa, ale nawet posiadać jego szczególne względy, dowodzi to zupełnej sprzeczności pojęć i czynów, dowodzi, że stan tego społeczeństwa jest bardzo lichy. Ileż jeszcze w życiu społeczeństw, zwanych chrześcijańskimi, jest ludożerstwa w istocie, pomimo teoretycznego potępienia tego obyczaju!

Kultura ludowa miała w pewnych kierunkach zastrzeżenia pojęciowe, co do spraw napozór ostatecznie przesądzonych. Lud naprzykład, w pewnym czasie, nie uznawał lasu za własność, którą by mógł w ilości nadmiernej posiadać człowiek pojedynczy. Prawo, właściciele, leśniczowie, żandarmi mieli o tem swoje — lud miał swoje pojęcia i, unikając teoretycznych sporów, o ile się dało protestował przeciw wyłącznemu władaniu lasem przez jednostki, wrębując się nocami w obszary dworskie. Pewien poważny gazda, spytany, czy kradł las? — odpowiedział z godnością: — *K r a d e k!* — ponieważ ani on, ani nikt z gazdów owego pokolenia nie uznawał tego za czyn poniżający. W pojęciach ludu las był rzeczą sporną, której tytuły posiadania nie były ustalone, chociaż siła i przemoc zagarnęły ją i strzegły. Rąbiąc też las, rzekomo cudzy, nie popełniało się nic złego. Z chwilą jednak, kiedy pewien czyn uznany za zły, pewna pobudka działania uznana za niską, nietylko nie przeszkadza, ale pomaga do zdobycia znaczenia wśród społeczeństwa, z chwilą tą zaczyna się demoralizacja, i na tej właśnie drodze demoralizuje się lud przy zetknięciu się z warstwami wyższemi. Cały spłot czynów, o których nie mówi się z godnością, czynów, prowadzących do fortuny i znaczenia, ukazuje się ludowi, jako zwykły, normalny bieg życia, jako zwy-

kły, konieczny środek wybijania się na wierzch. Tu właśnie leży zła strona oddziaływania »klas wyższych«, na życie ludu. Normalny bieg życia, normalne jego warunki, do pogodzenia się z którymi nawołują ludzie trzeźwi, to do dziś straszna plątanina kilku wzniosłych pojęć i mnóstwa najróżniejszych niskich instynktów, między którymi równowagę utrzymuje policja — nie etyka. Tak jest wszędzie, należy dodać, żeby ten sąd nie wydawał się zbyt przygnębiającym. Cała ludzkość jest chora na to — i my z nią. Głębiej, gorzej odczuwa się nędzę swego społeczeństwa i do niego się zwraca zwykle z wyrzutami, są to jednak nędze wszechludzkie, wszechziemskie.

Ale fala nowych pojęć i nowych form życia płynie nietylko z tej strony i nietylko w tę stronę skierowuje się przedsiębiorcza energia i szczególne uzdolnienie jednostek, pochodzących z ludu. Nietylko tam, gdzie się robi karyery, gdzie tracąc swój własny charakter, pozyskuje się »tytuł i charakter radcy«, nietylko tam, gdzie jest wszelki żer dla egoizmów, od pieniędzy do władzy, nietylko tam, na szczęście, spotyka się nowych ludzi. W nauce, w literaturze, w sztuce, w pracy społecznej występują coraz częściej i gęściej nazwiska, które nie brzmią, jak nazwiska ludzi »z inteligencji«, ale których surowe lub naiwne brzmienie przypomina imiona różnych średniowiecznych wojewodów, kasztelanów, biskupów i uczonych, lub ukryte po rozmaitych starych dokumentach imiona kmieci. W tej sferze życia, naprawdę wyższej, przez treść istotną swoich celów i czynów, jednostki z ludu zajmują coraz wybitniejsze miejsce, rozbijając do reszty wszelkie uprzedzenia klasowe i stwierdzając niespożytą siłę w walce z trudno-

ściami życia. Wybić się na wierzch w tej sferze przy dzisiejszym potwornym systemie szkolnym, zjadającym na marne najlepsze siły młodości, wybić się z poziomu, na jakim ustrój społeczny utrzymuje masowo lud cały, przedrzeć się przez wszystkie zapory materialne i społeczne, jest bardzo trudno, o wiele trudniej człowiekowi z ludu, niż jednostkom z klas wyższych, którym, z natury ich społecznego stanowiska, łatwiej jest i bliżej do wszystkich instytucji, warunkujących życie na wyższym poziomie społecznego ustroju.

Historyczną zasadą obecnej chwili jest uznanie mas ludowych, jako rozstrzygającego czynnika narodowego bytu. Z temi lub owemi zastrzeżeniami, wszyscy stwierdzają, że od sił, które się znajdują w łonie ludu, zależy przyszłość. Ci nawet, którzy by chcieli ten fakt negować w teorii, w życiu realnem, społecznem czy politycznem, muszą się z nim liczyć, muszą albo mu współdziałać albo z nim walczyć. Tak dobrze ten światły i uczciwy obywatel, który zadaniem swego życia robi oświatę ludu, jak i brutalny kandydat na posła, kupujący głosy chłopskie papierkami, wódką i kiełbasą, jak i ten, który z uporem kretyna usiłuje przeciwdziałać rozwojowi uświadomienia wśród ludu, — wszyscy stwierdzają jedno: lud występuje na widownię historyi, staje się czynnym w jej tworzeniu się pierwiastkiem. Tylko ludzie, nie uczący się nic z historyi i nic od życia, mogą tego nie uznawać i kłaść się w poprzek drogi nieuniknionego przeobrażania się stosunków w imię powagi tych czynników, które dotąd tworzyły historję. Rzecz oczywista, jest to śmieszne z punktu rozwojowych konieczności bytu społeczeństw, — lecz zarazem, w najwyższym stopniu szkodliwe dla życia narodowego.

Ludu nikt w rozwoju nie powstrzyma i nikt go w życiu nie zastąpi.

Rozumne społeczeństwo, pojąwszy raz tę prawdę, wyteżyłoby wszystkie swoje siły w kierunku ułatwienia i przyspieszenia tego procesu i dążyłoby, z niezachwianą konsekwencją, do dźwignięcia mas ludowych na ten stopień rozwoju, któryby z nich uczynił niezwalczonej mocy zastępy świadomych swoich obowiązków, rozumnych i wzniosłych obywateli. Zadanie to tem jest łatwiejsze do spełnienia, że świadomość konieczności wyjścia z dzisiejszych norm bytu, coraz szerzej i głębiej przenika do mas ludowych, które dziś już wydają z pomiędzy siebie dużą ilość pracowników, oddanych tej sprawie i umiejętności.

Zadaniu podniesienia ludu na wyższy stopień uspołecznienia, nie może, rzecz oczywista, podołać ani sama Szkoła ludowa, ani nawet całkowity ustrój szkolny, choćby nawet był doskonałym, — cóż mówić o tym, który jest dzisiaj i który jest, po prostu, potworny. Spencer mówi, że choćby były idealnie dobre szkoły, nie wydałyby one odrazu istotnego społecznego skutku, ponieważ dobrze wychowane dziecko nie mogłoby żyć w tem społeczeństwie. Trzebaby wprzód wychować odpowiednio rodziców, to jest zmienić te wszystkie warunki bytu, które wpływają na życie i rozwój człowieka i są zwykle bardziej rozstrzygającymi czynnikami wychowawczymi — niż wszelkie szkoły. Społeczeństwo więc, któreby naprawdę było świadome treści historycznej chwili i dążyło do spełnienia jej zadań, powinnyby, w szkole i poza szkołą, pamiętać o wychowawczem znaczeniu dla mas, wszystkich czynników, normujących bieg życia społecznego.

Żadne jednak społeczeństwo nie dąży jednolicie w pewnym kierunku, do pewnych celów. Wszystkie są rozbite, potargane na grupy, które, objęte jednym terytoryum, jednymi cechami plemiennymi, jednocząc się nawet w pewnych dalszych celach, w życiu bieżącym, w interesach codziennych albo się wzajemnie zjadają, albo też żyją obok siebie w stanie biernego stosunku, oddziaływając jedynie bezwiednie na swoje losy. Tak też jest u nas. Jeżeli kto za społeczeństwo będzie uważał tych, co wzięli sobie za zadanie rozpowszechnienia Szkoły ludowej, będzie myślał, że to społeczeństwo jest świadome istoty swoich zadań i rozumie, w czym leży jego rzeczywista siła i co stanowi rozstrzygający czynnik życia dziś i w przyszłości. Jeżeli kto za społeczeństwo uzna klasy wyższe i duchowieństwo, które z ruchem ludowym walczy, ten będzie myślał, że to społeczeństwo niczego się ze swej historii nie nauczyło i nie ma żadnego pojęcia o zadaniach swojej przyszłości, podobne też będzie miał wyobrażenie o nim, kto się przysłucha wszelkim opiniom o szkolnictwie, kto przyjrzy się działalności Rady Szkolnej, kto wejdzie na próg szkół średnich, kto widzi, jak działa nieraz władza.

W społeczeństwie, któreby osiągnęło bardzo wysoki stopień uspołecznienia, pojęcie władzy musiałoby tak się zmienić, że właściwie przestałaby ona istnieć, stając się tem, czem być powinna: służbą, równą hierarchicznie każdemu innemu zakresowi ludzkiej działalności. Kierownicza rola, czegoś podobnego do dzisiejszej władzy, byłaby zbyteczną i wprost niemożliwą. Dziś, tak jak jest, władza istnieje faktycznie i w jej rękach spoczywa olbrzymia siła wpływu i możliwość

inicjatywy, od tego też, dokąd ta władza dąży, czego chce, zależy tak wiele w życiu społecznym. Czy w niej się skupia świadomość narodowo społecznych celów, czy ona swego zwierzchniczego wpływu używa na to, aby torować i ułatwiać konieczny bieg procesów historycznych, czy też jest wyobrazicielką wstecznych dążeń, obronicielką stanu posiadania pewnej społecznej warstwy, pewnej uprzywilejowanej kasty, czy też jest prostym narzędziem biurokratycznym, widzącem w sobie wcielenie porządku społecznego, i w każdym wypadku broniącym swojej powagi, to jest siłą zmuszającym do uznawania za słuszne swoich głupstw, błędów i przestępstw. Od każdego z tych stanowisk władzy zależy mnóstwo zjawisk życia społecznego, gdyż wszystkie jego dążenia, w ten lub ów sposób, są przez tę władzę normowane, paczone i wykolejane, tak, że na to tarcie o tryby maszyny administracyjnej zużywa się olbrzymia część sił i trudów jednostek i całych grup społecznych. Władza, która nie rozumie wychowawczego znaczenia swoich rozporządzeń i zarządzeń, sprowadza chaos w pojęciach i stosunkach, niszczy skutki wpływów wychowania i ciągle, na miejsce obywatelskiego ducha, działającego swobodnie, z poczuciem własnej odpowiedzialności, stawia świstek papieru z numerem i pieczęcią... Dąży ona do zewnętrznego, czysto formalnego porządku, nie dbając o to, co się dzieje wewnątrz, w głębi i nie przypuszczając, że ujemne skutki takiego działania sięgają głęboko w życie i daleko w przyszłość. Biurokratyczna też fikcja »powagi władzy«, jest jednym z tych fatalnych, rozkładowych czynników społecznego bytu, których ujemne działanie na rozwój mas ludowych i nie ludowych sprawdza się co chwila w życiu.

Powaga władzy, poza którą nie stoi żadna wyższa idea rozwojowa, żadna wielka myśl społeczno-narodowa, powaga władzy, która jest bronieniem powagi szafy z rozmaitemi »kawałkami«, wypracowaniami w rozmaitych urzędniczych instytucjach, powaga ta w punkcie zetknięcia się życia ludu z »wyższemi« formami ustrojowemi, wytwarza fatalną atmosferę poniżenia i najzgubniej oddziałuje na wychowanie obywatelskie mas ludowych.

Próba oczyszczenia Zakopanego z »Bagna«, dała, tu na miejscu, dokładnie poznać wszystkie ujemne skutki biurokratycznego pojmowania zadań i obowiązków władzy...

Patrząc na wszystko, co się dzieje tu i gdzieindziej w obchodzeniu się ludzi z ludźmi, stawia się nieraz sobie pytanie: — Czy ludzie kiedy dojdą do tego, że roztoczą opiekę nad rasami ludzkimi, jak ją roztoczyli nad rasami zwierząt? Czy dojdą do tego, żeby wychowanie rasy ludzkiej oparło się, z jednej strony, na tych zasadach biologicznych, na których oparto wychowanie ras zwierzęcych, z drugiej, na zasadach, wysnutych ze społecznych przeznaczeń ludzkości, przeznaczeń, których spełnienie jest ostatecznym kresem celów wychowawczych. Jak dotąd, rasa ludzka jest poniewierana i niszczone przez wszelkie czynniki, mogące wpływać na jej byt i rozwój. Tak zwane systemy wychowawcze i tak zwane systemy rządzenia, wszystkie dotąd posługują się metodami, w których niema śladu pojmowania biologicznych czy społecznych potrzeb istnienia człowieka, a tem samem skutki ich przedstawiają się, jako wpływy niszczące istnienie i rozwój ras ludzkich. A chociaż gdzieniegdzie powstają towarzystwa opieki

nad ludźmi, nie mogą one funkcjonować tak sprawnie i skutecznie, jak towarzystwa opieki nad zwierzętami, których działanie unormowane jest prawnie, a pożytek uznany bez zastrzeżeń. Członek takiego towarzystwa, ukazawszy swój bilet policyjantowi, ma prawo zmusić woźnicę, żeby nie katował konia, żeby zrzucił z wozu nadmierny ciężar, ma prawo przeszkodzić dręczeniu ptaków, męczoniu ciągnionego do rzeźni, za ogon, wieprza lub cielęcia, — ma prawo, i jego rozkaz, pod karą, powinien być spełniony. Ale członek towarzystwa opieki nad ludźmi, gdyby przyszedł do szkoły i zażądał, żeby przestano dręczyć dzieci pięciu gramatykami, gdyby wszedł do warsztatu i zażądał rozpuszczenia zmęczonych robotników, gdyby podszedł do feldfebla, znęcającego się nad rekrutami i zażądał zaprzestania głupiej i okrutnej gimnastyki, żeby wszedł do propinacyi i zażądał zniszczenia trucizny, którą truje się lud dla podniesienia dobrobytu społeczeństwa, bogactwa jednostek i dla utrzymania równowagi budżetu państwowego; gdyby tylko spróbował wejść między tryby kół społecznej maszyny, spróbował namaścić je współczuciem i słusnością, gdyby chciał zniszczyć jęk i zgrzyt ich tarcia, — wszyscy wiemy, coby było, wszyscy czujemy, przy każdym drgnięciu takich uczuć i myśli, nieprze-partą ścianę bezwładu i bezmyślności społeczeństwa i czynny odpór »powołanych do strzeżenia porządku czynników«...

Opiekować się wolno tylko starzyzną i strzępami ludzkości; fundować i prowadzić składy zniszczonych istnień ludzkich, strzępów dusz i łachmanów ciała, składy skutków społecznego bezsensu i zbrodni, — ale zapo-

biegać temu nie można, od tego są »czynniki miarodajne«...

Ile razy widzę ogrodnika, pochylonego nad grzędami, obsypującego jedną roślinę, podlewającego drugą, podcinającego coś w trzeciej, wynoszącego inną na słońce lub chowającego jeszcze inną w cieniu, i ciągle, stale, do nieskończoności zmieniającego indywidualne warunki rozwoju dla każdego indywiduum roślinnego, a przynajmniej dla każdej grupy osobników sobie podobnych, — tyle razy z przykrością myślę o tem, co się robi z istotą ludzką, jak się ją hoduje, jak przysposabia do zdobywania warunków istnienia i do spełniania wyższych zadań bytu.

Rośliny nie kręcą za ucho, nie biją kantówką, nie łąją, nie gromią, nie nazywają osłem, nie stawiają jej »pałki«, ani nie obcinają przy egzaminie, jeżeli ona nie rośnie i nie rozwija się odpowiednio do zamierzonego przez hodowcę celu. Ale hodowla ludzi odbywa się inaczej.

Z jednej strony, słuszne przekonanie, że każdy człowiek jest stworzony do pewnych, jednakich dla wszystkich przeznaczeń, a tem samym w pewnym zakresie musi być przez wychowanie uzdolniony do spełniania jednakich obowiązków i posiadania jednakich praw, z drugiej, fatalne pojmowanie wolnej woli i odpowiedzialności wydało te wszystkie sposoby hodowania ludzi w sposób wprost przeciwny, niż się hoduje rośliny. Rasa ludzka hoduje się bez przystosowania środków hodowli do celów życia, bez uwzględniania różnic ras poszczególnych, grup jednakich indywiduów, już nie mówiąc o tem, że nikt nie bierze w rachubę szczegól-

nych cech i właściwości indywiduów pojedynczych. Dla rasy ludzkiej są jednakie formy dla wszystkich jednostek, formy jak na bułki lub leguminy, w których się musi wypiec najdoskonalszy, według wyobrażenia państw i społeczeństw, chleb ludzki.

Gdyby hodowca roślin zmuszał palmy, róże, fiołki i ananasy rósć i rozwijać się w warunkach kultury, potrzebnej dla sybirskiej rzepy, sądzę, że wszyscy uznaliby go za waryata, — niemniej hodowla ludzi odbywa się w ten właśnie sposób. Podczas kiedy w hodowli zwierząt domowych stosuje się najtroskliwiej obmyślany i ściśle do celów życia przystosowany sposób postępowania, z ciągłym uwzględnieniem właściwości i przeznaczenia danych osobników, w hodowli ludzi niema o takiej staranności mowy. Nikt nie ściga się na perszeronach ani na koniach piwowarskich, jak nie zaprzęga do wozu z ciężarem pełnej krwi wyścigowca i nie używa do kręcenia kieratów arabskich źrebców. Wszyscy wiedzą, że byłby to nonsens, że byłoby to niszczeniem ras, niszczeniem ich szczególnych przymiotów, przez które są właśnie pożyteczne, — ale z ludźmi takich ceremonii się nie robi. Dla ludzi jest jeden system, właściwie dwa, lecz tylko jeden z nich jest tą doskonałą formą, której odcisk nadaje wyższą wartość ludzkiej istocie — to jest system klasyczny. Zdaje się, że państwa i społeczeństwa przygotowują dla b. p. Grecyi i Rzymu obywateli, którzy nie będą mieli ani żywej ojczyzny, ani żywego społeczeństwa, ani możliwości życia myślą i czuciem w tym świecie, do którego wychowanie ich przeznaczają — dla tej prostej przyczyny, że świata tego niema, że on nie może już być w przyszłości — ponieważ już był... Cała ludzkość musi

przejsć przez system szkolny, przeznaczony do hodowania dyplomatów dla nieistniejących państw Grecyi i Rzymu — *in partibus...* Żadne cechy i przymioty rasowe, żadne przymioty indywidualne, żadne szczególne cele życia, żadne przeznaczenia nie mogą uchronić od matury z klasycyzmu. Ludzkość dzieli się na wyższy gatunek, ten co skończył klasyczne gimnazya i na »minderwerthige«, którzy ukończyli realne szkoły, nie mówiąc już o tych, którzy szkół nie skończyli i którzy, jak śmiecie, są zmiotani do kątów i zapiecków społecznego gmachu. Cóż więc dziwnego, że, wobec tej ciemnoty, nikomu nie przychodzi na myśl przyjrzeć się, poznać, ocenić i strzedz od zaniku i rozwijać jakąś szczególną odmianę rasy ludzkiej.

Kiedy małpy zaczęły ginąć na Gibraltarze, Anglicy, widząc, że tylko pięć magotów tańczy na skałach, najeżonych działami, sprowadzili z Afryki ten sam gatunek — dla podtrzymania rasy, ci sami jednak Anglicy przywiązywali setkami do armat i rozstrzeliwali na strzepy Indusów, chcących swoją rasę utrzymać w pełni życia i właściwych jej potrzeb rozwoju. Jest to potwornie rażący obraz nędzy i sprzeczności ludzkich stosunków, — na małą jednak skalę jest tak wszędzie.

Hodowla Czerwonego bydła jest popierana usilnie, wszelkimi sposobami przez społeczeństwo, ale gdzie kto słyszał, żeby ludzie zaopiekowali się rasą ludzi, żeby, uznawszy pewne jej przymioty za szczególnie dla zbiorowego bytu pożyteczne, starali się je utrzymać i zapewnić im możliwość najswobodniejszego rozwoju i najzupełniejszego przejawienia się w czynie. Dla ludzi są normalne warunki wychowawcze, tępa,

obmierza rutyna, odpowiedzialność i mus życia, jako jedyne pobudki czynu i narzędzia kształtujące duszę.

W Zakopanem bardziej zapewne, niż gdzieindziej, rzuca się w oczy i bardziej wydaje się boleśnym do tychczasowy sposób obchodzenia się z ludzkim materiałem rasowym, gdyż tu żyje się wśród rasy, obdarzonej wyjątkowymi przymiotami, stanowiącemi najdoskonalsze pierwiastki cywilizacyjnego rozwoju. Kopernicki, Le Bon, dr Olechnowicz przy pomocy antropologicznych badań stwierdzili szczególne tej rasy przymioty, życie codzienne ukazuje właściwości te w czynie, w zastosowaniu do zagadnień bytu. Jest to rasa, obdarzona takimi przymiotami intelektualnemi, które jej nadają cechy genialności, rasa dziś zdolna do przyjęcia o wiele wyższego typu stosunków społecznych i warunków życia, niż te, które przy dzisiejszym ustroju społeczeństwa i dzisiejszych pojęciach o zadaniach życia, dostępne są dla mas ludowych.

Jest to bardzo znamienne zjawiskiem, że pierwsi podróżnicy, którzy przyszli w Tatry, stwierdzają szczególną wykwintność towarzyską i bystrość umysłu tych górali, którzy byli nietknięci przez współczesną kulturę klas wyższych, którzy żyli ujęci w normy starego własnego obyczaju i form dawnej ludowej kultury polskiej, przechowanej, rozwiniętej i udoskonalonej przez nich. My wszyscy, którzyśmy tu zetknęli się ze starem pokoleniem górali, którzy jeszcze nie przeszli przez szkoły, przez wojsko, a niekiedy i przez kościół, zdumiewaliśmy się wytwornością obyczajową, pojemnością i lotnością inteligencji, szybkością pojmowania, zdolnością wnioskowania i świetnem formułowaniem myśli, — całym spletem najcenniejszych przymiotów umysłu i obyczaju.

Zatem był to ich własny dobytek rasowy i cywilizacyjny, nie zaś skutek oddziaływania »klas wyższych«, szkół, czy dyscypliny społecznego ustroju. Słowem, góral w tym stanie surowej rudy, nie przetopionej i nie przekutej, sam, jako rasa jest czemś bardzo cennem, jest istotą ludzką wyższego typu. Żyjąc tak blisko z nimi, pracując wspólnie, przyzwyczajając się do sprawności funkcjonowania ich umysłu, musi się człowiek w końcu bronić przed tem pogardliwym uczuciem, z jakim góral patrzy na L a c h a, na c e p r a, na człowieka d ó ł s k i e g o. Kiedy tu przyjdzie tłum biednych chłopów z dolin, w ciężkich buciskach, w strzępach starej miejskiej odzieży, wśród której z rzadka gdzie błyszczący jeszcze mosiężny guzik na granatowej kamizeli, pierwsze wrażenie, jakiego się doznaje, jest właśnie to pogardliwe uczucie, z jakim góral patrzy na c e p r a. Z punktu społecznego, ze stanowiska humanitarnego, uczucie to jest niesłuszne i niesprawiedliwe, gdyż ten robotnik z dolin, który tu w ciężkiej pracy buduje drogi, jest niemniej cennym i pożytecznym członkiem społeczeństwa, — jednak niższość jego wrodzonych władz psychicznych rzuca się w oczy każdemu, kto go porówna z góralem. Zapewne, ta ludność, która idzie tłuc kamienie, wszędzie składa się z jednostek mniej zdolnych, które na targowiska ludzkiej energii nic więcej nie przynoszą do sprzedania, prócz pracy swoich rąk, lecz ludzie tej kategorii z pomiędzy górali jeszcze są od c e p r a rasowo doskonalsi. Człowiek, przyzwyczajony do pojętności górala, do łatwości, z jaką się z nim porozumiewa, przy zetknięciu się z ludźmi d ó ł s k i m i ma wrażenie, że musi dźwigać jakieś ciężary, przewalać

z boku na bok wanty... Słowem, góralskie, wzgardliwe: Ceper i ceper! — przychodzi stale na myśl.

A jednak nieraz panowie, goście są wprost przeciwnego zdania, nie uświadamiając sobie, że jeżeli góral ich nie rozumie, to dlatego, że oni nie rozumieją górala, że obaj w stosunku do siebie są »głupi«. Miejski filister, pozbawiony całkowicie zdolności obrazowego myślenia i zdolności współczuwania życiu tak absolutnie różnemu od jego własnego życia, nie rozumie ani treści, ani formy góralskiego uzewnętrzniania się myśli, nie rozumie tej bogatej i subtelnej symboliki mowy, złożonej całej z porównań, przypowieści i obrazów. Nie rozumie go wprawdzie góral, ale i on, nie rozumiejąc górala, nie zdradza wcale tem bystrości umysłu i jeżeli odchodzi z przekonaniem o swojej wyższości — to z tem samym przekonaniem o sobie znowuż pozostaje góral. Jeden z gazdów, któremu obmierzała głupota panów, mówił raz: — No, wy to pojmiecie, boście chłop, — chceście pan, aleście chłop! stwierdzając tem wyższość absolutną chłopskiej mądrości.

Ścisłość obserwacji, łatwość zestawiania i porównywania zjawisk, trzeźwość, jasność i logika wnioskowania, subtelność i ścisłość formułowania pojęć, dokładność w użyciu wyrazów, ciągle przytem czujna rozważa, są znamienymi cechami umysłowości górala. Współczynnikami psycho-fizyologicznymi tej umysłowości są: nadzwyczajnej energii, dzielności i pobudliwości system nerwowy, wielka wrażliwość, silna, lecz lotna, krótkotrwała uczuciowość, która tylko w chwili ostatecznego napięcia afektu, do szaleństwa, niszczy kontrolującą czynność rozwagi.

Kiedy w czasie rozruchów antyżydowskich, dla do-

wiedzenia się, jaki jest pogląd górali na tę sprawę, spytałem znajomego gazdę: — Cóż Wojtku, będziecie bić żydów? — He! panie, odpowiedział, góral nie telo głupi, góral musiałby wpierw dobrze wiedzieć, co z tego będzie, zakiel by się bitki chycił. — Z tej rozwagi, z tego: — Bede pa-trzył, jako ta padnie, — z tego: — Jako inni, tako ja, — przy pewnych warunkach i wpływach wytwarza się pewna, bardzo ujemna społecznie, właściwość górali. Grzeczność powstała ze strachu, kiedyś, przy wytwarzaniu się najpierwotniejszych związków między ludźmi, powstała ze strachu i dziś jest nieraz przykryciem tchórzostwa, jeżeli nie jest dobrocią, rozmienną na zdawkową monetę. Góral grzecznym był jakby z natury, prowadziło to z jednej strony do uspołecznienia, do ułatwienia współżycia, lecz z drugiej strony, przy pewnych warunkach, prowadzi do braku cywilnej odwagi, do braku charakteru. Jeżeli polityka jest środkiem symulowania myśli, uczuć, chęci i celów, środkiem wykrętnego uchylania się od zdradzenia swoich istotnych zamiarów, jeżeli jest unikaniem jasnego i otwartego stawiania swego stosunku do innych ludzi, — w takim razie góral jest politykiem do ostatniego włókienka. Jest to przymiot obosieczny. W pewnych warunkach ta zdolność hamowania się, otamowywania afektu, ta roz-waga i ta możność bycia grzecznym: bądź co bądź, mogłyby się stać cennymi przymiotami w życiu społecznem, ale na to trzeba, żeby był czas i możność stopniowego przeobrażenia ludowej kultury obyczajowej, na tę formę inną, która nazywa się wyższą. Tego czasu jednak i tej możności nie ma i życie, wciągając górala w skomplikowany war stosunków społeczno-polity-

cznych, w którym się trudno zorientować, wychodząc z głębin archaicznych form kultury ludowej, życie, te cenne jego pierwiastki psychiczne przerabia na małoduszność, tchórzostwo, dwulicowość, prowadzące do ciężkich zawikłań przy wszelkich sprawach społecznych, których rozwiązanie zależne jest od charakteru jednostek. Góral, który swego zdania broni na zasadzie własnego przekonania, i który je wypowiada bez względu na nic i na nikogo — jest rzadkością. To, co było niegdyś ową podziwianą przez Staszica grzecznością, staje się tchórzliwym staraniem się, żeby nie wejść w kolidację z tym lub owym autorytetem. Wśród zawitych sprzeczności, w jakich go stawiają wymagania nowych, skomplikowanych stosunków, góral nie widzi często innej drogi, jak: — Jednego dnia przykłamać, drugiego zaś wyprościć, lub też wychodzi z tych kolizyj, przytakując wszystkim: — He! jakoz by miało inaczej być! Ta wytworna dawniejsza obyczajowość wyradza się zatem w małoduszną hipokryzyę, a jednocześnie obyczaje coraz bardziej grubieją i prostaczejają.

— Góral, mówił pewien starszy gazda, przynosi z wojska papierósa i psiakrew! — I to prawda. To »psia krew!« to tak pospolite w dólskich krajach lżenie się i poniewieranie się, które tu było rzadkością, coraz częściej rozlega się dziś na drogach Zakopanego. Młodsze pokolenie, im więcej ma stosunków ze światem, im bliżej się styka z »wyższą kulturą«, tembardziej traci tę wytworność obyczajową, którą podziwialiśmy u starych górali, których włosy ociekały jełkiem masłem, a życie sięgało głęboko w przeszłość czasów myśliwsko-zbójeckich.

Wskutek swoich umysłowych właściwości, górale mają doskonałą świadomość istoty swego temperamentu, i jasno zdają sobie sprawę z przyczyn swego postępowania. Dawniej, kiedy śniegu na drogach zakopiańskich nie przeorywał pług i jechało się w wąskim korytarzu, między dwoma ścianami zasp śnieżnych, co chwila natykało się na zczepione zaprzęgi góralskie, z których jedno wlokły drzewo w górę do papierni, inne wiozły siągi w dół z lasów. W wąskim rowie śnieżnym zaważdały się o siebie, rozdzierały łańcuchy, rozprówały ułożone na włókach sajty, lub zwały z gnatek długie smreki. Przy takiej okazji chłop z dolin klnie i pomstuje godzinami, psia krew! i inne gorsze przekleństwa sypią się z wściekłością, tymczasem górale grzecznie i uprzejmie pomagają sobie ułożyć drzewo, przyciągnąć postronki i łańcuchy i wydobyć się z zasp, sięgających wyżej brzucha koniom, w końcu, dają sobie ognia do fajek i powiedziawszy: — Z pane Boge! jadą każdy »ka mu trza«. Góral, z którym mówiłem o tem, rzekł: — Panie! my som jest naród naremny, kaby on mnie słowo powiedział, ja mu dwa, a naostatek ozwaliliby my sobie łby ciupagami — to ta na nic! — Otóż ta grzeczność, która się u nich objawia odruchowo, jest jeszcze świadomie stosowana, jak worek z piaskiem, neutralizujący zderzenie się dwóch statków i tam, gdzie ta świadomość normowała stosunki między równymi, nie prowadziła do poniżenia i upadku obyczajów. Ale wobec płynących tu z całego świata nędz i upodleń, będących powszechną i powszednią treścią bytu na »wyższym zagonie«, ta rozważna i świadoma grzeczność kryje w sobie brak cywilnej odwagi i charakteru. W tym

więc kierunku »wyższa cywilizacja« nie przyniosła nic dobrego, nie zaopiekowała się góralską rasą, nie rozwinęła i nie uspołeczniła jej przymiotów, lecz przeciwnie wypaczyła je i zmarnowała. I nie może być inaczej tam, gdzie skutek haniebnego sposobu wychowania, brak charakteru, brak odwagi, brak zasad jest znamioną cechą społeczeństwa, przemykającego się po zajętych przesmykach »taktycznych« sposobików.

[Ludzie, którzy tu przychodzą z innych stron Polski, są przekonania, że góral jest leniwy, że nie umie pracować i nie chce. Jest to zdanie całkiem fałszywe. Góral umie być potwornie pracowitym, ale on pracuje na swój sposób. On nie może pracować, jak maszyna równomiernie, automatycznie, bez wkładania w pracę swego usposobienia, podniecenia lub depresji psychicznej. On jeszcze pracuje jak człowiek wolny, który nie przywykł odrabiać dnia roboczego dla kogoś, z uczuciem niewolniczego przymusu, który robi z pracy mękę i nudę, wleczoną apatycznie.

Góral, albo pracuje z pasyą, albo kurzy fajkę — taki jest jego temperament. Kto więc przyzwyczaił się do robotnika, który przeszedł niewolniczą pracę na roli lub w fabryce, kto nadewszystko przywykł do innego temperamentu ludzkiego, naprzykład do niemieckiego, ten ma złudzenie, że góralowi nie chce się pracować, że on jest próżniak, »wałkoń«, leń i tak dalej — ale to nie prawda. Góral pracuje chętnie, pracuje z zapałem, ale musi lubić dany rodzaj pracy, musi rozumieć jej cel i pożytek. Nie lęka się on i nie leni podjąć olbrzymiego trudu, który dla kogo innego wydaje się bezsensownym wobec nikłości jego skutków, jeżeli on, góral ten skutek rozumie i ceni. Trzeba przyjrzeć się góra-

lowi, »korcującemu« kawał pola, gdzieś na nowinie. Kamień na kamieniu — na kamieniu kamień! Całymi dniami, od świtu do ciemnego wieczoru, widać miotającego się z zażartą gwałtownością człowieka. Żelazny drąg, wbijany gwałtownie w ziemię, wyważa jedne za drugimi warstwy kamieni — i tylko kamieni. Nic to! Człowiek miota się z zaciekłością, prując rude mchy i kępy mrzygłodu i na ciemną ich powierzchnię wywalając warstwę jasnych kamieni. Przed zimą, ogromny płat ziemi wygląda, jak zrujnowany bruk na miejskim placu. Nigdzie zdziebełka trawy, ani grudki urodzajnej ziemi — nic, tylko rumowisko lodowców, martwe i bezpłodne. Ale niepokonany optymizm twórczej natury, żywiołowa pasja do ziemi i pewność, że bądź co bądź, choć cal ziemi znajdzie się pod temi żabicami, ani na chwilę nie opuszcza górala. Zwała on te głązy na kupy, zsypuje w »skalane miedze« i czeka zimy, wtenczas wywozi, — z wczesną wiosną, potargawszy ziemię motyką, sieje owies, na następny rok grule — zwyciężył, zwyciężył swoim niepomiernym wściekłym trudem i niepomowaną wiarą w to, że »ziemecka święta choć kielo telo zarodzi«.

Tak pracuje człowiek, — tylko wół dźwiga jarzmo obojętnie, przeżuwając dalej sieczkę i natężając się proporcjonalnie do energii bata.)

I tak jest zawsze i wszędzie tam, gdzie góral pracuje ze świadomością celu swojej pracy, lub w sferze takich zagadnień, które od prawieków były związane z jego bytem. Praca w lesie i wogóle około drzewa idzie gładko i wartko, wydając w krótkim czasie ogromny rezultat. Z wiosną, oranie, sianie, skrudlenie, siekanie skib odbywa się z namiętną gwałtownością. Goni

górala jego własny temperament i ta wiosna tak krótka i to lato, które ledwo błysnie, już gaśnie. Wogóle, cała praca na roli odbywa się tu pod grozą klimatu, który też ma temperament zmienny i gwałtowny i zmusza do tej gorączkowej, w ciągłym podnieceniu nerwów czynności. Ciarapara, któryby spokojnie, pomału, równomiernie chciał tu uprawiać swoje pólka — zginąłby. Jego grule zostałyby w zmarzłej ziemi, jego owies pod śniegiem, a siano zgniłoby na pokosach. Temperament górala, ten system nerwowy, naładowujący się energią w sposób gwałtowny i wyładowujący ją z równą gwałtownością, kierowaną stale przez niezmaconą rozwagę, temperament ten, jest w sposób cudowny przystosowany do zewnętrznych warunków istnienia w tym kraju. Umieć, kiedy potrzeba, wydobyć z siebie olbrzymią energię, wytrzymałość i szybkość czynu, — zrobić w krótkim czasie to, co przy innym temperamencie wymagałoby długiego czasu i większej ilości rąk, — oto na czym polega sposób pracowania górali; dodać jeszcze trzeba, że ta gwałtowna praca odbywa się przy bardzo lichej i nieobfitej strawie, którąby inny robotnik nie zadowolnił się wcale. Skoro robota ukończona, lub energia wyczerpana, zapalić fajkę, lub dać wypocząć nerwom w jakiejś hulance, choćby się czasem przewlekła zbyt długo — taką jest psychologia ich czynu.

Kto miał sposobność pracować z góralami, na przykład przy budowie, ten wie dobrze, jak nierównomierną jest wydajność ich pracy. Niekiedy na budowlanym placu drzemie senność i nuda, siekiery uderzają rzadka, w długich przerwach, szczapy z płaz okrzesywanych odwalają się pomału, wlokąc się za siekierą,

ludzie ruszają się wolno i niemrawo, — innym razem, zdaleka już słyhać huk siekier szybki i gwałtowny, jakgdyby wartko młócono, drzazgi lecą z trzaskiem, a cały zrab budowy dudni dźwięcznie i wesoło od uderzeń siekier i kijani. I ta gwałtowna szybka robota jest zawsze zręczna, rozważna, celowa i rozumna. Pomyłki zdarzają się rzadko, czas i materiał nie marnuje się na poprawianie tego, co popsuka nierozwaga, nieudolność lub gapiostwo. Zresztą, jak górale umieją pracować, wiedzą dobrze ci, co ich biorą do košby, wiedzą kopalnie amerykańskie, do których góral idzie po »dudki«. Górale znają świadomość swego temperamentu i niechętnie pracują do spółki z cepami, lachami, robotnikami z dolin, którzy tu przychodzą do robót ziemnych, a którzy pracują równomierniej zapewne od górala, lecz też tak dalece powolniej, że on ciągle czuje, iż robi więcej niż jego towarzysz. Jest to stosunek taki, jak stosunek ognistego konia, zaprzężonego do jednego dyszla z krową...

Rzecz oczywista, że, gdyby temu temperamentowi nie towarzyszyły przy pracy zręczność, inteligencja, rozwaga, celność oka i sprawność ręki, praca ta wydałaby lichy i bezładny rezultat. Ale nad rozmachem ręki górala panują właśnie te przymioty i dzięki nim, góral, budując bez rusztowań, uczepiony gdzieś końcem kierpca na zrębie, swoją siekierą manewruje tak, jakgdyby miał kilka różnych narzędzi pod ręką. Ociosuje nią płazy do kantu, wydłubuje skomplikowaną więźbę podwójnego węgla, wycina cyfry i krzyżyki niespodziane, struże teble, fazuje tragarze i sosręby, — wogóle, posługuje się nią tak, jakgdyby ona była zrosnięta z jego zgrabną ręką. Drzewo wychodzi z pod

tej jego ręki ociosane czysto i gładko i takim pozostaje do końca budowy. Chociaż przez te odrzwia rzeźbione i fazowane wnoszą się na drogach olbrzymie bale, chociaż przez nie, przez pół roku, wchodzi i wychodzi codzień kilkunastu albo kilkudziesięciu ludzi, nie ma na nich rysy, niema obłamanych kantów, dziur i okaleczeń. Na placu budowlanym nie słychać nigdy klątw, złorzeczeń, pomstowań, poniewierania się; nie widać zamieszania, bezcelowego miotania się, bezsensownej bieganiny. Widząc i podziwiając tę sprawność, ład i sens przy budowie wielkiego domu, któryś z architektów przypuszczał, że robota ta prowadzi się przy pomocy szczegółowych planów, przekrojów itd. — tak jednak nie jest. Wprawdzie, budując w stylu zakopiańskim, są oni u siebie w domu i nie potrzebują o nic nikogo pytać, jednak między chałupą o dwóch izbach, a piętrowym domem o kilkunastu pokojach jest taka różnica, że mniej inteligentny robotnik nie dałby sobie z tem rady — oni dają. Budują największe domy według szkiców na kratkowanym papierze o skali 5 mm. na metr, bez żadnych przekrojów i szczegółowych rysunków, — radząc się czasem, lecz pojmując w lot lada uwagę. I nie są to jacyś specjaliści, którzy tylko to robią, nie, są to ci zwyczajni chłopci od pługa, motyki, gnoju i rąbanicy. Słowem, jest to robotnik wyższego typu, mający najdoskonalsze przymioty ludzkiej maszyny, robotnik o rasowych przymiotach, które go czynią podobnym do Japończyka.

Takim był góral w chwili, kiedy tu przyszła »wyższa cywilizacya«, a z nią praca pospolita, niewolnicza, pośpiech, więc potrzeba tandety, nadmierne rozbudzenie chęci zarobku, więc praca, która nie cieszyła sama

przez się, lecz przez pieniądze, które dawała, — i oto góral, jako pracownik się psuje. Góral, ze swemi rasowymi przymiotami temperamentu, władającego sprawną i zręczną organizacją ciała, pracował w warunkach własnej obyczajowej kultury, zgodnie z jej społecznymi pierwiastkami. Jego własna natura i życie zewnętrzne stanowiły jedność, trzymały się odwiecznym przystosowaniem się. Praca była zawsze miłą, była w związku z potrzebą duszy i praca ta była doskonałą, ponieważ wykonywała się z dobrej woli, z tej radości, z jaką się odczuwa zużywanie nadmiernej energii z wyraźnym i upragnionym skutkiem, w pracy też tej pierwiastki społeczne tkwiły samą logiką wymagań życia. Nie może źle budować, licho i niedbale orać, siał, kosić ten, dla którego te zajęcia są rozkoszą. Ale przychodzi życie nowe, to życie ze świata, ze swojemi brutalnemi normami, ze swoją niecierpliwością w zaspakajaniu potrzeb, ze swojemi formami stosunków i rzeczy, które są inne, które nie są zrosnięte ani z myślą ani z ręką górala, — i tu następuje zachwianie ludowej kultury, zachwianie jedności między rasowemi i społecznymi przymiotami górali. Temperament pozostał, zręczność pozostała, ale społeczne przymioty również konieczne, żeby rezultat ludzkiego trudu był doskonały — giną. Rasą ludzką nikt się nie zajmuje, nikt jej nie wychowuje, a chociaż tu byli i są tacy, którzy rasowe przymioty górali ocenili i starali się je rozwijać i stopić z naprawdę wyższemi wymaganiami społecznymi — było ich zbyt mało, żeby mogli przeciwdziałać wpływom życia normalnego.

To życie normalne, ze wszystkimi swemi nędzami wkroczyło tu i, w poprzek łożyska, którem płynęła lu-

dowa kultura, rozkopało przepaścisty rów, w który ona wpada i wypływa zmacona już, zbrudzona, niosąc w sobie wszystkie te ujemne pierwiastki, które są znamienami cechami obecnego stanu społecznych stosunków.

Z chwilą, w której Zakopane i Tatry zostały odkryte, życie ze świata zaczęło ku nim płynąć, żłobiąc, na razie z trudem, drogi dostępu i warunki bytu, a wdzierając się coraz gwałtowniej usunęło w końcu wszelkie przeszkody i wwało się w podhalskie doliny, ogarniając je swemi pospolitemi i normalnymi formami, lecz przynosząc zarazem i to, co jest rzadsze, wyższe, wznioślejsze. To życie dólskie uderzyło się tu o dwa zjawiska szczególne, odróżniające się wybitnie od podobnych zjawisk poza Tatrami — uderzyło się o lud i o naturę.

Ludzie, którzy przybyli tu z płowych pobraży Bałtyku, z równin Mazowsza, z lesistych wzgóży Litwy, z zapadłej kotliny pińskich bagien, ze stepowych kresów Ukrainy i jarów Podola stanęli wobec całkiem innego świata. Oczy ich i myśl uderzyły się o ścianę Tatr, o rasę ludzką i o formy kultury, które od pierwszego spojrzenia uderzały odrębnością i które przy dłuższem zżyciu się odkrywały coraz głębsze i cenniejsze pierwiastki życia. Ziemia, niebo, woda, roślinność, zwierzęta, — ludzie, ich pozór, ich życie, wszystko to, jak się przedstawiało w sposób szczególny na zewnątrz, tak w głębszych swych przejawach, na tle ogólnych praw życia, objawiało nieraz krańcowe przeciwieństwa z życiem dólskiem. Zetknięcie się tych dwóch światów, ich wzajemne oddziaływanie, jego skutek dla życia jednostkowego i życia zbiorowego to ciekawa, czasem

jasna, a niekiedy bardzo ciemna karta historii społecznego życia.

To życie dólskie, które ogarnęło Zakopane, zapieśniło się około wyspy ludowego bytu i stara się ogarnąć pustacie Tatr, przynosiło tu z początku więcej, niż gdzieindziej, swoich pierwiastków lepszych, wznioślejszych, wyższych, z czasem jednak przeważyło to, co jest pospolitsze — normalniejsze.

Temi normalnemi właściwościami życia, które jednak były czemś bardzo nowem w Zakopanem i wywołały przewrót w warunkach życia i w ludzkich stosunkach, są: — kolej żelazna, policya, spekulacya, konkurencyja, bankructwa, stacya klimatyczna, drogi i chodniki, hotele i pensyonaty, ogromne ceny ziemi, 10.000 przejezdnych, 2,000.000 złr. obrotu, latarnie na ulicach, brudy po zaułkach, sklepy z francuskimi szyldami, Chrześcijańskie i katolickie piekarnie, serdaki, jatki, pieprz sprzedawany pod Matką Boską i również Chrześcijańskie szynki i karczmy... Koncerty, odczyty, teatry, bale, afisze, plakaty, kurz, którego tu dawniej nie było, tajne nory szulerskie, nędza wszelkich odmian i cepry, cepry, cepry, którzy przynieśli tu całą skomplikowaną machinę życia wielkich ludzkich skupień i cały warchoł egoizmów, żrących się na tej nowinie społecznej, egoizmów, które do zrównoważenia doprowadza brutalny strychulec życia, podcinając jedne, zaspakajając inne i stawiając ponad zasługę i wartość — powodzenie.

To, od czego ludzie uciekali w Tatry, od czego uciekają w Alpy i Himalaje, przyszło tu za nimi, jako fatalna konieczność ich życia. Co przed kilkunastu jeszcze laty było małym tylko dodatkiem do życia przy-

byszów w górach, jakby resztką, przypadkiem w kufunku zabłąkanych potrzeb i nawyków, teraz stało się dominującą cechą Zakopanego. Dawniej, gość był to pan, którego widziało się, albo idącego rano z przewodnikiem w góry, albo wracającego wieczorem z gór. Dzisiaj, smuje się po Zakopanem zbity tłum, który w części jeździ i chodzi w góry, ale którego nadmiar znajduje mnóstwo interesów w obrębie samego miasteczka. Tłum ten bawi się tu, w ten lub ów sposób — bawi się i uczy dla własnej zabawy i nauki, lub na pożytek bliźnich — przez miłosierdzie.

Tatry są po dawnemu, stoją z całą potęgą swego ogromu i całym czarem swego piękna, ale ludzie mają już poza nimi mnóstwo potrzeb, radości i przyjemności, od teatru — do winta... Słowem, wtargnięcie tu życia normalnego oznacza wtargnięcie i zalew popoliłości stosunków i obyczajów, na tle którego błyskają gdzieindziej iskierki niezwykłych przejawów ludzkiej myśli i czynu.

Zakopane stało się czemś tak koniecznym w życiu naszego społeczeństwa, że wszystkie drogi, któremi ono płynie, krzyżują się na tym przesmyku. Z bliska i z daleka przychodzą tu ludzie, gnani najrozmaitszemi przyczynami. Gdziekolwiek wypadki rzucą Polaka, jakimkolwiek środkami wydostanie się on z matni życia, napewno przyjedzie do Zakopanego. Z nad tundr Leny, z puszczy Parany, z Dalekiego Wschodu czy Zachodu, wracający do kraju wędrowiec przedewszystkiem zawadza o Zakopane. Jest ono miejscem, w którym poznaje się w ciągu kilku miesięcy więcej ludzi, niż gdzieindziej, w któremkolwiek z wielkich miast, w ciągu dziesiątków lat. Poznaje się ludzi wszystkich sfer, wszel-

kich uzdolnień, losów i nie masz w Polsce lepszego miejsca do obserwacji nad społeczeństwem, do poznania wszystkich jego składowych pierwiastków, do ocenienia wartości materiału ludzkiego, do poznania będących w obiegu idei, uczuć i czynów. Wskutek tego powszechnego ciężenia ku Tatom, Zakopane staje się czynnikiem społecznym pierwszorzędного znaczenia, a świadomość tego faktu wywołuje dążność do zakładania tu najróżnorodniejszych ognisk umysłowego ruchu. Wszystko, co się gdziekolwiek w Polsce dzieje, odbija się w Zakopanem. Echa zatargów myślowych, odgłosy burz politycznych, walk społecznych, czynów jednostkowych i drgnień tłumów, wszystko to się załamuje w tem ruchliwym mrowiu ludzkim, które na parę miesięcy zwala się pod Tatry. Gdyby kto zadał sobie trud zbierania afiszów, plakat, ogłoszeń, które tu codzień pstrąfałą jaskrawych plam zalewają ściany domów, bramy, płoty, pnie smreków i specjalnie w tym celu ustawione tablice, wyczytałby w nich historję wszystkich przejawów polskiego życia, we wszystkich sferach ludzkiej działalności.

Wszyscy ci ludzie ze świata przychodzą tu po coś i coś z siebie zostawiają, — coś biorą z tej tatrzańskiej sfery życia i coś jej dają z siebie. Nie wszystko to, co oni tu przynoszą, dostaje się do ludu, nie wszystko może oddziaływać bezpośrednio na jego życie, — za wielkie są różnice między prądami myśli, za wielkie sprzeczności między formami życia tych sfer społecznych. Lecz bezpośrednio, czy pośrednio, przez samo zetknięcie się dwóch sprzeczności, wszystko to na byt ludu oddziaływało radykalnie, — niemniej ta sfera ludowa na swój sposób oddziaływała na przybyszów. Tatry i Za-

kopane w historii cywilizacji polskiej mają swoje wybitne miejsce.

Kiedy Władysław Matlakowski wydał swoje *Budownictwo ludowe na Podhalu*, jeden z najwybitniejszych publicystów polskich pisał: »Zakopane leczy zapewne choroby płucne, napędza jednak w zamian chorób umysłowych«, — czego dowodem miała być właśnie i praca Matlakowskiego i cześć dla sztuki ludowej i cała idea jej rozwoju. Życie, w bardzo krótkim czasie, odpowiedziało w sposób bezwzględny na ten smutny żart, dobywając ze sztuki ludowej samodzielny i oryginalny styl w budownictwie i zdobnictwie i prowadząc do dalszych głębokich i znamiennych objawów w polskiej umysłowości.

Choroby płucne, które tu przywiodły pewną garść ludzi po zdrowie, odegrały w polskiej cywilizacji rolę opatrznosciowego czynnika.

Szczęśliwa ręka, która z mroku chałupy wyniosła na blask słońca i myśli pierwszy łyżnik, zanieciała iskierkę, z której, jak mówią górale, »ospaliła się wielga watra«, której promienie sięgają do najdalszych zakątków Polski.

Jednym z najrzadszych przejawów siły twórczej jest geniusz architektury. Na palcach możemy zliczyć style architektoniczne, będące nie kompilacją już byłych i zużytych pierwiastków sztuki, lecz będące istotnie, same przez się, światem form oryginalnych. Właściwie, od Gotyku był tylko jeden styl na tyle silny i oryginalny, że i to, co w nim tkwiło z innych pierwiastków, zostało z potęgą zgięte i nałamane, do jego własnej istoty — to *Rococo*. Poza tem wszystko jest kompilacją tych lub owych pierwiastków oryginalnych,

kompilacją nieraz potężną, tworzoną przez geniuszy — niemniej kompilacją. Zmysł historyczny i eklektyzm XIX wieku wyraziły się w architekturze przeważnie powtarzaniem tego, co już było i restaurowaniem tego, co z dawnych epok pozostało. Poza nielicznymi wyjątkami samodzielniejszej twórczości, jedyną i potężną zdobyczą nowych czasów jest architektura żelazna, która jednak, rozwiązawszy wszystkie zagadnienia konstrukcyjne, wynikające ze swego materiału, nie stopiła ich dostatecznie z oryginalnymi formami zdobniczymi, nie rozwiązała całkowicie idei architektury — łączności pierwiastków piękna i konstrukcyi.

Wielcy wskrzesiciele ducha sztuki nowych czasów Ruskin i Morris wyszli z Gotyku, wogóle ze średnio-wieczna, a chociaż Morris wprowadził potem ogromną moc pierwiastków zdobniczych, wytworzonych z żywych form świata roślinnego, — w architekturze jednak nie zdobył się na wytworzenie form oryginalnych. Ruch ten jednakże, raz rozpoczęty, szedł dalej coraz się rozszerzając i pogłębiając, obejmując umysły i poza Anglią i w końcu doprowadził do przejawienia się oryginalnej myśli w architekturze, która pod nazwą stylu Secesy jest w tej chwili w pełni rozwoju. Tym sposobem wiek XIX, który przeżył na nowo wszystkie dawne epoki architektury, zanim się skończył, zdołał bądź co bądź wytworzyć oryginalne formy architektoniczne, nadzwyczaj podatne do przeobrażania się rozwojowego, których dalszy rozrost i wzmaganie się zależne już jest tylko od tego, czy się zjawią czy nie potężne talenty i wielkie indywidualności, które zechcą się temi formami posługiwać.

Lecz style historyczne obejmowały wszędzie

tylko życie pewnych warstw społecznych, nie wpływając wcale, lub w słabym tylko stopniu wpływając, na charakter form zdobniczych w wielkich masach ludowych, które, jak były, wskutek ustroju społecznego, usunięte od czynnego udziału w życiu historycznym, tak samo były zamknięte w pewnych zacieśnionych granicach swojej, często bardzo starożytnej i pierwotnej kultury.

Pan i chłop, w miarę, jak ustrój społeczny coraz bardziej ich różnił w prawach i obowiązkach, coraz bardziej też oddalali się od siebie pod względem kultury, aż w końcu nie zostało między nimi żadnych wspólnych form bytu. Ostateczny rozdział dróg kultury ludowej i pańskiej rozpoczął się u nas, zapewne w epoce Kazimierzowskiej, epoce przebudowywania Polski drewnianej — na murowaną. Klasy wyższe: szlachta — panowie rolni i mieszczenie — panowie handlowi, przyjąwszy kulturę murowaną, poszli za ogólnoeuropejską cywilizacją, przyjmując wszystkie, występujące w niej kolejno, z biegiem czasu, formy, klasa niższa — lud, pozostał przy starej kulturze drzewnej, która nie pozostała bez pewnego odbicia wpływów kultury »wyższego zagonu«, niemniej w zasadniczych swoich pierwiastkach, w istocie swojej dotrwała do naszych czasów i pod wpływem szczęśliwych zdarzeń odrodziła się, wydając szczególne i żywotne formy sztuki i bardzo znamienne skutki społeczne.

Nad przepaścią, która przed wiekami otwarła się między »niższymi i wyższymi« warstwami, wznosi się budowa, która napowrót obejmuje cały naród jednym dachem, — jedną kulturą. To, o czym marzył Ruskin, co starał się urzeczywistnić Morris, tu się stało: biedny

i bogaty zbliżają się do siebie w sferze wyższych potrzeb duszy, w sferze sztuki, — nad chałupą i nad pałacem wznosi się jednaki szczyt, z którego sterczy w niebo, jak kwiat z wierzchołka góry — pazdur. Nie wyprowadzając stąd zbyt dalekich i zbyt optymistycznych wniosków dla rozwoju stosunków społecznych, trzeba jednak przyznać, że taki wynik odrodzenia się dawnej kultury ma ogromne dodatnie znaczenie, dla życia narodowego.

To, co się stało w Zakopanem, jest z jednej strony ocaleniem od zagłady bardzo cennych pierwiastków starej polskiej kultury, z drugiej zaś jej odrodzeniem. Formy tej kultury, wskutek gwałtownych zmian, jakie zachodziły w życiu ludu, ginęły przez podstawianie się na ich miejsce form obcych a przystosowanych do skomplikowanych wymagań nowoczesnego życia klas bogatszych. Zamiast przerabiać chatę chłopską na wygodny dom murowany, a dalej na zbyt krowy pałac lub kościół, zamiast przeobrażać konstrukcyjne i zdobnicze pierwiastki drzewnego budownictwa na składowe części budownictwa kamiennego i żelaznego, — wnoszono po prostu gotowe, gdzieindziej przyjęte już pierwiastki więźby i piękna, nietylko utrzymując nadal siebie w zużytej skorupie cudzoziemskiej, ale narzucając ją ludowi, zmuszając go swojemi wymaganiami i autorytetem do porzucania jego prastarej polskiej kultury. Szła też ona w ogień, na łom. Potężne, odwieczne, bogate sosręby heblowano, aby zrobić z nich pospolity kawałek drzewa w boku jakiejś pospolitej budowy, stare łyżniki rzucono w ogień, zaczynano się wstydzić tego dzia d o s t w a... Te stare zabytki zostały ocalone od zagłady. Lecz nie pozostały one jedynie martwemi pamiątkami w szafach

muzealnych, skorupami i konchami, wyrzuconemi na pusty brzeg przez fale czasu, przeciwnie, stały się one źródłem żywej myśli i czynu. Było to nie tylko ocalenie od zniszczenia, było to odrodzenie tej siły życia, która je przed wiekami wytworzyła. Przez szczęśliwy zbieg okoliczności, w przełomowej chwili istnienia tej ludowej kultury, znaleźli się ludzie, którzy spełnili względem niej wszystko to, co ją mogło ocalić i na nowo powołać do życia, do rozwoju. Jedni zabytki jej z pietyzmem i czcią gromadzili, inni badali ją teoretycznie, a inni znów tworzyli z jej materiału, przystosowując jej formy do nowoczesnych i bardziej złożonych wymagań życia. Z jednej strony, kultura ta ogarnia życie klas wyższych, stawiając wszędzie, po całej Polsce, wielkie i okazałe domy i nadając sprzętom swoje formy zdobnicze, — z drugiej zaś, wraca ona napowrót do ludu, już z temi wyższemi formami rozwojowemi i na całym Podhalu widać w budynkach, stawianych przez lud ten, przyrost i rozrost tego, co już było na krok od zguby.

To budownictwo i zdobnictwo, które, na razie, zdawały się jedynie cechą Podhala, z czasem, przy głębszych poszukiwaniach, okazały się powszechnem w całej Polsce zjawiskiem. U ludu podhalskiego były one jeszcze żywymi pierwiastkami bytu, gdzieindziej dotrwały jako zabytki, świadczące o powszechności niegdyś, na obszarach Polski, tych form artystycznych. I nie tylko w Polsce, na Rusi, w starych cerkiewkach i chatach, istnieją te same pierwiastki konstrukcyjne i zdobnicze, które również znalazły się na sprzętach żmudzkich. Idea samodzielnego stylu polskiego w budownictwie zyskała, tym sposobem, jeszcze silniejszą podstawę, a zarazem historia ciekawe i znamienne świadectwo wspól-

ności cywilizacyjnej ludów, zamieszkujących obszary dawnej Rzeczypospolitej.

Idea stworzenia stylu polskiego nie powstała, jako czysto myślowa koncepcja, jako wniosek, wyprowadzony z historii lub psychologii sztuki, ani też, jako wynik indywidualnej twórczości, która z siebie wylała całkiem oryginalne nowe formy. Powstała ona z życia, z zetknięcia się myśli twórczej z gotową, żywą formą, którą trzeba było tylko, jak kwiat więdnący, podlać i wynieść na słońce. Dlatego też idea ta rozwinęła się tak szybko i stała się tak płodną w następstwa. Nie była ona egzotyczną rośliną, dla której trzeba było tworzyć sztuczne warunki klimatu i gleby, — była wytworem tej ziemi, tych ludzi, którym i nadal została powołaną służyć. Dzięki zaś temu, że ruch ten powstał w Zakopanem, które było jeszcze zapadłą wioską, bez żadnych autorytetów, mogących zwalczać tę ideę w imię stylów historycznych, — ruch ten rozwinął się i skrzepił, zanim powstała jakaś silniejsza teoretyczna opozycja. Wobec zaś dokonanego faktu, spory nie miały już potem znaczenia i wpływu. Z drugiej strony to, że Zakopane jest węzłem dróg, przez który przechodzi cała Polska, niezmiernie ułatwiło rozlew tej idei. Ludzie, którzy tu przychodzili, zarażali się nią po prostu, będąc, zresztą, tutaj szczególnie dobrze do jej przyjęcia psychicznie usposobieni.

Lecz najpomysłniejszy warunek rozwoju tej myśli tkwił w tem, że w Zakopanem była na miejscu gotowa i żywa forma i był na miejscu żywy jej twórca — góral, z jego świetną inteligencją, artyzmem, lotnością pojmowania i szybkością działania. Gdyby nie to, nie poszłoby tak łatwo z wcieleniem i rozwojem tej idei.

Dzięki zaś temu, w pięć — sześć lat, od pierwszego drgnienia tej myśli, wszystkie zasadnicze próby zostały już dokonane, sprawa stała się jasną, pewną, opartą na niezbitych zasadach, pełną niepokonanego życia i nieprzepartej zdolności przekonywania. W tym więc wypadku, górale i przybysze z dolin współdziałali harmonijnie nad rozwojem cennego, dla jednych i drugich, pierwiastku życia. To, co ludzie dółscy wzięli od ludu, oddali mu niezniszczone, niesponiewierane, lecz przeciwnie rozwinięte, wzbogacone i silne.

Krótką historia Zakopiańskiego Stylu jest nadzwyczaj pouczająca. Daje ona możliwość dokładnego poznania, w jaki sposób powstają i rozwijają się wśród społeczeństwa nowe prądy umysłowe; tkwią w niej zastanawiające i bardzo piękne zjawiska ruchu społecznego i artystycznego, a zarazem weszło w nią tyle życia osobistego... Historia ta jest jeszcze żywa i dlatego nikt jej nie pisze, czekając aż wieki przejdą ponad nią i można będzie z okrucichów i strzępów budować, nigdy nie dość pewnie uzasadnione, hipotezy: kto, kiedy, dla kogo i dla czego wszystko to czynił... Taka już jest konieczność ludzkiego życia.

Nie wszystko, co zamierzali pierwsi tej idei krzewiciele, spełniło się. Nie dało się przeprowadzić jej konsekwentnie w kościele; nie dało się też urzeczywistnić myśli ogarnięcia tym stylem wszelkich, powstających na obszarze Podhala budowli publicznych. Chcieliśmy, żeby podróżny, wsiadający do zakopiańskiego pociągu w Chabówce, odrazu wjeżdżał w kraj, napiętnowany tym charakterem form budowniczych, chcieliśmy zbudować dworce kolejowe w zakopiańskim stylu. W zasadzie, tak zwane tu »czynniki miarodajne«, to jest urzę-

dnicy godzili się na to, lecz w rzeczywistości przeważyły wzory normalne tak, jak wogóle w życiu przeważa to, co jest normalne, pospolite, szablonowe i tańsze. Tym sposobem, gdzieś na Litwie stoi samotna stacyjka zakopiańska i nad żwirowatemi pagórkami, nad czarnemi rojstami wznosi się szczyt, zakończony pazdurem, — a przez Podhale jedzie się, patrząc na normalne, powszechno-austryackie ściany i dachy.

Rozwój idei Zakopiańskiego Stylu zagarnął tak szerokie kręgi życia, że wciska się on wszędzie tam, gdzie tylko jest coś do ozdobienia. Góral, mieszkając w tak ozdobnej chacie, mając wszystkie sprzęty pokryte ornamentem, nosi też te ozdoby na sobie — na swoim ubraniu, można też bez przesady powiedzieć, że góral wszedł do cywilizacji polskiej cały — od kapelusza do kierpców. Od budowli, do sprzętów, ubrań, naczyń, biżuterii wszystko dziś nosi piętno Tatr, piętno zakopiańskiego pochodzenia.

Zdarzają się przytem bardzo zabawne kombinacje pojęciowe. Sabala, którego guńka odznaczała się nadzwyczajną prostotą, o której on mawiał, że »zakiel baba uwarzy śniadanie« guńka już była uszyta, ten Sabala, który miał więcej wspólnego z orłami, rysiami i niedźwiedziami, niż z »babami« — Sabala nadał swoje imię, naturalnie nie wiedząc o tem, kobiecym ozdobnym stanikom — S a b a ł ó w k o m...

To przekształcenie się sztuki ludowej, na sztukę całego społeczeństwa, doprowadziło również do zmiany jej stanowiska w dziedzinie zagadnień naukowych. Lud, z całą swoją kulturą objęty był dotąd zakresem etnografii, która badała go, jako coś całkiem odrębnego od ogólnej cywilizacji, coś, co jakby stanowiło odrębny od

reszty społeczeństwa świat etniczny, niezwiązany z niem żywymi sprawami bytu. Tym sposobem historia sztuki patrzyła na sztukę ludową, jako na przeżytek pierwotnej kultury i nie wciągała jej do inwentarza historii sztuki w Polsce, tak, jak estetyka i krytyka artystyczna nie zajmowały się wcale jej istnieniem. Dziś wszystko to się zmieniło. Zjazd historyczny postawił zasadę, że sztuka ludowa jest nieodłączną częścią polskiej kultury i powinna być objętą badaniami nad jej historią; — dla estetyki zaś i krytyki sztuka ludowa stała się zagadnieniem tak żywotnym, jak wszelkie inne przejawy artyzmu.

Oto, co dał lud podhalski — polskiemu narodowi.

Dalsze losy tej idei, dalszy jej rozwój zależny dziś jest tylko od tego, czy się zjawia jacyś genialni architekci, artyści, którzy ją doprowadzą do najwyższego, do jakiego ona jest zdolna, rozkwitu, gdyż wartość ludzkich dzieł jest zależną ściśle od wartości dusz ludzi, którzy je tworzą — jaki człowiek, taki czyn.

Lud podhalski miał jeszcze jeden skarb, jeszcze jeden środek uzewnętrzniania duszy, który ma również znamienne cechy starej polskiej kultury i te same przymioty wielkiego artyzmu — to jego gwara. Stosunek, jaki zachodził między sztuką »wyższego zagonu« i jej historią — a sztuką ludową, zachodził też między literaturą, językoznawstwem, a literaturą i mową ludową. Badano tę literaturę ustną, jako źródło rozmaitych wierzeń, podań, jako skład pierwotnych pojęć, przeżytek umysłowych, badano też mowę ludową, jako zagadnienie czysto filologiczne, — ale artyzm ludowej literatury, artyzm ludowej mowy nie był brany wcale w rachubę. Zapisywano opowiadania, bajki, przysłowia i przypowieści tak, jakgdyby

je opowiadał nie człowiek z określoną osobowością, lecz istota całkiem jej pozbawiona, której dusza nie ma indywidualnego życia, lecz jest jedynie częstką stada jednakich istot. Tu, w Zakopanem stało się inaczej, tu, na pierwszy plan wystąpiła ta doskonałość mowy, jako wyrazu indywidualnej duszy, czyli jej wartość artystyczno-literacka. Gwara podhalska, sama przez się, przez swoje formy archaiczne, przez bogactwo wyrazów już tak interesująca, była narzędziem, którem posługiwał się lud o wielkiej inteligencji, siedzący na ziemi i żyjący w warunkach szczególnie usposabiających do nadania językowi niezwyklej obrazowości, giętkości, bogatego symbolizmu i siły wyrazu. Bezpośredniość wielkich wrażeń, jasność obserwacji, ścisłość wnioskowania, dążąc do wyrażenia się za pomocą tej gwary, ukuły z niej to nadzwyczajnej sprawności narzędzie. Opowiadania Sabały, spisane w najczystszej, najdoskonalszej formie przez Bronisława Dembowskiego, jak i opracowany przez niego Słownik gwary podhalskiej, są zbiorem form językowych żywych, silnych, jasnych, form niezrównanej doskonałości.

Górale są nadzwyczajnymi stylistami i wielkimi dobrej wymowy znawcami i wielbicielami, i ta ich mowa, wraz z ich życiem i Tatrami wkracza do literatury, jako bardzo cenna zdobycz, wzbogacając ją tak, jak sztuka ludowa wzbogaciła kulturę polską w innym zakresie.

Z tą mową ludową może jednak stać się gorzej, niż z ludowem zdobnictwem i budownictwem. Nie można jej odrazu przystosować do potrzeb wyższej umysłowości, jak się przystosowało chałupę góralską do bardziej wykwintnych potrzeb życia, nie można z niej

zrobić odrazu języka literackiego powszechnego — nie można i niema potrzeby. Miejsce, które w kulturze polskiej zajęła chata podhalska, było nie zajęte, stał tam wprawdzie budynek, lecz był on zrobiony z tego, czy owego materiału obcego, był wytworem pierwiastku artystycznego, który już stracił moc życia, zajęcie tego miejsca nie prowadziło do zniszczenia żadnego żywego, cennego pierwiastku narodowej twórczości. Z mową jest inaczej i bezsenssem byłoby chcieć, dla którejkolwiek bądź z gwara ludowych, przekreślić język, który służył jako wyraz duszy najpotężniejszych geniuszów i milionów ludzkich, które wraz z niemi czuły i myślały. Z drugiej strony, ponieważ każdy język jest żywym organizmem, przystosowującym się do zmieniających warunków bytu, to jest do zmian zachodzących w ludzkiej umysłowości, więc i gwara podhalska, w miarę przeobrażania się umysłowości ludu, dostosowywałaby się do niej i mogłaby zaspokoić wszystkie jej potrzeby. Rozwój jednak języka idzie znacznie powolniej, niż idą zmiany w ludzkich stosunkach i odpowiednie zmiany pojęć i gwara góralska, tak zacofana w stosunku do umysłowości współczesnej, nie mogłaby, bez utraty swego charakteru, być nagle nałamaną do wyrażania zawiłych, złożonych stosunków i pojęć wyższego poziomu społecznego bytu. Na stopniowe zaś przeobrażanie się tej gwary niema czasu, jak niema czasu na stopniowe przeobrażanie się kultury ludowej wogóle, przeobrażanie się, któreby się odbywało bez niszczenia cennych i żywych pierwiastków. Życie »wyższe« szturmuje tak gwałtownie życie ludowe swemi najpospolitszemi wymaganiami, że nie ma ono czasu i możliwości stopniowo przeobrażać siebie i musi przyj-

mować i używać takich narzędzi, jakie mu gwałtem wciska konieczność, — przyjmuje też i używa takiej mowy, jaką mu dają szkolne podręczniki, urzędy, sądy, gazety i życie codzienne klas wyższych, a to jest mowa potworna.

Podczas, kiedy z jednej strony, mowa ta jest brutalnie niszczona u źródła, u ludu, z drugiej, są ludzie, którzy myślą, że mowa ta może i powinna jeszcze służyć ludowi, rozwijając się wraz z przeobrażaniem się jego umysłowości, że może ona stać się żywym odłamem polskiego języka, może w nim mieć takie miejsce, jak pieśń prowansalska we Francyi, jak dyalekty włoskie, któremi się posługują najwybitniejsi pisarze, jak dyalekty niemieckie, mające żywą i silną literaturę, słowem, że mowa podhalska, nie przeszkadzając literaturze, może być dla niej źródłem ożywczem, kopalnią form świeżych i najczystszych plemiennych pierwiastków języka.

Prąd ku stopieniu gwar ludowych z językiem literackim jest zresztą, w tej chwili, znamioną cechą literackiej twórczości i rozwija się równolegle z przeobrażaniem się społecznego stanowiska mas ludowych. Czuć go i u Sienkiewicza, u Prusa i u Konopnickiej; wydał on taką niezrównaną rzecz, jak *Beldonek Dygasińskiego*, tak potężną, jak *Chłopi Reymonta*, kipi ta gwara ludowa we wspaniałym języku *Żeromskiego*, — a podhalska w szczególności w świetnym *Skalnym Podhalu Tetmajera*. Wartość więc olbrzymią mowy ludowej stwierdza samo życie, skoro najwybitniejsi przedstawiciele twórczości polskiej wprowadzają ją do dzieł swoich, wzbogacając język literacki świetnymi formami, krzepiąc go mnóstwem wyrazów,

które lud, będąc w stałym, bezpośrednim zetknięciu z naturą, stworzył i używa, a które zanikają w miastach i języku kupiących się w nich wyższych klas społeczeństwa. Lecz użycie ludowej mowy, jako domieszki do języka literackiego, nie stanowi o jej życiu i rozwoju. Dopiero wytworzenie samodzielnej literatury, posługującej się gwarą ludową, byłoby jej ocaleniem. Próby w tym kierunku są robione. Pisać gwarą podhalską czystą można, a w niektórych kierunkach jest ona nie do zastąpienia, wskutek swojej poważnej i głębokiej prostoty. Trzeba też pamiętać, że język Boskiej komedii był jednym z dyalektów prostej chłopskiej gwary Włoch średniowiecznych, i ludzie światli i wykształceni byli bardzo zgorszeni postanowieniem Dantego pisania w tej gwarze... Jak, zresztą, u nas byli zgorszeni, przy pierwszym zjawieniu się gwary ludowej w literaturze. Dziś już nikogo to nie gorszy, lecz zarazem nikt nie myśli nad ocaleniem jej źródła. A jednak, gdyby świadomość wartości wszystkich dodatnich pierwiastków plemiennych była żywą w tem społeczeństwie, mogłoby ono zaradzić temu, wprowadzając do szkół ludowych książki, pisane w gwarze, czytanki, ułożone z rzeczy wzorowych, bądź spisanych z ust ludu, bądź istniejących już, napisanych oryginalnie. Takie Wypisy gwarowe mogłyby obejmować szkoły na terytoryach, na których dana gwara jest w użyciu. Tym sposobem dziecko, dostające się do szkoły, obok zwykłego języka literackiego, zachowywałoby w pamięci gwarę, którą mówią ojcowie, nie przestawałoby jej używać, nie wyobrażałoby sobie, że ona jest lichszą, lub śmieszną. Czy tak się stanie? Myśl ta, podnoszona od lat wielu, nie została urzeczywistnioną, — jak nie została urzeczywi-

stnioną inna dobra myśl, podniesiona przez Włodzimierza Dzieduszyckiego, żeby szkoły ludowe były budowane w stylu chat danej okolicy. Życie ludzkie jest ciągle brane za grubiańsko, za biurokratycznie i na takie subtelności w obchodzeniu się z duszą ludu »czynniki miarodajne« nie mogą się jeszcze zdobyć.

Oby z czasem nie było zapóźno, oby nie pomyślano o tem wtedy, kiedy już cały lud będzie mówił: — Ta panie! ta skąd ja przychodzę do tego, żebym ja panu szedł na rękę we Widniu? albo: — Wypraszam sobie takiego postępowania! — albo też, żeby: — Całkiem pojedynczo cieszył się na miarodajne stanowisko!

W zakresie więc mowy ludowej, wpływ ludzi dólskich nie jest tak dodatni, jak w zakresie budownictwa, gdzie wzajemne współdziałanie doprowadziło i do utrzymania jego istnienia u źródła, u ludu, i do podniesienia go na wyższy stopień rozwoju.

Są miejsca w Zakopanem, które, pod wpływem nowych stosunków, uległy tak radykalnej zmianie przeznaczenia i użytku, iż może się zdawać, że nie kilkanaście lat, lecz jakie półwieku przeszło nad niemi. Takim miejscem są Kuźnice. Poza gospodarczym ładem, który zastąpił dawniejszą ruinę, jest tam coś, co wychodzi poza normalne i pospolite interesy i stosunki. W dawnym budynku administracyi dominialnej, w którym w ostatnich czasach była karczma, — dziś, mieści się zakład pani Generałowej Zamoyskiej. Przeznaczony pierwotnie dla innej dzielnicy Polski, dla Poznańskiego, wygnany stamtąd przez Prusaków, po kilkoletniej tułaczce, osiadł w Zakopanem. Ze swego przeznaczenia i kierunku wychowawczego zakład ten nie wywiera jednak

wpływu na bezpośrednie otoczenie, na byt ludu góralskiego. Jego cele i środki, przystosowane do innych warunków gospodarczych, do innego poziomu kultury, jak jego strona umysłowa do innej sfery życia, oddzielone są przepaścią zbyt głęboką od dzisiejszego poziomu życia górali. Nie oddziałując na życie w sferze najbliższej, promieniuje on daleko w Polskę, poza podtatrzańskie ludzkie siedziby. Jakikolwiek sąd może wydać życie o systemie wychowawczym tam przyjętym, jakiegokolwiek charakteru i znaczenia wpływ społeczny wywierają te setki kobiet w nim wychowanych, co się dziś jeszcze nie da może określić, pewnem jest jednak, że najgłębsza cześć należy się wzniosłej duszy, która to ognisko wyższych dążeń zapaliła w głębi mrocznego jaru tatrzańskiego.

Zakopane, zresztą, pełne jest objawów dobrowolnego brania na siebie i spełniania obowiązków społecznych, przedsięwzięcia prac ogólnego użytku, bez »upoważnienia władzy«, bez czyjejkolwiek zachęty. Powstaje też tu mnóstwo zaczątków instytucji, które nie mają jednak dostatecznej podstawy w ilości mieszkańców, ich umysłowości, uspołecznieniu i warunkach życia, stąd byt ich jest chwiejny, nieraz bardzo krótkotrwały, inne, z trudem utrzymywane przez pierwszych założycieli, nie mogą znaleźć podstawy istnienia, tam, gdzie powinny — to jest w samej organizacji społecznej.

Jednym z takich zakładów, dowodzących wysokiego uspołecznienia i ofiarności ludzi, którzy go założyli, jest Muzeum tatrzańskie imienia profesora Chałubińskiego. Założone przez tych, którzy byli bezpośrednimi świadkami lub współpracownikami jego działalności, w zasadzie obejmuje ono cały

obszar objawów życia, natury i ludzi w Tatrach i w podhalskich dolinach. Od skał bezpłodnych, wietrzejących w chłodnych otchłaniach powietrza, — do ludu, do jego sztuki i przemysłu. Na jednym końcu geologia — na drugim etnografia. Zakres szeroki, którego całkowite i rozumne wypełnienie doprowadziłoby Muzeum do tego, że stałoby się ono centrum całego umysłowego życia, tak gwałtownie tu rozwijającego się. Ci, co je założyli, zrobili bardzo wiele, — ale nie mogą zrobić wszystkiego. Żyjąc poza Zakopanem, pracując w innych środowiskach społecznych, spełniając ciężkie nieraz obowiązki zawodowe, nie mogą oni stale rozwijać swego dzieła, nie mogą, co jest konieczne, oprzeć go na silnej podstawie współdziałania umysłowego i moralnego całego społeczeństwa. Utrzymują oni jego istnienie własnym nakładem, lecz nie mogą nadać mu tej żywotnej siły, która jest jego przeznaczeniem. Dziś, Muzeum rozwija się o tyle, o ile przypadek przyniesie jakąś szczególnie chętną i ofiarną jednostkę, jakiegoś zapalonego badacza, który wkłada swój czas, pracę, wiedzę, trud, nie pytając, co z tego będzie dalej, który, jak n. p. M. Limanowski, zniesie dobrowolnie ogromny zbiór okazów i ułoży je w systematyczną historię geologiczną Tatr, nie proszony przez nikogo i nie dziękowany. Ale instytucja, której użyteczność jest stała i niezmienna, której rozwój powinien iść równolegle z rozwojem całego społecznego życia, nie może stać tylko improwizacją przypadkowo zawadzających o nią jednostek. One stanowią o chwilowym wzmożeniu jej ruchu, jej życia, ale istnienie jej musi być oparte na stałszej podstawie. Budowa murowanego domu, jak i utrzymanie dziś istniejącego, konserwacja i rozwój zbiorów, ład

i bezpieczeństwo, zapewnienie środków materialnych na urządzenie pracowni naukowych, zaopatrzenie ich w narzędzia, przyrządy i materiały do badań, a dalej biblioteka i sale wykładowe, któreby dały możliwość promieniowania wiedzy, tkwiącej w gromadzących się tam zbiorach przyrodniczych i etnograficznych, zapewnienie tego wszystkiego, to znaczy zapewnienie bytu i rozwoju, jest obowiązkiem kraju. Musi on nakoniec wliczyć to Muzeum do rzędu instytucji wielkiej użyteczności publicznej, do inwentarza środków wychowawczych społeczeństwa, zająć się jego bytem, żeby nie zmarnować dobra, które mu daje ofiarność ludzi dobrej woli i myśli. Tatrzy, to jest tak wielki świat zjawisk, że wyczerpujące ich poznanie obejmowałoby ogromny zakres umysłowości, w sferze najbardziej dla ludzkiego umysłu uderzających i pociągających zagadnień bytu. Tajemnica tworzenia się ziemi i tajemnica tworzenia się rasy ludzkiej, pytania nauki, które trzymają umysł ludzki w stałym, drażniącym podnieceniu, mają tu jakgdyby naturalną pracownię, pełną okazów i dokumentów.

To, co tu wnosi dobra wola ludzi z całej Polski, jest, jak i to Muzeum, najczęściej ponad dzisiejszym poziomem życia ludu, nie może też on brać bezpośredniego udziału w działaniu takich urządzeń i zakładów, jak nie może z nich odnosić istotnej korzyści, ale z biegiem czasu, który tu przynosi daleko szybsze i radykalniejsze, niż gdzieindziej, zmiany, stanie się inaczej. Podniesienie się wykształcenia i dobrobytu ludu, wprowadzając do jego życia coraz więcej współczesnej umysłowości, uczyni z Muzeum instytucję niezbędną. Powinno ono w swoim dalszym rozwoju stać się miejscem, w którym wszystkie badania, dotyczące zagadnień

życia, zależnych od naukowego ich poznania, — a które nie są zależne, — znajdą rozstrzygnięcie wątpliwości, znajdą radę i pomoc. Powinno ono rozwinąć się tak, jak te szwedzkie muzea prowincjonalne, w których przyrodnik, ekonomista, rolnik, rzemieślnik, artysta znajdują wskazówki teoretyczne i materiały faktyczny dla swoich poszczególnych celów, a zarazem tłum — ogół odbiera już syntetycznie ujęte wyniki badań naukowych.

Powstałe tu teraz takie instytucje, jak Biblioteka publiczna, jak Kursy wakacyjne, jak Uniwersytet ludowy, z natury swego przeznaczenia i działania, powinnyby w Muzeum znaleźć miejsce, złąć się z niem i współdziałać. Są one wszystkie zaczątkiem przyszłego wielkiego ogniska umysłowego, które się tworzy w Zakopanem, jako w jednym z najsilniejszych centrów społeczno-narodowego ruchu.

Gdyby w tym kraju była jakaś jednostka, lub jakaś instytucja, skupiająca w sobie świadomość potrzeb i środków społeczno-narodowych, a zarazem jasną ocenę wartości idei i czynów, wszystkie takie zawiązki urzędzeń powszechnego pożytku byłyby otoczone opieką, znajdowały pomoc tam, gdzie powinny, to jest w społeczeństwie, w wydzielanych z jego skarbu środkach materialnych i w ludziach, przeznaczonych do dbania, żeby ofiarność i inicjatywa jednostek nie marniały.

W Zakopanem, gdzie ta ofiarność i ta inicjatywa wychodzi od ludzi, na chwilę tylko tu się zatrzymujących, jest ona tak często zostawiona na łaskę i niełaskę przypadkowych opiekunów, iż nie dziw, że tyle tej dobrej chęci, woli, tyle światłej myśli i czynu marnuje się, zostawiając zniechęcenie i niewiarę w potrzebę i po-

żyteczność zajmowania się podobnemi sprawami. A tymczasem, jeżeli dla każdego społeczeństwa najistotniejszym warunkiem życia jest ta siła inicjatywy, tkwiąca w każdej jednostce i dążąca do czynu, poza ociężałemi i krępującemi ruchami państwowych urzędzeń, to dla nas ta siła jest bezcenną, jest rozstrzygającym czynnikiem życia i przez nią tylko, przez chęć i zdolność organizowania się poza państwem, możemy budować fundamenty naszej przyszłości.

Zakopane daje jeden zbytek życia, którego my Polacy, nie mamy za dużo — daje swobodę.

Największy poeta Tatr, Franciszek Nowicki wołał:

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańską! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

W tym okrzyku młodej duszy, która na pustynnych szczytach, wobec bezgranicznych otchłani powietrznych, poczuła pierwszy raz istotną swoją swobodę, wyraża się ta straszna jej potrzeba, ta nieukojoną jej żądza, dla której walczą i umierają pokolenia, — lub, jeżeli mogą istnieć bez niej, stają się strupieszaleni stadami nędznych istot. Ta to swoboda wytwarza w ludziach świadomość ich sił, wydobywa z nich chęć i możność czynu, odwagę przedsiębiorczości i śmiałość pomysłu. Po tem też, jak się kto, posiadając tę swobodę, zachowuje, poznać można, jakim jest.

Niektóre sfery narodowo-społecznego życia zalega u nas taka martwość, takie niewolnictwo myśli, taki absolutny zanik świadomości znaczenia środków i celów bytu, że możliwość swobodnego w tym zakresie czynu ujawnia tylko całą nędzę dusz. Taką obumarłą sferą życia są wszystkie zagadnienia wychowawcze. Naród, którego w każdej chwili uczy historia, że jego byt jest w prostej zależności od tego, jakim jest każdy składający go pojedynczy człowiek, naród ten nie robi nic, żeby tych ludzi wychować, zatraciwszy do szczętu zmysł wychowawczy, wszelką zdolność myśli i czynu w tym kierunku. Na całym też obszarze ziem polskich niema ani jednej szkoły polskiej i niema śladu idei, jaką ona być powinna. Kiedy znaleźli się ludzie, którzy, pojmując doniosłość tej sprawy i oceniając wartość Zakopanego, wartość dobrych warunków, jakie tu daje natura i ustrój polityczny, zaczęli nawoływać do założenia Szkoły polskiej, któraby opierała się z jednej strony, na rozumnych zasadach pedagogicznych, z drugiej, na podstawach naszej psychologii rasowej i naszych przeznaczeń narodowych, wołanie ich pozostawało bez żadnego skutku. A kiedy nareszcie znaleźli się tacy, którym myśl założenia w Zakopanem szkoły wydała się słuszną, zdawało się im, że należy zorganizować zakład, któryby tu, pod Tatrami, jednoczył w sobie trzy systemy wychowawcze: pruski, rosyjski i austriacki! Myśl taka mogła powstać tylko tam, gdzie ludzie rzekli się samodzielnego kierowania swemi losami i gdzie do szczętu zginęła żywa myśl wychowawcza i wszelka tradycja tego, co nie tak dawne jeszcze pokolenia dla niej czyniły. Głucha, ślepa i tępa rutyna obok strachu przed nadmiarem inteligencji, oto co sta-

nowi istotę pojęć o zadaniach szkoły u tych, którzy kierują życiem społeczno-politycznym tego kraju. Wobec naporu tłumów dzieci, wdzierających się do szkoły, nie widzą oni innego sposobu, jak ostrzejszy egzamin, dla zmniejszenia nadmiaru inteligencji i w tym samym też celu utrzymują przywileje gimnazyów klasycznych, dziwiąc się jednocześnie, że realne szkoły, przeznaczone dla niższego gatunku ludzi i pozbawione przywilejów, nie są tak przepelnione, jak klasyczne! Nie znam smutniejszej, boleśniej, bardziej poniżającej atmosfery myśli, jak rozprawy nad szkołami w Sejmie. A wobec takiego stanu umysłów, nic też dziwnego, że w Zakopanem nie powstała polska szkoła.

Może teraz powstanie gdzieindziej...

Swoboda, która tu ogarniała przybysza z dolin, dla ludzi, uświadamiających sobie w każdej chwili istotną treść naszego bytu, była taką rozkoszą, że dla niej można było chętnie zapomnieć wszystkich niedogodności i braków życia osobistego, lecz nędze społeczne, idące trop w trop za ludźmi, przysły też wszystkie do Zakopanego, odsłaniając swoje rany, wołając o pomoc, o ratunek, naruszając spokojne i harmonijne współżycie z naturą i cichy odpoczynek zmęczonych i skatowanych przez życie dusz.

Kiedy zaczęto jeździć w Tatry, pierwsi przyszedli tu turyści, to znaczy ludzie zdrowi i dzielni, bo do Tatr, jak na szubienicę, »dziada nie wołano« i tylko »co natęższy chłop« mógł po nich chodzić. Przychodzili też ludzie, szukający wrażeń, — poeci, artyści, marzyciele, przyrodnicy, myśliwi po niedźwiedzią skórę lub rogi kozicy — wogóle ludzie, którzy mieli dosyć sił, energii, wytrzymałości — lub też dosyć pieniędzy, żeby się

urządzić wygodnie na tej pustyni i dziczy. Szła dalej tym tropem zwykła publiczność, na chwilę wyważona z legowisk filisterskiego spokoju, — a w końcu przyszli chorzy.

Teoretyczne przekonanie, gdzieindziej stwierdzone doświadczeniem, o leczniczej wartości klimatu górskiego, nie mogło nie odbić się na Tatrach.

Przyszliśmy więc tu z różnych stron Polski, w różnych stadyach choroby i z różnym skutkiem doświadczyliśmy na sobie wpływu tego klimatu i warunków życia, jakie tu można było znaleźć...

Sprawa chorób płucnych, jedna z najbardziej palących spraw bytu ludzkości, stała się tym sposobem jedną z najważniejszych spraw Zakopanego.

Na razie, kiedy w Zakopanem nie było lekarza, kiedy aptekę stanowił rozbity słój, w sklepiku »Rigel-hafa«, z olejem rycynowym, w którym pływały skorupy i stonogi, zanim powstało sanatorium dra Harwanka w Zakopanem i drugie świetne sanatorium dra Dłuskiego w Kościeliskach, pierwsi chorzy, którzy tu dostawali się nieopatrznie do warunków, nawet dla zdrowych, za twardych, — ginęli, nie znajdując na miejscu nic — prócz powietrza i pięknego widoku... Zwłaszcza, że, jeżeli chorego leczy lekarz, ale uzdrawia on sam siebie, albo też ten, co go pielęgnuje, to w pierwszych chwilach zamieniania się Zakopanego na stację leczniczą, wiadomości o tem, jak trzeba siebie uzdrawiać, były tak mało rozpowszechnione, a tych, co mogli i umieli chorego pielęgnować, nie było wcale, — musiał on też ginąć. Ginał najczęściej przez naiwną wiarę w klimat, w to, że dość być w Zakopanem, żeby

być zdrowym, bez względu na to, jak się żyje, jakie ma mieszkanie, jak się odżywia i jaką stosuje terapię.

Bądź co bądź, nawet z pomiędzy tych, co tu przyszli w najpierwotniejszych czasach kwestyi suchotniczej w Zakopanem, wielu wyżyło i wyzdrowiało, — tak dalece potężne było działanie na nich tego klimatu i całego splotu dodatnich psychicznych czynników.

Dziś pomoc lekarska i możliwość urządzenia życia, odpowiednio do wymagań leczniczych, jest tu zapewniona i w sanatoryach i poza niemi. Nie dla wszystkich jednak i plaga gruźlicy ukazuje się tu nieraz, w całej swojej społecznej potworności. Sanatoria, wygodne mieszkania, słoneczne werandy, dobre odżywianie, wszystko to są warunki dostępne dla ludzi zamożniejszych; ale człowiek biedny, który tu ciągnie z resztą złotych w kieszeni, znajduje się w krótkim czasie w warunkach najgorszych i jeżeli nie ginie, to chyba przez to, że wogóle zginąć nie może, bo jest jeszcze za silny, a dla jego organizmu, który utrzymywał się przy życiu nawet w miejskich warunkach życia nędzarzy, — łyk świeżego powietrza stanowi tak potężny środek ożywczy, że go dźwiga z niemocy i prawie uzdrawia.

Kto się dotyka tej sprawy, kto wie, w jakich warunkach i stosunkach znajdują się tu nieraz ludzie chorzy, dla tego »wstrętne słowa: biedny i bogaty« — stają się jeszcze wstrętniejsze.

Plugawa buda, którą nazywamy gmachem społecznym, odsłania tu takie okna, przez które widać całą jej głąb okropną, pełną zbrodniczych niesprawiedliwości, których ludzie nie śmiać usunąć, bojąc się naruszyć »porządek społeczny«, to jest sztuczną równowagę sił,

utrzymywaną za pomocą nacisku przemocy, ujętej w formy prawa.

Wyroki sądowe, karząc zbrodniarzy: morderców, złodziei i oszustów, skazują ich na tyle i tyle lat więzienia, »obostrzonego postem w rocznicę popełnienia zbrodni«, lub też raz na tydzień, czy raz na miesiąc. Post więc, brak pokarmu uważany jest przez kodeks karny za środek dyscyplinarny, za sposób zwiększenia kary dla ludzi wyjątkowo winnych wobec społeczeństwa, — a tymczasem, wśród tego społeczeństwa żyją ogromne masy ludzkie, skazane bezwinnie na ten post, skazane na życie, w którym miesiące i lata są ciągłym postem, oprócz rzadkich dni wyjątkowych... Taki stan stosunków ludzkich uważa się za normalny, zgodny z porządkiem społecznym i nie narusza też spokoju tych, co mogą używać wyższej cywilizacji, dobrobytu, komfortu, przesyty, pomimo to, że nędza ta jest wszystkim wiadoma, że o niej mówi statystyka, kryminalistyka — i afisze, wzywające na rauty, bale, przedstawienia na rzecz biednych, kalekich, chorych...

Ta dobroczynność, którą dla złagodzenia zbyt jawnych i potwornych skutków porządku społecznego, społeczeństwo spełnia, niechcący, bawiąc się, tańcząc, lub słuchając muzyki, jest jednym z najbardziej rozkładowych dla sumienia ludzkiego działań, jest poniżeniem społecznej godności ludzkiej i jednym z najbardziej antyspołecznych przejawów życia. Z jednej strony stają ci, którzy swój trud i talent, swój czyn twórczy oddają naprawdę dla biednych, z drugiej tłum ludzi, często bogatych, który idzie się bawić, nieuświadamiając sobie tej poniżającej roli, jaką odgrywa, roli dzikich, których się zwabia zabawą, żeby wyłudzić od nich coś, czego,

wobec braku uspołecznienia świadomie by nie dali. Modrzejewska, Paderewski i wszyscy inni artyści ofiarowują jednego wieczoru tysiące, gdyż słuchać ich i podziwiać tłum ten przyszedłby i bez celów dobroczynnych, a tłum ten ludzi bogatych, kobiet strojnych w brylanty, mężczyźni sytych i postrojonych, ma tyle bezczelności, że spłaca swoje obowiązki wobec bliźnich, otrzymując w zamian bezcenne wrażenia artystyczne. Fantowe loterye, sprzedaże szkiców, bale, żywe obrazy, przedstawienia teatralne i najwstrętniejsze »wieczorki«, są środkiem wydarcia od niby cywilizowanego społeczeństwa tego, co dać obowiązane jest ono bezwarunkowo, jeżeli się składa z ludzi rozumnych, społecznie rozwiniętych — nie z kretynów i Kalibanów. A tymczasem to społeczeństwo sprowadza zwłoki Juliusza Słowackiego, tańcząc lub bawiąc się w inny sposób, urządza pochód sztucznych dzikich zwierząt »na cele narodowe«, daje bal na nieuleczalnych, bal na powodzian, raut na nędzę wyjątkową, raut na biedne matki i znowu bal na studentów i bal na opuszczone dzieci! Na sali ratuszowej tańczy oto kobieta, uginająca się pod ciężarem brylantów, których każdy promień oplacony jest krwią, potem, nędzą, niewolą, tańczy dlatego, żeby jakaś biedna matka, o której wie Biuro nędzy wyjątkowej, dostała kilka złotych, lub żeby jakiegoś chłopaka życie nie było przez parę dni »obostrzone postem«, — a za te brylanty można zapewnić wieczysty byt jakiegoś zakładu, któryby nie dopuszczał do nędzy. Ta dobroczynność tańcząca, będąca wyrazem niskiego stanu dusz tych, co ją spełniają — poniżej zarazem tych, którzy z niej korzystają.

Są nędzarze, zepchnięci przez życie w taką prze-

paść, z której już niema żadnej nadziei wydostania się, nędzarze, którym już wszystko jedno, skąd przychodzi i jaki jest ten kawałek chleba — byleby był, — dusze ich możnaby jeszcze może podnieść, ale już nie można niczem poniżyć; — ale są biedacy, których istnienie jest całe dążeniem w przyszłość, jest całe nadzieją, biedacy, którzy dopiero zaczynają żyć, którzy nie mają żadnych win i błędów na sumieniu, którzy mają jeszcze godność i powinni mieć dumę, — jest ta uboga młodzież, którą poniża ten sposób zapewniania jej bytu, i trudno uwierzyć, że ona przyjmuje taką pomoc, te pieniądze wypocone w walcu lub mazurze, że się nie buntuje przeciw temu, że nie dąży do unormowania swego stosunku do społeczeństwa, na zasadach słuszności, która mówi, że każdy człowiek ma prawo do życia, do dachu, ubrania i strawy, — że życia, które nie jest pobytem w domu karnym, nie wolno »obostrzać postem«.

Wszystkie jednak te nędze społeczne są potęgą, opierającą się na materialnym układzie sił społecznych i na moralnej wartości dusz, — potęgą więc, którą nie łatwo złamać, z którą jednak należy walczyć.

Zakopane, odzwierciadlając wszystkie przejawy społecznego życia, ukazuje też i wszelkie formy nędzy, wszystkie skutki haniebnych stosunków tegoczesnego stanu społeczeństw. Tu, jak gdzieindziej, wywołuje też nędza czynność ludzi chętnych i miłosiernych, wywołuje ogromną działalność tańczącej dobroczynności, która, jak na teraz, wydaje się ludziom jedynym prawie środkiem nakarmienia, odziania, ogrzania biedaków, lub zaopiekowania się nimi w chorobie. Nawet takie instytucje, które dążą do ugruntowania swojej działalności, na pod-

stawie świadomie przyjętych zobowiązań, jak np. Tow. św. Salomei, nie mogą podołać swemu zadaniu bez uciekania się do tego powszechnego środka nakarmienia głodnych — do urządzania zabaw. Na tem opiera nieraz swoją działalność szpital, Towarzystwo pomocy dla biednych uczniów szkoły rzeźbiarskiej, których nędza jest po prostu potworna, i każda inna dobra chęć ocalenia od głodu i chłodu ludzi, skazanych zaocznie na karę życia, »obostrzonego postem«.

Oprócz tych wszystkich przejawów nędzy, które są nieodłącznym skutkiem każdego skupienia ludzkiego, mającego w sobie pierwiastki wszystkich komplikacji dzisiejszego bytu, zbiera się tu specyalna nędza, gruźlica, szukająca ratunku — zdrowia.

Ustrój społeczny, z jednej strony, skazuje całe warstwy ludności na minimum posiadania i minimum używania, z drugiej zaś, jako środek wyjścia z życia »obostrzonego postem«, wskazuje — naukę, wdzieranie się na wyższy zagon przez szkoły i uniwersytety, które zresztą i bez tej podniety, przez prostą logikę rozwoju ludzkości, musiałyby się zapełniać ludźmi, szukającymi nauki — pomimo ubóstwa. I oto cała ta młodzież szkół, uniwersytetów, politechnik, akademii sztuk pięknych, czy jakichś innych, cała ta młodzież przeważnie jest ubogą, a w znacznej części składa się z nędzarzy, których zjada chronicznie głód — sporadycznie choroba i którzy się stają łupem gruźlicy.

Co robi na to wszystko społeczeństwo? Od czasu do czasu, znajduje się jakiś miłosierny człowiek, który, umierając, zostawia, niepotrzebne mu już, fundusze na stypendya — a zresztą społeczeństwo tańczy i bawi się dla załatwienia tej sprawy.

Na przypadkowej też ofiarności i wszelkiego rodzaju widowiskach i zabawach chwieje się byt takiej instytucji w Zakopanem, jak Bratnia pomoc stowarzyszenia polskiej młodzieży, uczącej się, która założywszy ją, nie może jednak podolać tym ciężarom, jakie siłą faktów na nią spadają.

Wobec społecznego znaczenia gruźlicy, wobec tego, że młodzież jest najbardziej na nią narażona i wobec, sądzę, znaczenia życia młodzieży, instytucja taka jest tak konieczną, tak absolutnie nieodłączną od życia zbiorowego, które osiągnęło jakie takie uspołecznienie, że hańbą jest po prostu stan tej sprawy u nas. Żeby nie ofiarność paru przypadkowo zbłąkanych tu czasem dobrych ludzi, którzy sami dają, zbierają pomiędzy swymi możliwymi znajomymi, którzy śpiewają, grają, pozują, kwestują na tę Bratnią pomoc, nawet tych kilkunastu młodych ludzi, będących słabym procentem masy potrzebujących ratunku, musiałyby ginąć po miastach, lub ginąć gdzieś po chałupach zakopiańskich.

Szczyśliwy traf jednak, który pewnego roku przywiedzie tu człowieka dobrego i mającego coś do oddania biednym: pieniądze, głos, talent, lub osobisty urok, szczyśliwy ten traf — jest tylko trafem, nie zdarza się ciągle i stale i oto Bratnia pomoc wisi w powietrzu, podminowana długami, lub musi odpędzać ode drzwi szukających ratunku chorych.

Statystycy przyszli w pomoc ludziom, współczującym cierpieniu i wykazali, jaką stratą ekonomiczną, jaką klęską społeczną jest gruźlica. Powołując się na statystykę i na bakteriologię, ludzie dobrej woli i światłej myśli szturmują też o ujęcie sprawy gruźlicy

w szeroką organizację sanatoryów ludowych i wogóle sanatoryów dla biednych, — lecz starania te są dotąd bezskuteczne. »Czynniki miarodajne« nie mogą się zdobyć na szerokie objęcie całości zagadnień społecznego bytu, na organizowanie podstaw przyszłości, na przyspieszenie biegu rozwoju społecznego. Gruźlica tymczasem w miastach i wsiach szerzy się gwałtownie, wyrывая z kadrów społecznych mnóstwo jednostek dzielnych, skazując całe rodziny na nędzę i wymarcie, wytwarzając ogniska zarazy, rozwlekanej na coraz większych przestrzeniach.

Bierność i obojętność na niektóre objawy życia jest niekiedy przestępstwem, taką jest obojętność na całą tę sprawę i to niedbalstwo, z jakim się traktuje związki instytucji wielkiego użytku, jak Bratnia pomoc np., powstające dzięki inicjatywie i staraniom prywatnym.

Lecz młodzież męska ma przynajmniej jakiegokolwiek schronienie, ma z trudem utrzymujący się, jednak utrzymujący się, bądź co bądź, przytułek, — ale kobiety nie mają żadnego. Młode dziewczęta chore, biedne, które tu przybywają, są po prostu rzucone na łaskę i niełaskę przypadku. Jakaś szczególna, wyjątkowa uczynność, troskliwość, dbałość i współczucie odszukuje po zimnych poddaszach najbiedniejszych mieszkań te biedne kobiety, niszczone przez gorączkę i nędzę. Nie mają one żadnego ogniska, żadnej zorganizowanej opieki, żadnej, choćby drobnej, wiadomej instytucji, któraby ujawniła ich istnienie i zmusiła — do tańczenia na nie... Ile hartu charakteru, ile poważnego pojmowania życia, ile jego znajomości trzeba, żeby to przetrwać, żeby nie zginąć, nie mówiąc już o tem, jakiej

trzeba odporności organizmu i niepokonanej żywotności, żeby mózdz walczyć choć chwilę w tych warunkach ze zdrazną a potężną zarazą. I wszystko to się dzieje współrzędnie, ze spokojem i dobrobytem, panującym na wyższym zagonie. I niech nikt nie mówi, że ta różnica bytu nie rozstrzyga o szczęściu, że we wszystkich klasach są ludzie jednakowo szczęśliwi lub nieszczęśliwi, — są — ale jedni są syci i zdrowi, a drudzy chorzy i głodni...

Ale społeczeństwa, które z takim zapalem zajmują się sprawą zastąpienia zysków z propinacyi, jakiemiś innymi zyskami od alkoholizmu, te same społeczeństwa przechodzą z zupełną obojętnością około najważniejszych, najistotniejszych zagadnień bytu, około hańbiących je nędz i upodlenia.

W miarę, jak Zakopane samo rośnie, wzrasta też w niem środowisko nędzy we wszelkiej formie, która wywołuje objawy usiłowań ludzi lepszych w celu ulżenia jej lub zapobieżenia. Dopóki jednak tak jest, jak jest w rdzennej istocie społecznego ustroju, wszystko to nie może doprowadzić do żadnego poważnego wyniku. Wszystko to, co robi dla nędzy inicjatywa jednostek lub stowarzyszeń, jest zasiewaniem kwiatków nad potwornemi przepaściami, na dnie których zalega, jak mówi Ruskin, morowe powietrze. Z tych przepaści będzie ciągle wydobywać się nędza i zaraza, — i dopóki tam na dnie, tam u podstaw, nie zmieni się wszystko, dopóty ludzkość będzie — tańczyć na biednych...

Tańczy też na nich Zakopane.

Nieuniknionym jego losem jest zamienienie się na miasto i gdyby tu była w kimkolwiek świadomość tej konieczności, gdyby był zmysł przyszłości i rozum

społeczny, Zakopane, jak nie tańczyłoby na biednych, lecz organizowałoby podstawy trwałych, zapobiegających nędzy instytucyi, tak samo organizowałoby już teraz podstawy swego przyszłego bytu, na zasadach, które gdzieindziej zostały zdobyte doświadczeniem wieków.

Na tej nowinie możnaby było wytyczyć plan miasta, któryby ujął w rozumne łożysko bieg dalszego rozwoju, któryby nie dopuścił do wytworzenia się powszechnie potępionych zgubnych środowisk, nad uprzętnięciem których trudzą się dziś ludzie wszędzie. Dawniejsze miasta, które zbił w kupę domostw ścieśnionych i spiętrzonych — strach, dawniejsze te miasta, już nie powinny dziś, wobec do gruntu zmienionych warunków, być zakładane. Nie mają one wartości i znaczenia przeciw wrogom zewnętrznym, a są doskonałym ogniskiem dla wrogów wewnętrznych, nieraz groźniejszych — dla chorób. Zakopane, chociaż dziś jeszcze rozrzucone na ogromnej przestrzeni, ma już taki ośrodek ścieśniony, taką bezładną stłoczoną kupę domostw, dokoła której coraz gęściej buduje się i tłoczy i góral i przybywający tu z dolin osadnik, tworząc zawiązek brudnego, niezdrowego i szpetnego miasta.

☐ Dla Tatr, wytworzenie się tuż u ich podstaw miasta, może być poważnym niebezpieczeństwem. Nie dlatego, żeby huk kół doróżek i tramwai miał wstrząsnąć ich posadami i doprowadzić do kataklizmu geologicznego, któryby zrównał z ziemią potężny mur skalisty, lecz, że zaludnienie doliny zakopiańskiej, zapchanie jej wielkim miastem, prowadzi z konieczności do zaludnienia Tatr, do zamienienia ich ze »skalnej pustyni« — w park podmiejski, a przeobrażenie się takie róż-

wna się śmierci. Inżynier, wróg pustyni, który się wdziera w najniebezpieczniejsze wertepy ziemi, przecina mroczne ostępy Afryki, wieszka się nad warem wód Niagary, wspina się na zaoblone szczyty i przewierca podwaliny łańcuchów górskich — inżynier zjawił się już w Tatrach, ze swoim projektem kolei na Świnicę...

Kiedy średniowieczny mostowniczy zakładał w ciemnych borach groble i wiódł dukty przez trzęsawiska bagien, prowadził on po nich ku źródłom bogactwa, prowadził do wnętrza potężnych, olbrzymich lasów, które od prabytu dźwigały się z pokładów próchnicy, męźnemi, szczytnemi pniami, z których powstawały wieś, grody i floty — z których tworzyła się drewniana Polska; prowadził on do puszczy, w głębi których pasły się stada turów i żubrów, gniótł się od nadmiaru wszelki zwierz dziki, w których drzemały czarne, senne wody, gęste od ryb i wszelakiej wodnej zwierzyny. Człowiek, co tam przyszedł, znajdował skarbiec i spiżarnię na długie lata, i wieki przeszły, nim to bogactwo wyczerpał doszczętnie. Ten las i zwierz i woda były pożyteczne dla ludzi przez to, że ludzie je zużywali — nie przez to, że one stały nietknięte. To, że las stał mroczny i niedostępny, a tury, żubry, niedźwiedzie i dziki w nim żerowały bezpieczne, nie było żadnym pożytkiem dla człowieka, — dopiero kiedy on ściął las, wywłócił i zrobił zeń ściany i ostrokoły grodów, kiedy pobit łosie, tury, żubry, posolił je w beczkach i powiózł za wojskiem pod Grunwald, kiedy złupił skóry z niedźwiedzi, wilków, bobrów i soboli i zrobił z nich szuby, a z rysy kołpaki, kiedy wyprowadził wody na łotoki młyńskie — dopiero wtedy miał z nich pożytek. Mostowniczy więc, otwierając dostęp do tych pustyni, spełniał wielkie

w gospodarstwie ludzkim zadanie, rozwiązywał najważniejsze zagadnienia bytu: dawał materyał na dom, mięso na pożywienie, skórę na ubranie i siłę roboczą, która obracała żarna.

Podobnie inżynier, wieszający mosty nad kataraktami rzek afrykańskich, przecinający lądy dla utworzenia dróg wodnych, łączący tunelami potężne ogniska życia, tworzący łożyska, któremi z głębi kopalń odpływa ku ludzkim siedzibom bogactwo i pożytek, spełnia swoje posłannictwo w ludzkości, niszcząc pustynię, zaludniając ją, dobywając z niej to, co w niej leży, jako bierna siła natury i zamieniając na czynną siłę ludzkiego życia. Pustynia, przestając być pustynią, zostaje wciągnięta do inwentarza ludzkiej gospodarki, staje się użyteczną, ponieważ wartość jej dla ludzi nie leży w tem, żeby była niedostępną, dziką pustynią.

Jeżeli jednak wartość pustyni leży w tem właśnie, że ona jest pustynią, jeżeli leży w jej niedostępności, dziczy, pustce, bezpłodności, w tem jej przeciwieństwie do przeludnionych, udostępnionych, przesiąkniętych krwią i potem pracy, ciasnych, dusznych, małostkowych, uporządkowanych obszarów zaludnionych, w takim razie ten, co tę pustynię udostępnia, co jej odbiera wszystkie jej cechy i właściwości i zamienia na coś innego — ten ją niszczy i tym sposobem marnuje istotne bogactwo społeczne.

W gospodarstwie społecznem Tatry miały znaczenie, jako olbrzymie źródło wrażeń świeżych, przeciwstawiających się spowszedniałym wrażeniom, jakich ludzie doznają w zwykłych pospolitych warunkach życia. Psychologia człowieka jest taka, że on działa i odpoczywa przez kolejne przeciwstawianie funkcji sobie

przeciwnych. Znużenie jednostronnością życia ustępuje pod wpływem absolutnej jego zmiany, pod wpływem wręcz przeciwnych działań i wrażeń. Tatry więc, dając człowiekowi, żyjącemu w warunkach normalnych nowoczesnej cywilizacji, żyjącemu jednostronnie, przy pracy, przeciążającej umysł, wyczerpującej system nerwowy, dając możliwość życia w warunkach wprost przeciwnych, pierwotnych, w których w grę wchodzi pierwotne, zasadnicze siły ludzkiej natury, Tatry były potężnym środkiem skrzepienia żywotności, odprostowania dusz i ciał, zgiętych i zmiętych przez życie wyłącznie intelektualne lub utopione w bagnisku interesów.

I dopiero cały splot warunków specyficznie tatrzańskich stanowi tę atmosferę, która oddziaływała w pewien dodatni sposób na ludzi i stanowiła urok osobisty i pożytek społeczny Tatr. Dostać się koleją na szczyt, jest to zupełnie co innego, niż wejść na ten szczyt o własnych siłach. W pierwszym wypadku jedynym czynnikiem wrażeń, źródłem wzruszeń jest widok, jest podrażnienie oczu przez obraz, — w drugim, w grę wchodzi wola, odwaga, wytrwałość, trud, zręczność, wielogodzinne głębokie oddychanie pysznem powietrzem górskim, świadomość, że się osobiście po coś idzie i przez siebie się coś zdobywa, a wtenczas ten widok ze szczytu staje się czemś zupełnie innym, niż kiedy się przyjedzie nań w chroboczącym wagonie zębatej kolei — lub w taczkach. Ludzie, wysiadający u szczytu Świnicy z wagonu, albo znajdują się w pozycji charta, który goniąc zająca, stracił go z oczu, — to jest stracą wrażenie, — albo też doznają wrażeń, lecz zupełnie innych, niż ci, którzy na tę Świnicę przyjdą, pnąc się po turniach.

Kolej w ścisłym tego słowa znaczeniu zabije Tatrę, przez to samo, że w nie wjedzie, — zniszczy ich istotną treść, ich bogactwo, za co wątpię, czy odpłaci wywóz owczych serków z Gąsienicowej hali, a nawet granitu.

Franciszek Nowicki i ks. Gadowski, rozwieszając swoją Orlą perć po niedostępnych graniach, nie naruszają istotnego stosunku człowieka do Tatr. Czynią oni tyle tylko, ile wymaga konieczność, czynią to, co, wybierając dobre miejsce do skoku, czyni kozica, lub co czynił Sabała, który »po głupiemu nie stąpił«. Te klamry i łańcuchy są tylko drobnymi ułatwieniami, za którymi ogląda się zawsze człowiek, pnący się po krzesanicach lub chwiejących się nad przepaściami graniach, i idąc tą Orłą percią, jest się zawsze na woli tych osobistych przymiotów i władz duszy, które stanowią psychologię dotychczasowego stosunku ludzi do Tatr.

Inaczej będzie, kiedy do Tatr wjedzie się koleją i kiedy urzeczywistnią się wszystkie konsekwencje tego filisterskiego zbliżenia do czegoś, co dotąd stało harde, dumne, niedostępne, co się zdobywało trudem, wolą, męstwem i poświęceniem. Temi dalszemi konsekwencjami kolei mogą być altanki po turniach, szklane kule na patykach zielonych przed stacyjkami, żwirowane dróżki, ostawione ławkami, zupełna łatwość, spokój, bezpieczeństwo, słowem, w najlepszym razie zamienienie Tatr na park tatrzański, park przepiękny i wspaniały — ale zawsze tylko park.

Najmniejszy nawet ogródek, wciśnięty między mury kamienic, ma pewien urok i piękno, jak mają swój urok, piękno i ogromne znaczenie sady stare dookoła wiejskich dworów, plantacje w Krakowie, park

łazienkowski w Warszawie, ogród saski i każdy inny park, czy ogród w mieście, lecz ich urok, znaczenie i pożytek są zupełnie inne, niż Tatr, Alp, Andów czy Himalajów.

W gospodarstwie ludzkim wartości są tak względne i zależne od tego, jakich braków są wypełnieniem, że i park tatrzański będzie miał swój urok, piękno i znaczenie, ale Tatry już nie będzie i żaden poeta nie będzie już wołał:

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni,
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

.

Nie stanie się to jednak prędko, Tatry będą się bronić całą mocą swojej pustynnej, surowej, nieugiętej natury i zanim ten robak kolei stoczy ich czar, przejdą długie lata walk, trudów i zawodów, które mogą całkiem odstraszyć ludzkie mrowie od wrogich dla tatrzańskiej pustyni zamysłów.

Jednym z najtęższych sprzymierzeńców Tatr w walce z inżynierem — jest zima. [Zdoła on wdrzeć się na strome zbocza, rozsadzi granitowe zapory, zasklepi rozdoły potoków, rozkopie usypiska piargów, wogóle upora się ze wszystkimi przeszkodami, wynikającymi ze stałych właściwości tatrzańskiej ziemi, ale zima to jest siła żywa, niezmordowana, niepohamowana, stała jak fatum, a zarazem zmienna jak szaleństwo, ciągle odradzająca się, czynna i bezwzględna i do niej należą Tatry, przynajmniej przez siedm miesięcy od listopada do czerwca. Ta jej trwałość i ciągłość może

znużyć najwytrwalszego pracownika i wyczerpać wszelkie jego środki do walki. Gdybyż jeszcze z tych zamarłych pustaci wywoził on, jak z Alaski, złoto, może by się opłaciło rozpalać jakieś potężne ogniska, któreby topiły śniegi lub trzymały tłumy robotników, któreby stale walczyły z huraganem, przesypującym dla zabawy zmarzły i starty na proch ocean. Ale dla wywiezienia granitowych kostek lub bloków walczyć, tracąc może tysiące, z czemś tak potężnym, upartym i fantastycznym, jak zima tatrzańska, wątpię, czy się opłaci, a kolej przecie jest przedsiębiorstwem ekonomicznym, nie fantastyczną zabawą.

Zima przychodzi w październiku i stacza zażarte walki z halnym wiatrem, który swoim gorącym oddechem niszczy jej pracę i hamuje jej uparte wdzieranie się w Tatry. Lecz siła wiatru prędko się wyczerpuje. Zdoła on jeszcze stopić śnieg w dolinie, odsłonić najbardziej ku południowi zwrócone granie i kanty żlebów, nie zdoła jednak całkowicie wymieść stożących się zasp i Tatry, z dnia na dzień, wstają o świcie coraz bielsze.

Przybywa ta zima, niekiedy jawnie i otwarcie na skrzydłach zachodniego wichru, którego wilgotny dech, dotknąwszy zimnej pustyni Tatr, marznie i zawala je odrazu grubym pokładem śniegu, tającego w dolinie w kwaśbę, mokwę i plutę. Niekiedy zaś, zima się skrada podstępnie i tajemniczo. W chłodnym powietrzu zawisa cicha, gęsta, wilgotna mgła, opada nisko i zalega mrokiem beznadziejnym i głuchym, jakimś prawie bolesnym, gniołącym uczuciem martwoty... Z tej mgły, od czasu do czasu, polatują samotne płatki śniegu lub sypie się drobny grad — i znowu nie znowu szaro, mro-

czno, cicho, nieporuszenie, — nie widać nic, prócz mgły nad głową i rudych traw pod nogami... I oto pewnego dnia ten mrok szary, ciężki, beznadziejny rozdziera się o wschodzie i, na tle przesiąkniętego blaskiem nieba, jaśnieją Tatry białe, jak z jednej bryły marmuru, promieniste, jasne, świetne, olśniewające, rzeźwe i wesołe, — dalekie, z drugiego — z trzeciego świata w swojej bieli tak niepokalanej, że się zdają same tylko światłem, tylko widzeniem, tylko snem.

Zima przyszła.

Zima jest czemś, w czym tkwi bajeczna siła twórczości, a zarazem samoniszczenia, czemś, co się objawia w niezmiernym bogactwie zjawisk, w fantastycznej mnogości form, w niewyczerpanej, niezgłębionej pomysłowości i do ostatnich szczytów arcydzieła doprowadzonej doskonałości wcielenia w materię tych pomysłów, tych błyskawicznych natchnień. Jej praca olbrzymia przejawia się raz w dziełach potężnych, w wypiętrzaniu gór nad przepaściami dolin, w nadawaniu innej formy rzeźbie ziemi, to znowu jest przędzeniem z najsubtelniejszej tkanki gwiazdzistych kryształków. Jej siłą jest słońce i wiatr, a jej materiałem coś tak niepokalanie czystego, jak spadłe z podniebnych wysoczyzn śnieżyste płatki. Praca ta jest przerabianiem dyamentów w topazy, topazów w ametysty, szafiry i szmaragdy i napowrót w dyamenty, roztapiane w czyste światło.

W zimnych, przejrzystych otchłaniach powietrza, nieubłagana jej twórczość ma w sobie jakąś fantastyczną, zimną, prawie złośliwą zmienność, jakąś łatwość tworzenia, która czasem zdaje się siłą boską, czasem czarnoksięstwem lub kuglarstwem. Jej rozrzutność, lek-

komyślność, wspaniałomyślność w tworzeniu i niszczeniu arcydzieł, jest przerażającą wskutek absolutnej tej pracy bezcelowości. Jest to czysta, bezużyteczna, idealna rozkosz tworzenia — dla tworzenia, ciągle materyalizowanie nagłych, jak błyskawica, pomysłów i niszczenie ich z błyskawiczną szybkością. Dla kogo to się naprawdę dzieje, kogo w istocie bawi i cieszy to coś, które przychodzi znikąd i ginie w niczem?...

Kurniawa. Między wiatrem, między pędzącym powietrzem a śniegiem niema rozdziału, — nie wydaje się, że to wiatr niesie śnieg tylko, że leci jakaś biel, wyjąca i szumiąca. Przed oczami migają z zachodu na wschód pasma białych nici — to większe płatki, a z nimi leci pył, — para śnieżna, leci, czepia się wszystkiego na drodze, spada na ziemię, na lasy, na dachy i znowu ze świstem porywa się i niesie się, smugami rozszerzającymi się w górze i rozpylającymi się w białym тумanie. Wiatr rzeźbi. Niesie śnieg zbitą ławą, wpada na chatę, na szopę, uderza się o nią, cofa się, rozmiata przed sobą długą i szeroką, półkolistą fosę i stoży nad nią coraz wyższą zaspę. Jej brzegi cudownie podwinięte zginają się, jak łby wstrzymanych nagle rozpędzonych koni, jak grzbiety fal, mających się zwalić w zwojach piany. Jest to pochwycona i zmateryalizowana cała logika wiatru, jest to siła i ruch, stężale nagle i wcielone w bryłę materyi. Wiatr leci dalej i kłębi rozpylonemi wydmanami śniegu. Za płotami stoży olbrzymie zaspę, które długimi odkosami przecinają drogi i ogrody, nad potokami przelatuje równo, ubijając gładką powierzchnię, której brzegi, popodwijane w cudowne gzemasy, zginają się białemi ślimacznikami nad ciemną wodą. Na dachach domów i szop wszędzie osadza się ta potężna

rzeźba skryształizowanego ruchu. Zmarzłe i rozniesione na pył głębiny mórz niosą się z zawrotną szybkością, wdzierając się wszędzie, wypełniając wszystko, zasypują lasy, zawalają turnie, równają wąwozy, zatykają gardła pieczar, pochłaniają potoki i stawy i wszędzie rzeźbią z niezachwianą logiką ten sam kształt skamieniałej fali.

We dnie świat jest lecącą bielą, — w nocy, zdaje się, że szary mrok zmienił się w proch, w jakieś lekkie strzępy i leci z szumem, świstem, jękiem i furkotaniem gwałtownem. Promień światła, wykradający się z małego okna, sięga daleko w tę ruchomą ćmę i wygląda jak kometa, zbłąkana w wirze zgasłych i zmielonych na lotny pył światów. Po nocy, w której nic nie widać, przychodzi dzień, w którym widać tylko śnieg, tylko biel, tylko te smugi, lecące z zachodu na wschód, tylko te piany roztrzepane w pył, w parę i tylko stożące się coraz wyżej zasy, tylko potężniejsze ślimacznice, zwinęte nad potokami, na zrębach skał, na strzechach dachów.

Wiatr cichnie, ale śnieg pada dalej, lekko niesiony wykańcza robotę kurniawy. Na lesie zawisa okiść coraz cięższa, coraz szczelniejsza, Ociężałe gałęzie obwisają coraz bliżej pnia, smreki stają się smuklejsze, spiczastsze, dolne konary przychwytuje i więzi, stożący się coraz wyżej od ziemi, garb śnieżny. Na małych polankach, na młodym lesie tworzą się dziwaczne szczyty indyjskich pagod i bizantyńskie kopuły, z których, jak krzyże, sterczą śmigłe wirchowce. Gdzieindziej wyrastają potworne łby białe, wyciągają się ręce w białych rękawicach, tłoczą się jakieś białe cielska, zdaje się, że to jakaś rada przedwiecznych wielmożów brodatych, kołtuniastych zasiada w olbrzymich szubach z białych nie-

dźwiedzi, krytych białym, przetykanym srebrem aksamitem. Na kominach zwisają olbrzymie czapy, a na każdej tyczce w płocie siedzi kołpak jednako schwiany ku wschodowi, po żerdziach wiją się długie, puszyste, białe węże. W widłach konarów jesionów osiadają potworne białe gniazda, gałęzie, oblepione śniegiem, rozpinają się w szarem powietrzu jak strzępy grubych, potarganych sieci, jak smugi pian, krążących po miotającej się fali; na kamieniach, sterczących z czarnej, snującej się cicho wody, wyrastają białe, wydęte kępy śnieżyste.

I tak trwa dni kilka, aż któregoś wieczoru śnieg, spadający rzednie, staje się coraz suchszy, wyraźniej w nim widać kształtne gwiazdki kryształów, — z szarej przędzy, wiszącej na niebie, zaczyna przecierać się złotawa poświata i lazurowy pobrzask — mróz tężeje.

Z zapadającym mrokiem w ciemni nieba migoczą miękkie plamki światełek, gdzieniegdzie odsłania się mroczny aksamit i ostry, migotliwy promień gwiazdy przebija czerń nocy. W końcu, nad majaczącym bielą światłem, rozpina się potężne sklepienie gwiazdziste.

Mgła świetlista drogi mlecznej zawisa olbrzymią smugą jasności przez niebo, które drży, mieni się, skrzy się iskrami, zdającymi się sypać z ciemno-granatowego sklepienia, jak pył promienny, jak śnieg nasiąkły światłem, zabranem z promieni słonecznych, błędzących w otchłaniach międzyplanetarnych. W tym nieobjętym liczbą nadmiarze światła drgających, chwiejących się, mieniających się, tak różnych wielkością i natężeniem i tak do chaosu rozmaicie skupionych i rozproszonych, drga świetne ognisko Syriusza, błyskając czerwonym odblaskiem, rozpryskując swoje zmienne promienie z siłą,

która zdaje się wstrząsać bezmiar suchym chrzęstem iskier elektrycznych. Wśród tego mrowiska światła i światełek idzie on, niedościgły w swoim przepychu świetlnym, czysty, jasny, potężny — sam — panujący nad bezmiarami otchłani i nad miliardami palących się światów.

Całe niebo wieczorów letnich przesunęło się w inną stronę świata, a zapadająca noc zimowa zapala porankowe gwiazdy letnich nocy z wieczora.

Wega z zenitu zniżyła się ku północnemu widnokręgowi i drży, jak potężny dyament, wszyty w czerń lasów, pokrywających północne wzgórza. Przekręcona Niedźwiedzica wlecze za sobą po brzegach widnokręgu świetnego Arkturusa. Wśród tego nieba, przesuwającego się jednolicie, w całym swym ogromie, kroczy swemi drogami pyszny Jowisz i sypie bez drżenia swój spokojny blask srebrny, połyskujący na śniegach; w innej stronie nieba świeci czerwono Mars, a na zachodzie, schwiany ku południowi, majaczy błądy płomień zodiacalnego światła.

Z całego tego, rozprysniętego na iskry, ogniska, sypie się błąda poświata na doliny, leżące pod śniegiem, na białe Tatry, na lasy, przywalone okiścią, na wody, migocące skradzionemi z nieba promieniami.

Oczy nie mogą oderwać się od tego nieba i nie mogą spocząć, błędząc od gwiazdy do gwiazdy, łącząc je i rozrywając, odkrywając coraz nowe, gubiąc już odkryte i znów je odnajdując, tonąc w miękkiem pobrzasku drogi mlecznej i mrużąc się przed ostremi iskrami Syriusza.

Do oczu przychodzi ten blask z za światów i ciągnie myśl pomiędzy te światy i poza nie — w bezdeń.

Dla tego, czyja myśl idzie w te otchłanie gwiazdziste nie z rachunkiem, lecz z wyobraźnią, nie mierzy tych bezmiarów ułamkami jakichś konwencyonalnych wartości, lecz idzie z wyobraźnią i przeciwstawia im siebie, to wplątanie się w gwiazd kołowroty jest niebezpieczną wędrówką. Im jaśniej się wyobrazí swój stosunek do tego czegoś — tem bliżej się jest szaleństwa.

Zwykle nie uświadamiamy, nie wyobrażamy sobie wcale naszego istotnego stosunku do nieba. To, że ono jest, że je widzimy nad głowami, robi takie wrażenie, jak dach, jak powała, wrażenie przykrycia, bezpieczeństwa i zaciszności. Ale oderwawszy się myślą od ziemi i znalazłszy, gdzieś poza nią w przestrzeni punkt idealny, z którego się ją widzi i siebie, wygiętego na jej łuku, nad otchłanią niewymierną, nad czemś, co póty jest, dopóki nie wymawiamy jego nazwy, dopóki nie staramy się tego pojąć, dopóki jest tylko czystem czuciem — nad nieskończonością, — człowiek pojmuje nagle, że wszystkie jego wartości są zerem i wszystko, czem żyje, jest niczem, cała treść jego myśli wyparuje w tę otchłań, a z pustki, która zostaje w duszy, wstaje zimne szaleństwo nicości.

Życie jednostki i życie ludzkości, to wszystko, czem mierzymy wartość naszego bytu: potęga, swoboda, miłość i nienawiść, nieśmiertelna sława, cnota i zbrodnia, twórczość, męczeństwo, — najdłuższe okresy historyi i okresy, które mierzymy epokami geologicznemi, nasze dziś i nasze wczoraj, i nasze jutro, nasz byt i niebyt — rzucone w tę otchłań, przepadają bez śladu.

Myśl przeciwstawiana tej otchłani czasu, temu bezmiarowi przestrzeni, temu ogromowi materyi i tej po-

tędze twórczej, wydaje się jakimś owadem, skaczącym od cyfry do cyfry, od spostrzeżenia do spostrzeżenia, od wniosku do wniosku — małym, nikłym owadem — nicością skazaną na nicość. Ile razy też człowiek przeciwstawia się wszechświatowi myślą, tyle razy wydaje się sobie nieskończenie nędznym i małym, przeciwnie, przeciwstawiając się uczuciem, uczuciem bezwzględnym, jednolitem, wypełniającem całą istotę do dna, czuje się mu równym — lub odeń wyższym...

W taką gwiazdzistą noc tatrzańską przeżywa się to wszystko, co przeżywali od narodzin duszy ludzie, kiedy oderwali oczy od ziemi i wzniesli je ku gwiazdom i kiedy po raz pierwszy odczuli ten poryw ku niedościgłym blaskom, to uświadomienie dali nieprzebytej, dzielącej chęć od możliwości — kiedy się narodziła tęsknota...

Ale noc się kończy. W zmarzłym powietrzu srebrzystego brzasku świeci czysta, promienna Wenus, a na topniejących mrokach niebieskiej kopuły gasną jedne po drugich gwiazdziste płomyki. Perłowa jasność zalewa świat. Z nieba spada na śniegi i odbita od śniegów wraca do nieba, napełniając świat beznadziejnie trzeźwą jasnością, która wkracza wszędzie, ukazuje wszystko, wszystko mówi, rozprasza wszelkie złudzenia i tajemnice.

Nagle, drgnął promień na wschodzie, a za nim gwałtownie wybucha słońce.

W tym prześwieconym do ostatniego półtonu białym świetle, blask słońca na szczytach wydaje się czemś ciężkim, rdzawym, i kiedy cienie Tatr szybko opadają w dół ze wzgórz Gubałówki, zdają się one

rozżarzoną bryłą, wiszącą w nikłym przezroczu powietrznym.

Niskie zimowe słońce przesuwa się poza górami, stojącymi w niesplamionej niczem bieli, jasnymi od światła, odbitych z dna dolin, ciemnymi tam, gdzie ich cień granatowy pada na sąsiednie ściany i zbocza i słyka się z płomienistym blaskiem, skrzącej się bieli śniegowej. Niebo ciemne u zenitu, na północnej stronie przechodzi prawie w zieleń seledynową, tak przejrzystą, jak szyba szkła, za którą się pali bajecznej czystości ognisko.

Słońce czepia się szczerbatej białej grani Tatr, ślizga się przez przełęcze, wdziera się w wąwozy, sypie się po zwałach okiści, skrzy się w wodach potoków, łamie się w soplach wodospadów, — drży, mieni się, błyszczy, szaleje — ślepi. Z całego świata wstaje siła rzeźwa i promienna, radość przepojona blaskiem, czystość niepokalana, nadzieja niezmacona. Świat zdaje się dochodzić kresów rozwoju i zatrzymywać się u szczytu doskonałości, która już się nie przeobraża, nie niszczy się, nie wywołuje nędz i dramatów istnienia, nie wydaje brudu, rozpadu, gnicia.

Ale poza tym cudem są ludzie, którym zimno...

Słońce prędko kończy swój dzień i staczając się za zachodni zrub Tatr, zapala łunę czerwoną na śniegach. Szczyty żarzą się przez chwilę, wyrąbane ostro na tle nieba, a gdy łuna gaśnie, trupia, smutna bladeńca roztacza się po nich. Lecz po chwili znów się zapala na wirchach świetny różowy pobrzask, a na tle ciemnego nieba, które ogarnia mrok wieczoru, zapala się gwiazda jedna, druga — zapalają się miliony... Znowu

noc gwiaździsta ogarnia tajemnicze, mroźne otchłanie powietrza.

I idą, jedne za drugimi, takie dnie, szalejące blaskiem i takie noce, zasypane gwiazdami.

Mróz, z nocy na noc, coraz potężniej wżera się w ziemię i powietrze. Skrzypi pod nogą, z dźwiękiem przeraźliwym, puka po lesie w marznących pniach i gałęziach, trzaska gdzieś w płotach, strzela w dachach, rozrywając odsłonięte z pod śniegu gonty i płaci wodę w potokach, to jest zamraża je odedna i wywabia ich wody z łożysk, między zaspy śniegowe, między chałupy, na pola i drogi. Zdaje się, że potok stracił przytomność i ślania się pijany, nie wiedząc gdzie i po co.

Po dniach bezwzględnej ciszy i spokoju, zaczyna się znów praca wiatru. Ze szczytów zrywają się smugi rozpylonego śniegu, unoszone daleko z wiatrem po ciemnym niebie. Zdaje się, że we wszystkich wirchach zapaliły się ogniska wulkanów, kurzące się dymami, skrzącemi się w słońcu. Wiatr schodzi niżej, przegania fale sypkiego światła przez mroczne cienie dolin, potrąca o las, porywa okiść i rozpyla ją w świetliste tumany, schodzi w dolinę i cały świat w blaskach słońca, pod błękitem bezchmurnego nieba, zaczyna się kurzyć smugami, wirami poświaty, porywającej się z dolin, lecącej w kręgach i kłębach w górę i roztopiającej się w błękicie. W lesie urywa się z chrzęstem okiść, spada kaskadami blasku w mroczną głąb', z której ją podrywa podmuch wiatru, wynosi w górę i w słupach żarzących niesie w dal, skrzącą się pyłem świetlistym i pyłem lazurowym. Zdaje się, że wiatr i słońce bawią się tem rozmiataniem i przesypywaniem blasków krystal-

cznych, — nie widać w tem żadnego gospodarczego celu natury, żadnego, dla nikogo i dla niczego pożytku. Nic, tylko pusta i świetna zabawa, zimne i wesołe marnotrawstwo dla samej bezcelowej rozkoszy czynu. Cała rzeźba kurniawy, cały przepych okiści, cała ta doskonałość kształtu, skamieniała w mrozie, przemienia się w lotną, świetlistą mgłę, która zaciera wszystkie stanowcze, określone masy kształtów i rozdrabnia je na mnóstwo szczegółów wytwornych, zręcznych, zmiennych i migotliwych.

Za tym wiatrem, skrzącym się słoneczną zadymką, przychodzą dnie cieplejsze, woda wraca do łożysk potoków, z dachów zwisają potężne sople, śnieg opada niżej, gnieciony własnym ciężarem, lasy odarte z okiści stoją wśród śniegów ciemne, jak wszyte w białą płachtę kawały żałobnego sukna.

Zimny wiatr wschodni, wiejąc ku dolinie zakopiańskiej, rozdziera się na Bachlidzkim Wirchu i Antołówce i wpływa dwoma smugami, zбочem Gubałówki i zбочem regli. Mroźny jego dech skrapla całą parę, dobytą ze śniegów i wlecze ją szaremi kłębami mgieł, które, jak dwa wojska, idące do szturmu, łączą się gdzieś na zachodzie, zlewają się w jedną olbrzymią chmurę, która zawraca się i płynie środkiem doliny ku wschodowi, wypełniając ją od brzegu do brzegu.

W szarej, zimnej gęstwie zginęło wszystko — Tatry, wzgórze, lasy, wsie, chałupy. Ciężka, nieprzejrzana mgła przywarła do samej ziemi, która ledwo majaczeje białością śniegu na odległość kilkunastu kroków. Po świeżo zgasłych blaskach, zdaje się, że ktoś osłonił ziemię, że wieczna martwota i cisza zalegnie na

wieki, że nic się już więcej nie stanie, nie zmieni, że z tego szarego gąszczu niema ucieczki.

Lecz ta mgła brudna, szara, to tylko tkanka, z której zima wyrobi swoje bajeczne cuda. Ledwie załała ona świat, natychmiast zaczyna krystalizować się na wszystkim. Powierzchnia śniegu, lasy, skały, domy, gałęzie jesionów, płoty, wlokące się drogami konie, idący przy nich ludzie, wszystko pokrywa się igiełkami szronu, które gwałtownie zwiększają się, zmieniają się w iglaste blaszki, misternie żłobkowane i wycinane, jak liście drobnych cudownych paproci — raczej jak blade, srebrzyste ich widma. Wszystko, do najdrobniejszej igiełki w smreczynie jest pokryte tym filigranem srebrzystych kryształów, tą przędzą dyamentów, giętkich i podatnych, — nigdzie nie widać innego wątku, nie znać innej barwy, prócz tych, jak z promieni księżyca powstałych, fosforyzujących blaszkowatych iglic. I kiedy wszystką mgłę szarą zmieniła czarowna siła w tę, zdumiewającej drobiazgowości, przerażającej pracowitości sać, której każdy płatek jest zadziwiającem dziełem piękna, — świat się odslania i stoi w słońcu, jednolicie biały, do samego rdzenia. Wszystko, co jest — jest ze śniegu, z mieniających się jego kryształów. Ta subtelna przędza kryształowego filigranu, która zdaje się bezcennem dziełem siły niezmordowanej i niewyczerpanej cierpliwej, tworzącej w radosnej pasyi czynu, w ciągłym zachwycie, ta bajeczna przędza jest niklejsza od pajęczyn, jest jak mgła, którą lekki wiatr roznosi, i rozkrusza muśnięcie ciepła zimowego słońca. Jest to świetna szata z koronek, przetykanych dyamentami, — raz włożona i natychmiast zdarta w strzępy — zniszczona. Sypie się to szkliwo garściami, z szelestem, za lada

drgnięciem gałęzi, unosi się z prądem powietrza, który je miele na proch i dalej niesie i przesypuje.

Przychodzą znowu śnieżyce, sypiące wielkimi płatami śnieg wilgotny i ciężki i znowu ślepiące, gęste kurniawy i waryackie zadymki, zwiększające coraz nowymi zaspami śnieżne pokłady. Na wschodnich stokach gór, w dolinach, za ścianami turni, wzgórz, domów, stożą się coraz potężniejsze garby zbitego, coraz twardszego śniegu. I znowu z tumanów śnieżnych, z melancholijnych szarości mgieł mrocznych, wstają dni jasne, jak cud i noce gwiazdziste, jak marzenie — i znowu przychodzą dni blade i trupie, i noce czarne, beznadziejne. Wiatr i mróz przechadzają się po świecie, z groźną, nieubłaganą surowością, spełniając posłannictwo zimy.

Ale dni idą i słońce, coraz wyżej się wznosi, coraz dłużej świeci i grzeje, coraz mocniej. Ku końcowi lutego, w dni pogodne, topią się śniegi na dachach, na pagrudkach chałup, na brzeżkach, zwróconych ku południowi. Silne promienie słońca, rozgrzewając powierzchnię śniegu, wywołują parowanie, które samo już tak ochładza warstwę powietrza nad śniegiem, że parująca wilgoć natychmiast krystalizuje się, pokrywając całą dolinę i góry cudnymi piórami, strzępiącemi się ze wszystkich powierzchni. Puszysty śnieg nasiąka fioletowym odcieniem, w którym błyszczą wielkie gwiazdy dyamentów, mieniające się kolorami szmaragdów, topazów i rubinów, — błyszczą, z siłą gwiazd rzeczywistych, skrzących się w mroźnych nocach. Cały śnieg dookoła migoce temi blaskami, które widać aż na dalekich stokach wzgórzy, oblanych błękitnymi oparami. Jak okiem sięgnąć, zdaje się, że gwiazdziste niebo spa-

dło na ziemię i wchłonęło cały blask słońca, nie tracąc nic z przepychu blasków swoich gwiazdzistych zastępów. Im dłużej trwa pogoda sucha i mroźna po nocach, tem świetniej i wspanialej występuje ta poświata gwiazd na płynących fioletem i błękitem śnieżystych przegubach.

Świeci we dnie z jasnych, zalanych słońcem przestrzeni i świeci w noc księżycową z mieniących się srebrzystem światłem śniegowych powierzchni. Kiedy księżyc wypływa z za wschodnich [rubieży Tatr, tonie świat w stłumionym brzasku »ametystowej nocy«, którą Sieroszewski ujrzał nad tundrami sybirskiej ziemi. Snujące się ze wschodu, nisko nad ziemią światło, chwyta się prostopadłych ścian górskich i połogich zboczy wzgórz, ślizga się lekko po poziomych płaszczyznach, zatopionych w fiolecie i skrzy się w tych świetnych kryształach, wszytych w puszystą powierzchnię śniegu. Niebo prześwietla się blaskiem księżycy, gasząc drobny gwiazdny i błyszcząc tylko najświetniejszymi skrami, a na ziemi pali się drugie niebo, pełne gwiazd świetnych, mieniących się i drgających dyamentowemi promieniami.

Księżyc, wstępując wyżej na niebo, rozświetla się coraz silniejszym białym blaskiem. Niebo ciemnieje, śniegi zaczynają się skrzyć, jakgdyby same były częścią księżycy, jakgdyby w nich było źródło tego blasku przeczystego. Tam, gdzie sięga blask księżycy, zdaje się jaśnieć pożoga południowa dnia pogodnego, — gdzie cień zalega, śpi noc mroczna, fioletowa, tajemnicza. I ten kontrast tak gwałtowny, stopiony i złączony w jedno przez czar cudownej harmonii koloru, wywołuje podziw, zdumienie, niewiarę w rzeczywistość tego

księżycowego zimnego świata. Zdaje się, że to jakiś nieprawdopodobny sen z bajki, wiedzie przez zaczarowany świat, utworzony z nieznanych pierwiastków, z czystego światła, z czystych barw, zmrożonych w przezroczyste kryształy.

Zwłaszcza las, tak tajemniczy w ciemnych głębiach i tak oślepiająco jasny i jawny w świetle, tak skrzący się, mieniący się odbitami od tysiąca powierzchni promieniami, tak w każdej chwili, na każdym kroku niespodziany i zdumiewający grą cieni czarno-granatowych, ścielących się w poprzek drogi i smug, oślepiającego, przezystego blasku, na który trzeba stąpić, — jest tak dziwnym, że się w nim zatracą świadomość wszystkich nędz życia i wierzy się, że się idzie tam, skąd się nie wraca, w kraj świetlisty, zaczarowany, zbudowany z urzeczywistnionych marzeń i nadziei. Oczy nie mogą oderwać się od tego obrazu, w którym, od czystego blasku, do najgłębszego cienia, znajdują wszystko, co może dać pełne wrażenie światła. Śnieg, zdaje się już promieniować czystym światłem, lecz pomiędzy gałęziami, ociążałami okiścią, migają jeszcze jaśniejsze gwiazdy, błyszczą ślepiąco księżyc, a niekiedy, gdzieś u zenitu, przelatujący meteor, ciska w tę świetlistą atmosferę różowawe, nagłe, błyskawiczne światło. Cienie smreków, rozsnucone na śniegu, zdają się ciemnymi do czarności, lecz w tej płataninie mroków i światła, oko natrafia na jeszcze ciemniejsze plamy odświetlonej smreczyny i doznaje radości z podniesienia siły wrażenia. Jest w tem bezwzględny spokój doskonałej harmonii i bezwzględna siła kontrastowej zmienności, dające pełnię i rozkosz wzrokowych wrażeń. Zresztą, czy my znamy wszystkie przyczyny wrażeń, odbieranych od

świata zewnętrznego, czy znamy wszystkie zazębienia się duszy z oceanem zjawisk, w którym ona tonie, raz w absolutnej z nim zgodzie, to znowu w bezwzględnej przeciwieństwie?...

Noc zimowa w Tatrach jest jednym z najdziwniejszych zjawisk, jakie oglądają oczy i najdziwniejszych wrażeń, jakich doznaje dusza.

Po nocy promiennej, przychodzi dzień świetlisty. Słońce w południowych godzinach stapia powierzchnię śniegu, która zamarza w nocy, tworząc śreń, skorupę, po której można iść bez zapadnięcia się i która w końcu pokrywa się lodowem szklivem. Na graniach, na wygładzonych przez śniegi przełęczach, na połogich szczytach, zaczyna połyskiwać, jak polerowany metal, ta powłoka śreni, zmieniając Tatry w mur ze srebra, nabijany szafirami, turkusami i ametystami.

I znowu, po dniach do zdumienia jasnych, przychodzą dnie szare, po świetlistych nocach, głucho, czarne, gęste i rozpaczliwe mroki. Wracają kurniawy, zadymki i śnieżyce, zwalając, coraz potężniejsze garby śniegu, stłaczając go i ubijając po dolinach, zasuwając żleby, wypiętrzając na przełęczach. Zima trwa z uporem biernego bezwładu i pracuje ze zmiennością i zapamiętaniem szaleńca.

Aż jednego dnia, z za zrębu Tatr, zaczynają ukazywać się kłębki białych obłoczków, lecących szybko i roztopiających się w słońcu. Nagle, od regli, przeciąga gorące, duszne tchnienie, jedno — drugie, — znowu cisza, — znowu gwałtowniejszy gorący oddech, las pochylił się, jak łan zboża, jękły ściany i dachy chałup, żałośnie wycie zaskomliło u węgła, ponury, potężny szum, jak szum fali morza, zerwał się z targniętych gwał-

townie koron jesionów — to Wiatr halny, wróg zimy i zwiastun wiosny.

Ponad Giewontem kłębi się potężny wał chmur, sypiąc się z rozpacziwym musem w mroczną głąb dolin, księżyc, poza lecącymi mgłami, błyska, ginie, mającżeje światłem i mrokiem; w rozdartych kłębowiskach chmur, na czarnym błękicie nieba, drgają przerażone gwiazdy. Ruchomy mrok kotłuje się w reglach i z cieniem chmur, przelatuje po śniegu, leżącym ociężale w świetle przymglonem półcieniami fioletowej gazy. Gdzieś skrzy się potok blaskami księżycy i para smreków, targana burzą, gnie się, szarpie się, słania się do ziemi, targa się i szamoce w rozpacziwej niemocy. Ze śniegu, topniejącego pod dusznym, gorącym tchem wiatru, nie zrywa się żaden pył zadymki, tylko z drgającej pozłotą fali potoku, wylatują, jak płomienie, strzepy porwanej przez wiatr wody, rozpylanej w mrokach przelatujących cieni. Chwilami, z tego nawału burzy, wydziera się, jak zgrzyt namiętnej złości, jakiś osobny, wściekły, kręty, wirowaty podmuch, ciska się w las i z nieprzytomną pasyą łamie smreki, walące się tysiącami, z trzaskiem karabinowego ognia.

Wał chmur, bez przerwy, wali się łbem na dół przez Tatry, nad nim szarpia się i ulatują gwałtownie w górę jego strzepy, porywając promienie księżycy. Przelatujące chmury odsłaniają świat, srebrzący się w śnieżnej bieli, porozrywanej żałobnymi plamami czarnych, odartych z okiści lasów. Poświsty, wycia, szum smreków, ryk jesionów, huk zasp, spadających z dachów, wszystko zlewa się w olbrzymi ryk oceanu, szturmującego skaliste twierdze łądów.

A kiedy wstające słońce wyjrzy gdzieś z za Spi-

skiej turni, w jego blaskach widać ogromne płaty rudej ziemi, widać odkryte stoki południowe i podarte płachty zimy w dolinach, i poza północnymi zboczami, widać las zgruchotany, zawałający drogi, zasypyany gałęziami i cetyną, która pachnie jak wianki żałobne pogrzebów.

Wściekłe zęby wichru potargały zimę na strzępy, ale tylko w dolinie, bo na Tatrach jeszcze leży pokrowiec śniegowy, gdzieniegdzie tylko rozpruty przez ostry zrąb grani i iglice wirchów.

Ale zima się nie poddaje, przychodzą nowe kurniawy, mróz dobywa rozpaczliwych sił i skuwa napowrót powierzchnię śniegu. Znowu świat biały, jak z jednej bryły śnieżystej. I ta walka wiosny z zimą trwa w maju, trwa jeszcze w czerwcu, w którym, niekiedy, zwalają się śniegi potworne. Spada na nie ciepły deszcz z burzą i wszystko razem, jak w dniach potopu, niesie się łożyskami wód w dolinę, rozszarpując ją potworną, spienioną, rudą falą, niosącą potężne wanty, smreki i jedle i wstrząsającą przestwór ogłuszającym hukiem.

Tak rodzi się, żyje, pracuje, tworzy i kona tatrzańska zima. Ona to jeszcze długo będzie bronić Tatr przed zalewem pospolitości i powszedniości.

Jeżeli jednak ona nie obroni, ludzie się nie opamiętają i pójdą konsekwentnie od kolei na Świnicę do wszystkich dalszych następstw tego faktu, staniemy się ubożsi o jeden skarb, o częśćkę którego tak niedawno walczyliśmy i która, dzięki zwycięstwu słuszności i sprawiedliwości została ocaloną.

Kto się wychował na Pieśni o ziemi naszej Pola, kto od dzieciństwa przywykł myśleć, że »Łomnica świeci ziemi polskiej do dnia«, ten, wobec rzeczywistości, która geograficzną przepaską każe świe-

cić Łomnicy ziemi węgierskiej, doznaje rozczarowania, nie może z tą rzeczywistością się pogodzić i w głębi duszy myśli o Tatrach, jako o ziemi, na której niema różnych właścicieli. Ale oni są i na tych graniach i halach nienawiść plemienna, lub zawiść o posiadanie nieraz pisały krwią swoje dzieje, a granica Polski i Węgier była przez te ostatnie zmienianą samowolnie, dzięki niedbalstwu, z jakim te pustynne krańce były przez Polskę strzeżone. Niedbalstwu i niedołęstwu, które omal co nie stało się przyczyną utraty części Tatr: Morskiego Oka i Rysów przy ostatnim sporze. Że się tak nie stało, zasługą to jest Władysława hr. Zamoyskiego, który w tę sprawę walki o polską ziemię włożył całą swoją energię czynu i upartą wolę, broniąc z jednej strony Morskiego Oka przed faktycznem zajęciem go przez Węgrów, z drugiej zaś, swoją niezmordowaną czynnością, budząc opinię publiczną i nie dając władzom, niedbającym o pustki i nieużytki, dać, dla spokoju, za wygranę.

Ludzie trzeźwi, to jest ciaśni i pospolici, z ironicznym zdziwieniem patrzyli na tę walkę o skały i wody, których jedyną wartością było ich piękno, ich czar legendowy, — na tę walkę, która często przybierała charakter podjazdowych utarczek na kresach. Niszczenie stawianych przez Węgrów schronisk, obalanie potężnych, ciągnących się, kradzionemi granicami, płótów, posyłanie ostrzegawczych kulek z za turni, obok kilkudziesięciu tysięcy podpisów na petycyi do sejmu, nieustająca, uporczywa i bezwzględna walka, doprowadziła w końcu do międzynarodowego sądu, który rozstrzygnął spór tak, jak każe sprawiedliwość. Rozjem-

cami i rzeczoznawcami byli Szwajcarzy, którzy nic nie dziwili się, że z taką pasją się walczy o gołe granie wirchów, pustynne krzesanice turni, usypiska piargów, kosówkowe gąszcze i odludne ciche jeziora. Ubliżylibyśmy jednak ich prawemu charakterowi, gdybyśmy w tem widzieli objaw sympatyi dla nas, sądzili oni tak, bo tak kazała prawda — ona zwyciężyła.

Węgrzy wołali: — Utraciliśmy najpiękniejszą perłę w koronie św. Stefana! i wyrzucali swemu społeczeństwu obojętność i niedołęstwo, z jakim traktowało tę sprawę, podnosząc jednomyślność i zapał, z jakim Polacy »od dziada, — jak mówili — który się modlił przy krzyżu, do ludzi najwybitniejszych i najwyższych dygnitarzy» bronili granic swojej Ojczyzny. I rzeczywiście, dzięki niezmordowanej agitacyi hr. Zamoyskiego, sprawa ta stała się w opinii ogółu pierwszorzędną sprawą narodową, a wyrok sądu rozjemczego w Gracu wywołał powszechną radość i entuzjazm. Tylko ludzie trzeźwi, którzy stali z boku, przezuwając pospolitość dusz własnych i krótkowidztwo umysłów, pojmujących tylko wartość tego, co się w ostatecznym rachunku daje obliczyć na pieniądze, ci tylko twierdzili, że dzieciństwem i głupstwem jest ta radość z uzyskania tytułów posiadania kupy bezpłodnych kamieni.

Ludzi trzeźwych, jak wiadomo, rozmnożyło się u nas w ostatnich czterdziestu latach, znacznie ponad istotną potrzebę życia. U Morskiego Oka i w każdym innym wypadku, występują oni ze swoją mądrością chleba powszedniego i dnia dzisiejszego, — nie widząc nic w przyszłości i z beznadziejnym materializmem wyszukując jedynie wartości realnych, to jest tego, co

można dostać, nie walcząc, co jest resztką prac i walk dawnych pokoleń, co leży gotowe i zaspakaja potrzeby powszedniego egoizmu. Ludzie tacy, nie rozumieją, że nie można Ojczyzny dzielić na ziemie użyteczne i nieużyteczne, że Ojczyzna jest idea, obejmującą dany obszar ziemi, w który wsiąkło życie narodu przez wieki jego trwania, walk, znojów, klęsk, zwycięstw, rozpacz i radości. Zredukujmy pojęcie ziemi ojczystej do zysków, które ona daje, a zamienimy ją na towar, który pokutujący w społeczeństwie człowiek realny — handlarz, wyprzeda więcej dającemu. Całość Ojczyzny utrzymuje duch ludzki, — nie można z niej robić interesu, nie można obliczać jej wartości ilością ziaren pszenicy, które ona daje, ilością wieprzy, które się nią wykarmią...

Zwycięstwo też prawdy i sprawiedliwości w sprawie Morskiego Oka, było dobrem i krzepiacem zwycięstwem, dlatego, że je odniósł naród, za którym nie stoi siła i odniósł w sprawie, w której chodziło tylko o wartość idealną, — o bezużyteczne, ze stanowiska pospolitego rachunku, pustki, których jedyną wartością jest czar piękna.

Zwycięstwo to było też, jakby zapowiedzią zmiany w losach naszego narodu. Wiek XX rozpoczął się niem, jakby zapowiadając zmianę, w kierunku biegu historycznych zdarzeń, i zmiana ta, coraz silniej i wyraźniej, określa się w dalszym rozwoju wypadków...

I jeszcze jedno. O cokolwiek ludzie walczą, o idealną, czy o realną wartość, zawsze tej walce towarzyszy podłe uczucie zawiści i nienawiści, — mieszało się też ono w sprawę Morskiego Oka. Rozstrzygnięcie jej sprawiedliwe, zadowoliło nas, ukoilo też w końcu żal

Węgrów i pogrzebało, raz na zawsze, strzegącą dotąd tatrzańskich granic, zawiść, — oczyściło Tatry, z jednej z najpodlejszych zmor świata ludzkiego — nienawiści plemiennej.

Zakopane.

1903—1905.

TATRY W ŚNIEGU

I.

Oblane blaskiem słońca, pokryte grubą warstwą śniegu, spiętrzone piramidy skał rzucają, jedna na drugą, milowej wielkości płyty błękitnych cieni. Światła, odbite od tysiąca różnie pogiętych płaszczyzn, wysyłają gdzieś w przestrzeń swoje drżące promienie, wsiąkające w mroki cieniów, które napęlniają dziwnymi tonami barw nikłych, łączących się z błękitem nieba i tworzących ze skalnej ściany jakieś wodne przezrocza.

Tam znów, cień rzucony, ciemny, granatowy, wygina się po pochyłościach skał łukiem, który mu nadaje jakiś rozpęd — zdaje się, że ten cień płynie razem z otaczającą go bielą. Na graniach śnieg, wygładzony śrenią, błyszczy jak srebrna lama, lub połysk zrębu fali, albo się bieli, jak potworny szmat piany.

Wtedy to cała zakopiańska dolina wydaje się rozdołem między dwiema falami, płynącemi z południa ku północy.

Pod szklaną kopułą bezchmurnego nieba płynie ta dziwna lawa ze srebra, błękitów, opalów i fioletów, ślepiąc wzrok swoją szaloną białością; majacząc swemi zmiennemi kształtami, łudzac swemi rozmiarami, wypu-

kłóścią i czystością konturów, wyciętych na tle nieba. Od nóg naszych do krańców widnokręgu zdaje się być ledwie kilka kroków. Tu biel ślepiąca i tam taka sama, ledwie odrobinę zabarwiona różowo. Piramida jakiegoś dalekiego szczytu zdaje się sterczyć z pochyłego zrębu pagórka, na którym stoimy. Perspektywa powietrzna w tej bachanalii światła prawie znika, tylko cienie, które zblizka zdają się być plamą ultramaryny, na dalekościach bardziej tracą na sile.

Jeżeli wogóle ludzie z dolin z trudnością orientują się w przestrzeniach górskich, to już zimą pozostają całkiem na łasce optycznych złudzeń. Doznaje się tu ciągle tego wrażenia, że góra ucieka, lub, że jakaś dziwna siła przestrzeń przebytą napowrót pod nogi kładzie. Ta oto grań błękitna, odcięta od nieba płatkami białych światła, jest tak bliska, że się zrywa iść na nią i dopiero, kiedy spłoszone kozice powędrowały przez zasy ku szczytom turni i rozpląnęły się w błękicie, nie doszedłszy wirchu, wtedy się dowiaduje człowiek »dólski«, że napróżno próbowałby tam sięgnąć — ani dnia, ani sił by mu nie starczyło.

Słońce, wstające gdzieś za Hawranem, przechodząc ponad śnieżnymi ścianami, oświecając coraz to nowe płaszczyzny, przesuwając światła na miejsce cieniów, mroki na miejsce blasków, zachodząc za grzbiety wirchów, porusza cały ten chaotyczny świat kształtów, tworząc coraz to nowe dziwy, nadając coraz to nowy charakter pojedynczym górom. To je rozlewa w białe i jasne pola, to piętrzy w ciemne fioletowe piramidy. Kiedy przyjdzie ponad Giewont, robi z niego jakąś fałę, stojącą dęba, nad którą białe i lśniące śniegi Czerwonego Wirchu kipią, jak piana.

Słońce idzie dalej, zniża się, stacza ku zachodowi i nim się skryje za Orawicę, odcina od swych blasków ciemny zrąb Osobitej, muska promieniami czubki pagórków, fałdujących dolinę, rzuca cienie bez końca od drzew i chałup, stojących na dalekości i znika. Siny mrok zalega doliny; na wirchach błyska pobrzask różowy, niebo za nimi ciemnieje i jasny promień jakiejś wielkiej gwiazdy drży, zawieszony w fioletowej bezdni. W końcu ostatki blasków słonecznych wsiąkły w mrok nocy — ponad czarnymi lasami regli mającej się śniegi szczytów, na tle ciemnego, skrzącego się gwiazdami nieba.

Wracamy do wsi. Oczom porażonym całodziennem wpatrywaniem się w blask słońca, odbitego tysiąc-krotnie od śniegów, wszystkie światła wydają się zielone.

II.

W dolinie śnieg stajał. Południowe stoki niższych wzgórz, szarzały na tle płowego marcowego nieba, potoki rozlewały się szerzej, szumiały głośniej i gwałtowniej się kłębiły wśród kamieni, zawałających ich łożyska.

Droga lśniła się blaskami odbitego w błocie słońca i błękitu, na urwiskach pagórków żółciły się kwiaty podbiału i różowiały stokrocie. Tem dziwniej przedstawiały się góry, oblepione szczelnie śniegiem i regle, okryte lasem, posiwiałym od szronu — cała ta wielka zima, biała i czysta, wznosząca się z szaro-rudego dna doliny.

W taki dzień i wśród takiego pejzażu jechaliśmy do Morskiego Oka.

Naprzód wygodnym wozem, którego koła dudniły po skorupach lodowych, pokrywających potoczki, ukryte w cieniu; potem, od Bukowiny góralskimi saneczkami; w końcu pieszo, brnąc w śnieżnym nasypie wyżej pasa.

Wciśnięci grzbietami w poręcz sanek, oparci nogami o przód, trzymaliśmy się ich całą siłą, ażeby nie leżeć w śniegu na drodze, którą Jarząbek nazywał dobrą, a która była taką, o tyle tylko, o ile jego silne ramiona dźwigały w garści nas i sanki, równoważąc wyboje, pochyłości i zakręty śnieżne. Mały zręczny i nadzwyczaj inteligentny koń, posłuszny każdemu słowu, wrzynał się zadniemi nogami, prawie siadał, trzymając z góry, lub najsumienniej brał na lewo, albo na prawo, stosownie do rozkazu. Ciągłe też rozlegało się za nami: Wiś! Wiś! albo: — Hajt! Hajt!

Tak, przewalając się z boku na bok, wędrowaliśmy polaną Głodówki; prosto na zataczającą się przed nami ścianę śnieżną, szczerbatą potężnemi ornamentami pojedynczych turni, których nazwy wyliczali moi towarzysze.

Taka, wprawdzie jednostronna, rekomendacya ma swój urok. Wielkie osobistości gór mają taką wybitną indywidualność charakteru, tak się zdają żywe, że to nazwisko potrzebne im jest, jak człowiekowi.

Oto dziwna turnia Murania, która, widziana z Zakopanego, niknie w ogromie stojących za nią: Hawrania i Nowego. Tu, gdy widzimy ją, zjeżdżając w cieniu zbocza góry, sterczy przed nami, ponad czarnym lasem, jak potężny, bajeczny pień jakiegoś naprawdę niebotycznego smreka.

Cicho tu i pusto.

Natura jest tak olbrzymia, tak się zdaje w tej niedostępnej bieli śnieżnej u siebie, ponad ludźmi i poza ludźmi, że się ze zdziwieniem patrzy i na swoją tu obecność i na dymy węglarek, ciągnące się między zaśnieżonemi świerkami i na zasmolonych uhlarów.

Jedziemy dalej. Droga, ciągle uczepiona do stoku góry, stacza się w dolinę Białki, którą widzimy u stóp, pieniającą się i szumiącą wśród omszałych, lub wybielonych wodą odłamów skalnych i zasp śnieżnych.

Dojeżdżamy, raczej dochodzimy do tartaku w Łysej, ponad którym wznosi się szara, stroma skała, po której załamach pną się w górę wysmukłe sosny. Tam, przed nami, ponad lasem, widać fioletową, lekko poszczerbioną ścianę Miękuszwieckich turni, u stóp których leży Morskie Oko.

Słońce zachodzi z prawej strony. Wjeżdżamy w las — droga coraz mniej jeżdżona, ledwo przetarta płozami kilku sanek i końcami kilku belek, wleczonych z lasu, w końcu niema jej wcale.

Nasi górale zatrzymują konie, ścinają kilka obumarłych smreków — »s u c h a r z y«, na rozpalenie ogniska. Stajemy przed jakimiś wrótkami, których ledwie szpice sterczą ponad śniegiem. Mrok wieczoru gęstniał nieznacznie, wśród ciszy czarnego, drzemiącego lasu.

Jesteśmy w Roztoce.

Wchodząc do tej pustej chałupy, zbudowanej tak pierwotnie — bez okien, z czarnem okropnem ogniskiem, zawalonem śniegiem, przypominają się wszystkie bajki dziecinne o tych chatach na pustkowiu, stojących w głębi strasznych lasów, do których nocami się schodzą wiedźmy i zbójcy.

Na tej pustyni, to mieszkanie ludzkie, bez ludzi,

ten dom bez właściciela i gospodarza, do którego nie ma śladu drogi, koło którego nie ma śladu życia — razi. Zdaje się, że tu mór przeszedł i wymiół życie, lub, że to jakaś zasadzka, że jakaś zła siła kryje się po ciemnych kątach, lub czai się na poddaszu...

Nic z tego.

Górale przedeptują drogę do stodółki i pocziwe, zziajane konie po prostu płyną w śniegu, przewalając się na brzuchu, łopocąc nogami i wlokąc za sobą sanki, idące po wierzchu.

Połupane ciupagami sucharze zajęły się wkrótce wielkim płomieniem, napełniając czarną i ciasną izbę czerwonym blaskiem i dymem.

Na dworze tymczasem zapadła noc zupełna, czarna, pochmurna, w której cieniu ledwo widniała białość śniegów.

Nasi przewodnicy znają tu jednak każdy zakątek, są właściwymi tej pustki gospodarzami i kiedy przyszedł czas na gotowanie herbaty, poszli po wodę. W dwumetrowej warstwie śniegu Roj wykopał dół, na dnie którego szemrało źródło, Sabała stał nad nim i świecił pochodnią. Robili rzecz prostą, a zdawali się zajęci czemś bajecznem, lub zbrodniczem, na tle czarnej ciemni, tem czarniejszej, że odbitej od blasku pochodni.

III.

Jakkolwiek schroniska tatrzańskie są stawiane już w naszych czasach, przedstawiają jednak zaledwie najelementarniejszy typ budownictwa i wygod. Są to chałupy drewniane, w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Niema tu nic z żelaza, nic ze szkła i bodaj nic z ka-

mienia. Okna zasuwają się deskami, drzwi skrzypią na drewnianych zawiasach, ognisko i okap z belek, ledwo przykrytych gliną.

Kuchnia, w której nocujemy, z niewiadomych powodów, ma ledwie po kilka łokci we wszystkich wymiarach, a za okno służy jej otwór, wyrąbany w grubości belki. To też pieczemy się z jednej strony przy olbrzymim ogniu, kiedy z drugiej jesteśmy obwiewani przyjemnym chłodem ze dworu. Dym, tłoczący się z pod okapu, wisi, jak chmura nad głowami, przesłaniając czarną powałę.

Pomimo to wszystko, nie jest nam bynajmniej źle na tem odludziu. Górale są dobrymi towarzyszami, a Wojciech Roj, który właśnie warzy »herbę« — doskonałym gospodarzem. Zachowuje się on na tem skalnem i śnieżnem pustkowiu, jak jego rzeczywisty gospodarz; on tu przyjmuje gości, w imieniu kamiennych panów o dziwacznych nazwach, których właściwie przyszliśmy odwiedzić, a których łby, kryte śniegiem, toną teraz w czerni nocnego mroku.

Górale zdają się być nie do zmęczenia i wyczerpania. Po całodziennych trudach podróży, odbytej przy bardzo lekkim pożywieniu — był to post — nie ukazują najmniejszego znużenia, są rzeźwi i weseli, dobrzy do gawędy i zabawy. Stłoczeni koło ogniska, z krótkimi fajeczkami w zębach, słuchają gawędy Sabały, lub skrzypienia jego gęślików, tak, jakgdyby siedzieli u siebie, lub w karczmie.

Uprzejmość i gospodarność Roja nie ustaje, dopóki wszyscy nie napili się i nie najedli i dopiero, kiedy nikt już nie chce nic od niego przyjąć, wtedy nalewa sobie herby i raczy się, jak Odys.

Wojtek Roj należy zapewne do najnowszego typu obywateli górskich. Zachowawszy całą dzielność, sprężystość, przedsiębiorczość i odwagę swojej rasy, jest obok tego pracowitym, zabiegliwym, praktycznym i sumiennym. Przeszedł on już straszne biedy, przetrwał ciężkie czasy i nieraz go we śnie »laskotała niebożycka«, zwiastująca nieszczęście. Dziś, kiedy się liczy do zamożniejszych gazdów i najlepszych przewodników, wspomina przeszłość, wzdychając, co mu nie przeszkadza śmiać się z całego gardła, kiedy słucha opowiadań i konceptów Sabaty. Twarz jego nie ma zresztą nic z typu wązkich, o garbatych nosach, twarzy góralskich — jest to okrągła, otwarta twarz polskiego chłopca, na której maluje się spryt i dobrodusznym wesołość.

Roj pozbył się wielu złych obyczajów góralskich. Do niego nie może się stosować ta piosenka, wyśmiewająca skąpstwo, czy też lichy życie górali:

Nie tak mi matki zał, jak mi klusków luto,
Nie zjadłbyk ik dzisiaj, schowałbyk na jutro.

Śpiewa w niej góral, dowiedziawszy się, że matka, która »jesce wcoraj« kluski jadła, umarła. Dzieci Roja świecą się rumianami policzkami na tle bladych i zielonkawych twarzy innych góralików. W jego chacie nie ma zaduchu, spiekoty i brudu, w jakich zimują inni.

Wnętrze chaty góralskiej w zimie jest istotnie okropne. Gorąco straszliwe, gdyż ogień nie ustaje chyba nigdy; — przez kratki z pod pieca wyglądają łebki białych jagniąt; parę cielaków włóczy się po izbie, przekomarzając się z dziećmi, a chociaż rządna gaździna podstawia im ceberek, poznając zapewne z miny, kiedy już czas — niemniej jednak w powietrzu czuć zapach

obory. Pod piecem na ławie kaszle stary dziad, z długimi, zmoczonymi zjełczałem masłem włosami; baby, siedząc na ziemi, skrobią »grule« — a gazda, choć na dworze słońce i ciepło, ubrany w serdak, struże pług, oblewając się potem.

Kiedy się wyjdzie z takiej izby, to czyste powietrze dworu pachnie, jak gdyby nie śnieg leżał na łąkach, lecz zieleniła się trawa i skrzyły się jakieś pyszne kwiaty.

Zapewne, nie wszędzie tak jest, jednak to, co tu mówię, jest wzięte z natury i wiele razy sprawdzone.

Taką brudną i cuchnącą, choć ozdobną jest właściwa izba mieszkalna, lecz po drugiej stronie sieni znajduje się izba biała, nieopalana — salon góralski, nadzwyczaj charakterystyczny, w którym zebrane jest to, co stanowi zbytek w sprzętach i ubraniu i to, co wyraża upodobanie w pewnych formach piękna.

Zaczawszy od pułapu, podtrzymywanego w środku przez pojedynczą belkę: s o s r ą b, wyciosaną ozdobnie, w środku której widnieje, wśród ornamentów, rok wystawienia chałupy, skończywszy na stole, stołkach, łyżniku, półce, na której lśnią fajansowe, często stare i ciekawe miski, wszędzie odbija się pewien typ piękna, styl, czyli pewien powtarzający się charakter linii.

Wogóle chata góralska jest już wyższym typem budownictwa, w którym strona użyteczna jest przyozdobiona wyrazem pewnych potrzeb estetycznych. Jest to już nie surowy materiał, ale dość wyrobiony styl, z którego mogłoby się rozwinąć samodzielne i nowe budownictwo.

Dziś, kiedy bardziej, niż kiedykolwiek, chodzićby nam powinno o wydobycie i rozwinięcie wszystkich

możliwych, naturalnie dodatnich cech plemiennych, trzeba się i z tem zwrócić do ludu, który jeszcze przechował ślady jakichś odrębnych, szczególnych form piękna. Nie trzeba tylko przystępować do tego materiału z gotowymi szablonami znanych stylów i mierzyć jego wartość wyrobionemi formami gotyku, czy renesansu. Nie trzeba zapominać, że i one wyszły z paru głązów, paru belek, związanych niezgrabnemi rękami, jakichś kopalnych budowniczych.

Jeden ze zmarłych naszych malarzy tak tłumaczył uczniom twórczość artystyczną: »Widzi jegomość — talent i natura! Chopin usłyszał tralala-tralala — i mazurek«. To znaczy, że w tem gędzioleniu ludowej muzyki leży materiał dla talentu, który bierze ten prosty motyw ludowy, rozwija, wkłada weń wszelkie zdobycze swojej sztuki, nie zatracając jednak pierwotnego charakteru i wzbogaca ogólną, wszechludzką cywilizację jakimś nowym wyrazem ducha.

Dziwić się też doprawdy należy, że w żadnej z budowli, stawianych przez »gości« w Zakopanem, nie spróbowano zużyć tak oryginalnych motywów budownictwa. A co gorsza, że w tem, co dziś stawiają górale, zaciera się cecha miejscowa, a występuje naśladownictwo i tak już pozbawionych charakteru domów i willi, których styl jest szwajcarszczyzną, rozproszoną w jakimś kosmopolitycznym sosie.

Podobnie szkoła snycerska, zakład pod innemi względami prowadzony dobrze i poważnie, nie zrobiła nic z ozdobnych lub charakterystycznych form, które cechują drobne sprzęty góralskie. Oprócz głowy górala, osadzonej na trzonku noża, wszystkie zresztą dro-

biazgi, wychodzące ze szkoły, mogłyby ujść za wyrób wiedeński, tyrolski, czy jakikolwiekby inny.

Stare chałupy góralskie są budowane z pysznych kłód świerkowych, których pięć do sześciu, wystarcza na całą, stosunkowo znaczną, wysokość ścian chaty.

Teraz już o taki materiał trudno, gdyż las ucieka coraz dalej w góry.

Cała dolina Zakopiańska szumiała niegdyś jednym czarnym lasem świerkowym, przez który rwały potoki, zatapiając niższe miejsca i tworząc młaki, czyli trzęsawiska. Dziś ledwo trochę lasu zostało w dolinie, a podgolone regle odsłaniają swoją kamienistą powierzchnię.

Limba, cedr tatrzański, który służył dawniej do wyrobu sprzętów domowych, skrzyń na odzież, dziś kryje się po niedostępnych miejscach, na skraju skalnej pustyni, zdaleka od ludzi; rośnie samotnie, lub w małych grupach, widny zdaleka po wielkiej, ciemnej koronie.

— »Krowa to ta lasu nie zje, ino siekiera« — tłumaczył się Sabała, kiedy mu zajęto krowę w sadzonym lesie, — las ten w istocie zjadły dawniejsze kuźnice, a dziś żywią się nim jeszcze fabryki tektury.

Lecz wracam do noclegu w Roztoce.

Długo w noc jeszcze słyhać było głos Sabały, który, włożywszy bosc nogi w gorący popiół, »wyciągał« z siebie »rymę« czyli katar.

— »No i dobrze nie bardzo...« — mówił »boski staruch«, nawiązując nić opowiadania, a w izbie rozlegały się śmiechy »krześnicków«, pykanie fajek, trzask kłód, palących się i furkotanie płomienia.

W końcu ułożyli się wszyscy do snu. Szereg bosych pięt dotykał prawie ognia i raz wraz czyjaś stopa,

spieczona [pryskającymi z ogniska iskrami, cofała się i znów wracała na miejsce. Sabała, odwrócony plecami do ognia, wytknął ręce z pomiędzy nóg i przez sen otwierał i zamykał palce: przyzwyczajenie starego myśliwca, który pół życia przespał po turniach, grzejąc się w ten sposób u ogniska.

Ciszę nocną przerwało urwanie się śniegu, który zatrząsłszy chałupą, zleciał z dachu i zwałił się naokoło niej olbrzymim wałem.

IV.

Dzień był szary. Lekki wiatr potrącał wierzchołkami smreków, strząsając okiść, a od czasu do czasu duże, samotne płatki śniegu unosiły się w powietrzu. Wszystko to nie wróżyło pomyślnie dla naszej wycieczki do Morskiego Oka. Pomimo to wyszliśmy jednak rankiem z Roztoki, zostawiwszy Sabałę w schronisku, nie chcąc męczyć starca kilkugodzinnem brnięciem w śniegu.

Jakiś czas, na drodze, wśród lasu, widać było ślady kogoś, co na »karplach« przeszedł po wierzchu śnieżnego nasypu, potem ślady te znikły — szliśmy nietkniętą bielą, jeden za drugim, wtykając nogi w dziury, wybite w śniegu przez idącego na przodzie. Górale nasi zmieniali się, jak żórawie, zastępując zmęczonego w tem przodowaniu. Najłatwiej naturalnie było iść temu, co szedł »na zadku«. Lecz i tak, wywlekanie nogi ze śniegu, zadzieranie w górę i trafianie w tropy poprzednika, jest rzeczywistą i uciążliwą pracą.

Ale to trudno! Maniactwo do gór, czy do jakichkolwiek innych zjawisk przyrody, niesie człowieka bez

widocznej napozór przyczyny i wydobywa z niego energię i wytrzymałość, jakiej w innym wypadku nie zwykł okazywać. Czy to bezinteresowne zamiłowanie w pięknie natury, jest wyrazem wyższego stopnia cywilizacyjnego rozwoju, jak chce Humboldt, czy też obłądem, albo bezwiednem posłuszeństwem jakimś pierwotnym, niewiadomym przyczynom — mniejsza o to — dość, żeśmy szli ciągle naprzód i w górę.

Minęliśmy pastusze szałas, na których leżała olbrzymia śnieżna strzecha i wydostaliśmy się na bezleśną polanę, po której niedawno zapewne przeszły lawiny. Grube pniaki smreków, ogromne krzaki kosodrzewiny, zgruchotane i zmieszane z kłębami zbitego śniegu, zawały drogę. Idący na przodzie Jarząbek zapadał po szyję, płacząc się nogami w gałęziach, ukrytych pod śniegiem. W końcu, drogi nie można już było domacać się wcale, szedł więc każdy, jak mu się widziało, przemykając się chwilami po »śreni« i znów zapadając powyżej pasa.

Jest to zupełna pustynia. Niema tu śladów żywego stworzenia. W lesie tym nie widać żadnych tropów, nie słyhać żadnego ptaka — nic, tylko śnieg i czarne smreki, nad którymi ciemnieją szare zręby łąni. Zdaje się, że oprócz nas i wiatru nikt tej zimy tędy nie chodził. Bo i pocóż by miał tu chodzić? Zwierz na tym śniegu nie będzie szukał żeru; ptak chyba by smreczynę z pod okiści dziobał; miejscowy, góral, jeżeli go nie wyciągną panowie, nie ma też po co tłuc się po tem pustkowiu.

Ten brak życia w lesie i w polu jest, zdaje się, jedną z uderzających cech tatrzańskiej zimy. Mnie przynajmniej, mieszkańca lasów, w których dzwonią

stada jemiołuszek, gdzie skrzeczy sójka, gil czerwieni się w białym szronie, gdzie cietrzew zrywa się z hałasem, gdzie śnieg poznaczony jest skokami zajęcy, lub wystębnowany równym tropem lisa, gdzie wśród gałęzi tańczy wiewiórka w szarem, zimowem futerku — mnie, ten brak życia zwierzęcego raził.

Widzieliśmy wprawdzie, w innej wycieczce, kozice, pasące się na koplinach po niższych miejscach, a kiedy marcowe słońce dobrze już śnieg zjadło, orzeł, »wirc howy, honorny ptak«, jak go nazywa Sabała, zataczał olbrzymie kręgi nad turniami, a przy ciepłym źródle Jaszczurówki, górale ukazywali żaby, pobite jakoby przez puhacza — ale to i wszystko. A chociaż mój przyjaciel i towarzysz wypraw zebrał na Magórze kilka, nie tak cennych, jak niezbitych dowodów obecności zajęcy, zdaje się jednak, że to były skutki uczt letnich, czy też jesiennych...

Po czterogodzinnem brnięciu w śniegu wydobywamy się na skraj pagórka. U stóp naszych leży równiutka biała tarcza, rozesłana aż pod stopy dzikich, w tej chwili prawie czarnych, porozrywanych płatami śniegu, Mięguszowieckich turni. To Morskie Oko. Wobec ogromu, wznoszących się nad nią, ścian skalnych, jest to mały stawek.

Chmury coraz się zniżają; szara opona nagle zakrywa turnie, spada coraz niżej — przez chwilę sterczy ponad nią ostra, śpiczasta, jak gotycka wieża, skała Mnicha, wreszcie wszystko znika w obłoku śnieżnej zadymki. Oto wszystko, cośmy widzieli z Morskiego Oka!

Zresztą, w tym samym czasie na nasze głowy padł zamrok od pewnych flaszek, do których, wycieńczeni pracowitą drogą, odbytą prawie naczczo — bodaj

zbyt skwapliwie zaglądaliśmy. Bądź co bądź było nam tu dobrze.

Schronisko tutejsze, bardziej jeszcze dziko, niż w Roztoce, wyglądało. Kuchnia w zupełnej ruinie, zasypała kopcem śniegu. Nie przeszkodziło to jednak koniecznej w tych wycieczkach »herbie«, łać się strumieniem z kotlika, który się grzał na rozłożonym na dworzem ogniu...

Chmury już się nie rozdarły — nie było nic widać, nie było też co tu robić. Wracaliśmy więc drogą już udeptaną i wypróbowaną. Śnieg polatywał, mroczyło się w lesie, lecz było cicho. Nagle, gdzieś w górze, przeleciało jakieś gwałtowne drzenie, jakiś jakby łopot skrzydeł olbrzymiego ptactwa. Był to wiatr, który się darł przez szczyby turni z południa na północ. Znow cisza — i znow wściekłe szamotanie się, furkot i bełkotanie.

— »Juz ja bym ta z nim nie kciał się spotkać na grani — wziął by chłopaka jak plewe!« — mówił jeden z górali, poglądając w górę, skąd dolatywało groźne warczenie wiatru. Lecz tu w dole była zupełna cisza.

O zmroku już doszliśmy do Roztoki. Nad dachem związał się dym, a w chałupie jęczały gęśliki Sabały.

1886 r.

NA PRZEŁĘCZY

I.

Był upał. Słońce popołudniowe topiło się w białym blasku, zalewając pożogą promieni drżących, srebrno-szarych, połamane dachy i strzeliste szczyty wież, których cienie roztaczały się po ścianach domów, kładły się długimi plamami po obszarach placów, lub sięgały w głąb wązkich ulic.

W pustym rynku drzemało parę doróżkarskich koni i z rzadka przemykał się jasny parasol, z pod którego wyzierały nogi, lub spódnice i wlokąca się za nimi plamka cieniu.

Na linii A—B, po której zwykle przechadza się, zezując »pod Barany«, opinia publiczna Krakowa, dziś przesuwała się za słońcem tylko cienie latarni gazowych.

Nie było widać ani ładnych, lub pięknie ubranych kobiet; ani cienkonogich lejtnantów piechoty, obciążających wązkie kurtki, ani ułańskich poruczników, kokietujących złotemi ogonkami swoich dołmanów.

Przed rozpalonem do wściekłości słońcem uciekli przyszli ministrowie i aspiranci do prezydyalnego fotelu, politycy wszelkich stronnictw... i członkowie niezliczonych komisyj, podkomisyj, komitetów i »ankiet«. Cała ta »stolica bez mieszkańców«, która na tym wązkim

skrawku asfaltu daje sobie rendez-vous i walczy wszystkimi przeciwieństwami ambycyi — cała ta stolica, dyssała teraz pod okurzonemi kasztanami plantacyj, kryła się po kawiarniach, we wnętrzu tych ciemnych i ponurych domów, lub po tych »ubikacyach«, które tu, w Krakowie, nazywają pałacami.

Rzadcy przechodnie, byli to przejezdni, kręcący się około bud wekslarskich, kupujący na wagę złota »reńskie«, lub stojący w miejscu z zadartemi głowami, przysłaniający oczy przed blaskiem słońca i zdający się liczyć kamienie i cegły w ścianach starych murów.

Światło, to życie architektury.

Poczerniała cegła, inkrustowana blokami szarego piaskowca, poobijane gzemsy, połamane dachówki, pozieleniała miedź dachów, oblizane przez wiekowe deszcze ornamenty, dziury po rusztowaniach — cała ta malownicza łatanina ścian, upstrzonych czarnemi otworami okien, białemi plamami wapna, szarzącemi się kamieniami grobowców napół zatartych, figur poobtłukanych, maszkaronów przedrzeźniających się, — cała ta różnorodność stylów, potracających się obok siebie, pod skwarnemi promieniami słońca, żyła, drżała, mieniła się mnóstwem barw nikłych, przeciwstawnością silnych światła i cieniów i zdawała się chlubić zmarszczkami i rysami, w których wypisały się jej dzieje.

Wieże Maryackie, owiane opalową mgłą światła, wznosiły się lekko na tle szarego nieba, na którym migotała pożyta ich koron.

Długie, błękitnawe cienie ciągnęły się od stóp ich, ześlizgiwały się po ścianach domu »pod Murzynami«, czepiały się jego gzemsov, nakrywały dachy i ginęły w ulicy Floryańskiej.

W górze, około murów, stado kawek uganiało się za jastrzębiem. Z wrzaskiem, pełnym niepokoju, wzbijały się czarną chmurką mżących się skrzydeł, wśród których, jak błyskawica śmigają jasne skrzydła drapieżcy.

Wieża ta żyje. Patrzy czarnymi okienkami na stare miasto i kiedy niekiedy dźwiękiem hejnałów mówi: Jestem i czuwam.

* * *

Człowiek zaprzątnięty jedną myślą, pochłonięty przez jedno uczucie, doznaje tylko ciasnych i bardzo względnych wrażeń od rzeczy i zjawisk i nie jest w stanie, nawet w przybliżeniu, ocenić ich rzeczywistej wartości.

Kiedym, przed kilkunastu laty, był po raz pierwszy w Krakowie, wracałem z dalekiego Wschodu.

Mało mnie wtedy obchodziły rachunki z przeszłością — zbrodnie i cnoty, leżące pod wiekowym kamieniem grobu — to wszystko, co było i to, co z tej przeszłości zostało w kamiennej ruinie. Nie dbałem też o tej ruiny malowniczość i piękno...

Przedewszystkiem chciałem wiedzieć, czy żyją i jak żyją ludzie dzisiejsi?

Właśnie sejm przeszedł do porządku dziennego, nad wnioskiem posła Chrzanowskiego o oświacie ludowej — do porządku, na którym stała sprawa propinacyi i dzikiego ptactwa.

Bądź jak sejm czteroletni — rzekł poseł Chrzanowski
Do sejmu, przedstawiając o oświacie wnioski.

Więc sejm, aby wypełnić, co mówca doń prawił,
Jak czteroletni chłopczyk ptaszkami się bawił, —

писаł w owym czasie Szczutek...

Wyjechałem wtedy z Krakowa w przekonaniu, że Sukiennice są śmierdzącą kupą gruzów, kościół Maryacki wątpliwej wartości gotykiem, zawałonym wstrętnymi ołtarzami z czerwonego marmuru; a Wawel, tylko brudnymi koszarami, w których rozlega się: *rechts* i *links* c. k. feldfeblów, odbijające się echem aż o trumny, stojące w podziemiach...

Wiele krwi i wody upłynęło od tego czasu i wiele się rzeczy i ludzi zmieniło... Nawet te stare mury odmłodzono — tylko ze stropu letniego nieba dziś, jak dawniej, spływa morze jasnych, gorących blasków.

* * *

Rozpylone w przezroczu z promieni, kryły się olbrzymie kłęby chmur, na które staczało się słońce i dotknąwszy o białą ich krawędź, rozprysło się długimi smugami po niebie; jeszcze chwilę błyszczowało trudem światłem i zginęło za szaro-błękitną ścianą.

Po ulicach, placach i zaułkach porywały się wiry powietrzne, miecąc śmieciem, skrawkami papieru i żdźbłami słomy.

Ciemniało. W głębi chmury migotała bez ustanku blada błyskawica.

W końcu wielki słup kurzu przeleciał po rynku, uderzył o ściany domów i wzbił się ponad dachy, zmiotając także, ze śmieciem, nielicznych przechodniów.

Rdzawe chorągiewki na wieżach z chrzęstem i zgrzytem obracały się i trzęsły; źle przyłączone

drzwi sklepów zamykały się z trzaskiem; dorożkarze nastawiali budy, a policyanci podnosili kołnierze paletotów.

Ponad Kraków przyciągnęła burza, której warczenie, w miarę, jak usypiało miasto, coraz wyraźniej rozlegało się w obszarach ciemnego nieba, — pękającego co chwila białem światłem błyskawic.

Do północy ulewa biła w szyby, głucho dudniły echa grzmotów, grad z szumem i świstem zasypywał białymi ziarnami ulice i dachy.

Wyjeżdżając nazajutrz do Zakopanego, cieszyliśmy się, że w tej całodziennej podróży będziemy używali świeżego i wymytego ulewą powietrza, zamiast duszenia się w rozpalonych wagonach lub kłębach kurzawy.

Rzeczywiście, ranek był rzeźwy, czysty i jasny.

Kraków, opłukany z kurzu, wznosił ciemne sylwety wież, ponad zwijającymi się kłębami mgieł fioletowych, przerywanych gdzieniegdzie smugami seledynowego nieba, lub słonecznego blasku.

Na ulicach świeciły się białe sukmany chłopów, pstrzyły się jaskrawo czerwone chusty i spódnice kobiet. Żydzi, trzęsąc zwiniętymi w grajczarki pejsami, kręcili się, jak rojowiska czarnych szczurów, około drzwi sklepowych.

W pobliżu Wawelu, przesuwwały się szeregi błękitnych mundurów, przerzniętych długą smugą rańców, połyskujących blaskami stali, napelniających ulice wrzaskiem sygnałowych trąbek i tupotem miarowych kroków.

Zamek, z katedrą, blankami, wieżami, basztami zdawał się wyciosany z jednej bryły ciemnego granitu, która wielką plamą odbijała się w szklistej, porysowanej kręgami wirów powierzchni Wisły.

W taki to ranek, obwievani świeżym, płynącym z pól wiatrem, czekaliśmy na pociąg kolei żelaznej podkarpackiej na Podgórzu.

Mała stacyjka, wparta pomiędzy wzgórze, stojąca pod wylotami armat czerwonych ścian, wznoszącego się ponad nią fortu, ledwie może zmieścić najmniej nawet licznych podróżnych. Tłomoki, kufry i kosze stoją w piasku i na nich siedzą ci, których nogi bolą od czekania stojący. A czekać trzeba długo, gdyż kolej ta chodzi dość fantastycznie, spóźnia się i okazuje mnóstwo względów dla opieszłych podróżników.

Kiedyśmy już zliczyli wszystkie kity dziewanny, wszystkie kwiaty bławatków i maków, znudzili się oglądaniem olbrzymiego pieca wapiennego, który wygląda, jak baszta starego zamku — nagle, powietrze rozdarło się przeraźliwym świstem i z za pagórka wysunęły się kominy dwóch lokomotyw, przechylonych na bok, jak koń w arenie cyrkowej.

Długi szereg wozów wtacza się na stację i w tejże chwili powstaje zamieszanie i popłoch. Kobiety biegają jak wystraszone kuropatwy, wspinają się na wysokie stopnie wagonów, dzieci piszczą, tłomoki rzucają się gwałtownie — bieganina, zamęt i gorączka, całkiem zbyteczne wobec dobrodusznej cierpliwości pociągu.

Nakoniec: *Fertig! Gotów!*

Gwałtowne, lecz bezskuteczne szarpnięcie — jeszcze raz... i ani z miejsca. Hop! siup! jeszcze mocniej i wśród szyderstw i śmiechu potracających się o ławki podró-

żnych, ruszamy zwolna, przy odgłosie astmatycznych oddechów lokomotyw, rzucających w górę białe, urywane kłęby pary.

Jak wszędzie u nas, tak i tutaj lud mało jeździ kolejami. We wszystkich za to wagonach widać Żydów wszelkiego gatunku. Od kosmopolitycznych, ostrzyżonych i wygolonych typów giełdowych, drzemających na poduszkach klasy pierwszej, do połyskujących czarnym atłasem chałatów, świecących pończochami, zdobnych w pejsy i czapki, nastrzępione ogonkami tchórzy czy kun, Żydów czystej krwi, wyglądających z okien klasy trzeciej.

Spora garść podróżnych, jadących do rozmaitych karpackich stacyj klimatycznych, po większej części odbywających tę drogę po raz pierwszy, wisi ciągle u okien, szuka gór z jednej lub drugiej strony toru kolejowego i wybuchami podziwu i zapału wita nawet skały na Podgórzu, — pierwsze skały, jakie w życiu widzi.

Droga odrazu zaczyna się wić, jak wąż, chcący się ugryźć w ogon — skręca się i rozkręca, wznosi się i opada wśród biegnących na prawo i lewo wzgórz i jarów, — a ciągle w górę i zawsze z tym samym trudem ruszając ze stacyi.

Podróżny, jadący z północo-wschodu, przywykły do naszych bufetów stacyjnych, pełnych rozmaitych zakąsek, ostawionych mnóstwem butelek, ozdobionych kwiatami lub gipsowymi figurkami Danta, spoglądającego smutnie na kanapki z serem, albo Michała Anioła, odwracającego się dumnie od śledzia w garniturze — podróżny taki dozna tu wielkiego zawodu, licząc na uprzejmość kolejowych restauracyj.

Antałek piwa, herbata z kotlika, parę kawałków chleba z szynką, kilka pierników; bardzo licha wódka — tak licha, że nawet krakowskie »*Starka żmudzka, Demetrykow à Kowna*«, lub »*Litewka, Kunderewicz à Vilna*«, wydałyby się przy niej specyałem — oto wszystko, nie licząc cienkiego wina i przedhistorycznych zrazów lub combrów, pochodzących od niewiadomo jakich zwierząt.

Lecz mniejsza o to! Jedziemy dalej.

Koło Kalwaryi Zebrzydowskiej bieg kolei staje się tak krętym, że z tego przejazdu zostaje wspomnienie jakiegoś snu błędnego i bajecznego.

Klasztor i całe mnóstwo kaplic, kapliczek i kościółków tańczą wokoło, a stercząca z czarnego lasu, jak ząb spróchniały, ruina Lanckorońskiego zamku, razem z górą, zabiega nam drogę, ucieka z prawej lub lewej strony, zostaje z tyłu i znowu pędzi przed nami.

Na stokach wzgórz sosna; z pod ciemnej kopuły igliwia, wygina żółte nagie gałęzie; czernieją świerki; buk wyciąga białe i pokręcone ramiona, trzymające pęki jaskrawo-zielonego liścia. Wsie kryją się w jarach, chaty tulą się do ścian parowów, czepiają się pochyłych brzeżków i zwisają nad bielącemi się w dolinach potokami.

Góry, wśród których wije się tor kolei, raz rozbiegają się zdala od niego, otwierając dalsze widnokregi, to znowu zbliżając się, zacieśniają dolinę, której dnem pędzi dygocący, zdyszany pociąg i połyskująca wśród kamieni i zarośli rzeka.

Ktoś z jadących mówi: — »Babia góra!« — wszyscy rzucają się do okien i widzą jakąś mieszaninę

chmur, podartych smugami deszczu, z siniejącą pod niemi podstawą szerokiego kopca.

Pociąg idzie coraz prędzej.

W Suchej, potrącamy o liście wspaniałej alei z kasztanów i prawie ocieramy się o mury wielkiego, jasnego pałacu, patrzącego na nas dwoma piętrami łukowatych galeryj, biegnących dokoła dziedzińca.

Przypomina to tendencyjne powieści z przed lat kilkunastu, w których mężny i poetyczny inżynier przejeżdżał na lokomotywie przez sam środek łóżka dumnego hrabiego lub księcia i oświadczał się o rękę jego córki.

— »Chabówka! Drei Minuten! Trzy minuty! — woła konduktor, urywając ostatnie sylaby i otwierając drzwiczki wagonów.

Ledwie uspokoiły się ostatnie drgania wstrzymanych nagle osi i ucichł zgrzyt buforów i łańcuchów, już z całego pociągu zaczęły się sypać kosze, koszyki, kobiałki, troczki, paczki, poduszki, kufry — dzieci, kobiety, mężczyźni. Wszystko to jest w tejże chwili otoczone przez białe postacie furmanów górali.

Uśmiechają się oni uprzejmie, witają jak dawni znajomi, przypominają sobie nazwiska, lub udają, że znają naszych przyjaciół.

Wszystko jedno. Każdy potrzebuje furmana i po chwili zaczynają oni latać gorączkowo, dźwigać kufry i kosze — śmigając białymi łydkami, przeskakiwać po relsach, biegać po peronie i ginąć razem z tłumokami w głębi ciemnego przejścia.

Zamęt, warchoń i krzyki, w których można odróżnić wszystkie akcenty od Dniepru po Wartę.

— Kochanieńki! — Ci wiesz! — patrzajżeż... —

mieszają się z góralskiem: Hań! Dy tu nie prec! Hej! —
Co kciałek pedzieć?

Dzieci, uspakajane od Krakowa do Chabówki, przez pięć godzin, obietnicą widzenia górali, nie posiadają się z radości, tupią nóżkami i wołają wśród śmiechu: — »Mamo! mammo! góral!«

Na stronie, dwóch urzędników kolejowych wtórowało ogólnemu gwarowi głośną rozmową:

— Ich kann ja nicht, panie dobrodzieju, eine Vorrats Maschine, panie dobrodzieju, schicken, panie dobrodzieju! wołał niski i krępy blondyn, grzebiąc energicznie nogą w piasku.

— Ja wohl, panie dobrodzieju — odpowiadał na to wysoki, poważny i melancholijny brunet z długą, szpakowatą brodą.

Zdaje się, że panowie ci zdołali w sposób wspańiały i oryginalny pogodzić »zdrowy postęp z tradycją...«

Po drugiej stronie stacyi dwu i jednokonne wozy tłoczą się, jak stado ptaków, tulących do siebie duże, białe grzbiety, ociągnięte płótnem. Pod nie wciska się właśnie cały ładunek rzeczy i ludzi, wyrzuconych przez pociąg, który, odprawiwszy skomplikowany ceremoniał przepisanych sygnałów, ruszył dalej, wijąc się podnóżami Karpat.

— A rzeczy gdzie? — pyta podróżny, wsiadając do wozu.

— A dy, na zadku! — odpowiada góral, wskazując, wyzierające z pod słomy, kute rogi kufra.

— Dobrze!

Wozy połknęły wszystko i ociężałe, kolejno odrywają się od stada, wyciągają się długim szeregiem,

jak klucz żurawi i zaczynają się wznosić ku szczytowi Obidowej.

Droga kręci się w zakosy białą smugą, obrzeżoną ciemnymi stokami pastwisk, lasów i pasami pól kolorowych.

Za każdym zakrętem jesteśmy coraz wyżej — widnokrąg rozszerza się w dal i rosną przestrzenie powietrznej kopuły.

Na prawo ogromna opona mgieł, z której jak kądziel zwisają strugi deszczu, oświecone słońcem, — spodem ciemnieje cały jakiś kraj wielki, sięgający w strzępiastą gąszcz chmury — to Babia-góra.

Patrzymy z wysokości w dna dolin, jak ptaki wiśzące na skrzydłach. Szerokie kopce świecą jałowemi płatami żwirów, doliny zielenieją łąkami, wsie i pojedyncze chaty ciągną się, jak szeregi ciemnych grzybów, otoczone szachownicą pól, wrzynających się w czarnobłękitne plamy lasów.

Chwilami zdaje się, że oglądamy plan, rysowany przez geometrę i rozłożony na olbrzymim stole.

Kosmyki mgieł białych wstają jak widma z pośród czarnych świerków, przesuwiają się cicho i wolno, to znów porywane jakimiś prądami powietrza, wiją się, ulatują i rozplywają bez śladu.

Widok tego powstawania chmur, niebo zamglone, lub świecące bladym, jak przez muślinowe firanki przesianym słońcem, a nadewszystko ten deszcz na Babiej — zaczynają nas niepokoić.

— A będzie tam pogoda?

— O! będzie, jak Pan Bóg da, będzie! — odpowiada furman i dalej prowadzi rozmowę z końmi:

— Wiś! Wiś! lub: Hajt! Hajt!

— Czy do Obidowej daleko?

— Nie prec! Nie prec!

Lecz to »nie prec« ciągnie się długo. Szczyt góry, skąd mamy ujrzeć całe pasmo Tatr, ucieka coraz wyżej i dalej, za każdym zakosem, zastawiając drogę nowym wzgórzem, które wydaje się ostatniem, a jest tylko jednym więcej.

Podróżni wysiadają z wozów i oglądają górala, jak Chińczycy Europejczyka — on zaś, jak człowiek dobrze wychowany, traktuje siebie lekko i drwi.

— To brzyćka ta góralska moda! — mówi, uderzając po zatłuszczonym serdaku.

Konie, potrząsając ogromnemi kółkami mosiężnemi, wiszącymi u ćwierćłokciowej szerokości rzemieni, idą same, strzygąc uszami i nasłuchując, kiedy rozlegnie się: Wiś! czy Hajt!

Mijamy stary kościółek, samotny, krzywy, ocieniony wielkimi lipami; góral pokazuje kawałek otłuczonej figury, wmurowanej w ogrodzenie i mówi, że to skamieniały zbójnik...

Znów się dowiadujemy, że Obidowa — »Nie prec!« — i jedziemy dalej.

Wiatr chłodny przeciąga od północy, przed nami odkrywa się nowy widnokrąg, który dotąd zasłaniały wznoszące się piętrami wzgórze; powietrze i przestrzeń rozszerza się na wszystkie strony — jesteśmy na Obidowej!

Z pod płócien wozu wychylają się głowy z wypatrzonemi oczami, z otwartemi ustami, z gotowym wyrazem podziwu...

— Gdzież Tatry?

— Hań! — mówi góral, wskazując biczyskiem na

smugę błękitu, wznoszącą się z dna Nowotarskiej doliny.

Nad nią ciągnie się równy wał chmur, spodem ciemnych, u góry jasných, zmieszanych i skłębionych chaotycznie.

Widzimy tylko bezmiar powietrza, wypełniony blaskami, cieniami i nikłemi tonami barw białej i opalowej, przechodzącej w jasny fiolet i błękit. I oto wszystko!

— A Zakopane?

— Hań! — i biczysko zwraca się w stronę jakiejś szaro-błękitnej płachty, przyczepionej do spodu ciemnej chmury.

— Cóż to? deszcz?

— Zje ba bez niego nie będzie!

— To i nas zleje?

— O ni! A dy płótno na budzie całe i nowe.

Zjeżdżamy na dół — my i nasze myśli!

Zdaje się, żeśmy tam coś zgubili na tej Obidowej, że nas oszukano i okradziono.

— Wiś! Wiś! Hajt! Hajt!

Teraz już wszystko jedno! Krzycz sobie! Wiś! czy Hajt! — wiemy na pewno, że nas deszcz będzie polewał i że nic już nie zobaczymy. Powietrze jest chłodne, chmury ciemnieją i zniżają się, a tam przed nami szara ściana ulewy, którą potrzeba przebyć, w której kryje się nieznany cel naszej podróży. Wciskamy się w głąb budy i jedziemy ponurzy, choć wóz pędzi teraz wartko; — po niejakiem czasie wtacza się na most i w końcu zaczyna podskakiwać na bruku Nowego Targu.

— Cóż nas to może obchodzić!

Konie jednak muszą wytchnąć.

Duża, sklepiona izba w karczmie napelnia się gośćmi. Dzieci zaspane, budzą się ze zdziwieniem lub płaczem, w lustrach przeglądają się zmęczone twarze kobiet. Podróżni biorą się do kawy i piją ją, wodząc osłupiałymi oczami po ścianach.

Inni piją wino. Ktoś stawia szklanę, wstrząsa się i krzywiąc usta, mówi: »Młode!«

— Ale czyste! — dodaje jakiś ksiądz pod oknem, patrząc przez swoją szklanę na światło.

Godzina koło szóstej, — na dworze szaro, deszcz wisi w powietrzu.

Popędzamy górala, żeby jechać i w końcu siedzimy znowu w budzie, którą furman opina szczelnie, gdyż, jak mówi:

— Zakiel wyjedziem z miasta, bedzie siąpić.

— Wiść! Hajt! i znowu wozy ustawiają się szeregiem i zaczynają się trząść po szosie.

Zaraz za miasteczkiem bieje mała kapliczka; nad jej drzwiami drewniany, umalowany aniołek — tłusty, dobroduszny, z krótkimi skrzydełkami, w czerwonej sukience wznosi oczy w górę i rozkłada grube ręce, jak gdyby mówił: »Cóż ja na to poradzę?« Rzeczywiście, nic tu już nikt nie poradzi, gdyż deszcz zaczyna padać.

Krajobraz nie różni się niczem od każdego innego widoku krajów północnych, ubogich i płaskich.

Zamiast gór — mgły i chmury.

Od drogi ciągną się pasy pól, na prawo, opierając się o wzgórza puste i jałowe, na lewo, urywając się na brzegu kamienistego potoku. Ponad wszystkim szara, coraz gęstsza przedza deszczu.

Mokre już płótno budy przesiewa do wnętrza jakieś blade światło; przed sobą widzimy plecy furmana, czerwone płachty chomontów, końskie uszy i ciemniejące poprzez smugi deszczu drzewa i chałupy, a nad tem, obryśowane zagięciem budy, półkole ołowianego nieba.

Deszcz coraz silniejszy, zimno. Wnętrze budy wypełnia się przesiąknięciem przez płótno wilgocią, która osiada, jak rosa na ubraniu, na włosach, paruje z rąk i twarzy. Końce płótna, wstrząsane podskokami wozu, kłapią wodą, obryzgującą nogi, ściekającą po rękach i wciskającą się pod siedzenia.

Niektóre wozy stają. Podnoszą się zmokłe płachty, ktoś wysiada, poprawia sznurki, przywiązujące płótno, a wewnątrz widać dzieci otulone, drzemiące na kolanach matek, które patrzą na nie z trwogą, a z nienawiścią i pogardą na budę rozmokłą, górala, deszcz i na całą zapewne tę rozpacziwą podróż.

Słychać złośliwe uwagi i narzekania.

W innych wozach natomiast gwar i śmiechy, z pod płócien wydobywają się kłęby dymu, furman wyrzucił serdak włosem do góry i śmieje się, przygryzając długie Virginia. Są to wozy kawalerskie.

Mrok wieczorny zapada, zdwojony zniżającymi się chmurami, które zdają się muskać białe płachty wozów. Deszcz leje bez wytchnienia, równo, spokojnie i jednostajnie.

Jedziemy milczący, zziębli, pokryci subtelną, wciskającą się wszędzie rosą.

W całej drodze, w bliskości wsi, wybiegają małe dzieci z bukietami bławatków i pędzą około wozów, milczący, z wyciągniętą po pieniądze ręką, z uporem i wytrwałością, której ani obojętność podróżnych, ani

krzyki furmana nie są w stanie przełamać. Biegną tak całe wiorsty, zmęczone i zaczerwienione, dopóki czegoś nie dostaną.

Coraz ciemniej, coraz zimniej i coraz wilgotniej. Przed nami błyska jakieś światło.

— Zakopane?

— O ni! — odpowiada furman, dodając jakąś nazwę, kończącą się na... ówki. Co zresztą nas niczego nie uczy i nic nie obchodzi.

— A daleko jeszcze?

— Nie prec! Nie prec!

Znowu światło, jedno, drugie, całe szeregi małych okienek wyzierają czerwono na drogę. Wóz staje, płótno oświeca się z zewnątrz, poprzerzynane czarnymi cieniami obręczy, na których jest rozpięte.

— Zakopane?

— O ni! Dy to Poronin!

Ktoś wyciąga rękę i żąda dwóch szóstek.

— Macie sobie szóstki, tylko jedźcie.

Jedziemy jakiś czas w zupełnej ciemności, naraz zaczynają błyskać na prawo i na lewo światełka, migocące długimi smugami po błocie.

— Zakopane?

— O ni! — i znowu jakieś... ówki.

— A daleko?

— Nie prec! nie prec! dojadziem.

Trzęsiemy się dalej w wodzie i ciemnościach. Znowu błyska czerwona gwiazdka.

— Zakopane?

— O ni!

I tak dalej bez końca...

— Wiś! Wiś! Wóz skręca się gdzieś, uderza

gwałtownie o kamienie, otrząsa na nas całe konewki wody, zaczyna podskakiwać, drzeć, nachyla się w prawo, w lewo — w końcu wtacza się cicho na murawę i staje, a po budzie chwieje się smuga światła, naprzemian z szerokim cieniem.

— Czy znowu jakie Dyabłówki?

— O ni! dy to Zakopane!

Wysiadamy, prostując zgięte w pałąk grzbiety i zdrętwiałe nogi. Wysuwamy się z pod płótna budy, która ostatni raz jeszcze zlewa nam za kołnierze strugi zimnej wody. Zmęczone dziecko śpi, nie czując, co się z niem dzieje, poprostu leci przez ręce.

Ciemno zupełnie.

Na ganku tylko, uśmiechnięta gaździna trzyma świecę, której blask migoce w strugach deszczu, przecinających czarny gąszcz nocy.

Nad końmi bucha i kłębi się para, niknąca w mroku i poruszająca się jak widmo tam, gdzie sięga jasność świecy.

Powietrze wypełnia szmer i pluchot deszczu, zmieszany z wielkim szumem, dolatującym gdzieś z ciemności.

— Piknie też ik dolało! — mówi gazda, przywitawszy się i pomagając furmanowi wyciągać z wozu podróżne graty.

— Oj dolało! ale też i jechaliśmy długo.

— Juz wiecie, panie, jako wam powiem. U nas w górak, jako w górak, noc wiecie, ćma i psota taka, co cud. A i drogi, wiecie panie, kęs, o! kęs! Telo dole jechać! to ta i nie dziwno, coście krtyne zmieskali.

W izbie gaździna litowała się nad dzieckiem, które

bez przytomności dawało z siebie ściągać nasiąkłe wilgocią ubrańka.

— O raty! ludzie na świecie, jak to się chudziatko domęcyło! — mówiła, trzymając się za twarz i kiwając głową.

Izba chłodna. Od okien dał zimny dech nocy, a z bielejącego w kącie pieca płynęła fala ciepła, chwiejąc płomieniem świecy.

Na dworze ulewa szemrała i pluchotała strumieniami, płynącemi z dachu.

Spokojny filister, którego w Tatry zagnała opinia publiczna, — przechodzi w tych pierwszych chwilach aklimatyzacyi ciężkie i dotkliwe próby.

On, którego wieczorem do cichej drzemki lub marzeń kołysał szmer samowaru, który przywykł w drucianym koszyku widzieć blade, czyste kajzerki obok talerza z różowemi plasterkami szynki »zwyczajnej«, on, który łowił uchem ciężkie kroki roznosiciela »Kuryera«, z drzeniem czekał na zgrzytnięcie klamki i, nie ruszając się z kanapy, siedział z wyciągniętą ręką, w którą służąca wkładała najnowsze zaprzeczenia wczorajszych najpewniejszych nowin; ten człowiek, który zrobił wszystko, co mógł, żeby życie zamienić w szereg nieskończenie małych, lecz pewnych i zawsze jednakich przyjemności, za którego myślą gazety, któremu wszystko ułatwia życie, który kupuje za swoje trzy grosze dowcip, humor, wygody i przyjemności — naraz znajduje się tu w próżni — na pustyni.

Tramwaje, trotuary, gaz, kuryerek, kajzerki, szynka,

wszystko przepadło. Siedzi oto na twardym, niskim stołku, przy stole bardzo wysokim, ma jedną łyżeczkę na całą rodzinę, duże bułki, rozłożone na stole, herbatę parzoną w saganku — zamiast Kuryera, broszura Zacherlina o skutecznem wytępieniu pluskiew. Broszura zresztą, której teorye natychmiast należy w czyn wprowadzić, jeżeli się chce mieć »noc spokojną i dzień nie tęskliwy«.

Niemniej cierpią ludzie, przywykli do komfortu hotelowego, do tych wszystkich rzeczywiście potrzebnych wygod, lub pedantycznych drobiazgów, któremi się otacza przedelikacony sybarytyzm.

W takich chwilach rozpaczy, rzadki chyba filister powstrzyma się od przeklinania Tatr, »polskiego gospodarstwa« i »naszej blagi«, a nadewszystko, takiego chyba niema, któryby, z właściwą sobie logiką, nie winił za swoje cierpienia prof. Chałubińskiego.

On winien, że deszcz jest mokry, że aneroid idzie na dół, że jest ciemno i zimno; że niema innej, prócz owsianej słomy, że pluskwy tną, że lampa źle się pali, że woda nie chce się gotować... że kluczyki od kufra gdzieś się podziały, że się stłukła butelka koniaku... nie mówiąc już o tem, że gdyby nie Chałubiński, niktby przecie do Tatr nie jechał, a możeby ich nawet wcale nie było.

— Takie rzeczy tylko u nas mogą się dziać! — woła, tarzając się w szeleszczącej owsianej słomie i myśląc o swoim sprężynowym materacu i żelaznem, lakierowanym łóżku.

Szczęśliwymi z punktu są tylko ludzie, którzy nie mieli czasu na to, żeby się przyzwyczać do wygod i którzy nadewszystko czegoś po świecie szukają, któ-

rzy patrzą i widzą, umieją słuchać, chcą badać i poznać — maniacy, którzy nie tylko siedząc na twardym stołku i owsianej słomie, mogą jeszcze szukać malowniczości i charakteru, jakichś odrębności etnograficznych lub szczególności przyrodniczych, — ale nawet leżąc na torturowym żarze, jeszczeby w nim szukali stosunku tonów, podziwiali rękojeść katowskiego miecza, ścinającego ich głowy, lub badali chemiczny skład jadu żmii, od której ukąszenia właśnie konają.

Nazajutrz ledwie dniało, rzucamy się do okien.

Tuż przed chatą, kilka świerków rozkrzyżowuje symetryczne gałęzie, obwieszone festonami igliwia, uperlonego rosą; nad nimi wznosi się mgła biała, dymiąca się z łożyska kipiącego pianą potoku; wyżej, wielkie płyty chmur ciemnych, a gdzieś wysoko ponad tem wszystkim, zawieszzone w powietrzu bielą się szczyty i czerni się las siwy od okiści.

Czysta bajka!

Ale śnieg! zimno? Czy potośmy tu przyjechali? Barometr nie ruszył się od wczoraj z miejsca.

Więc ta burza błogosławiona w Krakowie — to znaczyła?...

Przed domem, gazda boso, w serdaku włosiem na wierzch, w kapeluszu, ociekłym wodą i lśniącym jak cerata, rąbał drwa, nie puszczając z ust krótkiej, zamokłej fajeczki.

— Dzień dobry! No i cóż z tego będzie?

— Wiecie panie, już ja wam tak powiem: Wirchy okurzyło, to musi Pan Bóg da pogodę. Niekże nie ba-

nujom, bo się ozbiere, jak Pan Bóg da, to się ono hnetki ozbiere.

A tymczasem mgły włóczą się, kłębią, wznoszą i opadają. Chwilami niebo się tak przeciera na północ-wschodzie, że przez mglisty opar przegląda blady błękit i znowu zaciąga się szara zasłona, zniża się, ciemnieje, kładzie się na lesie i zaczyna »siąpić«.

Deszcz dla ludzi, którzy w nim widzą tylko wilgoć, źródło kataru i błota, jakkolwiek jest przykry wszędzie, tu jednak, bardziej, niż gdziekolwiek, staje się nieznośnym.

Na płaskim widnokręgu dolin, zasłona deszczowa ukryje kilka topoli, kilka dachów, smugę dalekiego lasu, lub skrzydła wiatraka. Tu deszcz nie tylko moczy i ziębi ale kryje to wszystko, po co się przyjechało. Jest on jakąś wrogą i złą siłą, która w nicość obraca potężne grzbiety gór; cały ten świat dziwnych kształtów niknie lub zamienia się w szarą, nieprzebitą masę chmur, mgieł i strug wody.

Myśl bezustanku stara się odgadnąć światy ukryte; oczy wpijają się w gęstwą wilgotną, czepiają się każdego wyraźniejszego kształtu, każdej ciemniejszej plamki, przywykają odróżniać wszystkie najniklejsze odcienie szarej barwy — i wszystko napróżno. Ogarnia człowieka tęsknota, niepokój i złość, — traci się cel i rację istnienia, a wszystkie trudy i koszty wydają się zmarnowanemi.

I znikąd nadziei. Aneroid jak gdyby skamieniał, a górale wiecznie zsyłają się na Pana Boga.

Bo i z czego wnioskować o tem, co będzie, kiedy nic nie widać?

Woda we wszystkich postaciach, od najsubtelniej-

szego oparu, mgieł, chmur, od pyłu rosy aż do strug deszczu, płatów śnieżnych i krup gradowych, wypełnia cały ten świat. Przesuwa się lekkim i cichem skrzydłem mgły około świerków, mruczy i szmerze ulewą dokoła chaty, wrę i szumi w rwącym się wśród głązów potoku.

Zdaje się, że wszystko rozmięknie, rozplynie się i wsiąknie w tę mgłą wilgotną; że pleśń i grzyby porastają na ubraniach, na sprzętach, na drewnianych ścianach chaty, po której zrębie, z olbrzymich kłoców, zlewają się ciemnymi plamami strumienie wody.

Ta rozmokła i poczerniała chałupa, nie od dziś jednak stoi i nie takie deszcze i psoty kąpały jej szczyt dranicowy, zakończony pazdurem.

Chata góralska, od pierwszego spojrzenia, wydaje się czemś pełnem charakteru — tego pierwiastku osobowości, który wyróżnia z tłumu ludzi szczególnych i rzeczy niezwykle.

Sam szkielet budowy, to pudło, w którym się chowa człowiek, ta część każdej rzeczy, która służy do celów praktycznych, jest równie prawie prosta i niezłożona, jak w każdej innej chacie. Cztery ściany, dwa szczyty, dwie pochyłe płaszczyzny dachu, z małym zboczeniem od symetrii na jedną stronę, pod którą mieszczą się dodatkowe izby — oto cała chałupa.

Lecz na wszystkich jej częściach leży piętno pewnego motywu linii. Od zacięcia belki do ostrego szczytu, od pazdura do ornamentów rzniętych wewnątrz,

wszystko prawie ma ten sam charakter linii, przecinających się pod dość ostrym kątem.

Tylko łukowato wygięte drzwi wchodowe wyrwywają się z ogólnego charakteru i stanowią całość odrębną, niezależną — oryginalną i pełną.

Wydają się też, jakby osobno zkądeśinąd przyniesione i wstawione między dwa zręby ścian, bez względu na związek organiczny z niemi.

Tu, w Zakopanem, są one najbogaciej rozwinięte i wykończone. Im dalej ku Krakowowi, tem bardziej zaciera się łukowata forma górnej belki; skracają się wiązania słupów, — same drzwi się rozszerzają, jak w Nowym Targu i są umieszczone z boku chaty, — pod Krakowem zaś, jako forma szczątkowa, zostało tylko łukowate wygięcie, malowane wapnem nad prostokątnymi drzwiami.

Drzwi takie, rude od starości, ozdobione dziwnym ornamentem z pracowicie ostruganych kołków, wyglądających jakby jakieś znaki symboliczne, na tle szerokich i gładkich balów, złączonych wrąbaniami w nie i wygiętymi w kształt rogów wiązadłami; z leżącymi u progu głazami, ze sterczącemił dokoła końcami belek, drzwi takie, wydają się wejściem do jakiejś tajemniczej świątyni.

Na tle czarnych ścian chaty świecą one, jak mosiężna spinka na piersiach zasmolonego juhasa.

Wstępuje się przez nie do ciemnej sieni, mającej drzwi na lewo i na prawo, a często i wprost, do izby niżniej, umieszczonej między dwiema białymi ścianami pieców, połączonych sklepieniem obłąkiem.

Wchodzącego na lewo uderza na razie ślepiąca białość i czystość pieca, obok ścian i powały okopco-

nych, czarnych i brudnej podłogi. Jest to właściwa izba mieszkalna. Tu stoją łóżka, wisi na sznurkach wysoko nad ziemią kołyska, ławy szerokie ciągną się dookoła ścian; kąty pełne są wszelkich gratów, stągwi, oboniek, naczyń i narzędzi. Po izbie włóczy się cielę lub białe jagnięta; tu, siedząc na podłodze, gaździna skrobie ziemniaki i dziad kurzy fajkę, grzejąc się u pieca, gazda coś struże lub ciosa...

Jest to sypialnia, kuchnia, warsztat, chlewek dla nieletniego statku, który, mało dbając o towarzyskie konwenanse, nie krępuje się niczem i zaraża i tak już duszne tej izby powietrze; na czem najgorzej wychodzą dzieci, które tu się bawią, karmią i uczą w ziąb i psotę.

Jakkolwiek brudna i zaniedbana, izba ta jest jednak bardzo ozdobną.

Przez całą długość pułapu bieży bal szeroki, sosrąb, na którym opiera się belkowanie powały. Każda z tych belek jest wytwornie i czysto obrobiona i zdobna. Ścięte kanty nadają im charakter belkowania drewnianych pułapów w starych gotyckich domostwach.

W środku i w miejscu zetknięcia się ze ścianami, na sosrębie widać ornamenty, rzniete w drzewie, składające się z zygzakowato łamanych linijek, tworzących gwiazdy i koła; tutaj też wypisaną jest data wystawienia chałupy, oraz inicjały imienia i nazwiska jej gazdy.

Drzwi wewnętrzne, ze ściętymi kantami odrzwi, z ryzowaniami i znakami religijnymi, jakkolwiek nie są tak bogate, jak wchodowe — są jednak wielce ozdobnym szczegółem chałupy.

Wszystko zresztą w tej chacie nosi piętno upodobań artystycznych. Tuż przy drzwiach przybity ły-

żnik, rznięty w jaworowym drzewie, na którym skupia się całe bogactwo góralskiej ornamentyki; obok półki, ze świecącymi się misami polewanymi, wielkie kredensy, stoły i stołki, każdy statek, każda rzecz powszedniego użytku jest upiększoną.

Taki naprzykład czerpak do mleka ma tak wykwintne formy, że nic do niego nie dodając, można zeń mieć ozdobę najwybredniejszego kredensu. Tu wiszą obonieczki do wódki, z dębowego drzewa, kute żelaznemi obręczami, obok magiel ręczny, a wszystko pokryte starannym i bogatym rysunkiem.

Ornamentyka góralska ma pewne zasadnicze formy, służące za punkt wyjścia dla fantazyi przypadkowego artysty, który włada kozikiem ze zręcznością techniczną najwprawniejszego i wykwintnego rzemieślnika, mającego do pomocy różnorodne i skomplikowane narzędzia.

Te kształty zasadnicze mają swoje nazwy, świadczące, iż są one rzeczywistym wyrazem estetycznych potrzeb tego ludu.

Gwiazdy, parzenice, pazdury, gadzik, mirwa ozdabiają ściany chałupy, drzewne statki, miski, kubki i ubranie górala. Jest on tak zamiłowany w tych ozdobach, że nawet swoje chude owcze serki wyciska w ryzowanych formach kaczek, parzenic i oszczypków.

Pomimo całego bogactwa, ornamentyka ta nie może iść w porównaniu z przepychem, jakim Huculi, górale z Czarnohory, pokrywają swoje rzeczy. Hucul sznurka u postoiłów nie zawiąże, nie ozdobiwszy go jakąś nitką złota lub czerwieni.

Na krakowskiej wystawie przemysłowej, Huculi górowali swemi kilimami, ceramiką, bronzownictwem,

ryzowaniem, tkaninami, ubiorami, nietylko już nad ubogim przemysłem fabrycznym, ale nawet nad wystawą myśliwską, świadczącą o celności strzałów galicyjskich magnatów.

Lecz wróćmy do chaty zakopiańskiej.

Izba na prawo, świetlica, albo biała izba, jest to salon góralski. Niema w niej zwykle pieca. Pułap i ściany świecą czystym, złotawym blaskiem doskonale heblowanego drzewa. Wkoło ścian biegną półki, na których błyszczą połyskami polewy i jaskrawemi kwiatami talerze i miski; pod niemi na kołkach wiszą dzbanki. Cała jedna ściana zawieszona obrazami, straszniemi, lecz oryginalnemi obrazami, malowanemi na szkle, które swoją ponurością i naiwnością wyróżniają się od krzyżującej lichoty niemieckich litografii, z któremi sąsiadują.

Stół z jaworowym blatem, krzesła, stołki, półki, wszystko jest pełne charakteru, wdzięku i nadzwyczaj wykwiłtnie wykonane pod względem technicznym.

Stoją tu skrzynie stare, toczące się na kołach, malowane zielono i pokryte czerwonemi, obrysowanemi czarnym konturem kwiatami, na których połyskują białe światła. Barwa zielona z czerwoną są zasadniczemi barwami, zdobiącemi malowane sprzęty drzewne.

Izba biała, prawie bez zmiany, może być przeniesiona do bardzo wykwiłtnych i bogatych mieszkań i stanowić przepyszna salę jadalną.

Jest ona składem ubrań świątecznych i muzeum pamiątek rodzinnych. Tu stoi na półce olbrzymi, dziś prawie zaniedbany pas bacowski; tu, za belką, tkwi stary, zardzewiały nóż zbójnicki; tu stół jaworowy nosi datę jakiejś uroczystości rodzinnej i rozmaite ozdoby i emblematy.

Zewnątrz, chata, zbudowana z olbrzymich balów których sześć wystarcza na znaczną stosunkowo wysokość ściany, z dachem ostrym, zakończonym na każdym końcu sterczącym p a z d u r e m, często na kalenicy ozdobionym wyciętym w desce ażurowym ornamentem, biegnącym od końca do końca, ma jeszcze w szczycie wyrżnięte słońce, księżyc, gwiazdy, daty i religijne godła.

Słowem, góralska chata jest wyższym typem drzewnego budownictwa — jest samodzielny, oryginalny stylem, wyrażający się we właściwym charakterze linii. W niektórych zaś częściach wewnętrznych jest zupełnie rozwiniętą i skończoną formą, mogącą zadowolić bardzo nawet wybredne upodobania artystyczne.

Jak lichy też wyglądają przy takiej chałupie, jakiegoś Kuby lub Wojtka, domy i wille, stawiane w Zakopanem przez »gości, przez panów!«

Kosmopolityczna bezbarwność z przymieszką tandetnej szwajcarszczyzny, która, niestety! zaraża dziś górali, budujących się na spekulację, prędko, lichy i odpowiednio do gustu panów, którzy tu mają mieszkać.

Jeżeli kiedy, to dziś, szanowanie i rozwijanie każdego dodatniego pierwiastku cech plemiennych jest na czasie, jest koniecznym. Nadanie formom życia pewnych, szczególnych, własnych pierwiastków estetycznych, oprócz pożytku, jaki ma dla nas bezpośrednio, byłoby jeszcze wzbogaceniem ogólnoludzkich cywilizacyjnych nabytków.

Kto widział stare chłopskie chaty w Tyrolu, ten oglądał główne źródło stylu, nazywanego staroniemieckim, a który, dziś z większą, niż kiedy siłą, piętnuje wszelkie artystyczne formy niemieckiego życia.

My przychodzimy do ludu, który za górami i lasami, ukryty w chmurach, żył życiem samodzielnem, wytworzył lub rozwinął i wykończył pewne kształty estetyczne, i zamiast dalej prowadzić i rozwijać jego robotę, przystosowując ją do bardziej skomplikowanych potrzeb — my, wnosimy jałowość, bezbarwność i ubóstwo artystyczne bogatszych klas naszego społeczeństwa.

W całym Zakopanem, między domami postawionymi przez gości, znajdzie się może jeden, który nie z motywów góralskich, ma jednak swoje oryginalne i ciekawe formy — pewne ozdoby z ptaków rzniętych w desce i dobre zakończenia szczytów, poza tym jednak wyjątkiem niema nic.

»C. k. szkoła fachowa dla drzewnego przemysłu« jest też w Zakopanem rozsadnikiem tyrolsko-wiedeńskiego gustu, niemieckiej trucizny, zabijającej artyzm góralskiego ludu. Nieźle prowadzona pod względem fachowym, odznacza się nadzwyczajnym brakiem pomysowości i inicjatywy. Mając za zadanie rozwinięcie sztuki stosowanej do rzemiosła, osiadłszy wśród ludu, który w sposób samodzielny i oryginalny ozdobił wszystkie swoje rzemieślnicze wyroby i który okazuje takie w tym kierunku zdolności, szkoła ta nie zrobiła nic dla ułatwienia rozwoju miejscowych artystycznych motywów. Wprowadzając formy niemieckie, renesansowe, a często bardzo niefortunne pomysły ozdób, zrywa w swoich uczniach tradycję naiwnych, szczerych naro-

dowych upodobań i pozbawia ich łączności z potrzebami najbliższej im sfery.

Te pamiątki, które goście wywożą z Zakopanego, te małe sprząciki drewniane, oprócz napisu »Zakopane«, nie mają w sobie nic, coby przypominało Tatry. Przepraszam! Głowa górala na nożu do rozcinania książek, no i ten wieczny, nudny talerz do chleba, który z napisu przynajmniej jest polskim — to i wszystko. Ale to mało, bardzo mało na tak rozległą działalność, jaką prowadzi szkoła. W całej też szkole niema ani jednego wyższego nauczyciela Polaka, a nawet przy sumienności i wzorowem nauczaniu nauczycieli cudzoziemców, trudno od nich wymagać upodobania w naszych formach artystycznych i inicjatywy w ich rozpowszechnianiu. (Od czasu, kiedy powyższe słowa były pisane, trochę się zmieniło w szkole na lepsze. Dzięki inicjatywie Róży hrabiny Raczyńskiej i starannie zebranych przez pannę Magdalenę Andrzejkiewiczównę wzorom ornamentyki góralskiej, Styl zakopiański został urzędownie uznany i szkoła stała się niby jego krzewicielką. Zadanie to spełnia jednak bardzo niedołąźnie).

(I ten dopisek, z przed piętnastu laty, nie odpowiada już obecnemu stanowi sprawy. Szkoła przeobraziła się do gruntu — na lepsze, — a Styl zakopiański rozwinął się tak, że nie potrzebuje już ani w szkole, ani poza nią, aby staczać o jego prawa polemiczne walki).

Pesymistyczny pogląd na działalność szkoły i na oddziaływanie »gości« na góralską kulturę, jeszcze czar-

niejsze przybierał barwy, pod wpływem mroku spadającego z chmur, wiszących jak powała nad całą doliną i pod wrażeniem uporu i zaciekłości, z jaką deszcz lać nie przestawał.

Spadał on na ziemię po to, żeby zamienić się w mgłę, która znowu zamieniała się w chmury i zlewała się napowrót strugami ulewy.

I tak bez przerwy, bez zmiany, bez wytchnienia. Zdawało się, że to już koniec, że niema siły, któraby stąd wymiotła te zwały i gąszcz chmur, i przerwała ten systematyczny proces wytwarzania się wiecznego deszczu... Siła ta jednak jest, — i niedługo czekaliśmy na jej objawienie.

Chmurny dzień przeszedł niepostrzeżenie w mrok wieczoru i gasnął, w cieniach zaciągającej nocy.

Aneroid spadł nagle, w przeciągu pół godziny tak, że należało się spodziewać jakichś niebywałych kataklizmów powietrznych.

A jednak, cóż już mogło być gorszego? Zdawało się, że powietrze jest do maksimum nasiąkłe parami wodnymi, — chyba, że teraz cała ta wilgoć stanie dęba i ockniemy się na dnie jakiegoś jeziora, oko w oko z pstrągami, rakami i żabami...

W nocy, wśród ślepej ciemności, zbudził nas nagły świst, brzęczenie szyb, trzeszczenie dachu i wycie pieców.

Zdawało się, że skrzydła olbrzymiego ptaka, z szumem piór wielkich, jak masztowe sosny, uderzają o ściany chałupy, zmiatają łby świerków i znowu gdzieś giną w bezdni czarnej nocy.

Wtedy, na chwilę, wszystko cichło — żeby nagle wybuchnąć z nową siłą szaleństwa i wściekłości.

W stronie zachodu, wśród czarnych chmur, ciemniał jeszcze czarniejszy płat nieba, na którym ostro migotały płomyki gwiazd, jak gdyby chwiejąc się od podmuchów wiatru.

Grał on najrozmaitszemi głosami. Dudnił po dranicach dachu, jak gdyby jakieś bosc stopy tańczyły tam zapamiętałe; świszczął i jęczał w konarach świerków, furkotał, roztrącając się o ściany chałupy, a w przerwach jego podmuchów groźnie ryczał i bełkotał wezbrany ulewą potok.

Znużeni w końcu, nasłuchiwaniami tej dziwnej muzyki, usnęliśmy i nie obudziliśmy się aż blisko południa, powitani tym samym świstem i szumem.

Deszcz ustał, raczej nie miał czasu padać, porywany przez ciepły dech wiatru i rozpylany w mgłę, która świetlanemi kręgami leciała od południa-zachodu, skrząc się promieniami słońca.

Świerki gięły się, jak trzciny, tarzały się, zadzierając w górę zielone warkocze igliwia, chwiały się, jak pijane, kręciły się i biły czołem o ziemię, strząsając szyszki, ulatujące na wietrze, razem z pianami i bryzgami potoku.

Dolinę zalewało blade słońce, świecąc się na mokrych dachach i połyskując na potokach, które rozbiegały się, po łąkach i po lesie, mnóstwem strug białych i pędziły spienione, niecierpliwie i zaciekle.

Ku zachodowi jaśniał w niebie wielki otwór, napełniony bladym błękitem. Na lewo, ponad szczytami, niebo zawalone olbrzymiemi kłębami chmur ciemnych, lecących napozór z szaloną szybkością, a w rzeczywistości przewalających się i szamoczących na miejscu.

Od tego czarnego zwału odrywały się kosmyki

i małe kłębki pary i umykały spodem, jak stada wystraszonych gołębi, wlatując i osiadając na wzgórzach, okalających Zakopane od północy.

Potężny wir powietrza tańczył w środku doliny, kłębił i szarpał całym tem morzem chmur, zalegających góry. Porywał wielkie szmaty mgły i rzucał w stronę północo-wschodu, gdzie się kończyła dzika jazda wichru i chmury stawały na miejscu, zapychając widnokrąg kłębami fioletowych obłoków. Zdawało się, że jakaś potworna ręka przędzie z olbrzymiej, zalegającej pół nieba kądzieli i rzuca w przestrzeń motki jedwabistej przędzy.

Chwilami wszystko cichło. Świerki się prostowały, chmury ustawały w locie i zwolna wznosiły się w górę, odsłaniając ponad reglami szkarpy i szczyby skał szarych...

Lecz w tejże chwili nowy podmuch wichru porywał je, strącał na dół, kłębił, szamotał, bił o ziemię, ciskał w niebo, niszczył i szarpał, z jakąś waryacką zapamiętałością.

Wianie tego wichru ma w sobie jakąś gwałtowność nerwową — porywy chwilowego szału, omdlenia, czajenia się i znowu nagłe, wściekłe i nieprzytomne z szaleństwa wybuchy.

— Cóż to za wietrzysko? — pytaliśmy gazdę, który, wsadziwszy w zanadrze ręce, patrzył na swoje smreki, szarpane wichrem, kręcił głową i spluwał frasobliwie.

— Wiecie panie, jako wam powiem — to je taki wiatr halny. Widzicie, jako bierze chmury pod siebie? O! to je morowy wiatr! On ta i nie powinienby teraz duć, bo ta nie jego pora, — cheba, ze, cosi kansi,

w niebie gazdowstwo się popsowało, kiej duje. Kieby to zawse tak po leku duł, jako dzisiok! Ale wiecie panie, jak on tu duchnie jesieniom, to, ludzie na świecie!... Kany co najdzie: las, to skręci i wyłamie, chałupe, praśnie o ziem, a owies albo jarzec potadze, wiecie do znaku, het! wyłamie co i zdziebelka nie ostanie... O, to je morowy wiatr! — dodał, spluwając i odszedł.

Wieczór się zbliżał.

Podmuchy wiatru stawały się coraz rzadsze, chmury wznosiły się wyżej, odsłaniając ciemne piramidy regli i niższe podstawy szczytów, ciągle spowitych mgłami.

Słońce, zniżając się ku zachodowi, wyzierało od czasu do czasu czerwoną żrenicą przez poszarpane chmury i rzucało w dal jaskrawe promienie, palące się różowemi plamami, na wschodniej stronie nieba.

Chmury coraz rzedyły, i kiedy ciemno-czerwony krąg słońca bez blasku zapadał, za fioletowy zrąb falistego widnokręgu, niebo ledwo przesłaniało się lekkim obłokiem, z pod którego przeświecał błękit.

Ponad górami tylko kręciły się, jak dymy wulkanów, mgły fioletowe, uczepione do ciemnej, granatowej ściany. Noc zapadała, nie odsłoniwszy tajemniczej twarzy widziadeł, których stopy olbrzymie, okryte czarnemi lasami, opierały się o dno doliny.

W końcu jednak, ostatki chmur zwinęły się i uleciały. Czyste, ciemne u zenitu, jaśniejsze u widnokręgu niebo rozpięło się nad czarnym gmachem, którego sylweta, bramowana gwiazdami, wznosiła się olbrzymia, poważna i groźna.

Po chatach błyskały ognie, — tuż przed nami latarnia rzucała z wysokości na drogę krąg światła,

który o kilkanaście kroków niknął i spływał w jedno z wielkim cieniem nocy.

Chłodne powietrze przesiąknięte było zapachem fijołków i drżało cichymi szeptami, westchnieniami i ponurem szemraniem bliższych i dalszych potoków. Wszystkie te głosy zlewały się w jeden szum wielki i nieustanny.

Od strony lasu dolatywały stłumione dźwięki, jakby skrzypiec, naprzemian ze śpiewem drżącym i przyciszonym...

Śpiew i skrzypce coraz się zbliżały, tak, że w końcu słyhać było wyraźnie:

Oj! Janosik! Janosik! miał se zółte cizmy:
Kabyś ty nie zbijał, nie miałbyś ik nigdy...

...śpiewał ktoś w ciemnościach, przygrywając sobie niepewnymi tonami smyczka, błędzącego po wszystkich strunach.

Ucichł. Słyhać tylko, że stroił i próbował skrzypce, mrużąc niecierpliwie: — Cy dyabli!...

Znowu idzie. Rozlega się ciężkie stąpanie i z cieniów nocy wysuwa się oświecona latarnią, zgarbiona postać... Chwilę ją widać. Świeci się białością ubrania, blaskiem jakiejś blachy na piersiach, kosmykami siwych włosów.

Ledwie mamy czas zauważyć twarz wąską i chudą i rozeznąć skrzypce, a już przesunęła się ciemną sylwetą i znikła w mroku.

Skrzypce tylko jęczą boleśnie i drży urywana
nuta śpiewu:

Idzie se Janicek po pod zieleniny,
Piska se i śpiewa, pojedł niedźwiedziny.

Znowu cicho...

Jeszcze raz dolatują z ciemności wyraźne słowa:

Na zamku orawskim stoją subienicki,
Tam se wisiął budzie Jaśko z Brzeziawicki, —

...i śpiew rozpływa się w niewyraźnych tonach bez
słów... jeszcze dźwięczą z oddali ciche skrzypce...
w końcu, dziwne widmo rozwiało się w mrokach nocy
i szumie potoków.

— A to kto? — spytałem gazdę, kurzącego fajkę
na przyzbie.

— Dy to Sabała! Idzie se grający — odrzekł.

II.

Perłowy brzask wschodu roztałczał się jasnym półkolem, podciętem sinemi, mglistemi smugami borów, nad którymi wznosiła się wielka piramida, zbudowana z Hawrania, Murania i Nowego. Ciemna, fioletowo-błękitna masa góry odcinała się ostro, na tle wstającego za nią słońca — pogodnego, ledwie przestłoniętego nocnymi oparami.

Ze wschodu na zachód kładły się olbrzymie cienie — powietrzne, błękitne, porozrywane jaskrawo świecącymi wierzchowinami lasów, dachami dalekich chałup, połyskującymi jak metal i okrągłymi szczytami pagórków, na których drgała w blaskach słońca, obfita, ciężka rosa.

Cała dolina zdawała się kobiercem z granatu i zieleni, haftowanym złotem i purpurą.

Od południa piętrzyły się góry. Spodem ciemne lasy regli; wyżej zielone upłazy, z których wznosiła się szaro-błękitnawa ściana skał nagich, szczerbata, poorana brózdami, najeżona u szczytu zębami wirchów bezładnych i świecących różowo. Ponad wszystkim czysta, wklęśła kopuła pogodnego nieba, w którym płynął

blady, jak krążek opłatka, księżyc. Z rozpadlin jarów ulatywały białe kłaczki mgieł, wiły się chwilę około ciemnych świerków i rozpływały się w nicość, przed blaskiem słońca.

Cicha, jasna i rzeźwa pogoda śmiała się z całego widnokregu.

Jednostajny, ciągły szmer potoków ledwie wstrząsał ciszą poranku. Czasem brzęknęły gdzieś w jarze dzwonki krów, lub dziki, przeraźliwy krzyk juhaski rozdarł powietrze.

Z za lasów, z za brzezków wzgórz wznosiły się, świecąc w słońcu, dymy i wlatywały prosto ku niebu.

Najgęściej skupiały się one tam, gdzie nad potokiem ciemniejsze szara dzwonnica kościółka, osłoniętego zielenią jesionów.

W krzywej, wąskiej uliczce tłoczy się kilka budowli z charakterem miasteczkowym. Szerokie ich fronty, obwieszane sztyldami; ogromne trójkąty szczytów powycinane w balkony i galerye.

Dalej, w różnych kierunkach, a głównie ze wschodu na zachód rozbiegła się wieś, długimi szeregami domów. Ku Kościeliskom, ku Poroninowi, ku Hamrom rozsypują się coraz rzadsze chaty; kryją się w jarach, za ścianami lasów, w rozdołach potoków, lub występują na brzeżkach i wspinają się na baniasty pagór Gubałówki.

Stare chaty ze ścianami brunatnymi z olbrzymich kłód świerkowych, obok świeżej tandety, na prędcie, na spekulację skleconej, obitej deskami, ocienionej dachami podcieni i ganków. Tam znowu stara chałupa, przystosowana do nowych wymagań, z przyczepionymi po bokach izbami, z galeryami wyciętymi we froncie,

z dachem skrzywionym i podziurawionym na okna poddaszy.

Wszystko to porozrzucane beładnie, około krzywych dróg i krętych potoków, otoczone jesionami, oparte o ciemne gałęzie świerków lub stojące w pustem, bezdrożnem polu.

Potoki płyną od gór i staczają się do podnóży Gubałówki, obracając po drodze koła kilku małych tartaczków i drżących młynków, których okna zasnuwane pajęczyną, zaprószone pyłem mącznym, wyglądają, jak ślepe, bielmem zasłte oczy.

Pod kościołem kończy się szosa, idąca z Nowego Targu, — tu też jest właściwe ognisko Zakopanego.

Tu stoi szkoła, gmina, gospoda, restauracye, szynki i karczmy; tu w gąszczu drzew kryje się plebania, a niedaleko wznoszą się zabudowania szkoły rzeźbiarskiej i dwór Towarzystwa tatrzańskiego.

W niedzielę ulica nabita, jak kościół. Lecz i w zwykły dzień tłoczy się tu od wczesnego ranka tłum ludu, ściągającego ze wszystkich bliższych kątów doliny po zarobek.

Czarne, płaskie, szerokie kapelusze, zbite w masę, wyglądają, jak zbiegowisko ruchomych grzybów, na białych, wysokich pieńkach. Białe, oblamowane zielonem sukniem i brunatne obwiedzione ponsową taśmą c u h y, potracają się na progach szynków i karczem, suną ulicą, świecą się jaskrawo w słońcu, lub giną w mrokach cieniu. Wśród nich pstrzą się pomarańczowe, błękitne i czerwone chusty kobiet, powiewają ich wielkie, różowe płachty.

Na placyku, przed Leśniczówką, białe płótna góralskich wozów jaśniejają pod promieniami słońca, na tle

domów i wznoszących się nad niemi gór, owianych lekkim, drżącym oparem.

Tłum furmanów wygląda na drogę, gwarząc, śmiejąc się, puszczając kłęby dymu i polując na podróźnych.

Na boku Żyd z wozem, pełnym chleba i kukiełek; tam znowu inny sprzedaje za wielkie pieniądze, marchewki i zwiędłe pietruszki, przywiezione zdaleka.

Tu, rozwieszone na żerdkach, świecą się czerwonym safianem i zielonym jedwabiem serdaki.

Pod ścianą domu, na długiej ławie, rozpiera się cały szereg górali, rozrzucając białe cuhy i wyciągając zgrabne nogi. Skrzydła kapeluszy rzucają wielkie cienie na ich twarze, na piersiach przypięta do rzemienia tórbki połyskuje wielka blacha mosiężna, ręce wsparte na ciupagach, fajka nabita habryką kurzy się z pod nosa — to przewodnicy.

Cały ten tłum, od pierwszego spojrzenia, zainteresowuje niezwykłą siłą charakteru.

Co za typy!

Zdaje się, że tu przeszła jakaś nawałnica ludów, ras rozmaitych, zostawiając dotąd odradzające się pierwiastki najróżnorodniejszych odrębności indywidualnych, występujące z całą siłą i czystością swych cech szczególnych, lub też zmieszane w sposób najsprzeczniejszy i najdziwniejszy.

Na tle dwóch krańcowych typów: jednego o wąskiej długiej twarzy, garbatym nosie, wielkiem czole, ryśach wykończonych, skórze delikatnej i długich czarnych włosach, drugiego o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach, płowym włosie i jasnych oczach — na tle tem przesuwają się cała galerya charakterów ludzkich, od wykwintnego piękna do karykaturalnej brzydoty.

Tu, potrząsając długimi, czarnymi, ociekłymi masełkami włosami, przechodzi prawdziwy Apasz amerykański, spalony od słońca, ze spojrzeniem odważnym i dziwkim, z ustami surowo zaciśniętymi. Tam, ta sama twarz wyciąga się w garbaty nos owcy, patrzy sennymi oczyma i kurczy płaczliwe usta. Tu, wygolony markiz wersalski, z wykwintnym uśmiechem, z ruchami, pełnymi eleganckiej powagi, dumy i grzeczności, z pełnym odcieniem pobłażliwości uchyla kapelusza.

Tam znowu, opasył prałat rozmawia z jakimiś figurami drewnianymi gotyckich świętych, które, zdaje się, że tylko co zeszyły ze średniowiecznego ołtarza.

Tu, senny i smutny orzeł, z tęskniami oczyma, siedzi zadumany, obok wesołej i sprytnej twarzy polskiego chłopca, który z pod płowego wąsa śmieje się z jakiejś poczwary, na której twarzy zdaje się skupiać złość, wściekłość, zawiść i podejrzliwość z całego Podhala. Tam, twarz mędrca z ogromnym sklepieniem czaszki, okolona długim, białym włosem, patrzy łagodnie i rozumnie, — ówdzie, ruszają się karykatury, mogące ozdabiać rączki lasek i parasoli.

Twarze te, rzeźbione są z tą usilnością wydobyć cechy indywidualnych, która przypomina dążenia średniowiecznej sztuki. Rzadko tu się spotyka nieokreślone, zamazane komunały bez wyraźnego typu i charakteru.

— To jest tak piękne jak balet! — zawołał pełen turysta, patrząc na grupę młodych góralskich, zgrabnych, ubranych w białe, wiszące na ramionach cuhy i białe obcisłe spodnie, znaczone granatowym i czerwonym sznurkiem.

Zdanie to, tak pochlebne dla baletu, zawiera w sobie o tyle prawdy, o ile człowiekowi, przywykłemu wi-

dzieć zręczne ruchy i piękne pozy tylko w teatrze, musi z konieczności teatr służyć za miarę piękna.

Zgrabność i piękno ruchów polega na ich zgodności z celem, w którym są wykonane. Ręka podejmująca pióro, jeżeli napręży się i rusza z siłą nieodpowiednią dźwiganemu ciężarowi, robi wrażenie niedołęstwa i niezręczności. Ciało, które opiera się na nogach bez wyraźnego oznaczenia równowagi i akcentowania punktu oporu, zdaje się ociężałym i niezgrabnym.

Górale, mając nadzwyczaj proporcjonalne członki, małe stopy i ręce, odznaczają się przytem niezwykłą zwinnością, lekkością i dobitnie akcentowaną celowością ruchów. Przymiotów tych nie można kłaść wyłącznie na karb warunków, w jakich żyją. Przy tych samych wpływach zewnętrznych, Tyrole (np. z okolic Meranu) są ciężcy i niezgrabni. Ręce i nogi ich nie mają nic elastyczności i ruszają się jak drewniane pedały, a przecież tu i tam człowiek żyje nad przepaściami, wśród skał pionowych i stromych gładów.

Te same wpływy zewnętrzne, w różnym stopniu oddziałują na różne rasy ludzi.

Szwaby ze Spiża, jak niezdarnie i niezgrabnie chodzą, będąc jednak sąsiadami naszych górali.

Tak, to jest, jeżeli kto chce, piękne »jak balet«, z dodaniem tylko prawdy, swobody, siły i szczeroci — a bez mdłych całusów i umizgów sztucznych do widzów.

Słońce, z nad szczyby Giewontu, świeci czystym blaskiem południa, drży i płynie falami potoków, srebrzy się na liściach wierzb i igłach świerkowych. Jak

okiem sięgnąć, jaśniej pogoda bez cienia, bez chmury. Od pagórków Bukowiny do zachodniego krańca na Orawie, rozlewają się fale światła, czepiając się szczyb, płaszczyzn, szkarp, występów gór, zatopionych w morzu promieni. Szczybate kontury grani, obwiedzione smugami świetlanemi, miękną i zacierają się; urwiste, dzikie ściany kotlin nasiakają powietrznym oparem; czarne lasy połyskują srebrnymi pasmami, mżą się błękitnemi, nikłemi cieniami — cały ten, zwykle dziki i niedostępny, świat górski wznosi się dzisiaj łagodny i uprzejmy.

Wśród tego otoczenia, zmieszani z góralskim tłumem, kręcą się wszędzie, na wszystkie strony gościepanowie.

Zjawiają się tu oni razem z ciepłem, z letnimi deszczami. Jak bociany i jaskółki wędrują z różnych stron świata, wiją sobie chwilowe gniazda i osiadają na parę miesięcy.

Przychodzą tu, jak wyziew letniego parowania ziemi. Są oni dla tego ubogiego i dzikiego zakątka bogactwem tak naturalnem, jak urodzajny muł dla brzegów Nilu. Z pustyni skalnej, bezpłodnej, z łożysk lodowców, zawałonych trupiami rumowiskami granitów, ze ścian stromych, na których źdźbło porostów utrzymać się nie może, wyrasta plon nieposiany, stokroć obfitszy od lichego i niepewnego plonu owsa lub gruli, na jakie stać jedynie tutejszą rolę.

Napływ krajcarzy z kieszeni gościa, jest dla górali wynagrodzeniem za ich miłość do tego ubogiego kraju, jest odpłatą za twardą walkę z naturą wrogą, jałową, ubogą i dającą tyle, że jak któryś z nich mówił: »Ja ta, i nie jem, ino zyjem«.

Goście ci są jednym z najwdzięczniejszych zbóż do uprawy. Zwłaszcza z początku, kiedy wymagania ich były nadzwyczaj małe, a ilość zostawianych dudków nieproporcjonalnie wielką, panowie nie ustępowali w plenności nawet pszenicy.

Dziś stosunki się zmieniają. Goście, tak jak rośliny, wymagają staranniejszej i kosztowniejszej uprawy, większego około siebie zachodu. Niemniej jednak są oni dobrodziejstwem Zakopanego i tych wszystkich podkarpackich dolin, do których sięgają ich wędrowniki.

Kiedy, przed laty, prof. Chałubiński odkrył Tatry, pierwsi, liczniejsi wędrowcy wpadli na widok górali w zachwyty bezgraniczny.

Chłop, który im był znany, tylko jako leniwy parobek, lub sąsiad wykradający, las i wypasający zboże; jako niewolnik, całujący pokornie ręce i zawsze podejrzany o najlichsze instynkty; który mieszcuchom przedstawiał się, jako kłótniwy dostawca fałszowanego mleka, jaj zgniłych i drzewa porąbanego na strzępy cynamonowe; który zresztą mógł być przedmiotem zabawy, lecz nie zdawał się możliwym do wspólnego towarzyskiego życia, — chłop ten, stanął nagle w postaci pięknej i bohaterskiej.

Kapelusz z kostkami, biała cucha, cyfrowane portki, świecąca spinka i ostra ciupaga roztkliwiły do łez sentymentalne i estetyczne instynkty filistrów i — otworzyły ich worki.

Z chłopem tym trzeba było żyć, trzeba go było szanować, ponieważ od niego się zależało i jemu tyle się zawdzięczało. On był mostem nad przepaściami, poręczą na skalnej grani, skrzydłem ponad otchłanią, której bezdnia mroczyła wzrok i ścinała krew w żyłach.

Był on niańką dla ludzi zniedołężniałych w miejskiem życiu lub wygodach zbytku; jego odwaga, przytomność umysłu, energia, wytrwałość, znajomość natury, spokój wobec niebezpieczeństwa i szybkość postanowienia zastępowały brak tych przymiotów u ludzi, którzy po raz pierwszy znajdowali się wśród tak niezwyklej i całkiem im nieznaney przyrody.

Chłop ten przytem nie był niczym poddanym. Rósł wolny i dziki, i przy wszystkich formach uniżoności, zachowywał godność osobistą i hardość ducha. Szanował się i kazał siebie szanować, śpiewając tym, którzy mu chcieli imponować pańszczyznianemi narowami:

Panowie, panowie, bedziecie panami,
Ale nie bedziecie przewodzić nad nami.

Zresztą, czasy powstawania popularności górali przypadwały na chwilę żywego rozbudzenia pojęć demokratycznych. »Zbliżać się do ludu«, zaczynało być wogóle w modzie; cóż mówić o zbliżaniu się do ludu, którego umysłowe i towarzyskie przymioty, którego życie i postać były tak oryginalne, tak różne od zjawisk pospolitych, codziennych; ludu, który był częścią wspaniałej natury, był jakby jej duchem, fantastycznym tłumaczem jej piękna i potęgi, zdolnym opowiadaczem i twórcą legend; ludem, który miał wogóle mnóstwo pysznych rasowych przymiotów.

W tych pierwszych chwilach entuzjazmu zapomiano nawet, że górale są ludźmi; że uspołecznienie, wynik silnie zadzierzgniętych i unormowanych stosunków między ludźmi, niezawsze idzie w parze ze zdolnością umysłową lub przymiotami takimi, jak męstwo, energia

temperamentu, wyobraźnia zapalna i łatwość wystawiania się.

Nie licząc się z instynktami chciwości, jakie, u ludu tak biednego, mogło rozniecić rozrzucanie garściami pieniędzy, pieszczono górali i schlebiano im bez miary.

Górale przyjmowali wszystko — może się dziwili, to pewna jednak, że było im dobrze. Ponieważ hojność dających przechodziła skalę ich wymagań, nie potrzebowali rachować papierków, które im wciskano do ręki. Zachowywali pozory bezinteresowności, kładąc w torbkę łatwo zarobione krajcarze. Drażliwa kwestya zapłaty, tak z góry rozwiązana, ułatwiała niestychanie stosunek towarzyski i usposabiała do całkiem idealnych porywów obiedwie strony.

Młodzi, inteligentni, zgrabni i piękni górale otoczeni byli względami towarzyskimi, służyli za ujście dla dobrych chęci i poetycznych popędów pań i panów.

Marzycielskie panny czytały im Słowackiego, unosiły się wspólnie nad Krasińskim i pięknością natury.

Sława tatrzańskich przewodników rozchodziła się po całym kraju, roznosząc daleko anegdoty z ich życia, cytaty ich słów, ich koncepty i przypowieści, zapalała w dalekich gdzieś okolicach entuzjazm do rozmaitych Walków, Maćków i Wojtków. Zdawało się, że całe ich życie i oni sami, to fantastyczna bajka i tchnienie poezyi.

Poetyczny filister przejmował się własną sytuacją i wśród ciągłych wykrzykników podziwu, entuzjazmu, opromieniał siebie, swoje zabawy na skałach, swoje skoki niezgrabne, swoje noclegi niewygodne, swego przewodnika, kij nawet, którym się podpierał, jakąś aureolą chwały.

W literaturze tatrzańskiej owych czasów, przeważa ten ton elegijny, rzewny, pełen podziękowań dla Stwórcy, który dla nich, dla tych panów gości, takie cuda zbudował.

Dziś, wszystko to się zmienia. Wycieczki w Tatry stały się, czemś bardzo zwykłym — powszechnym. Entuzyjaści, straciwszy dużo pieniędzy, zaczynają się rachować; górale zaś, ujęci w karby, ostemplowani i unormowani w zapłatach, patrzą na gości, jak na źródło dochodu, od którego trzeba już płacić podatki.

Z chwilą, w której panowie zaczynają rachować swoje papierki, góral oblicza skrupulatnie wartość swoich usług i zasług. Tu następuje kolizya egoizmów, — rozczarowanie i źródło tych wszystkich gawęd o chciwości górali i o wyzysku, jakiemu podlegają goście.

Naturalnie, niezawsze winą jest po stronie górali i często można widzieć strapionego Jaśka lub Maćka, któremu goście struli życie, grożąc, że go opiszą w gazetach o jakieś parę guldenów, które mu się słusznie należały. Gość, który chce wszystko dostać jak najtaniej, nie widzi, że robi to samo, co góral, który chce wziąć jak najdrożej.

Jest to bardzo charakterystyczne, że ludzie z Warszawy mają lepszą sławę u górali od Galicyan.

Widocznie Warszawiak i wogóle człowiek z tej strony granicy, przynosił więcej entuzyazmu i z większą łatwością wyzbywał się z gotówki.

Niema zapewne, a przynajmniej mało jest ludzi, którzyby, twierdząc, że »praca uszlachetnia«, że jest najwyższą rozkoszą i ozdobą życia, brali to wszystko do siebie. Sądzę, że nawet autorka powieści pod powyższym tytułem, myślała wyłącznie o uszlachetnieniu i uszczęśliwieniu swoich bliźnich na tej drodze. Mnie się zdaje, że wszyscy, ale to wszyscy ludzie dążą do tego, żeby nie pracować i że ten wstręt do pracy jest jedną z głównych dźwigni wszystkich wynalazków w mechanice, zastępujących siłę człowieka. Dziś i dawniej praca zwała się i zwała na karki wszelkich niewolników, — zwierzęta, narzędzia, maszyny i ludzie, w celu uszlachetnienia, obarczani są brzemieniem trudu, wstrętnego w gruncie dla wszystkich.

W dodatku, każda praca i wysiłek połączony z pragnieniem dojścia do jakiegoś praktycznego celu, uzyskania korzyści materialnej, lub zadosyćuczynienia ambicyi, połączone są z zawodami, przykrościami, niepokojem i troską. Nie byłem w tym wypadku — przypuszczam jednak, że kapitalista, obcinający kupony, i ten nawet, kiedy niekiedy musi się skarżyć na swoje uciążliwe zajęcia.

Z drugiej jednak strony, ciągły i zupełny spoczynek jest również niemożliwym, nieprzyjemnym i nużącym na swój sposób. Człowiek dobrze żywiony, niezmuszony do pracy, mogący ciągle odpoczywać — nudzi się, splenuje, — nie wie, co z sobą zrobić, oddaje się albo lichym rozrywkom, albo melancholii. Tu właśnie kryje się przyczyna istnienia, wszelkiego rodzaju sportów, tych sposobów szlachetnego (?), bezcelowego wyzwalania sił fizycznych.

Wszelki sport, a w szczególności taternictwo,

ta bezinteresowna walka z naturą, daje możność zużycia nadmiaru sił i zdrowia, nie zostawiając żadnego niesmaku, żadnych zawodów realnych, ponieważ niema tu realnych interesów do bronienia lub korzyści do zdobywania.

Taternik lub alpinista, bez widocznej potrzeby, ponosi straszne trudy; naraża się na rzeczywiste i wielkie niebezpieczeństwa; przebywa olbrzymie przestrzenie w górę, stacza się w doliny i znowu wdiera na góry, nie nosząc w zanadrzu żadnego interesu, nie obliczając ceny swoich kroków, nie myśląc, czy i ile na nich zyska lub straci.

Żyje życiem próżniaczem, pracując od świtu do nocy. Odpoczywa — trudząc się nadmiernie.

Jest zawsze lekki, swobodny; nigdy nieprzejezdzony — czasem, rzadko, przepity...

Doznaje mnóstwa przepysznych wrażeń, od natury wspaniałej i potężnej, łatwej do pojęcia, gdyż przedstawiającej się w kształtach wyraźnych, określonych, stanowczych, sformułowanych w sposób jasny i przekonywający.

Odradzają się w nim instynkty, siły i zdolności zamarłe lub zniedołężniałe w spokojnem życiu, — niepotrzebne w podróżach tramwajami i wycieczkach nad brzegi rynsztoków, po asfaltowanych chodnikach.

Taką jest psychologia taternictwa.

Kobiety młode, piękne, stare, brzydkie, — dzieci, mężczyźni wszelkiego, gatunku — znajdują w niem pełno rozkoszy i pożytku, zdobywanego mimowoli, niechcący.

Nic też dziwnego, że w dzień słoneczny, a przynajmniej suchy, wysypuje się ze wszystkich will i cha-

łup zakopiańskich mrowie ludzi od samego rana i drze się ku góróm, ginie wśród lasów, rozdołów i jarów, rozbiega się po wszystkich kątach doliny.

Patrząc na te igraszki lekkomyślne poważnych osób, które w swoich ruchach rozmiękłych albo sztywnych i koszlawych, w swoich twarzach ułożonych systematycznie, w symetrii swego zarostu i uczesania, w swoich modnych, miejskich ubraniach, w całej swojej postawie zatrzymują coś z konwencyonalnej powagi urzędnika, tylko co powstałego od biura, — patrząc na tę swobodę dziecinną, z jaką się one tu bawią, na tle chaotycznej i dzikiej natury, przypomina się Heine:

Philister in Sonntagsröcklein
Spazieren durch Wald und Flur,
Sie jauchzen, sie hüpfen wie Böcklein,
Begrüssen die schöne Natur.

Nie drwijmy jednak.

Filister, który z pewnemi ostrożnościami schodził w dół, ulicą Bednarską, teraz z lekkim sercem toczy się z przełęczy Zawratu razem z kamieniami. On, którego przerażała każda kropla deszczu, spadła na świecący cylinder, który miał do błota i wilgoci wstręt taki, jak gdyby był warszawskim estetykiem, dziś wierzy, że wszystko to, tu w Zakopanem, jest zdrowe. Deszcz pada! Nic nie szkodzi!

Zresztą, przecież Chałubiński i Baranowski mieszkają tam, w tym lesie... Powoli, wiara w Chałubińskiego, w wartość surowego klimatu i ruchu w czystem powietrzu, zmienia się w wiarę we własne siły, zdrowie i energię. Zwiędłe cherlaki i miękkie, jak z waty,

tłuściochy uderzają się z upodobaniem po łydkach, które ich obnosiły po Tatrach.

Elegant, który mierzył ludzi szykiem ich obuwia, dziś z dumą pokazuje swoje rozklapane trzewiki, zdarte »na granitach Łomnicy«.

Panna, która krzyczała: »Ach! i och!« przy lada szeleście, śpi spokojnie przy huku, zlatującej z wysokości tysiąca stóp siklawy, lub szumie halnego wichru.

Ten przybladły, spokojny, otyły jegomość z wytrzymałością rysia wspina się po skałach, ta wątła panna tygodniami całymi żyła we wnętrzu gór, nie schodząc na odpoczynek w dolinie; ten ksiądz z potulną twarzą, skróciwszy poły sutanny, dźwigał się, rzeczywiście, ponad obłoki.

Taternik nie ma żadnego stałego, określonego typu. Rekrutuje się on wśród wszystkich warstw towarzyskich, ze wszelkich fachów, temperamentów i charakterów... Poza zupełnymi niedołęgami, których brzuchy spadają, jak Falstafowi na kolana, lub których wątły organizm nie wytrzymuje trudu i surowych warunków życia; poza ludźmi dotkniętymi chorobliwym strachem przestrzeni — każdy może być taternikiem.

Włóczą się też po szlakach tatrzańskich ludzie tych wszystkich odmian, jakie tylko wydają powikłane stosunki społeczne.

Ten mały, humorystyczny człowieczek w zadużym serdaku, wdziera się obojętnie na najstrome skały, czepia się jak pająk upłazistych brzezków nad przepaściami. Właściwie, nie interesuje go to wcale. Jest mu wszystko jedno, czy wchodzi na marmurowe schody hotelu, czy się drze po prostopadłym zrębie góry. Ma on w sobie humor i towarzyskość, które

w dobrej kompanii niosą go, gdzie kto chce... Na Garłuch? — to na Garłuch. Na Montblanc! — Owszem.

Tamten wysoki, chudy z miłą, cichą i spokojną twarzą, chwiejący się na wietrze, z uprzejmym uśmiechem, z przygryzionem Virginia, pnie się jak długa stonoga, »naciąga się jak gad«, według zdania górali. Długimi rękami chwyta się krawędzi i łagodnem błękitnem okiem patrzy ze szczytu, w głąb sonej bezdni, w której bieli się potok, jak srebrna nitka.

Tu znowu, wystawia naprzód pierś atletyczną i wyzywająco patrzy na góry, jeden z tych, o których Sabala mówi: »Kaby takich dziesięci nabrać, toby ta mątu na świecie narobili...«

Niesie się on przez wirchy i hale, napełniając je wrzawą swego hulaszczego temperamentu; otoczony bandą przewodników, muzyką góralską, tańczy po szłasach, łapie, co najmniej, całusy juhaskom; nie patrzy, nie obserwuje, bawi się sam i bawi innych, budząc w góralach niekłamany zapał swoją postawą, siłą, energią, wytrzymałością, odwagą, jak niemniej ilością rozrzuconych guldenów.

Starych taterników poznać można po wytartych i czerniałych serdakach, spokojnym wyglądzie, butach znoszonych, łatanych, jak również po braku wszelkich gratów, któremi się zwykli obwieszać turyści. Znają oni tu każdą szczerbkę, każdą perć, każdy wirch, wiedzą gdzie, kędy i jak długo dokąd się idzie i z nałogowym spokojem, lub stale podnieconem zamiłowaniem włączają się po szczytach. Mają swoich przewodników, którzy chodząc z nimi wielokroć, znają wszystkie ich narowy, potrzeby, upodobania, — są już tak do nich

dopasowani, jak te stare buty do nogi, jak wytarta na skałach ciupaga do ich ręki.

Obok nich młodzi, ze świeżym zapalem, często przebrani po góralsku, obwieszani torbkami, flaszkami, aneroidami, pędzą lekkomyślnie i naoslep w góry. Są też często utrapieniem przewodników, którzy o nich mówią mniej więcej w ten sposób: »Gawiedź młoda, plugace, kopowe psy, przeklęte dyabły!«

Gdzieindziej znów samotny, bez przewodnika, z puszką na rośliny, botanik pnie się po pionowych skałach. Jest to niebezpieczny, dla siebie, typ taternika. Badając zasięgi różnych roślin, gotów jest łeb sobie roztrzaskać dla jakiegoś Litworu, czy innego górskiego ziała. Wraca też czasem z tych wypraw z ręką wyciągniętą ze stawu i przy pomocy zębów jako tako związaną. O jego drogach opowiadają w Zakopanem cuda — człowiek taki mógłby chyba, jak mucha, chodzić po suficie...

Do najszałeńszych typów mnie znanych, należą ludzie średniego wzrostu; — suche, nerwowe twarze, z zaciśniętymi ustami, z pozorami spokoju. Człowiek taki wobec przepaści i wirchów dostaje poprostu ataków wściekłości, porywa go koler, jak konia i wtedy wdziera się tam, gdzie kozica możeby się wahała stąpić. Przewodnicy opowiadają ze drżeniem o tych miejscach, przez które z nim przechodzili. Nie znosi on żadnych uwag, terroryzuje i ciągnie za sobą przewodnika, a towarzyszy podróży, wahających się, gotów jest obić — jakoż i bije.

Zdarzają się tu najdziwniejsze kombinacje usposobień. I tak, człowiek najodważniejszy nad przepaścią, mierzącą kilka tysięcy stóp głębi, nie śmie wejść na

kładkę płytkiego potoku, zawieszoną nad samą wodą. Inny, odważny, śmiały, póki stąpa po skale, dostaje paniki, dotknąwszy nogą trawiastego upłazu.

W Tatry ściągają ludzie z różnych powodów. Są tu i tacy, dla których włóczęga po górach jest dalszym ciągiem jakiejś kuracyi, regulującej funkcye żołądka. Udoskonalają oni tu swoje trawienie, ostrzą apetyt, znoszą różne niewygody i braki dlatego tylko, żeby, wróciwszy do zwykłych swych warunków życia, lepiej odczuwać ich zalety. Nie mają zresztą ani szczególnego zamiłowania do gór, ani nadmiaru odwagi; jednak, dla zasady, pracowicie spędzają parę tygodni w Tatrach.

Inni znowu mają tylko dobre chęci. Ciągnie ich tu zwyczaj, teoretyczne przekonanie o stosowności zwiedzania gór i zachwycania się pięknnością natury. Tacy wśród ciągłych wykrzykników: »Ach! jakie to ładne!« prowadzą zwykle rozmowę na temat: »Czy pani lubi góry?«

Przychodzą też tu ludzie z tak przedrażnionem poczuciem osobowości, że nie mogą znieść obok siebie innych ludzi. Najwspanialsza panorama, najbardziej malownicza ruina góry, najdziksze, najniebezpieczniejsze wąwozy tracą dla nich urok z chwilą, w której tam zaczynają wszyscy chodzić. Szczęście też, że ten świat górski jest tak rozległy, przepaścisty, pakowny; ma tyle ukrytych, zapadłych kątów; dróg wiadomych tylko zwierzyńce i kłusownikom, że najbardziej nawet drażliwy indywidualista, zawsze jeszcze znajdzie takie miejsce, gdzie zostanie sam na sam ze swoją duszą, którą uwielbia, i naturą, którą może jeszcze tolerować.

Tatry są równie niedostępne i równie dostępne

dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Ponoszą one wszystkie trudy z niezwykłą wytrzymałością; wykazują odwagę, przytomność umysłu, spokój wobec niebezpieczeństwa, i wogóle wszelkie dobre przymioty taternika. Wszystkie też percie, brzeżki, granie, przełęczce zmierzone zostały ich drobnymi stopami i z najwyższych wirchów tatrzańskich powiewała już chorągiew — spódnicy.

Przy całej forsowności ruchów na skałach, kobiety zgrabne i odważne wyglądają wśród nich pięknie i wdzięcznie. Beładne, nieforemne kształty piętrzących się głazów są doskonałym kontrastem dla linii giętkiego silnego i dobrze zbudowanego ciała.

Naturalnie, nie wszystkim i niezawsze jest w tych wyprawach wygodnie i do twarzy...

Często wycieczka kończy się deszczem — tym deszczem górskim, bezwzględny, zawzięty, spadającym z jakąś niepohamowaną wściekłością, a wtedy damy, zmokłe, zbłocone, zmęczone, potracając się wśród głazów, ślizgając się po błocie, wracają pozbawione wszelkiej nawet pretensyi do wdzięku i piękna. Ktoś widział jakąś otyłą, ciężką babę, zmokłą, ociekłą, wystraszoną i spłakaną, którą znosił w garści przewodnik z Zawratu, śmiejąc się przytem i wmawiając, że to droga gładka, jak szosa z Nowego Targu...

Jeżeli komu jest bezwzględnie dobrze w Zakopanem, to dzieciom. Szczególniej tym biedakom, którym się zdarzyło urodzić i żyć w miastach, w wielkich rojowiskach ludzi, wśród ciasnych, brudnych, dusznych i cuchnących ulic.

Tutaj jest dla nich raj prawdziwy. Otoczenie, które oddziaływa równie dodatnio na ich zdrowie, na rozwój sił fizycznych, jak i na umysł.

Ta natura góraska tak potężna, niezwykła, wyrazi-
sta, przykuwa ich uwagę, roznieca wyobraźnię, kładzie
na ich wrażliwej myśli obrazy jasne, konkretne, dobi-
tne, — uczy ich i bawi lepiej, niż ciasny, zapakowany
między czterema ścianami miejski ogródek freblowski,
z jego wszystkimi przyrządami do uprawy umysłu.

Same potoki tylko są już dla nich źródłem cią-
głego, wielkiego interesu, przedmiotem nieustannych ba-
dań i zabawy.

Ta woda wesoła, wściekła, pieniaąca się, jasna
i przezroczysta, która gdzieś śpieszy, dokądś pędzi
z tajemniczym pośpiechem, zdaje się być żywą i obda-
rzoną świadomością swego życia i celów.

Wypada oto z za jakiejś krawędzi skalnej, rzuca
się pomiędzy głazy, okrąża je, pieni się, kipi zła i nie-
cierpliwa, ciska w powietrze kryształowe blaski i per-
łowe piany.

Dalej trafia na gładką, mało pochyłą równinę
i płynie cicha, przezroczysta, śmiejąca się dołkami wir-
rów, zaczepiając obwisłe gałązki świerków i potrącając
badyłami trawy; — nagle, ziemia się pod nią urywa
i cała jej masa, porwana jakąś siłą fatalną, ciska się
w przepaść, jakżeby z zamkniętymi oczyma, rozbija się
w pianę, w smugi i nici białe, w kurz i parę... I znowu
porywa się z upadku, wybucha wielką falą; przerzuca
się przez zawalające jej drogę głazy i ginie w jakichś
wielkich ustach z kamienia, w ciemnej czeluści podziemi,
w tajemniczych światach, ukrytych we wnętrzu gór.

Nietylko dzieci interesuje i przykuwa ten widok.

Obserwowałem profesora statystyki, który go-
dziny całe stał na kładce, wpatrzony w wezbrany ulewą
potok, rozbiegający się wśród głazów, okrążający pnie

świerków, szemrzący po trawach, — i mogę zapewnić, że uczony statystyk, patrząc tak na szumiącą i pieniającą się wodę, nie zajmował się obliczaniem: ile i w jakim czasie przepływa jej pod jego stopami?

W tej wodzie żywej, równie jak ona bystry i ruchliwy Drozd wodny, czyli Kordusek, nurtuje, żeruje i kąpie się, rozbijając białą piersią wartką i gwałtowną falę i rzucając się bez zastanowienia, w grzmiące strugi wodospadów.

Nad potokami po całych dniach widać dzieci, puszczające z biegiem wody szyszki świerkowe, ciskające w nią kamienie, dzwigające drobnymi łapkami wielkie tamy z kamyków, znoszonych codzień na jedno miejsce. Wśród dzikich lasów, obdartych brzegów, rumowisk głazów, spotyka się wszędzie ślady pracy tych maniaków. Jak bobry wznoszą one tamy, jakieś dziwne budynki, stawiają młyny i tartaki, rozkopują łożyska wód i wywabiają je z koryta na małe łączki i mielizny.

Wyobraźnia ich zamienia najmniejszy spadek wody w wielkie wodospady; lada kamień przydrożny w turnicę, na którą każą się po setki razy wprowadzać.

W towarzystwie małych góralików nabierają odwagi, ochoty do ponoszenia trudów, uczą się przedsiębiorczości, wytrzymałości, zręczności, trochę dziczejają, z czem im bardzo do twarzy.

Oswajają się z groźnymi głosami wód górskich, burz halnych, z wielkim rykiem grzmotów, rozbijających się długimi echemi po skalnych obszarach.

Wspaniałe kwiaty górskie, te festony gencyany, grona złotogłowiu, ogromne łodygi i baldachiny wielkich roślin, przepyszny oset górski, inkrustowamy w zielonej darni, czerwone kity mieczyków, liliowe dywany

dzwonek; te drzewa pnące się po skałach, dziwacznie wygięte ramiona buków, wielkie płaszcze świerkowych igieł, jasne liście jaworu; te głązy nakryte bogatymi kobiercami mchów kolorowych — wszystko to napełnia życie dziecka, jakimś zdrowym czarem i urokiem. Wracają one stąd z muskułami silnemi, zdrowemi płucami, czerstwe i mężne, ze wspomnieniami obrazów i zdarzeń, które długo trzymają się pamięci.

W zimowy wieczór w Warszawie, lubią sobie przypominać gęśliki Sabaty, przy dźwięku których tańczyły w Zakopanem; swoich towarzyszy Jaśków i Józków, turnice, potoki, smreki, te wszystkie dziwne rzeczy i nowe nazwy, które ich nigdy nie przestawały interesować i zadziwiać.

Do szczególnych typów tatrzańskich należy taternik symulacyjny, który nie ruszając się z Krakowa lub Warszawy, za pośrednictwem drugich zwiedza najwyższe szczyty, przebywa najtrudniejsze miejsca. Taki idealny taternik daje swoim znajomym bilet wizytowy z prośbą, aby umieścili go w odpowiednim miejscu, lub wypisali tam jego nazwisko. Być na Gałuchu lub Łomnicy jest tak dobrą sławą, jak każda inna, dla ludzi ambitnych bądźcobądź. Wszakże skromny tytuł: Członka Towarzystwa tatrzańskiego, widziałem w głębi Litwy, na zapadłym wiejskim cmentarzyku, wryty obok nazwiska na nagrobku!

Nie trzeba myśleć, żeby ci ludzie cywilizowani, którzy tu przychodzą dla zaspokojenia pierwotnych instynktów pożycia z naturą, żeby oni swój świat zosta-

wiali za sobą i wyzbywali się ze wszystkich swych nałogów, przyzwyczajęń, śmieszności, — złych czy dobrych przymiotów życia miejskiego i bardziej powikłanych stosunków towarzyskich i społecznych.

Jak ślimak swoją skorupę, niosą oni za sobą cały ciężar potrzeb wyrafinowanych. Przeciągają druty telegraficzne, zawieszają skrzynki pocztowe, stawiają teatralne budy, ściągają hecarzy, fryzyerów i prelegentów, robią wszystko, co mogą, żeby przez te parę miesięcy oddychania czystem powietrzem, trochę kurzu i zapachu, trochę hałasu i odurzenia miejskiego domieszać do wrażeń górskich.

Potrzeba żywienia się i nałóg knajpowy sprzyja istnieniu rozmaitych restauracyi, szynków, cukierni i kawiarni.

Żyd, który dawniej miał tu tak mało do roboty, który na tem życiu prostem i nędznem, życiu pasterzy, przez pół roku zasypanych śniegiem, tak niewiele mógł zyskać — teraz bogaci się i rozmnaża, tłoczy się we wsi, skupuje ziemię, buduje się i paraliżuje często przedsiębiorczość i rzutkość górali.

Cywilizacya z całym swoim bagażem dobrego i z całą swoją lichotą i tandetą, ciągnie tu razem ze wschodnim wiatrem, wiejącym wzdłuż doliny ze świata.

Tam skrawek lasu świerkowego odcięty na park! Sześciu zakatarzonych Żydków wygrywa na zdetonowanych wilgocią strunach, starając się, bez skutku, zagłuszyć szum bliskich potoków i turkot podskakujących na kamienistej drodze wozów. Ten park! — to pół morga lasu, obrzuconego żerdziami płotu, z ławkami z surowych desek, przybitych do kołków krzywych,

z wydeptaną i pooraną korzeniami świerków darnią, — ma jednak nieprzeparty urok dla gości.

Tu, wśród całej wspaniałości otoczenia, wśród ogromu dzikiej natury, to słabe wspomnienie jakichś miejskich ogródków, ciągnie ich; jest w tem widać coś z alei Ujazdowskiej, z ogrodu Saskiego, z tych wszystkich miejsc, gdzie ludzie chodzą, żeby się pokazać...

Miejski filister, w czystej swej postaci, spotkany gdzieś w górach niedostępnych, robi wrażenie dziwne, nieharmonijne, — niemniej dziwnie wygląda wśród ciemnego lasu, na pniu ociekłego żywicą świerku, afisz teatralny, w którym zdaleka można wyczytać między innymi: »Monolog ze śpiewami wygłosi p. Solski«.

Ta parodia sztuki, artyzmu, zbytku, komfortu, tem śmieszniej wygląda na tle natury bogatej, na tle życia ludu góralskiego, który w granicach swego ubóstwa ma swoje oryginalne, szczerze artystyczne upodobania i ten prosty zbytek, którym jest krój i czystość jego ubioru, ozdobność pełna charakteru jego chałupy.

Tu, jak gdzieindziej, ludzie się bawią, tańczą, uczą się na — biednych. Koncerty, bale, obrazy żywe, pikniki, odczyty, wszystko to tu, jak gdzieindziej, sięga do kieszeni po podatek pośredni od zbytku, na rzecz nędzy w najrozmaitszych objawach.

Kobiety, tak dobrze w sali ratuszowej, jak w zakopiańskim kasynie pozwalają sobie na trochę kokieteryi dla otarcia łez nieszczęśliwym...

Oto żywe obrazy, w których występuje sztuczna córka Faraona, obok »tańca prawdziwych góralski«, oto koncert, w którym czuć więcej dobrych chęci, niż słycać głosu śpiewaków; gdzieindziej malarze urządzają pochód Arabów, z sułtanem w atlasowej

spódnicy, w kocu z zakładu hydropatycznego, z trzepakami, jako godłami potęgi. Pochód ten robi furorę między góralami.

»Kaby ludzie wiedzieli, toby ta baby z Kościelsków latały na to widowisko« — mówi Sabała i dodaje: »a tego nikt inny nie mógł dokonać, chyba Piotrowski (Antoni), bo to je chłop cerstwy i ucony! Hej!«

Ci ludzie dółscy, w tej lub innej formie, przynoszą tu jednak mnóstwo dobrego, ludzkiego, społecznego pierwiastku.

Dzięki im, istnieje tu szkoła snycerska, szkoła koronkarska, kasa zaliczkowa, gospoda i czytelnia ludowa, stypendya i fundusze na utrzymanie biednych uczniów — nie licząc mnóstwa bezpośrednich, z ręki do ręki, dobrych uczynków, które łatają biedy i nędze góralskiego ludu.

Prof. Chałubiński, Modrzejewska, prof. Baranowski, pp. Dembowscy, Towarzystwo tatrzańskie i wielu innych, — oni to zrobili z tej pustyni, odciętej od świata, ognisko cywilizacyjne i dobroczynne. !

Jeżeli skutki ich starań nie zawsze były pomyślne, przyczyną tego jest tylko brak ludzi w miejscowym żywiole, którzyby utrzymali i rozwijali umiejętnie i sumiennie, świeżo zaszczerpione urządzenia i zakłady.

Pod wpływem tego elementu bardziej uspołecznionego, miękną obyczaje górali, — przyczynia się też do tego niepomalu, zapewne, i obecność kilku zgrabnych żandarmów, którym kapelusz z koguciem piórami, czysty szynel i białe rękawiczki nie przeszkadzają mieć w kieszeni kajdanków.

Nietylko ludzie, natura tatrzańska, nie przestając

być sobą, staje się przystępniejszą, nie tak wrogą i niegościnną.

Wśród zupełnej pustyni, zawalonej okruchami gór, gdzie czarne krzaki kosodrzewiny wyginają swoje karłowate konary, gdzie świerk już nie śmie rosnąć, podróżny, zaskoczony burzą, znajduje dach, ognisko i przytułek. Schodząc zrębami ścian granitowych, jeżeli masz gdzie nogę postawić, to dlatego, że tu jakiś delegat Towarzystwa tatrzańskiego wyźłobił ten gzemsik, ledwo dostrzegalny, jak ślad małego robaka na gliniastem urwisku; gdzieindziej znowu, wisząc w powietrzu nad przepaścią, dziękuj temuż Towarzystwu tatrzańskiemu za parę klamer żelaznych, wbitych w gładką ścianę, za które możesz się ucześcić. Jeżeli z labiryntu dróg błędnych, wśród lasów zawalonych głazami, podciekłych strumieniami, wyprowadzą cię czerwone znaki na korze świerków, na występach skalnych, to wiedz, że tędy przechodził p. Walery Eliaz i, jak wróżka z bajki, stawił drogowskazy dla zbłąkanych dzieci.

* * *

Nad brzegiem morza, całymi dniami leży się w piasku, słucha się jednostajnego szumu fal, staczających się na wybrzeże, i wpatruje się bez przerwy w błękitną wodę i błękitne niebo, stapiające się gdzieś u horyzontu. Widać tu świat cały, otwarty, bez zasłon, aż do tych krańców, do jakich sięgnąć zdoła siła wzroku. Nic się na tej płaszczyźnie błękitnej, zmiennej nie może ukryć. Niech się gdzieś zakołysze czarna skorupka rybackiej łodzi, widać ją o milę; niech błysnie biały żagiel, albo maszt okrętu, czy smuga dymu —

wśród tej nicości powietrznej, każdy taki przedmiot odkrywa się bez trudu, bez szukania. Fala nadbrzeżna, powtarzająca ciągle te same ruchy, biegnąca z głębi, stająca dęba na piasku, świecąca, jak szyba żółtego topazu i spadająca w pianach na mieliznę, tak ruchliwa, a tak jednostajna, zajmując oczy i ucho, nie pozwala zmierzyć czasu, który płynie jednostajnie i przechodzi niewiadomo na czym i gdzie... Widząc przed sobą równą linię horyzontu, nie uczuwa się potrzeby zajrzeć za nią, — jest się skłonny do nieruchomej kontemplacji. Jeżeli zamknę oczy, to jeszcze będę wiedział, że jestem nad morzem, po ciągłym szumie. Nie potrzebuję nigdzie iść — niczego szukać.

Tu, w Zakopanem przeciwnie. Surowy klimat, podniecający wpływ tego powietrza, a nadewszystko ta tajemnicza ściana gór, u stóp której się mieszka, nie daje spokoju. Coś rwie z chałupy za ten wał skalisty, za ten gmach, zasłaniający pół widnokregu; ciekawość i jakaś gorączka czyni prze do wdzierania się ze skały na skałę, z grzbietu na grzbiet, aż póki po drugiej stronie nie błysną w słońcu równiny węgierskie i dalekie, nikłe, błękitne horyzonty.

To też w dzień pogodny pilnują domu ci tylko, którym nic już nie pozostaje, tylko owinać się w pled, zapiąć się w serdak i kładąc pasyansa, spoglądać z za firanek ganku na szczyty, z wiarą, że chorym płucem zdrowo jest tu oddychać.

We wsi ruch wielki. Na gankach i werandach chat, w których się mieszczą restauracye i kawiarnie, zmieniają się co chwila goście.

Wszyscy gdzieś śpieszą, dokądś idą lub skądś wracają. Serdaki na wszystkich plecach połyskują kolo-

rowym safianem oblamek; kobiece, białe, z czerwonym lub błękitnem wyszyciem, świecą się w słońcu.

Bardzo wiele pań przebiera się po chłopsku.

Trzeba im jednak oddać sprawiedliwość, że tylko niewielu jest z tem do twarzy. Sam strój przykrojony do jakiejś maniery salonowej, traci zupełnie na charakterze; zawieszony na kształtach, wymagających w tym lub owym kierunku korekty gorsetów, połączony z typem twarzy często zupełnie niewłaściwym, np. semickim, — robi wrażenie czegoś sztucznego, pretensjonalnego, coś w tem jest z budy cyrkowej i baletu, tańczonego na prowincjonalnej scenie. Można widzieć w Zakopanem całe gniazda pań w czerwonych halkach, białych bufiastych koszulach, obwieszonych korallami, z czerwonymi chustkami na głowie, — dobrze, jeżeli są naprawdę młode i ładne...

Ale młode osoby, w pewnym wieku, powinny starannie unikać tych wstążek i koraliaków »najkrańszych«.

Z oddalenia jednak, jako plama czerwona na tle szarej skały, lub ciemnych mchów leśnych, taka spódnica czerwona gra w słonecznych blaskach. Dobrze też wygląda w uliczce zalanej cieniem, przerywanym słonecznymi plamami, wśród białych cich góralskich i ciemnych ubrań panów, na tle ścian brunatnych i szarej drogi.

Wielkie, jasne słońce wisi u stropu pogodnego, czystego, ciemnego nieba. W miarę, jak się stacza ku zachodowi, wschodni kraniec łańcucha gór zarysowuje się coraz wyraźniej, — cienie nabierają siły, światła — blasku.

Wyłaniają się wielkie, ciemne sylwety; ogromne

cienie kładą się po połamanych ścianach; na lasy, na występy skalne pada boczne światło i rzeźba gór występuje z wypukłością prawie dotykálną.

Jeżeli to pierwszy dzień pogody po deszczach, to w Zakopanem wre gorączkowe organizowanie wycieczek.

Na giełdzie przewodniczej ruch nadzwyczajny. Pomimo taksy, goście licytują usługi lepszych przewodników. Ta arystokracja, te sławne Maćki, Wojtki, Szymki nie gorączkują się, siedzą spokojnie, wiedząc napewno, że ich nikt »doma nie ostawi«. Można widzieć często, jak naraz kilku panów szarpie Wojtka, który się śmieje i chciałby się »ozerwać« na części i wszystkim dogodzić... W takich razach, wybiera on sobie najmilszych panów i najdłużej trwającą, »najhrubszą« wycieczkę.

Młoda gawiedź przewodnicza biega gorączkowo, opanowuje równie młodych, niedoświadczonych »płonych« panów i wywleka ich na początek, gdzieś blisko i niewysoko — dla wprawy.

Co chwila się spotyka te charakterystyczne grupy turysty i przewodnika; albo całych wielkich towarzystw, podjeżdżających wozami do skalnych bram górskich, w których zaczyna się właściwa wycieczka piesza. Gdzieindziej znowu, na białym koniu powiewa czerwona halka jakiejś pani, która z przewodnikiem, we dwoje, jedzie ku Morskiemu Oku.

W ulicy tłok; — około sklepów, około restauracyi, przewodnicy, gazdowie, furmani, goście włączają się i potracają. Około wozów, stada góralek w czerwonych płachtach, zbite w kupę, gwarzą. Nagle robi się między niemi ruch, porywają się i przypadają do ręki, jakiejś

barczystej, wysokiej postaci w granatowej czamarze i słomkowym kapeluszu, idącej poważnie środkiem ulicy, z głową wyższą nad wszystkie, jakie się widzi. Po trzy, po cztery kobiety, czepiają się każdej jego pięści, kapelusze gazdów uchylają się pokornie — to ksiądz Stolarczyk.

Tam, kilkunastu zgrabnych, białych chłopaków, wątłych i przybladłych, przechodzi kładkę potoku i szykuje się we drzwiach gospody ludowej, — to uczniowie szkoły rzeźbiarskiej.

Na gankach chałup, tłoczą się tak zwane »wsiówki«, kobiety z dalszych wsi, przynosząc w płachcie, zawieszanej na plecach, kury, jaja, masło, grzyby i jagody.

Godzinami całemi słyhać ich, gdakanie przy zachwalaniu towaru:

— Bierciez! bierciez! bierciez! to masło, bierciez! O! raty ludzie na świecie! a dy to pikne, godne masło, bierciez! bierciez! bierciez!

Jeżeli się targ uda, jeżeli się poczęstuje i pogada, to na odchodnem mówi: — Kieście tacy nie durni, nie wspaniali, to przyjdem... przyjdem...

Nowe, przyniesione przez gości wymagania, dają góralom zarobki niezależne od ich gospodarstwa i przemysłu.

Biedny kaleka, którego ręka została gdzieś w węgierskich kopalniach, roznosi wesołe zaprosiny na rauty i pikniki, afisze teatralne i firmy Towarzystwa ta-trzańskiego, które stylem zawiłym, galicyjskim, obwieszczają o nowych drogach, perciach, schroniskach.

Mały góralik służy za listonosza i mało sobie robi z tęsknych oczekiwań gości na listy. To roznościelstwo jest dla niego zabawą; chodzi po drogach, la-

sach i dla rozrywki wywija torbą, ciesząc się z tego stada listów, awizacyj i kart pocztowych, które fruują około jego kapelusza.

Stąd też, jednym z przedmiotów rozmów w Zakopanem bywa narzekanie na nieporządek poczt w Galicyi.

Furmani w czas pogodny nie próżnują. Całe szeregi wozów trzęsą się po kamienistych drogach, głównie w stronę doliny Kościeliskiej.

Jest to wspaniała nawa gotyckiej katedry, której podłogą jest ruchomy kryształ potoku. Z dna jej wznoszą się skalne filary, pionowe ściany, kolumny ozdobione gżemsami uplazów, z których jak posągi, sterczą kamienne pióra. Spiczaste, symetryczne świerki pną się po szkarpach, złomach i przystawkach i wybiegają strzelistymi sylwetami aż ku stropowi, którym jest błękit nieba.

W górnej swej części dolina się rozszerza, otwierając dalsze i obszerniejsze widoki; z boków jej, jak kaplice, otwierają się bramy wąwozów, naw bocznych, Krakowa i innych.

Dolina ta wywołała tyle zachwytów, tak w niej dusza każdego wędrowca »hipogryfuje na wykrzykniku«, że nie mówiąc już o poetach, którzy rymami sławili jej cuda, ale każdy nawet błędny filister stara się część swej rozentuzymowanej duszy tu zostawić.

Napróżno Towarzystwo tatrzańskie, chcąc oduczyc turystów od pisania nazwisk, umieszcza na swoich altanach i schroniskach maksymę łacińską: *Nomina stultorum* i t. d., — napróżno: każdy przechodzień musi się tu przypomnieć wdzięcznej potomności. Jest tu

przecie skała tak spisana, że zapewne stąd nazywa się Pisaną.

Charakter gotycki, mniej lub więcej silnie zaznaczony, noszą wszystkie prawie wąwozy, mające ujście w dolinie Zakopanego. Są one drogami wód, które przed wiekami rozdarły łono gór i spłynęły w niziny i do dziś dnia pędzą temi samemi łożyskami.

Wąwozy owe, pełne są tajemniczych zaułków, grot, leśnej cieśni, szumu potoków, słonecznych blasków i głębokich cieni. Woda wyłabia w wapieniu dziwaczne cysterny, czary o kształtach zawiłych i krętych, w które wpadając, wiruje, usiana garściami słonecznego światła. Wąskie brzegi potoków kryją bujne liście podbiału; wielkie frendzle gencyany z liliowemi kwiatami zwisają z pod gałęzi pochyłych świerków. Wyżej piętrzy się szara niedostępna skała, albo ciemne obszary lasów zalegają strome boki wąwozu. Ciągły, przyciszony szum potoku wypełnia powietrze; las stoi niemy i nieruchomy; czasem wąska struga wiatru przychodzi skądś, czepia się jakiegoś jednego liścia podbiału i chwije nim, majacząc w słońcu białą jego podszewką.

W wąwozach takich kryją się marzycielskie natury i ludzie stroniący od ludzi. Jest tam dla wszystkich miejsce.

W głębi doliny Strążyskiej, jak ołtarz, świeci w słońcu stroma turnia Giewontu, widna »piknie, od spodku do wirchu, jak do przezieradła!« Tam, pod krętymi, białemi konarami buku, potykając się na kamieniach, rozwydrzeni panowie tańczą nieraz kadryla lub mazura.

Ten Giewont tak popularny, na którego imię klną się wszyscy neofici taternictwa, którego szczybka i nos

garbaty ozdabia rozmaite »Pamiętki z Zakopanego«, Giewont ten przedstawia się pod tysiącznemi postaciami: od szerokiej ściany do śpiczastej, jak wieża gotycka, iglicy. Raz imponuje swoją szczytnością i powagą, to znowu zdaje się lichą turniczką, — wszystko tu, jak wszędzie zresztą, zależy od punktu widzenia.

Stojąc na jednym z gzemsów Nosala, na którym tak często świecą się czerwone spódnice i białe serdaki, można już doznawać wrażeń nadprzepaścistych.

Prosto z pod nóg urywa się przepaść, ponad doliną Bystrej. Środkiem jej idzie szosa, wysadzana drzewami; po bokach, rozbiegają się w białych pianach potoki, bieleją ściany kuźnic i starego dworu, nad niemi wznosi się czarna od lasu Krokiew, a wyżej, wsparta w upłaziste boki, ścięta piramida Giewontu, ciemnieje poważnie, na tle przesuwających się spodem, białych obłoków.

Prawdziwie dziwacznym jest Giewont, kiedy się ku niemu idzie od Kałatówek i kiedy nagle z za stromych bliższych turni wyziera jego łeb czarny, owinięty turbanem chmury, — kręci się ona wirowo z podmuchem południowego wiatru i nie może się od skały oderwać.

Wozem, konno, lub pieszo przez Kozieniec, zwany od antysemitów »Żydowskim Garłuchem«, ciągnie od wczesnego ranka dużo gości do Jaszczurówki, — tego ciepłego źródła wody błękitno-seledynowej. Zamknięta w basenie ze świeżych desek świerkowych, wygląda ona, jak oprawny w blade złoto jasny szafir, — natomiast kąpiący się w niej, zdają się być zielono-trupiami płazami — mówię tu naturalnie o mężczyznach.

Źródło, nad którym bujnie się krzewi gąszcz ka-

czeńca i podbiału, wytryska z pod ziemi przy ujściu wąwozu, prowadzącego z głębi gór wody potoku. Pły nie on wąskim korytem, zawalonem głazami, ocienio- nem gęstwą świerków, jodeł i buków. Ponad nimi wy- soko sterczą pióra skalne i wieże turnic. Woda poły- skuje jak srebrny galon, na tle aksamitnej ciemni lasu, a w górze błękitnieje wąski skrawek nieba.

Żeby jeszcze kto rozumiał ten wyraz, możnaby było powiedzieć, że to jest miejsce r o m a n t y c z n e. Niestety! dziś trudno już wzruszać czytelnika temi, tak dawniej pełnemi treści, wyrazami, jak: r o m a n t y c z n y, p o e t y c z n y i t. p. Dawniejszy czytelnik, wyczytaw- szy takie określenie, wiedział odrazu, o co chodzi. Przed oczyma »jego duszy« stawała czarnooka Gre- czynka; marzył mu się zielonkawy księżyc, oświecający ruiny wieży, odbijającej się w jeziorze; płacząca wierzba mieszała się z hukiem sowy; kapelusz ze strusiami pió- rami, wenecki sztylet i puhar z trucizną wirowały obok gałązki cyprysu i skrzydeł nietoperza. Wszystko to razem wywoływało jakieś nieokreślone, niejasne wzru- szenia, od których przewracał oczyma, wzdychał i był zadowolony.

Dziś, na nieszczęście dla piszącego, a bodaj na szczęście dla sztuki, czytelnicy nie przyjmują nic na wiarę; trzeba ze słów odtwarzać rzeczywistość, zamie- niać je na kształty, barwy, dźwięki — na życie, zostawia- jąc czytelnikowi swobodę wzruszania się lub ziewania.

Jaszczurówka jednak jest r o m a n t y c z n ą. Nie- tylko dla tej swojej ciepłej, błękitnej, jedynej na całym obszarze kraju krynicy. Nietylko dlatego, że tu żyje i łązi, czarno-pomarańczowa, plamista, niezgrabna Sala- mandra, — jaszczur, który po trzydziestu latach ci-

czego życia zostaje smokiem. Jest to rodzaj emerytury, dzięki której jaszczur dostaje strasznego apetytu i odpowiednią ilość paszcz do jego nasycenia. Kości takich zesmoczałych jaszczurów znajdują się, według Sabały, po wielu kolibach i grotach. Lecz nie tylko dla swoich smoków Jaszczurówka jest romantyczną, — jest ona taką głównie dlatego, że wielu ludzi, myśląc o niej, powtarza:

O! jasne, słodkie, o przeczyste wody,
W których zwierciadlanej fali...

.

Ponad Jaszczurówką, lasem, idzie droga, czepiając się występów skalnych; nad nią zwisają pochylone głązy, pod nią czerni się ciemne wnętrza lasu. Zagładamy na czuby buków, jodeł i świerków. Ciemność zielonawa zalega te ciche, odludne, niedostępne zapadliny, gdzie gniją omszałe zwały i wykroty, wietrzeją kamienie, wsparte o silne pnie drzew sennych.

Dróżka ta wychodzi na dolinę Olczyńska. Cichą, głączą kotlinę, otoczoną amfiteatrem czarnych lasów, z ponad których wyzierają fioletowe czuby wielkich wirchów.

To wnętrza dzikich dolin, tuż za pierwszą ścianą regli, tak puste, odludne, bez cienia kultury, gdzie ślady stóp ludzkich zaciera ruchliwa woda; gdzie znaki siekiery giną pod potężnym uderzeniem wichru, zawałającego wielkie przestrzenie lasów potwornymi wykrotami; — wnętrza to stanowi tak rażące przeciwieństwo z życiem osiadłym, z tą chatą, z której tylko co się wyszło, z tą drogą koпанą i bitą, z tem wszystkim,

co cechuje cywilizowane warunki bytu i z tem, co pod ich wpływem zmienia się w naturze, — iż niepodobna nigdy, bez zdziwienia, wyrzeć w ten świat natury, siedząc tu u siebie, poza ludźmi i ponad ludźmi.

Dosyć dzień jeden przebyć w domu, patrzeć na zwykłe sprzęty domowe, żyć w tem otoczeniu, tak już przystosowanem do naszych potrzeb, że się go prawie nie odczuwa, nie uświadamia, — żeby wobec tej natury doznawać wrażenia czegoś wysnionego, bajecznego.

Nieme skały, — milczące i senne świerki stoją w zadumaniu. Ani łopot skrzydeł ptasich, ani szelest kroków zwierzęcia nie mąci cichego życia roślin i powolnego rozsypywania się gładów. Czasem wiatr przejmie dreszczem ciemne zwoje świerków, — kamień odłupany stoczy się po piargach i znowu cicho.

Daleki, przyciszony szum potoków, który się słyzy ciągle i wszędzie, w noc i we dnie, przestaje w końcu robić wrażenie, nie uświadamia się go tak, jak nie uświadamia się hałasu miasta, lub nieustannego turkotu fabrycznych machin.

* * *

Wjeżdżającym od strony Nowego Targu, dolina Zakopiańska wydaje się równym i wąskim skrawkiem ziemi, leżącym między dwoma wałami górskimi, ciągnącymi się ze wschodu na zachód. Od południa wielkie Tatry, od północy pasmo połogich wzgórz, wznosi się wysoko ponad zapadłą równiną.

Wobec ogromu gór, falowanie gruntu trudnem jest do zauważenia, a przestrzenie zdają się na oko znacznie mniejsze. Ale trzeba spróbować iść w którą-

kolwiek stronę, żeby się przekonać, iż to, co się zda-
wało płaszczyną, jest krajem górzystym, pooranym
wielkimi rozdołami i jarami, wyłobionemi przez po-
toki; — że za temi pagórkami ciągną się wielkie prze-
strzenie lasów, mokradeł, pól uprawnych, porozdziera-
nych, sterczącemi z ziemi, skalnemi żebrami.

Wśród tych zapadlin, poza wzgórzami i brzeżkami
kryją się chałupy pojedyncze i całe osady, zapomniane,
wyrzucone na ubocze, zdala od dróg dostępnych, poza
fale nowego, płynącego ze świata prądu cywilizacyj-
nego. Po zatraconych kątach doliny, na stromych sto-
kach pagórków, gnieźdzą się i mnożą całe rody odoso-
bnione, zachowujące pewne stałe cechy i przymioty
i odpowiednią u sąsiadów opinię.

Przestrzeń jednego kilometra oddziela tu czasem
dwa różne stopnie cywilizacyi.

Tu, bliżej Zakopanego, ludzie obeznani ze światem,
z nowemi, bardziej złożonemi warunkami życia; chłopci
przemysłowi i pomysłowi, nabierający w stosunkach
z gośćmi mnóstwo pojęć, sięgających daleko poza
ciasne szranki ich bytu; właściciele domów, przystoso-
wanych do wykwinniejszych wymagań, sami przywy-
kający do potrzeb życiowych, bardziej złożonych i de-
likatniejszych; — a tuż za pagórkami, dzicz pasterska
żyje w starych chatkach pospołu ze statkiem; brudna,
usmarowana i cuchnąca tłuszczem, zabobonna, lub
trwająca w dawnych wstrętach do kościoła Zakopiań-
skiego.

* * *

Mieszkając blisko gór, patrzy się na nie z ta-
kiego punktu, z jakiegoby stonoga obserwowowała czło-

wieka, dotykając mackami jego butów. Widzi się tylko ich podeszwy, albo potworne odciski ich nóg, które wydają się same olbrzymiami i zakrywają góry. Poza bliskiem, bylejakim wzgórzem ginie wielkość wirchów, które ledwie kończynami swoich grani wysterkają ponad lasy regli.

Czem jest czas w stosunku do wypadków dziejowych i ludzkich czynów, tem jest przestrzeń w stosunku do wielkości i wyniosłości gór.

Tu i tam, właściwe wartości i wymiary tylko z wielkiego oddalenia — lat lub mil — dają się dokładnie ocenić.

Kto więc chce widzieć Tatry, »mieszkając u ich stóp«, ten musi się oddalić — a jak w Zakopanem, pójść na Gubałówkę.

Zaraz za potokiem zaczyna się ten kraj, tak różny i od stojących naprzeciw wirchów i od samej doliny Zakopiańskiej.

W wielkim zsympisku zwiru woda wydarła głębokie parowy, zarosłe olszyną, jesionami, jarzębiną, pod których gęstym cieniem, na dnie jaru szemrzą strumyki i źródła.

Oto równa polanka, błyszcząca owsem, który dźwięczy i syczy drzącemi kistkami ziaren i liści i brzęczy muzyką polnych koników. Pas różowej koniczyny świeci się, obok jaskrawej zieleni lnu i schodzi aż między ciemne trawy łąki.

Na skraju, ukryte w cieniu rozłożystych konarów lip, jesionów, wierzbin, starych modrzewi i brzoź, stare, rdzawo-czarne chałupy patrzą w słońce ciemnymi oczyma małych okien. Poza wszystkim, wielka, sze-

roka masa gór zatacza się granatową ścianą, srebrzącą się blaskami słonecznych promieni.

Zakątek ten, tulący się do stóp wzgórza, którego zasłania od wichrów północy, pełen jest ciszy, światła i ciepła. Ślady dróg ledwo widne na murawie, tylko ścieżki przeddeptane brzeżkami pól, wyraźne i zbite i ława na potoku pokazują, że mieszkańcy tych cichych siedzib utrzymują stosunki ze światem.

Z »gości«, z »panów« nikt tu nie mieszka. Wszyscy wolą się tłoczyć na ogołconych z drzew, ciasnych, sąsiadujących z wielkimi młakami, Krupówkach — twierdząc, że tam bliżej... Kasyna i żydowskich sklepików.

Stąd też, tu, przez potok od Zakopanego, jest się jakby za górami, za wodami od całego, nowego, tak gwałtownie rozwijającego się w niem życia.

Jedynym śladem tej nowej cywilizacji, jaki spotkaliśmy, był kapelusznik na głowie małego góralika. Na zapytanie, skąd go ma? troje dzieci odpowiedziało chórem:

— Naśliliśmy we wodzie...

Ścieżka idzie w górę brzegami wąwozów, pomiędzy szachownicą pól ziemniaków, owsa i koniczyny, wśród których gdzieniegdzie szarzeją platy, wydartych z pod mchów i trawy, surowych zwirów; małe zagajniki i pojedyncze świerki czernieją wszędzie, na tle zielonych pastwisk.

Na wschodzie, odosobnioną wielką piramidą wstaje z dna dolin, spiętrzona, wysoka, płynąca półkolem z południa fala błękitów, fioletów, opalów, blasków i cieniów. Wprost pod słońce, góry widziane przez nasiąkły światłem opar mającej blade i niewyraźne, na prawo i na lewo występują coraz wyraźniejsze, wypuklejsze,

i urywają się, ściętym zrębem podstawy ostatniego szczytu, na zachodzie.

Stojąc na szerokim, trawiastym grzbiecie, widzi się świat otwarty ku wschodowi, zachodowi, ku północy aż do ostatnich, najdalszych, nikłych, spływających się w jedno z niebem widnokręgów.

Ogrom błękitów powietrznych pochłania na dalekości wszystkie kształty przedmiotów i ich barwy.

Olbrzymie zielone pastwiska, wielkie ciemne lasy, niezmierne pola, złocące się zbożami, roztapiają się w bezdni powietrznej, zacierają się i nicestwieją.

Gdzieś, na południu, zjawiają się wielkie, białe obłoki; płyną ku wschodowi, spotykają się z przeciwnym prądem wiatru, który je zatrzymuje, piętrzy, wyciąga w górę, buduje z nich ogromne wieże białe, wiążące w powietrzu, z całą swoją dotykalaną plastyką — twarde, wyraźne, namacalne. Wobec ogromu tych kłębów pary, stożących się na błękitach, góry maleją, nienależną, — zdają się być tylko niskim wałem, albo podstawą, na której się wznoszą białe gmachy chmur.

Wśród tych czystych, rzeźwanych, chłodnych otchłani powietrza, otoczone wielkimi obszarami pastwisk, skrawkami pól i ciemnymi ścianami lasów, stoją porozrzucane góralskie siedziby, chałupy, szopy i szałas.

W tych ciemnych, odosobnionych, starych chałupach chowa się stary, nietknięty obyczaj góralski, — tu się spotyka ludzi, sprzęty i formy życia, tchnące jakimś archaicznymi cechami.

Po szerokich stopniach, ułożonych ze skalnych łupanic, wchodzimy przez drzwi brunatne, obramowane ornamentem, do wielkiej, ciemnej i brudnej sieni. Na prawo izba duszna, gorąca, cuchnąca zgniłym masłem

i przekwaśniałem mlekiem. Ściany obwieszono obrazami, półki ostawiono misami i talerzami.

Wielki sosrąb, zczerniały, dźwiga ciemny strop pułapu. Duże skrzynie malowane stoją u rozrzuconego barłogu łóżka, — stół z wielkiej kłody jaworu, wyciosany toporem, w owych czasach, kiedy w Zakopanem nie było ani jednego tracza, lśni wyświechtanym blatem. Wszędzie pełno stągwi, ceberków i wszelakich gratów. Przy piecu, na ścianie wisi strzelba, stary pistolet i szabla. W małych oknach żelazne kraty z ostremi hakami.

Na tle białego pieca widać twarz, której jedyne oko patrzy bystro i podejrzliwie. Usta z wyszczerbionymi zębami, albo zwisają bezwładne, albo zaciskają się kurczowo, przyczem broda wznosi się ku nosowi; brudną, szarą tę twarz okalają kosmyki potarganych włosów; szeroka, wolowata szyja nabrzmiewa grubemi żyłami.

Małe to, koszlawe, obdarte, brudne i nędzne.

Jest to pan wielkich majątków, samotny bogacz, skąpiec, który żyje jak nędzarz i mówi z zadowoleniem:

— A ja mam ta dobre zycie, — a Jasiński ma płone!

I rzeczywiście, Jasiński, jego sąsiad, ma życie płone — lecz nie ze skąpstwa. Jego chałupa, jego sprzęty, jego piec, jego półko, on sam, — jest to kupa śmieci, resztek, odpadków i skrawków. Jego zapasy składają się z gwoźdza od podkowy, kawałka starego kierpca i strzępka cudzej onuczy.

Tyfus siedzi u barłogów tych obrzękłych nędzarzy.

Jest to nędza, na rzecz której nikt nie będzie tańczył, ani śpiewał, nędza na pustyni, która w nikim nie

budzi litości, nędza tak głęboka, że z niej, poprostu, niema wyjścia żadnego, od której uciekają sąsiedzi, bo lękają się tryfusu, strzegącego drzwi zgniłych i potrzaskanych.

Wychodząc z tej chałupy, która robi wrażenie wielkiej trumny z żywymi, lecz strupiałymi ludźmi, — jest się oszołomionym blaskiem, świeżością, bogactwem barwnem i świetlanem jej otoczenia. Powietrze na dworze zdaje się być nasiąkłe jakimiś egzotycznymi zapachami.

Tamten skąpiec, który z zasady żyje, jak dziad, szarpany ciągłym strachem przed złodziejami i złem, które stara się odzegnać, — i ten drugi nędzarz, naprawdę ginący z nędzy — to życie ludzkie, z całym swoim nieszczęściem, brudem, smrodem, trudem... przeciwstawia się tu w sposób potworny naturze, — wygląda ono, jak parszywy, kołtunowaty, poraniony, brudny kundys, tarzający się po złotogłowie i perskich kobiercach.

Słońce zapadało w opary fioletowe, wiszące nad szerokimi kopcami gór, wznoszących się od zachodu. Żółkło, czerwieniało i tonęło, migotliwe w rozżarzonem dokoła niego powietrzu.

Cały wał gór leżał mroczny, sino-błękitny, tylko po szczytach paliły się małe, różowe płomyki, a na wschodzie, oblana czerwonym blaskiem, piramida Hawrania świeciła ponad ciemnymi obszarami lasów. Zachodni kraniec Tatr żarzył się i topniał w ognisku słonecznym, — palącym się ostatnimi jaskrawymi blaskami.

Nagle ściemniało, — pomarańczowa tarcza przesunęła się, nie świecąc już, przez opar rdzawy i znikła za zrębem ziemi.

Mrok w dolinie gęstniał szybko, po niebie tylko rozlewała się blada jasność. Na jej tle rysowała się potworna, sina sylweta jakiegoś topielca, zwrócona surową twarzą prosto ku niebu. Na piersi zapadłej leżały załamane i zaciśnięte palce, nogi okrywała ciemna opona lasów. To widmo Giewontu, o słabym blasku wieczornej zorzy, leży tak na olbrzymim, czarnym katafalku regli.

Noc. Niebo czarne, bez śladu błękitu; gwiazdy czyste, jasne, ostro, jak w mróz, migają z czarnej bezdni. Góry ledwo majaczeją swoją ciemną ścianą.

Po chatach błyskają ognie; tlą się słabo i zrzadka przydrożne latarnie. We wsi gwar przyciszony długo w noc się przeciąga, głuszony szumem potoków. Czasem wóz zaturkocze; z Kasyna dolatują ciche dźwięki muzyki, — coraz ciszej, coraz puściej, — niekiedy przez ciemne pola przesunie się samotny ognik pochodni i smuga jasna dymu, — w końcu wszystko gaśnie, milknie, i śpi w ciemnej, nocnej głuszy.

Tylko gwiazdy migocą, — pędzą w ciemnościach niestrudzone, niewstrzymane potoki i ksykają gdzieś w mroku nietoperze.

III.

Zasypany głazami potok ledwo szemrał; źródlika, sączące się z boków gór, rozlewały się wśród kamieni, zacierając wszelki ślad drogi, zawalonej świerkami, które, koronami na dół, leżały w bezładzie na całym stromem zboczu; wielkie wykroty wznosiły się jedne nad drugie, obdarte, nastrzępione korzeniami, na których zwisały płaty mchów i darni.

Dolina rozszerzała się w głębi w szeroką, zieloną polanę, otoczoną wałem kamiennym. Jałowe, puste, żwirowate jej ściany, najeżone dziwaczными piórami i bulkami skalnymi, nurzały się w mgłach szarych, które, jak powała, wisały u góry. Pomimo szałasów pasterskich pusto tu było, bezładnie i odludnie; we mgle tylko, czy gdzieś ponad nią jęczały wielkie dzwony krów i brząkały dzwonki owiec. Blade, rozproszone, przesiane przez mgłę światło, przypominało trupie światło zabielenych szyb więziennych.

Zwróciliśmy się w prawo, w las świerkowy i idąc ciągle w górę, wydostaliśmy się na niewielką polanę, otoczoną czarnym lasem, ponad którym wznosiły się nawisłe, ciemne, poszarpane turnie jakiegoś niedalekiego wirchu. Na lewo, zielona trawiasta wyniosłość słała się

do stóp szarych, pokruszonych turni i kryła się w ciemnych, jeżących się dookoła świerkach. Przed dziurawym, okopconym i zawalonym gnojem szałasem stało niewielkie, stare człeczątko, brudne, czarne, z długim, ociekłym tłuszczem włosem, krzywe i kulawe, ze złemi, małemi oczkami.

— Niech będzie pochwalony.

— Niekze bedzie, a kaz ta idom? Nie do dziury? he?

— Nie, idziemy ta i idziemy, ostańcie z Bogiem.

— Niek Bóg prowadzi! — odpowiedział, i wyjąwszy z gęby krótki, ogryziony cybuszek, z lubością wachał ofiarowane sobie cygaro.

— Paknie! kie wino — mruczał do siebie.

Poszliśmy przez polanę w ten las ciemny i odrazu wpadliśmy w wyschłe łożysko potoku, świecące białemi, gładkiemi kamieniami, wśród rudego podścieliska świerków.

Droga kamienista szła w górę lasem, schodzonym i stratowanym przez bydło; korzenie drzew siedziały na wierzchu, splątane i pomieszane, oślizgłe wilgocią rozłaziły się, jak kłębowisko wstrętnych gadów. Szliśmy bez celu, bez przewodnika, pytając o drogę tylko śladów perci lub błędząc w leśnej pustyni naoslep.

Na lewo, gdy las wstępując na jaki brzeżek, stawał się rzadszym, migaly się jasne krzesanice skał, stromych, jak ściany domów. Paprocie wysypywały się miejscami i jaśniały na ciemnem tle rudo-zielonych mszarników. Droga coraz to dziczała, malała, szła coraz stromiej, ledwo dostrzegalna, ginęła czasem bez śladu w kępach mchów kołtuniastych.

Gdzieniegdzie pochłaniały ścieżynę lejkowate rozpadliny, na których dnie butwiały trupy świerków, rude,

plamiaste, obwisłe porostami, gnijące, wśród zieleni wachlarzów paproci, wśród których szło się prawie omackiem.

W głąb leśnej ciemni wdzierały się niekiedy promyki słońca, czepiały się pni i gałęzi świerkowych, rozsypywały się po mchach, drżały na pojedynczych liściach paproci i gasły, zostawiając jeszcze większą ciemność.

Las na wszystkie strony piętrzył się coraz wyżej; otwierał z boków ciasne wejścia jakichś korytarzy, łamał się, szedł w górę i spadał po coraz stromszych i naglejszych pochyłościach. Czuć było pod stopami, że rośnie na wielkich skalnych odłamach.

Mała polanka pokryta, jak kobiercem aksamitnym, przepyszny ciemnym mchem, jedwabistym, zielonym, na którym świeciło parę różowych grzybów, a brzegami czerwieniły się, jak korale, brusznice. Na mchu ledwo dostrzegalne ślady stóp — poszliśmy za nimi.

Przez gąszcz młodych, stłoczonych świerków, wydostaliśmy się na otwarte miejsce. Ciemny błękit nieba i biały ślepiący obłok na nim pokazywały, że gdzieś jest pogoda i słońce, — tu było ciemno. Naokoło ogromne, w beładzie zrzucone i spiętrzone skały wspierały się jedne na drugich, okryte grubymi warstwami mchów ciemnych, rudych, zielonych i czarnych. Z czeluści rozpadlin, mrocznych jam, jaskiń i nor wiał chłód piwnicy, nad ich otworami dyndały się ogromne kołtuny mchów, jak dziwaczne sakwy z aksamitu. Kosodrzewina rozkładała szeroko grube golenie i zwisała nad rozpadlinami ciemną zielenią, — czerniły się rzadkie świerki i limby. Jakiś mrok granatowy zasypywał to miejsce, chaotyczne, ciche, tajemnicze, które zdawało się być nigdy

nietkniętem ludzką stopą, które nawet czarny las здаwał się omijać, obchodząc je i piętrząc się z jednej strony w górę, z drugiej, zapadając w jakąś ciemność zagadkową i złudną.

W miejscu tem mieszkał zaczajony, cichy mrok wieczoru i rozpościerał wśród dnia białego swoją tajemniczą zasłonę i swój spokój senny, marzycielski, mącony złemi przecuciami.

Miękkie mchy tłumiliły odgłos kroków, a sprężyste ich postanie prostowało się za nami i zacierało wszelki ślad naszego przejścia. Niemą ciszę, głuchą i martwą, rzadka przerywał tylko, ledwo dosłyszalny szelest spadających szyszek lub gałązek.

Chwytając się giętkich gałęzi kosodrzewiny, drapiąc się i spadając po ścianach skał omszonych, przeskakując ciemne między niemi szpary, darliśmy się z trudem w górę. Na zwietrzałem, przez wieki działania wody i powietrza rumowisku granitowem, — drzewa, mchy, trawy rozpościerały się, rosły, marły i gnily, tworząc coraz grubszy pokład barłogu. Głazy, mchy, szuwary, pnie świerkowe i gnijące wykroty, wszystko zmieszane chaotycznie stawiało nam trudną do przebycia zaporę; kosodrzewina obejmowała w pół silnemi ramiony, ciemne nory i szpary chwytały i przytrzymywały za nogi. Żadnego śladu ścieżyny, — człowiek nie miał co tu robić, — ani tu paść wśród tych zdradnych, przykrytych tkaniną mchów rozpadlin, ani ściętego drzewa stąd wywlec; jar ten здаwał się zapomnianą od ludzi samotnią.

A jednak, nie sami tylko malarze, nietylko po wrażenia artystyczne tu się chodzi. W jednym, dość »po-dłem« miejscu, widzimy dużą maczugę, ustruganą z pnia

bukowego i postawioną pod świerkiem, tak jak się stawia kij w kącie pokoju. Wyglądała tu ona zupełnie na miejscu, u siebie i komukolwiek służyć miała: czy z nią jaki Rüb ezahl tatrzański włóczył się po górach, płatając psoty, czy też nią zakrapiano we łby liptowskie wołki, albo samych Liptaków, to pewna, że dla tego ponurego, zapadłego kąta była ona doskonałym wyjaśnieniem i uzupełnieniem.

Kiedyśmy potem pytali Sabałę, czy tam nie mieszkają niedźwiedzie? — odrzekł z niechęcią:

— Coby ta niedźwiedź robił w takim miejscu? Nie taki on głupi, coby go sukał — cheba zły człowiek! To je zdekłe miejsce, podłe i zdawna zbójeckie. — Inni zresztą opowiadali, że znajdowano tam ludzkie trupy.

Las szedł po coraz stromszych gładach; młode limby swoje puszyste z długimi igłami kistki, plątały w grube, krótkie gałęzie halnych świerków, gdzieś wiotkie i lśniące gałązki jarzębiny, świeciły pierzastą zielenią liści i gronami czerwonych jagód. W końcu, przez próg oślizgły i zryty drogami wód, wydostaliśmy się ponad las czarny i weszliśmy w sieć zawikłaną przejść i korytarzy, między wielkimi nagimi gładami granitowymi. Zaczynała się skalna pustynia. Świerki znikły, tylko kosodrzewina rozkładała się potężnymi krzakami po kamieniach i zrzadka siedziały limby na kopcach, otoczone krzakami borówek i strzeżone płataniną konarów kosówki.

Ślad jakiejś dróżki widniał czasem na mchu suchym i szeleszczącym, to znowu ginął, upierał się w zrab skały chropawej, plamistej czarnemi, żółtymi i białymi porostami. Kiedy już znikły limby, ostatni krzak ko-

sówki leżał na brzegu usypiska skał zgruchotanych, szarych, świecących rdzą żółtą i wznoszących się piramidami piargów, do stóp amfiteatru ciemnych ścian skalnych i zielonych upłazów. Na prawo, strome, nawisłe, poszarpane turnie zachodziły w półkole ku przodowi i upierały się w ciemną zieleń połogiego wirchu, porożrywaną szaremi plamami potarganych turni i wyrwami, któremi zdawały się płynąć ku dołowi białe kamienie.

W żlebach i w głębi kotliny leżały płaty śniegu. Za ciemnym wirchem stał biały obłok i świecił srebrno-różowym blaskiem; — ponad złoto-zielonem zboczem rozpinał się silny, głęboki błękit nieba.

Przezroczyście powietrze dyszało lodowym chłodem; żadnego szelestu, ani szmeru, nic, tylko martwa cisza...

Nagle, gdzieś w górze, rozdarło się powietrze wrzaskiem dzikim, przeraźliwym i przeciągłym — a potem, między szczybatymi turniami, rozległ się śpiew równie wrzaskliwy i dziki. Z pod błękitnych obszarów dolatywały niewyraźne słowa:

Zebyk se miała klucyki odednia,
Zamykałak by se nocke od połędnia,

i znowu ten wściekły wrzask, który rozpoczyna się niskim tonem i nagle wybucha, jakimś szalonym piskiem, w którym czuć jakby niecierpliwość wabiącej się samicy.

. jesse noc,
Jesses mnie nie odchodź!

leciało w powietrzu z nad przepaści.

Granią szła dziewczyna, ledwo dostrzegalna między zębatego skałami, — szła samym brzegiem turni nawiśłych ponad urwiskiem. Stała, i na tle obłoku widać było jej sylwetę niewiekszą od komara.

W żlebie, ponad śniegiem, zaczęły się sypać kamienie, dźwięcznie uderzając o skalne rumowisko i z za krawędzi granitu wysypały się owce. Szły przyczepione do skały, zeskakiwały na śnieg, jedna za drugą, szeregiem, ostrożnie przechodziły na drugą stronę żlebu i ukazały się gdzieś wyżej, na ledwie wystających gzem-sach upłazków zielonych. Potem widać było juhasa, jak rąbał ciupagą stupa je, w śliskiej skorupie śniegu; miotał się gwałtownie i śpiesznie, w końcu zniknął jak widmo razem ze swoim białym stadem.

Siedzieliśmy na giętkim posłaniu mchów, oparci o białe granitowe poręczce, słuchaliśmy dzikiego romansu i patrzyliśmy na pasterską sielankę, — surową i twardą, bez motyli, kwiatków i szemrzących strumyków.

Przepyszna sala teatralna, w której zamiast brudnego plafonu rozpina się błękit nieba; słońce jest świecznikiem, a dekoracye mają po kilka tysięcy stóp wysokości — siedzieliśmy w pierwszych jej rzędach i słuchaliśmy wielkiej muzyki natury, — piliśmy ze źródła to, z czego się składa każda sztuka, bez względu na jej środki: ze źródła rzeczywistego życia.

Dziewczyna śpiewająca nad przepaściami i juhas, który szedł prosto w te przepaście, rozchodzili się ze schadzki, ona na swoją hałę, on śpieszył, aby zdążyć z owcami »na śród wieczr słońka« na szałas, do dojenia.

Jakąż jest siła namiętności tych ludzi, jeżeli jej

nie zmoże darcie się z trudem na takie wyżyny, w taką dał, w zimną i ponurą pustynię, w twarde i niedostępny świat ruin granitowych, — tam, gdzie chyba jeden orzeł, ważąc się w bezgranicznych otchłaniach błękitu, mógłby ku nim zajrzeć, podpatrzeć i podsłuchać!

Namiętność ich nosi cechę pierwotnej, ślepej, żywiołowej siły, bez której niemożliwymby było utrzymanie istnienia wśród tak wrogich warunków, — jest w tem coś z zapamiętania się kozic i capów dzikich, uganających się po szczytach.

Zabraliśmy się do powrotu. Przed nami, las zstępował w dół i rozchodził się coraz szerzej, jak gdyby jakaś fala czarna, odparta od ścian granitowych, płynęła z wysokości, na której staliśmy. Na prawo świeciły w słońcu, gdzieś na dole, równe ściany skał, te same, które idąc widzieliśmy nad sobą.

Dalej, świat się rozlewał w wielkie równie, ozłoczone słońcem i niknął w fioletowym oparze, na jasnej północnej stronie nieba wklęsłego, jak wewnątrz olbrzymiej, szklanej bani.

Uwiodła nas, jakaś błędna ścieżyna: poszliśmy za nią, zstępując wśród zawiłych przejść, zaułków i uliczek między odłamami skały. Gdzieś zza krzaków kosodrzewiny wyjrzał łeb krowi, z nastawionemi uszami i czarnem płochliwym okiem. Pod konarami limby czerwieniła się płachta juhaski i zwisały nad brzeżkiem bosc jej nogi. Nagle, z gąszczu wyszedł koń biały, popatrzył chwilę uważnie i zaczął ostrożnie zstępować z urwiska, — niebezpieczny towarzysz, gdyż idąc za nami, staczał z pod kopyt wielkie kamienie i nie było sposobu, ani odczepić się od niego, ani zmusić, żeby szedł na przodzie. Kiedyśmy tak we trzech szli lasem, gdzieś

z ciemnego kąta wyjrzała twarz surowa, młoda, w zsuniętym z czoła kapeluszu i rozległo się pytanie:

— A cyj to koń?

— Alboż my wiemy!

W tej pustyni, wszędzie kryło się życie ludzkie, zabłąkane w chaosie dzikiej natury; drobne, jak życie mrówek, zatracone tu i istniejące pod groźbą i władzą sił potężnych i wrogich.

Ściemniło się zupełnie, — na polanie przez szpary szafasu błyszczało czerwone światło. Zajrzeliśmy: dwie małe dziewczynki siedziały przy ognisku i piekły grule, t. j. ziemniaki. Z ciemnego kąta patrzyły krowy, poruszając sennie szczękami. Drzwi były zatarasowane zewnątrz — dokoła noc i cisza.

* * *

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada owiec, krów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach.

Zamknięci za skalnymi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, osypywani gradem, ogłuszani piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonieni dziurawym dachem i ścianami, przeświecającymi na przestrzał, żyją oni życiem twardem i dzikiem, pasterskim życiem koczowniczych plemion.

Wszystko to jest tak różne od tego, do czego my, ludzie z dolin, przywykliśmy, iż trudno się oprzeć wrażeniu, że się patrzy na jakąś resztkę zanikłego

świata, jakiś szczątkowy objaw archaicznych, niegdyś powszechnych stosunków i warunków bytu.

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przegina śniegi w górach i zima wygląda tylko z ciemnych kominów i źleńców, wybierają się pasterze z »dzie-dzin«, ze wsi, na hale.

Płowe niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga z za wirchów; brzegi potoków świecą się stokrótkami, dzwonekami, lśnią się jaskrem i gwiazdami podbiela; potoki pozdzierały i uniosły, zawałające ich dna, bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego. Jałówki i owce beczą i pozierają ku halom, a niestrzeżone uciekają z szopy w wirchy, między turnie, na zielone upłazki, na których wysypują się trawy i kwiaty.

W dniu umówionym, wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z bacą i zdają mu na jego odpowiedzialność.

Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciu-pagą na drodze i cały kierdel z bekiem i brzękiem dzwoneków, z naszczekiwaniem psów wędruje kamienistymi drogami, przez lasy ciemne, przez wirchy i jary, brnąc przez potoki, coraz wyżej, do szałasów na halach.

Białe, zbite stado, pstrzy się gdzieniegdzie plamami czarnych baranków; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnemi kudłami na skroniach, podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczyma czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką, krótką sierścią; na zadnich, kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta. Tryki, mniejsze od owiec, niosą na

zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobkowane rogi.

Idą krowy łaciaste, jęcząc ogromnemi miedzianemi dzwonami, wiszącymi u podbródka; konie niosą na grzbiecie, przyczepione do terlic, rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie.

Stary baca, sam z twarzą owczą, z długimi kręconemi włosami, idzie spięty pasem szerokim jak gorset, świecącym nabitemi guzikami i wielkimi mosiężnemi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty. Juhasi, w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach, lśniących jak cerata od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach i portkach odartych, z ogromnemi, pasiatemi torbami wełnianemi, których długie na łokieć frendzle dyndają się im u kolan. Juhaski, w pomarańczowych chustach, w czerwonych płachtach, lub serdakach obcisłych na piersi, w granatowych spódnicach; nogi ich obwinęte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce.

Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnym i czystym powietrzu, oblała słońcem, wesola i budząca swemi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy, echa drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór.

Można sobie wyobrazić, jak tym ludziom, którzy całą zimę przesiedzieli beczynnie w brudnych, cuchnących izbach, których twarze zbladły i zzieleniały od lichego życia i braku powietrza, — można sobie wyobrazić, jak im pachnie powiew hal, jak im się śmieje to słońce, błyszczące w rosie na trawach, jak im gra wieczna muzyka wód żywych i czystych.

Nakoniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i oto wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z oddartym dachem. Czarne, zakopcone wnętrze, zasypywane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z w a t r y, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szałasisku, zazierał swoim czarnem ślepkim przez szpary; jacy tu źli ludzie, albo też samo »złe« siadywało w tej pustce! To też baca, wchodząc do pustego szałas, mówi: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!«

Wogóle, całe to pasterstwo otoczone jest mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do strągi, zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc okadza stragę trzy razy, od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed strągą i z juhasami, na klęczkach, odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecezdaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa.

Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach w a t r a, chwieje się czerwonym płomykiem, dym napęlnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy, całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć w pół godziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi, rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjsciu stad na hale zjawiają się gazdowie, właściciele owiec i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska, dla przekonania się, jaką jest pasza i jaki udój, nazywa się to — przyjść do miru. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda, wydoiwszy swoje do gielety, bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znak, jak wysoko sięgało mleko w gielecie. Jeden patyk zabiera z sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do dziedziny, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napełniają gielekę wodą, na wysokość miary, oznaczonej na patyku, — wodę tę ważą: ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania, jakkolwiek pierwotny — jest jednak dosyć skomplikowany.

Baca jest panem, z ojcowską władzą na szalasię; jest on tak, jak i juhasi, płatny serkami, przyczem gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części całego letniego zysku.

* * *

Drogę, idącą popod reglami, rozdziera potok, płynący ciasnym jarem z wnętrza gór; most pochylony i zapadły, dotyka jedną stroną kipiącej wody, nad nią rozłożyste konary i kręte, białe gałęzie buku podtrzymują koronę jasnej i lśniącej zieleni. Z brzegów wąwozu, stromo dźwigają się stoki regli, pokrytych lasem świerkowym, jaśniejącym letniemi kistkami igliwia. Ciemna zieleń i jasna kora jodeł i okrągłe korony buków rzucają się zdała w oczy.

Woda w wapiennem łożysku powymywała cysterny gładkie i lśniące, w których się zbiera w głębokie, duże, błękitne oka; to znów ścieka po śliskiej, równej pochyłości, prawie bez szmeru; potem rozbija się między oblizanemi, okrągłemi, podziurawionemi odłamami wapieni.

Las czasem schodzi aż do potoku, zawala go wykrotami, odartemi z kory, zwiesza gałęzie aż do wody i tworzy ciemne i zimne zaułki, to znowuż odsunięty stromem urwiskiem skały, ucieka w górę, a na kamiennym brzegu młode i silne jawory kołyszą na czerwonych szypułkach jasne, zębate liście. W głębi wąwozu, z ponad lasu i skał bliższych wygląda wielka turnia, owiana oparem, otulona mgłami, mieszającemi się i kłębiącemi w słonecznych blaskach. Na dno głębokiego i ciasnego rozdołu spada światło, i drży na igłach świerków, połyskuje na mokrych, śliskich wapieniach, płynie płatami oślepiającym na wodzie, srebrzy się w pianach i parach, wstających z odmętu wodospadów.

Wszędzie na trawiastych upłazach i zboczach pstrzy się od kwiatów. Szafirowe, świetne gwiazdy genjany wszyte w zieleń trawy; inne znów bardziej liliowe, strzępiaste, stoją na wyższych badyłkach; tam znów, ogromne jej krzaki rozkładają pierzasto lancetowate liście i zwisają festonami liliowego kwiatu na brzegach lasu. Liliowe dzwonki, różowe gwoździki, wielkie łodygi i kropielnice tojadu, blado-żółte kieliszki naparstnic, wielkie, białe gwiazdy rumianków, kulki rozchodników, jasne i długie bisiory szuwarów zabarwiają każdy zakątek tego jaru zawilego i odludnego.

Perć z początku wyraźna, im wyżej, zaciera się

coraz bardziej, czasem niknie zupełnie w szumiącej wodzie potoku, ukazuje się po drugiej jego stronie i znowu znika na gładkiej, szarej powierzchni zdradnych i ślizkich skał wapiennych.

Na lewo i na prawo otwierają się inne wąwozy. Skalne kurytarze, idące gwałtownie ku górze, zacienione i wiejące chłodem, sączą swoje białe, pieniące się wody z jakichś niedostępnych źródlisk i tajemniczych wysoczyzn. U wejścia do tych gardzieli stoją szare ruiny skał, piętrzące się basztami, blankami, podziurawione strzelnicami, najeżone jak wieżyczkami słupami wapieni.

Ścieżka, nagle, z dna potoku rzuca się w las ciemny, rosnący na stromem zboczu; wije się w górę, zorana wodami deszczów i śniegowych roztopów, zasypana płaskimi łupanicami wapieni i wydostaje się na małą polankę, otoczoną cieniami wielkich jodeł i świerków.

Patrzmy stąd na jeden z obrazów pasterskiego życia w Tatrach.

Za urwistym brzegiem potoku pochyła polana, a na niej mały szałasik. Polanka rozszerza się ku górze, ściele się zielonemi trawami pod stopy świerków, rzucających długie cienie; wyżej, wydarte wodą z pod pokrycia mchów, bielą się głazy i sterczą szeregi pni zgniłych. Ruina lasu na ruinie góry świeci w słońcu swoją pustką; wśród niej przepyszny jawor wznosi silny i wyliniaty pień, obrosły kępami mchu ciemnego, aksamitnego. Nagie, oblaźłe z kory konary czernią się wśród jaskrawej zieleni liści, przeświecających pod słońce. Za nim, po drugiej stronie wąwozu, wznoszą się strome skały, po których pną się smukłe świerki aż tam, gdzie na tle nieba skalne pióra jeżą się w ja-

kieś dziwne ruiny. Za nimi słońce leje się wszystkimi szczerbami, czepia się wierzchołków drzew i szczytów turnic. Wszystko owiane sinawym oparem, na którego tle błyszczą się i mieniają się, jak srebrny i złoty dziwir, sączące się ze skał źródlika i lśni się kręty wąż potoku, płynący w stromym żlebie. Z drugiej strony las wznosi się w górę, ponad nim zielenieje wielki upłaz, na którym ścięty wał szarej skały stoi, jak ściana fortecy.

W dole polana ginie w lesie, schodzącym gdzieś w parowy, z których sterczą strzaskane od piorunów pnie jodeł i bielą się wielkie, nagie, obumarłe świerki; poza tem, skrawek jasnego, pogodnego nieba północy.

U góry, od południa, potężna turnia wznosi się ponad mgłami, poważna i samotna.

Takie jest otoczenie małego szałas, wiszącego nad rdzawym, porośłym podbiałem brzegiem potoku.

Zewsząd od świata oddzielają go wielkie piramidy gór, dzikie turnie, czarne lasy; droga, wiodąca do niego, jest łozem potoku, wijącego się wśród ciasnych ścian i przepaścistych jarów. Cicho tu, słonecznie i spokojnie.

Wygląda to jak początek bajki: Za górami, za lasami, był taki jeden baca... I rzeczywiście, w stosunku do naszego życia miejskiego, życie na tej polance zielonej, słonecznej, życie tak pierwotne i proste, wydaje się kartką z jakichś bajecznych opowiadań, o szczęśliwym wieku ludzkości.

Na ścieżce, wijącej się zбочem skał i upłazków, rozpalonej prosto na nią padającymi promieniami południowego słońca, stały kudłate owce, z nosami spuszczone ku ziemi, ciężko dysząc i robiąc bokami i nie dbając na krzyki juhasów i naszczekiwanie psa

zziajanego. Powietrze gorące i duszne, nasiąkłe było zapachem spoconego, wełnistego stada. Juhasi czarni, brudni, w koszulach, cuchnących zgniłym tłuszczem, boso szli po głazach.

Zbronzowiałe i zczerniałe ich twarze połyskiwały w słońcu strugami potu; z pod opadłych skrzydeł grubych kapeluszy dziko błyszcząły białka oczu. Kilka kóz włochatych poprzedzało stado, wskakując na każdy wystający kamień i skubiąc, wyzierające ze szpar, żdźbła trawy.

Na szałasisku, wielkie liście końskiego szczawiu połyskiwały i przeświecały się jaskrawo w słońcu. Powietrze napełniały ostre wyziewy owczego nawozu, trawa dokoła szałasus spasiona, strątowana i zarzucona kamieniami; koń biały pasł się opodal, głośno zrywając garście trawy.

Wewnątrz siedział samotny baca i kurzył fajkę. W wazrze leżały całe wykroty, napół zwęglone, na wielkiem popielisku; małe smugi siwego dymu wypływały z pomiędzy szpar kłód popękanych.

W ciemnej głębi, na półkach i na zbitej czarnej ziemi stały gielety, puciery, rajtoki, putnie, dzieżeczki i okopcone kotły. Na żerdziach wisały szmaty i onucze, na kołkach obońki i wykwentne, jaworowe czerpaki; potworna warzęcha, wielka jak łyżka czarownic Słowackiego; czworo-zębne widły i pasiata owczarska torba, — to bodaj i wszystko, co się znajduje w szałasie.

Torba ta jest ważnym i otoczonym legendą sprzętem pasterskiego dobytku. Z nią to, przed wiekami, przybył przodek całego prawie ludu, zamieszkującego Zakopiańską dolinę od Kościelisk do Poronina i dalej

aż na stoki wzgórz północnych. Wtedy nie było tu nikogo, tylko lasy czarne i grzęzkie młaki zalegały kraj pusty, po zacienionych potokach pluskało się ryb mnóstwo i wszelka wodna zwierzyna.

Nie było ani polan, ani wsi, nic, tylko las, że ledwie do nieba co można było poźreć. Jednak »był cheba jaki płony narodek«, gdyż, kiedy przybysze obdarli się w podróży i uszyli sobie z torb pasiatych cuhy, nazwano ich Gąsienicami. Jest to najpotężniejszy ród i sławę swego legendowego, starożytnego pochodzenia dzieli jedynie z Walczakami. Wszystko, co nie jest Gąsienicą lub Walczakiem, to ludzie »ze światą« — niepili.

Arystokracja rodowa nietylko gnieździ się w »dumnych« zamkach; ten oto, brudny »Ojciec szalasu«, odziany kudłami owczej wełny, jest tak dumny ze swego walczakostwa, jak potomek potężnych szlacheckich rodów ze swoich tytułów i dyplomów. Gąsienice też i Walczaki chowają do siebie różne, tajone lub groźnie wybuchające zawiści i wzajemną wzgardę.

Każdy góral nazywa się potrójnie, albo i poczwórnie: wołają go Jaś, pisze się Krzeptowski, mówi się Sabała, a poza tem jest jeszcze to wielkie wspólne nazwisko Gąsienica. Jest ich pełno, chociaż mała tylko część zachowała tę nazwę, jako nazwisko urzędowe — niewielu Gąsieniców pisze się Gąsienicami. Np. wołają go Józek, pisze się Gąsienica, mówi się z pod drogi. W miarę zwiększania się rodu i bardziej powikłanych stosunków pokrewieństwa, nazwiska zmieniają się i w mowie potocznej, ani w urzędzie nikt już nie używa najdawniejszej nazwy, — ale każdy wie, że jest Gąsienicą i jest z tego dumny.

W tej chwili ściskaliśmy szorstką, zgrubiałą i namuloną dłoń Walczaka, który, wbrew ustalonej o tym rodzaju opinii, jako o »złem lichu«, jest dobry, łagodny i spokojny człowiek.

Ledwieśmy przemówili do siebie, kiedy dokoła szałasów zadudniła ziemia tętentem, wbiegającego na szalasisko kierdelu. Paręset owiec, pędzonych przez juhasów, tłoczyło się do strągi. W oparkaniu jej są otwory, okna, przy których baca z juhasem usiedli z gielętami, — kilkunastoletni chłopak »goniec« zapędzał do okien owce, które tamci łapali za wymiona i silnem ściśnieniem obu pięści wytlączali z nich mleko. Wydojone owce w podskokach biegły w górę i kupiły się około pni świerkowych, tuląc łby między trawy i końskie szczawie.

Gielety napełnione mlekiem przynieśli do szałasów i przez płachtę, nakrytą gałązką smreczyny, przecedził je baca do pucier, wielkiej stągwi, do której wlał też kłag, t. j. wygotowany cielęcy żołądek. Mały goniec doił tymczasem na progu brodatą kozę. Po chwili baca zakasał ręce, obrosłe długim włosiem, obmył je, usiadł na stołku, okraczył nogami pucierę i w milczeniu zanurzył ręce w białą ciecz mleczną.

Przed nim stał zgrabny, młody chłopak, trzymając za dwa rogi płachtę, przypiętą dwoma drugimi do jego pasa. Była to chwila uroczysta. Zdawało się, że ten stary, z łysem czołem człowiek, okryty skórą białej owcy, z wielką, mosiężną, dziwnego kształtu spinką na piersiach, zdawało się, że odprawia jakiś tajemniczy i religijny obrządek, a młody służy mu, jakby służył do mszy. Kto zresztą zgadnie, czy im samym ta nagła przemiana, zachodząca w mleku, to powstawanie sera,

nie przedstawia się, jako zjawisko cudowne, którego przyczyny dalsze leżą poza kresem ludzkiej wiedzy.

W końcu, baca wydobył ogromną bryłę śnieżystego sera, która, na tle brudnego, czarnego wnętrza, wyglądała jak jasny krąg księżyca; włożył ją w płachtę, trzymaną przez gońca i zawiesił, żeby ociekła. Z rąk obrosłych, zsunął dłonią żentycę, trzymającą się na nich do łokcia, otrząsnął palce do puciery, a wzięwszy czerpak, napełnił go i ofiarował gościom świeży napój, w którym kapały się jego twarde, okryte mazołami i obrosłe ręce.

Wszystko jedno — kto chce pije, nie — to nie.

Skoro ser ociekł, ukrajał też płat białej z żółtawym odbłaskiem masy i podał na warzęsze [ogromnej, jak na półmisku. Częstowaliśmy się wzajemnie, czem kto miał.

Goście są dobrze widziani i mile witani na szafasach. Nie mówiąc już o tem, że górale są wogóle towarzyscy i radzi u g w a r z ą z każdym człowiekiem, ale panowie zostawiają zwykle trochę d u d k ó w za serki, za żentycę, częstują swemi zapasami i przynoszą cygara, które dla górala są »szpecyałem«. Ma on wprawdzie swoją blaszaną fajeczkę, którą nabija h a b r y k ą, zmieszaną ze ślinami i zapiekłszy w ogniu, przez dzień cały nie wypuszcza z zębów, — jednak mile mu pachnie błękitny dymek papierosa lub Virginii.

Nawet psy dzikie i zajadłe przychodzą do ręki po kawałek mięsa, którego nie widzą przez całe lato, a prawdopodobnie i zimą.

Nie mówiąc już o tem, że młodzi panowie są nadzwyczaj uprzejmi dla juhasek o spalonych twarzach, wesołych oczach, patrzących z pod pomarańczowej

chustki; silnych i zręcznych, których pierś przeziera z pod białej koszuli, lub rozpina pętlice ciasnego serdaka...

Watra buchała wielkim płomieniem, oblizującym czarne, okopcone boki pękatego kotła, wiszącego na jadźwidze: grubym, drewnianym haku. W kotle warzyła się żentyca, mieszając kłęby pary z dymem ogniska. Juhasi zasiedli ze swemi czerpakami — cicho było, tylko trzaskały kłody i buzował się ogień.

Na dworze też czuć było połedeń, tę senność i ciszę, która napełnia chwilę południową dnia pogodnego, jakąś zagadkową, niemą tajemniczością. Owce drzemały pod świerkami, cicho ruszając szczękami; pies Kartuś leżał w szczawiach, około białego kierdelu.

Dalekie szmery potoków dochodziły miękkie i nikłe, czasem brzęknęły dzwonki owiec; z szałasusłysać było przyciszoną rozmowę owczarzy.

Stary baca, młodzi juhasi i dziecko prawie, ten goniec, w najzupełniejszej harmonii, takiej, że nie znać było śladu różnicy wieku, ani stanowiska, popijali żentycę, zapalili fajki i wpatrzeni w ognisko, gwarzyli z moim towarzyszem.

Pozory tego życia — prostota, skromność wymagań, wielkość trudu przy małym skutku, pomimo tego zadowolenie i spokój, ta cisza i łączność ich bytu z otaczającą naturą, — robi wrażenie jakichś zrównoważonych stosunków społecznych, spokoju wewnętrznego, braku wszelkiej rozterki. Są to jednak tylko złudzenia.

Przysłuchajmy się ich rozmowie, — co dziesiąty wyraz w ich opowiadaniach i wspomnieniach występuje czyn krwawy, morderstwo, zawiść, złość, żądza bogactwa; — namiętności i szaleństwa nurtują to, tak proste

i ciche z pozoru życie. Raz, słuchając rozmowy dwóch tarców górali, zdawało się, że słucham jakiejś parodii owej Ewangelii, w której się mówi o tem, kto kogo zrodził, — tu było inaczej: ten zabił tego, a tamten owego, — i tak szło bez końca, gdyż zabójca kończył zwykle źle, a jego morderca jeszcze gorzej... Są to rzeczy dawne, — jednak nie tak bardzo dawne, jakby się zdawało po dzisiejszym tych stron spokoju i bezpieczeństwa.

Ten spokojny patryarcha, dojący owce, chodzący około mleka i serków, jak cicha gospodyni, kto wie, jaką miał przeszłość burzliwą! W dawnych czasach, kiedy jeszcze bywały *honorne chłopcy*, kiedy w dzikich, niedostępnych turniach i ciemnych kolibach zamieszkiwały zbójnickie familie, niejeden baca był też zbójnikiem. I nietylko kradł barany, o czem mówią dziś ludzie z pogardą, jako o najlichszym rodzaju *honorności*, ale naprawdę wyzierał z poza bucka, w Liptowskie podgórze i Orawskie państwo.

Hej! baca nas, baca nas!
Dobryk chłopców na zbój mas,
Jescebyś ik lepsyk miał,
Kiebyś ty im sera dał!

Rzeczywiście, trzeba być *dobrymi chłopcami*, żeby będąc ciągle prawie na czczo, gdyż z żołądkiem wypłókanym lichą serwatką, módz ponosić taki trud, jak oni; mieć tyle energii, żeby lecieć na schadzkę z frajerką; mieć siłę i ochotę do dzikiego tańca, który sam jeden wystarcza do zdercia nóg w strzępy, — a czasem naprawdę pójść w Orawę po wołki, lub sto-

czyć bitwę z wolarzami liptowskimi; — na to trzeba wyjątkowej natury tego ludu. I żeby im dodano serków, lepszego pożywienia, toby należało się obawiać, że »narobiliby takiego mątu na świecie«, żeby ich długo pamiętano.

Zbójnicy przychodzili nocą na szałas, przynosili z sobą wódkę, wino, rznęli owce i wyprawiali ucztę do świtania, oddając się z całą wściekłością swego temperamentu hulance, tańcom i szaleństwu z juhaskami, między którymi mieli często swoje kochanki.

Baca i juhasi radzi ich widzieli, było im wesoło, beczały gajdy, to jest kobzy, skrzypiały gęśle, piskały piszczałki, a za owce, porznięte zbójnickimi nożami, nie odpowiadało się wcale.

Tam to, około ogniska, w ciasnym szałasie, lub na wązkim brzeżku skalnym powstał ów taniec góralski drobny, który szerokość, zamaszystość i posuwistość ruchów, zastępuje ich szybkością: — jest to największe rozwinięcie siły rzutu w jak najmniejszej przestrzeni.

Chłopak, tańczący z dziewczyną, w krótkim, lecz wściekłym momencie szału, przedstawiają całą historię miłości. Zalecanki ptaków, tokowanie głuchani, kołowanie gołębia koło gołębicy są zupełnie podobne do ich tańca.

Dziewczyna drobnymi krokami, obojętna, sztywna, biega z końca w koniec, umykając przed chłopakiem, który ze spuszczoną głową, zgięty, tupie, trzęsie się, kołuje, szamocze, jak wściekły, zataczając koło niej małe kręgi, klaszcząc w ręce lub wyciągając je do niej; w końcu dziewczyna oddaje się, wtedy chłopiec wylatuje, jak wystrzelony w powietrze i oboje w gwałtow-

nym ruchu rzucają się sobie w objęcia. Nic nie może iść w porównanie z siłą, namiętnością i zaciekłością tego romansu, wypowiedzianego tańcem.

* * *

Na szczycie nagiego wirchu, objęty zewsząd bezmiarami powietrza, stoi młody juhas. Opuścił się w wielkim pasie i podparł się na ciupadze. Pod nim owce, przyczepione do upłazków i zboczy, skubią trawę, — pies drzemie spokojnie na słońcu.

W powietrzu cichy, nieustanny szept, jakieś gwary, wołania tajemnicze i jęki; stapania ciche i ostrożne i wielkie szmery, jak gdyby się zbliżała jakaś niewidzialna skrzydlata jazda. To woda tak gada.

Wszystkie potoczki i potoki, siklawy, wodospady i wywierzyska mieszają swoje głosy, przełamują je echemi o ściany turni, uderzają o drzewa lasów i zdradnie się śmieją i wabią człowieka.

Nieraz myśliwiec, albo pasterz poszedł za głosem, który był tylko chichotaniem kaskady, lecącym z podmuchem wiatru.

Tam, na południe, pod słońce, rozpylone w blaskach, widnieją wielkie Tatry, za nimi równiny węgierskie majaczą w dali, zalanej światłem. Ku północy niebo czyste, opadając na widnokrąg, staje się tak bladym i nikłym, że się wydaje, jak gdyby na przestrzał można było ujrzeć przez nie świat «tamten». Spodem, fioletowe opary leżą na Beskidzie i wielka kopa Babiej góry błyszczą śniegową łysiną. Na wschód można dojrzeć czar-

sztyńskich zamków, a na zachodzie, za Orawicą, szerokiemi, ciemnymi wirchami ziemia podpira niebo.

Owczarz na dolinach, stojący w równym polu, wśród tysięcznego stada, z psem mądrym, jak człowiek, który na każde świśnienie wyprawia z owczym tłumem dziwne manewry, ma dużo czasu do kontemplacyjnych rozmyślań i obserwacji natury. Nic też dziwnego, że ludziom ciągle zgiętym w pałąk, w ciężkiej pracy nad ziemią, wydaje się zagadkowym ten człowiek, którego nieruchomą sylwetkę widzą całymi dniami ponad widnokregiem.

Tu, życie owczarza nie jest tak kontemplacyjne. Pasienie po takich urwiskach, trzykrotne spędzanie do dojenia, sam udój, są to wszystko ciężkie trudy, — nie mówiąc już o tem, że śmierć w halach nie taka pysna, jako w dolinie, pilniej cłeka weźmie.

Owczarz przechodzi nieraz miejsca, w których musi cały swój kierdel, przesadzać przez próg granitowy, gdyż owce nie mają za co się uchwycić, miejsca, gdzie: jakieś krztynę nogą chybił — tam eś! — to znaczy, na dnie przepaści.

Z tą naturą niema żartów i trzeba wielkiego zahartowania, dobrej znajomości zjawisk powietrznych, nóg pewnych i jak stal mocnych, wytrwałości i pamięci do rozpoznawania zagmatwanej sieci błędnych dróg górskich, żeby nie zginąć wśród tego chaotycznego świata. Raz kilkunastoletni chłopak z jednej hali poszedł na drugą stronę lesistego wirchu zajrzeć ku bratu i zginął bez wieści, — czterdziestu górali szukało go potem i nie znaleźli nawet śladu — nic, coby pozwoliło domyślać się, co się z nim stało.

Zjawiska powietrzne, zmiany pogody, wianie wia-

tru występują tu z nagłością niespodzianych wybuchów; ich zmienność i różnorodność utrzymuje człowieka, skazanego na życie w halach, w ciągłym podbudzeniu uwagi, czujności i bacności.

Oto na dalekim zachodzie-północy zjawia się nagle, jak cud, mały, ciemny obłoczek, — wydłuża się, rozciąga wielkiem półkolem przez pół widnokręgu, grubieje, nabiera rdzawej, brudnej barwy i płynie ku halom, jak morze wracające ku brzegom z odpływu.

Tu jeszcze pogoda, słońce połyskuje na potokach, świeci na krzesanicach skał, opromienia wielkie zielone polany i błyszczy na dachach szałasów; ale tam w dali, za chmurą ciągnie się przez równie i wzgórza cień wielki, zakrywa pół widzianego świata i pędzi ku góróm. Coraz bliżej, widnokrąg się zwęża, zacieśnia, już chmury muskają szczyty, rozdzierają się o brzegi skał, zakrywają lasy, zawalają wąwozy, kłębią się na polanach, przeganiają się po halach, świat zniknął w mgłę szarej, która pochłoneła i juhasa i jego kierdel.

Któż zgadnie, na jak długo, na ile tygodni, albo miesięcy zwałiła się ta c y r n i a w a nawała chmur ciemnych? przez ile dni i nocy będzie prało deszczem lub kurzyło śniegiem?

Chmura przyszła z zimnym oddechem i rozsypała się krupami gradu; oślizły percie, drogi, trawy na upłazach; skały ociekają wodą, pędzącą wszystkimi szparami, rozbiegającą się i wciskającą wszędzie, spienioną i brudną.

W gęstej chmurze ledwo widać to, co jest pod nogami.

Wicher przylata skądś, a z nim śnieżna fujawica; zamieć potworna, biel rozpylona w powietrzu, kręcąca

się tumanami wirowatemi, zasypuje wszystko. Oblepia prostopadłe skały, rzuca mosty śnieżne nad przepaściami, zawisa ciężką okiścią na gałęziach świerków, zmiata po polanach i halach i zabiela kolorowe kobierce kwiatów.

Owce, prane śniegiem, zakurzone po kolana, tulą się pod świerki, do lasu.

Znowu bieda dla juhasa. Musi on je bądźco bądź pędzić, bo stojąc, zglewiałyby, pomarzły w śniegu. Tłucze więc ciupagą, kopie, szczuje na nie psa, wlecze za mokre kudły i gania po turniach, żeby je śniegiem nie zasulo i nie skrzepły bez ruchu. W takiej kurniawie, oślepione tłoczą się po zasypanych drogach i nieraz staczają się w przepaście, łamią nogi i trzeba takiego kalekę przynieść w torbie na szałasisko.

Lawiny się urywają z mokrych upłazów, i z szybkością błyskawicy, spadają w doliny, porywają całe stada i zena, wynoszą aż do drugiego wirchu.

Czasem kurniawice śnieżne trwają długo, śnieg gruby zawala ukwiecone pastwiska, sypie parę tygodni i wygania owczarzy z hal, napowrót w doliny, do dziedzin, — jest to prawdziwa kłeska.

Niekiedy, przez sześć tygodni hale nie wyjrzą z za obłoków. Wtedy to owce, krowy, psy, juhasi i juhaski, wszystko żyje w otoczeniu, w jakim przywykliśmy widzieć figury mitologiczne, lub wśród sceneryi religijnych obrazów. Chmura zjawia się gdzieś na dole i płynie po pochyłości wirchu ku górze, stopniowo pochłaniając wszystkie przedmioty. Ponad szarą zasłoną, napół w niej zanurzone, bieleją grzbiety krów, widnieje jeszcze żwirowate zbocze, juhas siedzący przy krzaku kosodrzewiny, — i nagle wszystko zginęło, przepadło. Tylko

dzwonki jęczą, wewnątrz chmury ciemnej słyhać wołania: Gwiazdula! Winocha! Kwiatula! Kwiatula!... to juhaski tak zwołują krowy.

W dniach pogody i ciszy, stojącemu na skale juhasowi marzą się legendy, bajki, plotki, opowiadane w mroźnych dniach zimowych, lub przy pasterskich ogniskach. Ot tam w Ornaku, za śnionę wojsko czeka chwili, kiedy trza będzie wyjechać na pomoc królowi. Był taki jeden ślusarz, co robił na bani, kopalni i chodził kuć konie tym wojakom. Narobił moc podków, poszedł ku nim i chodzi od konia do konia, — podkuł wszystkie, pieniędzy mu położyli, to z to poszedł i zawarło się za nim.

Po graźniach, ciemnych jamach, we wnętrzu skał tłucze się duk ziemny i straszy człowieka; w lasach i pustaciach czają się panky, twarz mają nie taką, jak ludzie, tylko carne pycyska, jako but swarcowany i dziurów nijakik do nosa nie mają, i ręce, takie pazdurska brzyćkie, jako u wilka albo niedźwiedzia. Złe strzeże też skarbów, pieniędzy zbójceckich, ukrytych po kolibach, pod korzeniami świerków, pod skrzyżalami, odłamami skał. Śmierć także, czasem, ukazuje się jako bielućka kotka albo bielućka, wysoka baba.

Lecz nie samo złe, nie same wrogi pasterzy zamieszkują ten świat górski, nigdy nie przeznany i tajemniczy. Jest i takie coś, co jest grzeczne i przyjazne dla ludzi.

»Miałek dziadka, co bacował, bogobojny cłek był,
»Boga za Boga miał, jużci, miał na upłazie halom, nad
»Kościeliskom. I, co się nie zrobiło, zajęło mu coś te
»owce, przyndzie wiecór zajmie, a na świtanie do doje-

»nia som wsyćkie, i strǎśnie dobrze doiło, zaś kiej
»z temi owcami sło, to śpiewało:

Ani ja porteczek, ani ja cuzecki,
Kiej se musem paść te cudze owiecki.

»Wynosili mu séra, zętycy, toz to zętyce piło, hej!
»piło, a i sèr tez jadło. No, i dobrze nie bardzo, — co
»nie uradzili: trza mu odzienie usyć, ze tak dobrze pa-
»sie, i usyli mu i wynieśli to odzienie, ale mu juz wy-
»płacili tem i pošlo z płacem. Mozeby jesce pasło, ale
»bez to odzienie odesto, i owce porzuciło, i nie było
»przy nik. I nie wiem, coby zaś ono być miało, cy to
»nieboscyk pokutowań, abo duk, to musiał być towa-
»rzysa dziadka, hej!«

Tak mówił Sabała o dobrym duchu, pokutującym
na hali.

W pustce i samotności, z jarów, z lasów ciem-
nych, z dziur skalnych i dzikich wirchów, wstaje ten
świat bajeczny i marzy się zapatrzonemu w dał chłopakowi.
Z wysokości, na której stoi, widzi on głębie dolin, da-
lekie dziedziny, polany zamieszkane, drobne chałupki, —
marzy się życie w »dziedzinie«, przypominają się dziew-
czyny... porywają go tęsknoty i żądze... Juhasi on na
owczarskim szałasie, gdzie niema juhasek, tylko
stary baca i jego towarzysze owczarze i honielnik, sie-
dzą otoczeni pustaciami i trudnemi do przebycia dro-
gami, — za skalnym progiem, jak za murem kla-
sztornym.

Dobył jesionowej piszczalki i piska... Po drugiej
stronie jaru, oddzielony wielkimi przepaściami, cap
dziki, samotny, jak on, skacze ze skały na skałę ponad

płatem śniegu, — staje, i potrząsając uszami, przygląda się chłopakowi.

Nagle, dziki, przeciągły wrzask rozdarł ciszę i rozbił się tysiącem ech po skałach. Chłop zbiera kierdel i wszystko: owce, pies i juhas lecą w dół, skacząc z upłazu na upłaz, z kamienia na kamień. To gdzieś z drugiego wirchu wabi go tak, jaka Jantka czy Zośka, pasąca krowy. Siądzie na turniczce, sterczącej ponad lasem i śpiewa:

Zebyk wiedziała, ka mój miły kosi,
Zaniosłabyk jemu w podolecku cosi.

Potem zrywa się i rzuca w powietrze ów wściekły swój okrzyk, namiętny i niecierpliwy.

Albo też juhaska, idąca z hali w doliny i prowadząca na lejcu konia, objuczonego obońkami, znudzona samotnem zstępowaniem po stromych i kanciastych brzeżkach, budzi swoim wrzaskiem echa, śpiące w turniach i pragnienia w piersiach juhasów, którzy się odzywają, gdzieś z dali, na jej okrzyk.

* * *

Mały ośmioletni Jędredek, chadzał już za owcami. Niewielkie to było, ale bardzo honorne i zajadliwe. Właśnie stał sobie na skale, bosy, w porteczkach, wyszytych na kolanach grubemi, białemi nićmi, w wielkim, obszarpanym kapeluszu, — stał i pozierał na owce, pasące się na trawiastych zboczach żlebu.

Wiatr chłodny przeciągał w cieniu, więc chłopak wyszedł do słońka i grzał się. Duży, stary baran, biały

z czarną łatką na grzbiecie i ciemnymi pod okiem plamami, z nosem garbatym i pomarszczonym i wielkimi bausami, stał przy nim, skubał trawę i od czasu do czasu spoglądał na chłopaka zielonemi źrenicami.

Nagle, w górze coś zaszumiało, po trawie przesunął się cień wielki i Jędrak ujrzał tuż nad sobą ciemne skrzydła orła, który ze łbem ku ziemi zwróconym, z nastawionemi żółtymi łapami, czarnemi szponami spadał między jagnięta. Chłopak, niedługo myśląc, rzucił się pod barana, wczepił rączyny w długie kudły i przytulił się do brzucha...

Orzeł, śmignawszy wielkimi piórami, wbił szpony w grzbięt jagnięcia i dźwignął się potężnymi skrzydłiskami gwałtownie w górę, potem skręcił lot, sunął bokiem jak strzała, nie ruszając skrzydłami i zginął za granią.

Odetchnął Jędrak, puścił skamieniałego ze strachu barana i opędzał się owcom popłoszonym, które tuliły się do niego.

Orzeł, ryś, niedźwiedź, a dawniej i wilki były statek po halach. Tylko kiedy orzeł napada zdala od szałasu i rzuca się na jagnięta, — niedźwiedź przychodzi na szałasisko we dnie, czy w nocy, to mu ta nic nie płaci, nabije moc statku, jedno zje, a dziesięć popsuje i mało dba o wrzaski i groźby owczarzy, którzy zresztą sami chronią się po szopach i szałasach. Wie on, że flinty są na szałasie rzadkością i porywa bezkarnie jagniówki, które zjada na lotku, nie mówiąc o owcach, które unosi, bo mu to teleno stoi, coby gałązkę smrecyny dopadł. Raz, w halach pod Muraniem, pasterze spędzili owce i krowy do szopy, sami ukryli się na wyżce, zaparli kołem drzwi, ale niedźwiedź, jako

to niebardzo słaby, kólik, którym szopa była zamknięta, wyłamał, nabił jałówek, opił się krwie, najadł mięsa i poszedł, oblizując się, w las, na borówki.

Czasem konia dopadnie; porywa pod łopatki za zebra, jak mu się pazdury obsuwają, drze pasy, aż się na biodrach uczepią, — toż to wtedy nie puści, choćby się koń jako szarpał. Zaś potem praśnie go na ziemię i najpierw mu mostek ozerwie i krew, wątrobę, a płuca zje najpierw.

Jeszcze straszniejszym jest ryś, przed którym ustrzedz się trudno, jak przed widmem.

Małe, ale zajadłe i krwiożercze zwierzę, zjawiające się cicho, jak cień, i szybko, jak błyskawica, w mgnieniu oka nadusi tyle owiec, jak gdyby przygotowywało żer dla całego rysiów stada. Ożłopie się krwią, natyka się żarłocznie, porwie co może unieść i znika, jak wiatr, bez śladu. Wlatuje on jak ptak na wierzchołki drzew i na najstrome skały, a rzuca się bez namysłu w przepaście, jak gdyby u swoich miękkich łap miał skrzydła.

»Ryś to jest nad wilkami, jako oficerz przy wojsku — on im przewodzi«. Dziś wilków tu niema, ale niedawno jeszcze, kiedy było mniej ludzi, a więcej owiec pasło się w halach, wilki rzeczywiście dusiły je, lub szły za rysiemi i żywiły się resztkami jego uczt zbrodniczych i krwawych.

Troje małych juhasiąt, dwaj chłopcy i dziewczyna, zostało samych na hali pod Ornakiem. W nocy przyszedł wilk i zabił cielę; na rano, wyganiając stądek, naszli koście na perci, a pod wykrotem pół cielęcia; krowy się zestrachaly i poczęły ryczeć. Koło czwartej po południu Jaś Fedro, pasący owce, widział, że z dołu idzie cosik, pies nie pies. I był taki chromy baran, to

go dopadło i zabiło, a potem do tych zdrowych się wzięło. Owce otoczyły Fedrę, że bieda było poruszyć się, cisnęły się, o kęs chłopaka nie stratowały, on kijem wywijał, krzyczał, ale wilk nie bał się, tylko zabijał owce, i zabił pięć, a potem poszedł. Fedro z małym dziewczęciem pognali owce do szałasu, dwie zabite zaciągnęli, a trzyostały tam. Ledwie przyszli na polanę i zdołali zawrzeć statek w szopie, a wilk już tu. Zamknęły się te dzieci w szałasie i tuliły się koło ognia.

Wilk biegał dokoła szopy, przystawiał do szpar nos czarny i wyszczerzał zęby; dzieci kryły się między barany i truchlały ze strachu. Nagle wilk zabrał się i pobiegł skulony wzdłuż kamiennego wału, okalającego polanę. Był tam stary kocur, czarny i zły jak licho, a drugi mały kotek i szły gdzieś po tym wale; wilk czaił się za nimi i w mgnieniu oka porwał kocię i kilku kłapnięciami zębów schrupał to i połknął. Ale stary kocur najeżył się, ogon mu stanął do góry i zgrubiał od nastroszonej sierści, jak ręka, skupił się i cisnął się między oczy wilka, mało mu kufy (pyska) nie rozerwał. Wilk stulił uszy i rzucił się w las, a stary kocur, pluając, pędził za nim, rzucając się wielkimi susami. I tak »ci obaj« biegli ku lasowi, — a potem kot sam wrócił. I nie odegnał tego wilka nikt, ino ten kocur, bo dzieci ze strachu wyjrzeć nie śmiały i nie miały ani pistolca, ani nijakiej broni.

Dawniej, kiedy tych drapieżców było tu więcej, owczarze bardzo radzi widzieli myśliwców, polowacy, którzy z zaciekłością ścigali wszelką dzicz po turniach, i staczali z dzikimi bestyami walki na śmierć i życie.

Zdarzało się, że dezterter, lub zbójnik, ścigany przez jednych, znajdował opiekę i ochronę u drugich.

Był on postrachem gazdów, siedzących w dolinach i mających dudki, był dla nich rysiem o naturze jastrzębiej; — dla baców i juhasów, żyjących na hali, był opiekunem i dobroczyńcą.

* * *

Pasterstwo zaczyna się tuż nad dziedziną.

Paręset stóp nad Zakopanem już stoją szopy, szałas i wczesną wiosną i jesienią rozsypują się stada owiec, jak w halach. Sięga zaś ono aż po sam kraniec roślinnego życia, tam, gdzie się zaczynają wielkie pustacie nagich wirchów, turni potrzaskanych od piorunów, czarnych od suchego, twardego porostu, przywarłego tak do powierzchni skały, że zdaje się być tylko czarną plamą w kamieniu. Tam to, w tych najdzikszych pustkach, szałas są najbardziej pierwotnej budowy. Są to koliby, których jeden szczyt stanowi rodzima skała, reszta niskich ścian z gładów, oszparowanych mchem i ziemią; dach z dranic, przywalony kamieniami, obsyty korą świerków i połatany płatami mchów zeschłych i rudych. Czarna czeluść wejścia wзира na małe szałasisko, na którym jeży się gałęźmi mraźnica, zagroda dla owiec, oparkaniona całymi smrekami, zwalonemi w czworobok. Dokoła pustynia, jakiś świat umarły; wielkie rumowiska skał, białe dna znikłych stawów, zavalone kamieniami, które przez setki lat nie pokryły się jeszcze porostami. Mchy i najgórniejsze alpejskie rośliny ścielą się na stokach upłazów; tuż, leżą po ciemnych żlebach płaty wiecznego śniegu, okurzone i potrząśnięte staczającemi się z góry kamieniami. Kosodrzewina na tych wysoczyznach maleje

także, drobnymi gałązkami przypada do ziemi i rozściela się, jak gdyby, ona nawet, bała się wichru.

Nie szumią tu potoki, niema wody żywej; tylko małe, czarne kałuże, resztki roztopów i wód deszczowych, ujęte w łożyska z granitu, odbijają w swoich płytkich, czarnych wodach, przesuwające się nad niemi kłęby mgieł szarych i sennych. Poświstywanie siwarnika przerywa martwą ciszę tego cmentarzyska.

* * *

Kręte percie, przedeptane przez owce, schodzą w dół, zboczem, potrząśniętem okruchami skał granitowych. Zmiażdżone, pokruszone turnice, wysterkają z ziemi; na ich szarych gładzach kołyszą się gałęzie kosówki, niżej, obłamane, zbielełe wierzchołki świerków halnych i krótkie, grube gałęzie ze zrzędniałem igliwem, okryte, jak wełną, kosmykami mchów szarozielonych; jeszcze niżej zwykły, gęsty i silny las świerkowy, zwartemi szeregami pni rudych, ciemni się na podścielisku zgniłego igliwia, potrząśniętego szyszkami.

Las rzadnieje, światło wdziera się między pnie i gałęzie; stoimy na stromem, pokrytem pniami, wykrotami i skałami zboczu. Tam, na dnie, wielka polana, zalana słońcem, leży jak jedwabna makata, obszyta ciemnym aksamitem borów i wyhaftowana srebrnymi niemi potoku.

Schodzimy na polanę. Przepyszna, gęsta, tłusta i zwarta trawa pokrywa szafasisko. W głębi, wielkie, równe krzesanice skał wznosiły się wysoko na niebo i zataczały się, jak mur potężny w prawo i w lewo, ginąc za bliższymi, pokrytymi lasem wirchami. Na lewo,

z za ciemnych lasów, wyglądały wielkie, nagie turnie, jak tułów potwornego zwierzęcia, świecący twardemi, obszarpanemi, chropowatemi żebrami.

Ponad krzesanicami, z pogodnego nieba, słońce świeciło na zrębach poziomego szczytu, czepiało się wąskich upłazków i szkarp, okrytych lasem; na dnie doliny opar błękitny i nikły zdawał się częścią błękitów nieba; promienie słońca, wsiąkające we mglistą tkanę, robiły z niej coś tak powietrznego, że górne ściany krzesanic zdawały się wisieć w powietrzu, jak wielki obłok.

Pogoda, czysty błękit nieba, przepyszna zieloność traw, ciemna i silna zieleń lasów, blaski słońca, rozlewa-
jące się po wielkich płaszczyznach pastwisk, promienie-
jące w potokach, lśniące na głazach, drżące na gałązkach
świerków, rozsypujące się w leśnej ciemni; cisza, łago-
dny spokój i to czyste powietrze orzeźwiają odrazu
najbardziej nawet zdrożonego człowieka i wywołują, jakąś
niedającą się opanować i usprawiedliwić wesołość.

Potok, zarosły glonami, miękko i cicho szem-
rał, spowity w liście kaczeńca i podbiałów, czasem spa-
dał z małej wysokości wąską strugą i ze szklanym
dźwiękiem kotłował się wśród kamieni, to znowu pły-
nął cicho, ukryty w trawach.

Brzegiem potoku szedł juhas, młody, silny i rośli
chłop w białych, nowych, bogato wyszytych spodniach
i nowym, świecącym czerwonymi wyszyciami serdaku.
Piskał na piszczałce; prowadził za sobą małe stadko
białych owiec i psa kudłatego. Słońce za nimi świeciło
na grzbietach wełnistych, przeświecając przez uszy,
okalało głowy promienistemi kręgami i jasnemi kontu-
rami obrysowywało sylwetę juhasa i niosło się w pa-

rach ich oddechów; — przed nimi biegły po trawach i głązach ich cienie.

Hala ta jest szczęśliwym krajem pasterskiego życia. Jej polany pokrywają przepyszne trawy; wody jej potoków nie rozpościerają zniszczenia, silne i gęste lasy zstępują zwartą, ciemną ścianą aż do skraju zielonego pastwiska, kryjąc w sobie rumowisko olbrzymich, jak chałupy want, głązów, zsypanych jedno na drugie, porzniętych zawikłanym i błędnym labiryntem ścieżek, przechodów, wielkich izb i korytarzy, wysłanych zielonemi trawami, ocienionych świerkami. Czarne borówki i czerwone bruśnice rosną wśród kęp omszonych; jasne liście i czerwone jagody jarzębiny wplatają się w ciemną smreczynę.

Od strony północnej sterczy, jak kieł potworny z pokrytej lasem szczęki, szczyt ostry i stromy; za nim widnieją inne, również niedostępne i zębate turnie.

Słońce zniżało się ku zachodowi, zapadało za góry, wywabiając z doliny blaski i światła. Mroczyło się. Ciemniały lasy, szarzały zielone polany, białawy opar gęstniał w dolinie. Na zachodzie promieniała ogromna, pomarańczowo-czerwona łuna, powoli blednąc, schodząc z wyższych przestrzeni nieba i gasnąc. Niebo coraz ciemniało. Na północy, jak okiem sięgnąć, czarne puszcze pokrywały zataczające się wielkimi falami wzgórze; wśród nich, szeroka wstęga Kirej wody, wiła się, kradnąc resztki wieczornej zorzy i unosząc je w mroki lasów.

Na wschodzie, z za ciemnej piramidy, wstawał księżyc, jeszcze niski i ukryty, przedzierał się długimi smugami światła, które drżało w oparze chłodnym i mąjaczyło po szarych złomach turnic.

Sabała, wskazując ręką w stronę czarnego lasu, rosnącego na wantach, mówił:

»Drzewi owcarze pasowali hań owce, jako i tu.
»Ale, byli takie bluźniawce, nie do Boga, — i, co się
»nie zrobiło: zaszł ku nim dziadek, starusecek siwy,
»juzci ci plugace nic mu nie dali. I był ś nimi, honiel-
»nik jeden, małe pacholęcysko, i owiecke miał jednom,
»carnom, i dał on temu dziadkowi wypić swój cerpak.
»Juzci ten dziadek pedział mu tak: — Słuchaj, mój
»synu, kiej bedzies gnał owce na połedeń, uwazuj na
»trzy kmury. Jedna przyńdzie wpierw, druga za nią, jak
»przyńdzie trzecia, kiej bedzies w strądze — uciekaj!
»No, i dobrze niebardzo, przysły owce na połedeń, ci
»owcarze siedli doić, a te kmury idom; jedna, druga,
»jak przysła trzecia, ten honielnik hipnoł ze strągi
»i owiecka za nim. A tu skale się urwały, durkły dołu
»i tyk owcarzy zasulo het! z sałasiskiem.

»Gadowali potem inni, co ich slychowali, jako bu-
»rzyli po pucierzy, ale cóz z tego, kiej przysuci, hej!«

Tak, w archaicznej gwarze, legenda opowiada o wielkim jakimś kataklizmie przyrody, który strącił w przepaść olbrzymią górę, i rozbił ją na odłamy, zawałające całą głąb doliny.

I dziś jeszcze, w noc cichą, słyszą juhasi, jak tamci przysuci burzą po pucierzy, z pod want olbrzymich, okrytych cieniami lasu.

* * *

Zrudziały i zżółkły upłazy, — czerwieniły się porośle suchemi trawami wirchy; regle pokryły się czerwonymi liśćmi buków, wszytych w ciemną gęstwą smre-

czyny, — jesień ciągnęła w hale, wyganiając pasterzy do dziedzin. Redykały też drogami beczące kierdele owcze i stada krów; gazdowie odbierali od baców swój statek, poznając go po gębie, albo po umyślnych znakach. Zabrano się do strzyży.

Jesień jednak była niezwykle pogodna i owce wygnano jeszcze raz na paszę, na jesieniowisko.

Dzień był szary, ale pierzaste chmury stały wysoko w niebie, nie dotykając nawet najwyższych wirchów.

Łozem potoku, który wsiąkł kędyś w ziemię, płynął ciemnymi, ukrytymi drogami, aż nagle wypadał ze zbocza góry wielkiem wywierzyskiem, szliśmy przez las gęsty i stromo wznoszący się w górę. Bezładne kamienie piętrzyły się coraz wyżej, aż do równego dna doliny, okolonej wysokimi połogami wirchami, rudemi od traw zwiędłych, zasypanemi gruzem skał, odrywających się od szczytowych turni i zlatujących na dół, między pnie i pogruchotane wykroty.

Ogromna polana, otoczona skalanym, usypanym ze skał wałem, roztaczała się szeroko, — zwiędła i ruda, wśród amfiteatru pustych, wysoko na niebo zachodzących przestrzeni.

Czarne szalasy stały pustkami; rozwarte drzwi pokazywały puste, ciemne wnętrza. Wiatr zrywał się chwilkami i szalał w dolinie, leciał w górę, podginał gałęzie świerków i cichnął.

Daleko u stóp gór widać było owce rozsypane, jak małe robaczki, na rudych trawskach.

Polanę, w górnym końcu, otaczały pagórki, jakby stopnie, przystawione do wielkich wirchów; kosodrzewina rosła tam, obwieszona pękami szyszek, stały skarłowaciałe pnie świerków, a małe, płytkie stawki, zarosłe

trawą, zasypane piargiem, szarzały odbitem w wodzie niebem, wśród grubych mszarników.

Juhas, czarny, z zapadłym nosem, w pasie, z torbą pasiatą, w czarnej koszuli, stał oparty o kamień, mało się różniąc od otoczenia traw zwiędłych i ciemnych porostów; świeciły tylko na nim sprzączki pasa, wielka, mosiężna spinka na piersiach i białka wylupiastych oczu.

Owce, ostrzyżone, smukłe i zgrabne, pały się wszystkie zwrócone nosami w jedną stronę i ciągle idąc naprzód. Pięć kóz brodatych, włochatych, włóczyło po trawach sierść długą i wielkie wymiona, — one to karmią juhasa na jesieniowisku, gdy owce już się nie doją.

Był to ostatni kierdel i ostatni juhas w halach. Pał tam samotny, aż go wyгнаły kurniawy śnieżne.

Góry ukryły się w chmurach, szalały wichry halne, dolinę deszcz romolił. Po kilku dniach, ponad mgły siwe, wyjrzały wysokie, rozłożyste, obielone śniegiem wirchy i szare od okiści i szronu lasy.

W górach nie było już nikogo; cisza zapanowała na halach i w opuszczonych szałasach; tylko niedźwiedź przychodził na szałasiska i pał się, rafiąc kufom, zrywając pyskiem, z pod śniegu tłustą i smaczną trawę.

Owczarze wrócili do chat, owce i krowy pały się dokoła obór, albo żuły siano po szopach; jagnięta i cielaki karmiły się w izbach z dziećmi. Hale zapadły w sen zimowy.

IV.

. Sabala przestał grać, i, zaglądając na obraz, mówił:

— Nie wiem, jako to im donosi, ale cheba tego Morskiego Oka nie ostawiom?

— Ma się rozumieć!

— He! Ja tez tak miarkujem, co trza cosi konać, bo jakozby to być miało, kabyśmy nic nie wykonali, we wirchy nie mieli iść! Casy som jest ładne, pogoda przepikna, juźci cliwo siedzieć w chałupie. He! zaś potem, jak z tej pogody na psotę się wybiera, toz to z tego psiego gardła, z Orawicy, to tak jedzie śnieg, desc, jakby jaki ancykryst jechał. Juźci rzeke tak: kiej majom wolom ku temu Morskiemu Oku iść, — to iść! Hej!

Jakoż Morskiego Oka nie ostawiliśmy.

Pewnego wieczora otrzymałem kartkę: »Jutro o 8-mej w Hamrach. Pamiętajcie, że na wycieczkę zabiera się: odwagę, buty stare, jaja na twardo, przytomność umysłu, świecę łojową, dobry humor, posłuszeństwo dla przewodzącego; wogóle trzeba mieć więcej rozumu, niż się go ma w dzień powszedni. Resztę

oprócz ołówków, znajdziecie w mojej i waszego przewodnika torbie. p. D.«

Nazajutrz rano był szary; słońce, skryte za mgłami, muskającymi szczyty regli, przesiewało blade, rozproszone światło szyb matowych. Pomimo tego, w Hamrach zbierano się na wycieczkę.

Ogromny czworobok dawnego zarządu dominialnego służy za karczmę. Nanizane na biały potok, stoją jedno za drugim kuźnie, obdarte, odrapane, okopcone, z chwiejącymi się kominami, zasypane miałem węgla, żuźłami żelaza, wśród których tarzają się rude, zardzewiałe bryły surowca. Na kruszących się i mchem porośłych frontach napisy z poprzekręcanych liter żelaznych: Huta Anna, Huta Konstancy i inne napół oderwane, napół zatarte.

Dalej, duży biały budynek, z napisem: Szkoła dworska, patrzy wielkimi oknami, w których niema ani jednej szyby... Tam znowu, dwór napół w ruinie; jeden i drugi dom murowany, otoczony gnijącymi i rozsypującymi się galeryami. Fontanna, która już nie »szemrze«, chyli się i zapada w ziemię. Tam, z przewracającego się żelaznego krzyża, złocona figura Chrystusa woła, za całe to konające otoczenie: W ręce twoje oddaję ducha!...

Wszystko w ruinie, w beładzie; — pustka i jakaś ponurość wiszą nad tem miejscem, jakby przez nie przeszła śmierć czarna i wymiotła mieszkańców. Jeden tylko obelisk żelazny, wzniesiony na pamiątkę bytności któregoś z arcyksiążąt, stoi prosto, przemawiając do przechodnia swoim lojalnym nadpisem.

Wzdłuż szumiącej wśród kamieni omszałych Bystrej, ciągnie się szereg domków niskich, ciemnych,

biednych, z jednej strony dotykających poszarpanych brzegów potoku, z drugiej otoczonych placami, zawalonemi okrągłemi wantami, porośłemi mchem, — lub małemi łączkami, wśród których gdzieniegdzie parę grządek nigdy niedorastającej kapusty lub rzepy. Chaty te, na uboczu, ciche, nieme, dziwnie wyglądają w otoczeniu dzikiej natury i rozsypującego się w gruzy, wymarłego ogniska ludzkiej pracy.

W jednej z kuźnic tłucze jeszcze głucho o kowadło młot, dzwigany przez potok, i kilku wysokich, chudych, jak szkielety, ludzi zasmolonych, kręci się smutnie po ciemnym, czarnem wnętrzu, stukając drewnianemi trzewikami.

Czarne lasy po stromych pochyłościach zstępują w jar szeroki, w którym na dnie stoi to dworzysko; ponad świerkami widnieją szare skały poszarpane i rozłożyste piramidy wirchów.

Ktoś pesymistycznie usposobiony mówi z goryczą:

— Lubię taki widok! czuję, że jestem w Polsce! Polnische Wirtschaft.. — dodaje z ironią.

— Mylisz się pan! Jest to deutsche Wirtschaft! W tym, może jedynym, wypadku, Polacy dzwignęli te mury, założyli te kuźnice, otwarli kopalnie, zmusili do pracy dziką wodę górskich potoków, — a to, co dziś tu jest, to są skutki gospodarstwa Niemców, ba! Prusaków nawet! Polacy, pośrednio tylko, przyczynili się do tej ruiny, sprzedając Niemcom Zakopane.

Rzeczywiście, nie wszystkim wiadomo, że państwo Zakopiańskie od lat dwudziestu kilku należało już do Niemców; że w ostatniej walce o jego kupno chodziło nietylko o niedopuszczenie Niemców do nabycia, lecz i o wykupienie od nich tego wspaniałego kraju.

Zakopane było niegdyś dobrami koronnemi, a gdy rząd w końcu postanowił ich się pozbyć, wtedy według legendy, zapewne prawdziwej, zaproponował chłopom nabycie tej ziemi.

»Jużci przyjechał z Wiednia, cheba nie sam cysarz, ino jaki radca cysarski. To zaś Homolace przy Morskiem Oku brone takom zbudowali, a mój ojciec i Samek stali przy niej w takik rogatyk zbójnickik capkak. He, to zaś potem dziwki i parobcy tańczyli na płycie i ten pan ś niemi jechał. No, jużci odjechał on do Wiednia, i tam cysarzowi pedział tak: Najjaśniejsy monarcho! sprzedaj to, bo to taki kraj, co w nim ludzi grzecnyk nie mas, cheba sami zbójnicy. Cy on ta tak ze siebie mówił, cy moze panowie go zapłacili,— dość na tem, co z Wiednia przysło pismo od cysarza, jako: kie chłopi majom wolom płacić po siajnym grajcarze z morga, to bedzie ik to państwo.

»No i dobrze niebardzo, zebrali się ludzie ukwallować, a nie wiedzieli temu poradzić ani wójci, ani sołtysi, ani nikt nikany, bo ta teraz i za sto papierków niema telo gadania, co dawniej o jednego dudka. No, toz to pošli do takiej starej baby, Wawrzeńcowej, coby im radziła. Jużci ta baba radzi tak: He! dzieci, ani wy tego do siebie nie dopuszczajcie, bo kabyście wy ten opłat przyjeni, tobyście się musieli ozejść syčka po świecie! A to i tak wase bedzie.

»No, i dobrze niebardzo, toz to był Mrowca jeden, wójt z Olcy, jużci poseł on z tym papierem do miasta (Nowego Targu), do starosty, jako chłopi nie kcom tego opłatu płacić i tyk majątków przyjmować.

»Jużci starosta mu rzece tak: — Weźcie wy wój-

cie sobie choć jakie sto morgów. — Ale ten nie kciał brać. I tak panowie to kupili i ludziom z tego nic, hej!»

Stało się to, co tyle razy powtarzało się i powtarza: że nadzieja i ciemnota wyprowadziły chłopów w pole.

Nietylko nic nie dostali, ale jeszcze po szesnastu latach prawowania się z nowymi właścicielami, wyszli z tych procesów podrujnowani; »potargano« im pastwiska, hale; zmaląły stada owiec, zacieśniły się obszary lasów; »świat« zbiedniał, »płoni«, żyje marnie; z »fryśnych chłopów« zrobiły się »ciarapary« — »nie może się chłop teraz uchować«.

To też wspominając te czasy procesów, klnie »haldwokatów i plenipotentów«, konkludując: »Kaby się ludzie nie prawocili, to z cegoby taki plugac żył!»

Nowi nabywcy gospodarzyli dobrze. Od brzegów jaru, z którego Bystra wypływała, stanęły rzędem kuźnice, topiąc, kując i walcując rudę, dobywaną z Magóry; inne pracowały w Kościeliskach. Chłopi »robili na bani«, pracowali w kopalni, palili węgle, ścinali i znosili drzewo, zarabiali »faktorując« z żelazem do Sącza, do Krakowa i dalej. Sprowadzeni z Morawy hutnicy pracowali w kuźnicach.

Lecz dnia pewnego państwo Zakopiańskie, z obszarami Bukowiny, z olbrzymimi lasami, kopalniami, pastwiskami i pustynnami wirchami zostało sprzedane Niemcom i niemiecka administracya tak dobrze gospodarowała, że zniszczywszy lasy, musiała zarzucić kopalnie. Rozsypują się kuźnice, gniją upusty i łożyska wód, obracających koła walcowni i dźwigających młoty, a sprowadzona z Morawy ludność, której kasę emerytalną rozdrapano, skazana jest na powolne wymarcie

z głodu, w swoich ciemnych, biednych domkach nad Bystrą. Nędzarze ci możeby nawet już poginęli, lub rozproszyli się, gdyby nie trochę zarobku, jaki im daje praca w dwóch fabrykach miazgi drzewnej do wyrobu papieru.

W lesie, poniżej Hamrów i w głębi parowu, powyżej ostatnich budynków rozwalającego się dworzyska, dzień i noc słycać warczenie kół, grzechot pił i szum wody, obracającej warsztat, na którym tysiące świerków są ćwiertowane, rozrywane na kęski, rozpylane w proch, zamieniane w ciecz żółtawo-mleczną, krzepnącą w płyty, rozcinane na arkusze i wywożone gdzieś w świat, dla dalszych przemian.

Nawet nie będąc większym przyjacielem drzew, niż ludzi, nie można bez wrażenia patrzeć na tę gorączkową, zawziętą, nieustanną robotę, niszczącą tych papierni, dygoczących w pośpiechu. Czarny las, stojący dokoła, zdaje się legią niewolników, skazanych na wytracenie i czekających swojej kolei. Zwłaszcza ten las górski, ciemny, głuchy, milczący, w którym nie słycać śpiewu ptaków, wydaje się, jakby zapierał w sobie tchnienie, jakby skamieniał ze zgrozy...

Jakkolwiek papiernie te, zajmując niedobitki hamerników i trochę młodzieży góralskiej, dają im jaki taki zarobek, w stosunku jednak do obszarów Zakopiańskiego państwa i nadmiaru okolicznej ludności, któraby tylko w przemyśle mogła zużyć swoje siły i pracę, nie mają one tak wielkiego znaczenia.

Dolina Zakopiańska jest już przeludnioną. Zamknięci między dwoma pasmami gór bezpłodnych, w kotlinie, której klimatyczne warunki nie pozwalają na podnoszenie i rozwój rolnictwa; przy podupadłym pa-

sterstwie, chłopci rozmnożyli się jednak tak, że dziś płacą po 200 najmniej guldenów za móg żwiru, — idąc w tym razie za tą pasyą do posiadania ziemi, która dziś działa jeszcze w chłopie, jako niedająca się opanować siła elementarna. Te liche, tak drogo zapłacone pólka, rozrzucone są w dodatku na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Góral jedzie z furą gnoju półtorej albo i więcej mili. Wysieje »wiertelik« owsa czy jarcu pod Kościeliskami, ćwierć korca kartofli pod Poronimem, grzędę kapusty na Starej Polanie, — a potem szuka wiatru w polu. Nim jedno zbierze, drugie śnieg zasypie, albo wiatr halny położy i wymłóci.

Rzadki chyba to rok, kiedy obadwa plony góralskiej roli dadzą się zebrać. Jeżeli owies pójdzie suchy i cały na boisko, to zginą grule, ziemniaki, »nasa psenica kiej ik Bóg nagodzi«.

Gospodarstwo takie może istnieć tylko w tym kraju, gdzie ludzie przez ośm miesięcy nie mają prawie co z sobą zrobić, gdzie praca dotąd jest bez ceny prawie, ponieważ niema czego się jąć. Przemysł nie istnieje, ziemia uboga, nic niewarta, pastwiska potargane; chłop nie ma nawet gdzie zużyć swoich sił i inteligencji. Żeby jego praca znalazła jakieś ujście, żeby miała cenę, pokazałoby się, że taniejby go kosztowało kupić chleba, a może i pszennych kuciek, niż wyprodukować lichy owies na zakalcowate placki i sapkę.

Żyje też góral tak marnie, jak żaden inny chłop w Polsce i trzeba ich temperamentu, żeby żywiąc się tak lichy, jeszcze być tem, czem są.

Góral je mało. Jeden chłopak, co świeżo z wojska wrócił, chwalił żołnierskie utrzymanie: »Dla nas gó-

rali to starcy, ale te Lachy, mówił, to takie jakieś roz-dęte — nijak się nie nażrą!»

— »Nam dobrze, choć płonimy!« — mówił inny, właściciel morga lichego żwiru i zapadłej chałupki.

Charakterystycznym jest, jeżeli niezupełny brak, to mała bardzo ilość wróbli i wron, — ptaków, które żywią się przeważnie przy ludziach, z resztek ich jadła lub odpadków ziaren. W Zakopanem gnieźdzą się wróble i trzymają stale tylko koło kościoła i plebanii; im dalej od tych centrów dobrobytu, tem ich mniej; już na Krupówkach wróbel jest rzadkością, a na Bystrem i w Polanach niema ich wcale. Ten konieczny towarzysz każdego gospodarstwa w dolinach, stały gość każdego podwórka, gmerający ciągle w śmieciach, nie miałby tu co robić, gdyż dokoła góralskiej chaty niema ani plew, ani okruchów, nie mówiąc już o ziarnie, którego w polu i sąsiekach jest zawsze za mało dla samych górali.

Ktoś, jako dowód ubóstwa ludu w pewnej okolicy, pokazywał Żydów, biednych i obdartych i twierdził, że wogóle niema lepszej, niezawodniejszej wskazówki dobrobytu ludu, niż wygląd Żydów: »Pokażcie mi swoich Żydów — powiem, kto jesteście«. Jeżeli dziś w Zakopanem Żydzi się tak mnożą i bogacą, to dlatego, że znaleźli grunt odpowiedni w »panach«, w tych bardziej złożonych warunkach życia, które oni tu przynieśli.

Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że prędzej lub później musiałoby dojść w Zakopanem do tego, co jest dzisiaj, do tego, że Tatry staną się źródłem środków do życia dla górali, nie przez swoje pasterstwo lub rolnictwo, nie przez »swoje ubóstwo mineralne«, lecz lite-

ralnie mówiąc, przez swoje powietrze i światło, to jest widoki; — a dalej, że to wszystko, czego ludzie w zwykłych warunkach unikają: niewygodą, niedostatek, niebezpieczeństwo, trud, będzie tak cenionem i poszukiwanem; że zamiast szukać dróg najłatwiejszych, przejść najbezpieczniejszych, ludzie będą się starali o to, żeby choć przez chwilę znajdować się »między życiem a śmiercią«; że w miejsca, gdzie tylko najodważniejsi i najzapaleńsi »polowace«, »koziary« chadzali, będą się drapali rozmaici »panowie« i szukali, czego nie zgubili, — słowem, że się już dokonał ten przewrót, jakiego nigdy nie przypuszczał żaden z marzących o skarbach baców, żaden ze skupujących »majątki« gazdów, żaden z »honornych chłopów«, którzy za Tatrami szukali »bogatyh Żydków« do obdzierania, — że się to już stało, winne są Tatry jednemu człowiekowi.

Że Tatry są już czemś niezbędnem w życiu naszego społeczeństwa, że lud zakopiański znalazł środki podniesienia dobrobytu i oświaty, że u nas ludzie się przekonywają, iż nietylko na wyżynach alpejskich można znaleźć warunki klimatyczno-lecznicze, — wszystko to jest zasługą prof. Chałubińskiego.

Jest to człowiek, który dla nas odkrył Tatry.

Staszic, opowiadający swoim kopalnym językiem o Ziemiorodztwie Karpat, był może pierwszym podróżnikiem, który tu przyszedł nie po to, żeby się uganiać za kozicami, szukać skarbów, lub »wyzierać z za bucka«. Po nim zwiedzali Tatry inni, ale wszystko to były jednostkowe przedsięwzięcia, które nie budziły szerokiego echa w całym kraju.

Taternictwo, w tem znaczeniu, co alpinizm,

naturalnie ze swemi oryginalnemi cechami, istnieje dopiero od czasów prof. Chałubińskiego.

Okolo jego imienia utworzyła się też legenda; nazwano go »królem tatrzańskim« i jest to zapewne jeden z najłagodniejszych i najlepszych królów, który w swoim wspaniałem i szczytnem państwie dbał nie tylko o szczęście ludu, ale także o spokój kozic i świstaków, o byt limb i smreków, który pamiętał o mchu marnym i kochał dzikie i ponure głązy, stojące w milczeniu na skalnej pustyni.

Jak w stosunku do ludu, nie zdaje się on być filantropem na zimno, który zużywa swoje pieniądze i inteligencyę na zaprowadzenie porządków teoretycznie uznanych za dobre, lecz człowiekiem, którego wrażliwości na piękno i niezwykle zjawiska życiowe, odpowiada nadzwyczajna dobroć; podobnież w stosunku do natury, czuć w nim silną sympatyę, potrzebę, graniczącą z namiętnością, roztapiania się w jej ogromie i dziwnym czarze jej obrazów.

W jedynych drukowanych notatkach z wycieczki, w której uczestniczyło tylko dwóch podróżnych, t. j. prof. Chałubiński i jego towarzysz, mówi on:

»Dobraliśmy sobie dziesięciu walnych górali.

»Dla Boga, pocóż tyle! No, naturalnie dlatego, aby nam było weselej. Bylibyśmy może wzięli i więcej, ale już pozoru brakło do tego«.

Dalej mówiąc o muzyce Sabały, powiada tak: »Jest ona harmonijnem dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń. Tak, jak wprawny już taternik zapominać musi o nierówności drogi, o skałach, zawadzających jego krokom; jak nie odwróci jego uwagi od cudnych efektów światła, od śmiałych konturów dzikiej turni,

jakieś przejście, wydające się mniej wprawnemu już »karkołomnem«; jak głód i pragnienie, upał lub zimny nieraz przeszywający wiatr nie zmniejszy uroku tych majestatycznych obrazów, — tak samo wadliwość konstrukcyi owej (Sabały) gęśli, jej ton ostry i zbyt przenikliwy nie zatrze głębokiego wrażenia melancholijnej, ale bujnej pieśni dawnych »zbójników«, lub ochoczej, skocznej lubo nieco wrzaskliwej melodyi nawpół dzikich juhasów«.

Podczas kiedy w opowiadaniach innych taterników, ciągle widać »przepaść niebezpieczną, grającą na duszy wędrowca choćby lekkim strachem, kiedy wrażenie tego »niebezpieczeństwa« opowiadający sili się udzielić czytelnikowi, a częściej przed nim ukryć, — w opowiadaniu prof. Chałubińskiego ponad »otchłanią« unosi się łagodny, spokojny uśmiech i dobroduszny humor. Zajęty obserwowaniem tej natury, pochłonięty przez wrażenia, nie odczuwa on ani niebezpieczeństw, ani trudów, ani niedostatku.

Cuda też opowiadają w Tatrach o jego wytrwałości, o jakimś stanie dziwnego podniecenia, w którym nie jedząc nic, kiedy już cała czereda górali padała ze znużenia, on jeszcze przed zapadnięciem nocy wdzierał się, gdzieś na najniebezpieczniejsze szczyty.

On się poprostu zapamiętywał wśród tego dziwnego górskiego świata: »Obecna chwila nie troszczy nas wcale i to właśnie tłumaczy dotykalny i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł«, — mówi on, odkrywając jedną ze stron swego stosunku do natury...

W rozmowach górali ciągle występuje: »p. profesor«. Sabała mówi o nim: »Jego wielkość pan wielko-

mozny«; inni co chwila mówią: »jakeśmy śli z p. profesorem bez Polski Grzebień«, »na Gerlach«, na »Wyso-
kom«, — i tak dalej przez całe Tatry ze wschodu na zachód, z północy na południe, i z poziomu na zenit..

Niema zresztą w Zakopanem takiej dobrej sprawy, któraby nie była przez niego zapoczątkowaną lub przeprowadzoną.

Cały dzisiejszy sposób podróżowania po górach jest takim, jakim go stworzył prof. Chałubiński; sposób bycia i życia, drogi, któremi się chodzi, higiena podróży, wszystko to się wzoruje na modłę jego wycieczek.

Przewodnik tatrzański, ten tak oryginalny i sympatyczny w stosunkach z podróżnym człowiekiem, o ile z jednej strony miał w sobie wrodzone, rasowe przy-
mioty, o tyle też z drugiej strony jest typem, urobionym przez prof. Chałubińskiego. On, z dzikich kozia-
rzy, kłusowników, «zbójnikowatych chłopów«, porobił tych opiekunów starannych, te niańki prawdziwe, którym z zupełnym spokojem i ufnością powierza się każdy turysta.

Przewodnik polski różni się tem od przewodników alpejskich lub szwabów z węgierskiej strony, że jest on istotnym t o w a r z y s z e m, rzeczywistym opiekunem; że jego ambicyą, honorem jest, żeby podróżnemu było jak najlepiej. Rzadki, prawie niebywały i okrywający hańbą wypadek, jest »ostawienie« pana, opuszczenie, niechęć.

Nietylko wskazywanie drogi jest jego obowiązkiem. On prawie idzie za »pana«, dodaje mu energii, utrzymuje w nim siłę, odwagę, dobry humor, myśli o tem, żeby on w porę jadł, pił i odpoczywał.

Wodzenie po górach jest fachem, dziś już ujętym w pewien systemat i młodzi przewodnicy odbywają rodzaj terminu, chodząc z początku, jako »chłopi«, tylko do noszenia ciężarów, przy starszych, doświadczonych, umięających już »gazdować z panami«.

Dobry przewodnik ma swoje i bardzo słuszne pojęcia o psychologii »pana«. Wie on, że zawieszony nad przepaścią, albo postawiony nosem przy prostopadłej ścianie, na którą każą mu się wdrapywać, dółski człowiek gubi równowagę wewnętrzną i zewnętrzną i albo się zwali, albo też straci władzę w nogach ze strachu. To też Wojtek nigdy i niczem nie da poznać, że jest w kłopotcie. Czasem, gdyby był sam, zdjąłby kierpce, przeżegnał się i wyszedłby po granicę, pokrytym szklącą lodową skorupą, ale w »panu« takie przygotowania mogą odrazu zabić ducha; więc też wynajduje inne sposoby wydobycia się z matni i podróży, dopiero w domu, w Warszawie, nie śpiąc w nocy, gdy mu się przypomni śliski lód, na którym stał, ponad kilku tysiącami stóp głębi, dostaje paniki, chwytą się za materace łóżka, lub przez sen zaczyna wołać ratunku...

To też tylko bardzo »płony« przewodnik pokazuje z daleka podróżnemu te ciężkie przeprawy, które go czekają.

W wielkiej płóciennej torbie na plecach dźwiga on całe gospodarstwo: kilkuniedniowy zapas żywności dla siebie i dla pana, pledy, paltoty, koce, potrzebne na noclegach, zapasowe buty, — odbiera od »pana« wszystko, cokolwiek mu może ciężać. W rękę niesie kotlik do warzenia »herby«, herbaty, tak nadzwyczajnie ważnej i potrzebnej na wędrownkach.

Silna ciupaga służy mu do oparcia się, do nacięcia stupa i w śniegu lub lodzie, do rąbania »sucharzy« lub kosodrzewiny na watę.

Trzynastu takich przewodników i dziewięciu »panów« rusza właśnie z Kuźnic na wycieczkę, której kierunek wiadomy był tylko dowodzącemu.

Była to wycieczka, jak ktoś mówił, »w wielkim stylu«, przypominająca choć trochę, tłumne wyprawy prof. Chałubińskiego, w których uczestniczył cały »naród« chłopów i turystów.

Byli tam ludzie rozmaitego wieku i powołania. Poeci i przedstawiciele większej posiadłości, śpiewacy i przyrodnicy, malarze i ludzie bez fachu, aż do najnowszego kwiatu cywilizacji: hypnotyzera; starzy taternicy szli obok nowicyuszów; — podobnie między przewodnikami od starych kłusowników aż do młodej gawiedzi, która poznaje góry tylko, chodząc na wycieczki, wszystko to ruszało bandą z Hamer, przy dźwiękach Orawskiego marsza.

Para skrzypiec, basy i gęśliki Sabały, na tle szumu potoku i ogromu gór, zdawały się tylko brzęczeniem wielkich komarów. Cicha ta, rozwiewna muzyka odpowiada temu nieokreślonemu uczuciu, z jakim się człowiek puszcza na taką wyprawę, — zwłaszcza, jeżeli to pierwsza wielka wycieczka.

Jest w tem coś z rekrutów, idących na niewiadome losy.

Chodzić po górach, jest to z niemi walczyć. Jak wsiadając na dzikiego konia, którego narowów się nie zna, nie można być pewnym, gdzie się człowiek znajdzie — podobnie jest z górą. Usuwa ona człowiekowi grunt z pod nóg, staje dęba pionową ścianą, lub nagle

otwiera pod stopami bezdnie przepaści. Porywa go w dół na śliskich trawach upłazów, lub ociekłych źródłiskami gładkich stokach turni. Czai się nań ze szczytu odłamem skały, stara się go zabłąkać tumanami mgieł, lub zwiać, jak proch ze szczytu, podmuchem wściekłego wiatru.

Nuży go, wyczerpuje jego wytrzymałość i cierpliwość niedającymi się na oko zmierzyć przestrzeniami. Korzysta z jego zmęczenia, żeby mu napędzić strachu, — czasem sama rozsypuje mu się pod nogą i leci z nim razem w doliny.

Słowem, walka z górą jest tak poważną, jak z każdą inną bestyą i takich samych wymaga przymiotów od podejmującego ją wędrowca.

Siła mięśni, a bardziej jeszcze niespożyta siła i wytrzymałość nerwów, odwaga, spokój i przytomność umysłu, siła woli, granicząca z uporem, zdaje się, że są to konieczne warunki w człowieku, chcącym samodzielnie, nie zas tylko za piętami przewodnika, chodzić po Tatrach.

Na razie, nie potrzeba było używać heroiczych środków, idąc po jezdnej drodze, która przerzuca się po moście przez Bystrą, skręca w lewo, idzie w bród przez potoczek i zamienia się w perć, wspinającą się na strome zbocze góry, okrytej ciemnym smutnym lasem świerkowym, rosnącym na czarnem, wilgotnem podścielisku barłogu, zoranego wodami, wydzierającymi na wierzch śliskie korzenie smreków.

Ucichła muzyka, banda rozsypuje się w długi szeregi i pnie się w milczeniu. Wśród pni rudawych, w leśnej ciemni świecą się białe postacie górali, rozchodzą

się w spokojnem, chłodnem powietrzu błękitne smugi dymu fajek i papierosów.

Monotonia tego lasu nuży gorzej, niż samo wdziernie się na strome i śliskie zbocze.

Górale znudzeni zaczynają śpiewać:

Oj hory, nase hory,
To nase kumory,
Bukowe listECKI,
Nase podusecki!

Wrzeszczą okropnemi głosami, zwracając się do siebie i krzycząc jeden drugiemu prosto w twarz z nadzwyczajną energią.

Z góry, gdzieś z nad lasu, dolatuje dźwięczny śpiew kobiecy, las rzednieje, smugi słoneczne wdzierają się głęboko w ciemność; wydostajemy się na wierzchołek, zawalony wykrotami świerków, leżącemi czubami na północ. To wiatr halny przeszedł się tędy i zmiotł wszystko, co stało mu na drodze, o co tylko zaczepił swemi silnemi skrzydłami.

Wśród beżładu leżących pokotem smreków wiła się droga przekopana czy przedeptana przez ludzi, lecz już opanowana przez wodę, która wydzieriała coraz głębszy rozdół, wymywała na wierzch kamienie i gruz skalny, zamieniając dogodną drogę, w jakiś dziki wąwóz.

W górach ciągle się widzi tę niszczącą robotę wody. Zdaje się ona iść trop w trop za człowiekiem, szpiegować go, korzystać z najmniejszego śladu jego stóp, z odwalonego na bok kamienia, z obdartego płatu mchu lub darni, żeby w tej chwili rzucić się na to miejsce i zabrać się do rujnowania góry.

Brudne strugi ulewy, spienione i wściekłe, zdzierają warstwę po warstwie zwierchni pokład próchnicy i skał zwietrzałych, póki nie dojdą do jednolitego głazu, z którym trudniej już dają sobie radę; nie mogąc go spłókać i unieść, rozsadzają go, zaciekając w szpary i zamarzając w zimowych miesiącach.

Idziemy naprzód, przekraczając kłody, wymijając pnie, przedzierając się wśród gałęzi. W jednym miejscu, przez otwór wydarty w ścianie lasu, przewodnicy pokazują ogromną śpiczastą turnię, wznoszącą się ponad zielonemi halami, okolonemi lasem.

— Co to za wirch? — pytają nieświadomi, młodzi podróżni i dowiadują, się ze zdziwieniem, że to jeszcze raz Giewont w tak niezwykłej postaci okazuje się na odchodnem, nim go zatrą w pamięci wielkie wirchy.

Wydostajemy się z lasu. Droga biegnie długim grzbietem wzgórza, przypierającego do okrągłego kopca, z poza którego wyglądają fioletowe turnie. Na lewo stacza się trawiaste zbocze, zasypane piargiem i ginie w lasach; za niemi znów widać zielone hale i czuby regli, które stąd już wydają się niskimi wzgórzami, a dalej roztaczają się szerokie horyzonty północy. Na prawo sterczą tuż przy drodze niskie warstwy skał, ułożonych »jako kartecki w książecce«, zakrywając zupełnie widok na zachód.

Droga ta, to główny szlak wypraw tatrzańskich, a zarazem komunikacya z licznemi ształasami Gąsienicowej hali.

To też pełno na niej podróżnych i górali, mijających się, jak na ulicach miasta.

Na szarej, kamienistej powierzchni, pstrzą się czer-

wone spódnice, białe rękawy i serdaki, wyszywane fartuszki pańien, idących stadkami całemi do Czarnego stawu. Mniejsze i większe towarzystwa podróżnych wloką się, przysiadając, zatrzymując się, mijając się z juhaskami, prowadzącymi objuczone konie, z hal do Zakopanego, albo z wracającymi konno na hale juhaskami, których nogi wiszą na opróżnionych obońkach. Stada owiec z Jaworzynki wysypują się z za brzezków skalnych, patrzą wylęknione na przechodniów, porywają się i giną za krawędzią skał z brzękiem i bekiem. Czasem gdzieś z za kamienia wyjrzy mała główka juhaska, patrząca ciekawie z pod obdartego kapelusza.

Wielka, ciemno-zielona polana roztacza się przed nami, zapada gdzieś w dół, w czarne pola kosodrzewiny; — na lewo obszary lasów zachodzą jedne za drugie, a ponad niemi dźwiga się olbrzymi kadłub góry pooranej żlebami po bokach i wpiera się jak garb potworny w zębate potargane wirchy, zataczające się wielkim murem od południa.

Dokoła świat zastawiony górami. W wielkiej ciszy i spokoju słabo brzęczały dzwonki białych owiec, czasem przelatywał z wiatrem szum wód dalekich i znowu cichnął.

Na polanę mrok padał, od przesuwającego się kłębu mgły siwej, a wprost, pod słońce, stały szczerbate wirchy, ściany prostopadłe, zębate, otulone fioletowo-błękitnawymi cieniami, nasiąkniętymi srebrzystym pyłem słonecznego światła. Niżej słońce rozlewało się po skałach, połyskując na płatach śniegu, sunąc się na chropowatej powierzchni zboczy i żlebów, zasutych piargami.

Jeszcze niżej, rozścielały się ciemne kosodrzewiny,

wśród których bieli się nić potoku. Przez wielkie obszary polany wlokły się figurki podróżnych, drobne i nikłe, zatracały się za brzeżkami i znowu pokazywały się gdzieś dalej.

Mgły wstawały ponad wirchami, opuszczały się na granie turni, nikły — i znów płynęły białymi tumanami, zasuwaly się za stromy ciemny gmach śpiczastego wirchu, wiły się około niego, kurzyły się z jego szczytu, kłębiły się w słońcu, jak gdyby tam gotował się wybuch wulkanu.

Naturalnie, przewodnicy opowiadają podróżnym o górach.

Bierze za ramię, i celując ciupagą w pojedyncze zęby górskiego wału, mówi:

— Na lewo, hań! ten hruby wirch Kosysta, a hań Krzyżne, Granaty, Żółta turnia, a ten, co tak mgłą zasulo: Kościelec, zaś haw, na prawo Świnnica!

Wtedy to »gość« widzi, że jest rzeczywiście gościem, a górale uprzejmymi gospodarzami, którzy przyjmują przybyszów i zaznajamiają z niememi, groźnymi olbrzymami, o dziwnych imionach, zamieszkującymi ten gmach pustynny.

Ktoś z naszych towarzyszy bierze tę rekomendację do serca i, na nazwisko Kościelca, odpowiada swoim, uchyla kapelusza, kłania się grzecznie i dodaje: — Bardzo mi przyjemnie!

Dzień robi się przepyszny. Bogata, wspaniała pogoda patrzy z błękitnego nieba i z zalanej słońcem ziemi.

Rzeźwy chłód obwiewa twarze, lekko nam, swobodnie i dobrze.

Banda nasza robi wrażenie na przechodzące damy

i na juhaski. Muzyka gra, a od czasu do czasu górale wrzeszczą:

Syćkie wirchy przeseł, syćkie przewandrował,
Przyseł do Morskiego, tam se zanocował.

Inni pomimo torb olbrzymich na plecach, idą, tańcząc i przyśpiewując:

W murowanej piwnicy
Tańcowali zbójnicy,
Kazali se piknie grać,
A na nózki pozierać.

Na dźwięk gęśli i pieśni, ponad płaski głąz, leżący na zboczach, podnosi się dzika, zczerniała twarz juhasa, uśmiecha się, błyskając białymi zębami i znowu przypada do ziemi.

Polana się kończy, zasypana wielkimi białymi odłamami skał, zarosła krzakami kosówki, — ścieżka rzuca się w dół, zwirowatą i kamienistą zboczem.

Chmura, tuż nad naszymi głowami, rzuca przez szpary garście słonecznego światła, pstrzające się świetlnymi plamami na turniach, ubraniach, kamieniach i trawach.

Schodzimy na ogromne szalesisko, zawałone granitowymi głązami, — wszędzie trawy zdeptane, zniszczone, bezład, brudno, parne i duszne powietrze, przesiąknięte zapachem owczarnika i obory.

Chwila odpoczynku. Zbiegają się juhaski z rajto-kami, pełnymi mleka i żętycy, stary juhaski wynosi serki, — zbiera dudki, życzy dobrej drogi i ruszamy, leniwo, pod piekącymi promieniami słońca.

Droga zniknęła między głazami; perć przedeptana wśród kęp borówek, śliska, błotna wije się w górę, utykając co chwila w źródliskach, zwałach kamieni, wiskłając się w gałęzie kosodrzewiny, okrążając rzadkie pnie halnych smreków, nastroszone uschłemi gałązkami.

Zaczyna się ten bezład, to chaotyczne, na pozór, gospodarstwo natury, na razie przykre dla człowieka, przyzwyczajonego do symetrii i porządku ulic i wogóle żytego z naturą, nad którą już w zupełności panuje, którą porządkuje według swoich gustów i potrzeb i której stosunki sił normuje według swego widzimisie.

Tu nic z tego! Człowiek przekrad a się wśród zastępujących mu drogę głazów, omija zacinające go po twarzy konary kosówki, ślizga się na mokradłach, tłucze się o kamienie i pnie świerkowe... A im głębiej w świat górski, tem większy bezład, tem mniej wspólnego między człowiekiem cywilizowanym a tą naturą nieugiętą, która jednak tu, u siebie i dla siebie jest w zupełnym porządku, w zgodzie z sobą i prowadzi swoje gospodarstwo według wiecznego, niezmiennego płodozmianu wszechświata.

Te głazy, rumowiska świata, odrywały się od swoich skał macierzystych, staczały się w doliny i legły pod wpływem sił, działających ze ścisłością matematyczną; dziś leżą w spokoju, czekając, aż wspólne działanie słońca, wody i powietrza rozniesie je na atomy, które znów pochłonie tkanka roślin, które może przyjdą znowu tu w mózgu jakiegoś »pana z Warszawy«, wykrzykującego: »Ach! jak tu ładnie!« albo też zataczającego się w niemem przerażeniu wśród groźnego chaosu pustyni.

Niegdyś, w Meranie, poszedłem do jednego wą-

wozu górskiego, z którego wypływała czerwona od porfirowego miału woda, — byłem słaby i przedelikacyony przez życie napół szpitalne, — uciekłem stamtąd! Tak okropnym wydał mi się właśnie ten chaos, ten widok rozpadania się, rujnowania świata; to wianie dziwnych wichrów, krzyżujące się ciepłemi i zimnemi jak lód oddechami; kotłowanie się i tajemnicze bełkotanie wód podskórnych, ryk potoku; te kłody i pnie obdarte skądś, przyniesione falami burzy, te głązy, wiszące u szczytów, pochylone do lotu, czające się i białe ślady ich spadków, wykrzesane na poczerniałych urwiskach... Człowiek, nieobeznany z tą naturą, doświadcza wrażenia, że się znajduje na polu walki, której przyczyny i celu nie może pojąć, w której jednak czuje, że może być zgniecionym, jak liszka, dostająca się pod stopy walczących słoni.

Lecz nawet bez uświadomienia niebezpieczeństwa, po prostu z powodu rozdźwięku między spokojnym nastrojem człowieka, a tem czemś gwałtownem, poszarpanem, potarganem, tą rozterką, jaka jest w tej naturze, — nim się do niej przyzwyczai, nim się ją pozna, przechodzi się wobec niej chwilę niepokoju i zniechęcenia.

Szliśmy więc w górę rozsypani wśród wielkich głązów, tonąc w ogromnych przestrzeniach, porośłych ciemnymi krzakami kosodrzewiny.

Słońce nad nami wisiało u stropu, jaskrawo obrzeżając skały i igliwie kosówki, ślepiąc garściami blasków, leżących na źródłiskach. Wielkie kępy mszarników pokrywały krzaki borówek i kity paproci. Wśród kosodrzewiny i w przerwach między głązami leżał cień granatowy, głęboki.

Towarzystwo rozciągnęło się długim sznurem, gubiąc się wśród labiryntu przejść i drózek.

Im wyżej, coraz wyraźniej dochodził szum potoku, aż wyszliśmy nad granitowe łoża, w którym z rykiem kotłowała się w pianach wściekła woda, niecierpliwie rzucając się na kamienie, tamujące jej przejście.

Słońce wdzierало się ostremi smugami w ciemną, otuloną w kosodrzewiny kotlinkę, z której perć schodzi na wody potoku.

Ponad wzburzoną falą, wśród ogłuszającego jej ryku, na kamieniach, wystających ponad piany, zewsząd obryzgiwana wodą chwiała się młoda dziewczyna, podając staremu przewodnikowi rękę i skacząc z głazu na głaz.

Przeprawa ta, pod okiem kilkunastu mężczyzn, ponad wściekłą wodą, która swoim impetem zdaje się porywać, swoim rykiem grozić, ponad którą leci, jak jej oddech, wirowaty powiew wiatru, — robiła widocznie wrażenie na dziewczynę. Więc też stanąwszy na drugiej stronie potoku, z twarzą purpurową, nie śmiała oczu podnieść na leżących w mchach nadbrzeżnych podróżnych, owianych dymami papierosów.

Na tej drodze ciągle się napędza nowych ludzi, traci się ich gdzieś w tym chaosie ruin skalnych i znowu się spotyka na wyższych piętrach zawilego gmachu.

Wydostajemy się ponad gąszcz kosodrzewiny. Wielka, granatowa, prawie czarna tafla stawu leży pod nawisłemi nad nią, z prawej strony, ciemnymi skałami; w głębi, ponad szary próg kamienny, wystają wysokie, ostre wirchy, na lewo olbrzymie szare rumowisko skalne,

poplamione rudemi mchami, zielenią szuwarów i ciemnymi krzakami kosówki.

Perć idzie ponad stawem. Patrząc z góry na jego powierzchnię, widać, przez płytką wodę pobrzeża, dno zawalone kamieniami, świecącemi z pod błękitnego przezrocza, jak zatopione odłamy lodu. Dalej ku środkowi, cień tajemniczy gęstnieje, aż w końcu przechodzi w mrok nocy, która zdaje się drzemać tam, zatopiona w nieprzejrzanym głębiach.

Chłodny powiew przeciągał ponad stawem, mgły zasłoniły słońce; blady, szary dzień jesienny przyświecał dzikiemu, pustynnemu krajowi.

Na perci coraz więcej ludzi. Z za brzeżków, z gęstwi kosodrzewiny pokazywały się ciągle nowe towarzystwa podróżnych.

Rozlegały się rozmowy, nawoływania i powitania. Od czasu do czasu górale śpiewali jedną ze swoich zwrotek:

Oj! Janosik, Janosik!
Gdzieś podział pałasik?
W tej wysokiej horze,
Zacięty w jaworze, —

leciało w powietrzu, rozbijając się po skałach.

Na tle szarych skał błyszczą nowe serdaki panów, bieleją góralskie torby i cuhy i świeci się pomarańczowy szal jakiejś pani. Napędzamy ich, naturalnie wszyscy się oglądają za szalem pomarańczowym, a widząc twarz śliczną, okoloną przepyszniemi, jasnymi włosami, zaczynają przystawać, starają się być na drodze, żeby módz ustąpić i przeprosić; tu, na tych dzikich drogach, okazywać mnóstwo eleganckich grzeczności, dzięki czemu towarzy-

stwa się łączą, rozmowa staje się ogólną, dopóki jakieś trudniejsze przejście nie rozerwie i nie rozsypie znów, długim sznurem, podróźnych.

Bliskość Zawratu zaczyna niecierpliwić. Gromada traci spójnię, porządek, nie pilnuje się przewodników, ani szeregów. Kto ma lepsze nogi i płuca, wydiera się naprzód i kiedy jedni wloką się gdzieś na dole, jak małe mrówki, drudzy są już na wysokim progu ponad stawem, w jakimś kraju podbiegunowym.

Ledwie dostrzegalny ślad perci, prowadzi po złomach skał zwietrzałych w górę, stromo, tak, że już można czasem pomagać sobie rękoma.

Przed nami wstają okropne, potargane, czarne, olbrzymie gdzieś na niebo zachodzące ściany turni. Za nami, w dole, leży Staw Czarny, okolony poszarpanymi skałami, wśród chropowatej, pooranej parowami, zarzuconej nastroszonymi głazami pustyni, jak wielki pokrowiec z atlasu granatowego ze stalowym odbłyśkiem.

Gładka, równa i miękka jego toń jest tak inną, tak różną od chropowatego, twardego, najeżonego otoczenia, że nie można się nigdy z tym kontrastem oswoić, nie można bez podziwu i przyjemności przenościć wzroku z jednego zjawiska na drugie. Wrażenie, które się tu odbiera, wywołuje wspomnienie jakiejś muzyki, kołyszącej i budzącej umysł, naprzemian dwoma różnymi motywami melodyi, powtarzającymi się kolejno bez końca... Słyszałem taką muzykę, nie wiem czyją, może Beethovena, której można było słuchać bez przerwy, całymi wieczorami, jak tu patrzeć, gdyby nie trzeba było iść dalej i wyżej...

Przez płat śniegu, leżący między dwoma poczerniałymi odłamami skały, wchodzimy w kotlinę, otoczoną

dokoła pustynnami, ciemnymi ścianami, rumowiskami skał zgruchotanych, wielkimi głazami, oderwanymi od szczytów. Jest to zupełna dzicz kamiennej pustyni, ledwie gdzieniegdzie przerywana bladą zielenią upłazków i suchemi porostami.

Zewsząd zbliżają się ku sobie wielkie turnie, czarne, żłobkowane drogami wód, ciągnącemi się pionowo z góry na dół, jak pełznące po cielsku góry węże. Od strony północnej czarna skała zachodzi w górę, zasłania świat zimna, bezpłodna i surowa. Od południa słońce zamienia granitowy mur w jakąś przezroczystą zasłonę tak lekką, iż się zdaje, że ją wiatr uniesie. Ślizgające się promienie, czepiają się występów skały, błyszczą w źródłiskach, jak w dyamentach, wszytych w gazę oparu przejrzystego; cienie od turni szczybatych fałdują błękitnawymi smugami subtelną tkanę światła, unoszącego się w powietrzu.

Po ciemnych żlebach leżą białe płyty śniegów; gdzieniegdzie słońce rzuca na nie blask ślepiący, a niebo barwi cienie na ciemny szafir.

Zapadły w głębokie zręby granitu, dysze chłodem Zmarzły stawek. Ponad ciemno-seledynową jego wodą wyzierają białe, jak śnieg, odłamy skał.

Z pod nadbrzeżnych głazów, pokrytych rudemi mchami, wycieka zimna struga i z dźwiękiem szklanym spada na powierzchnię ciemnej wody.

Tak muszą wyglądać szczeliny fiordów i ostatnie krańce Laponii. Czuć tu, że jesteśmy blisko tych miejsc, gdzie »zima siedzi..«

Sabała klęka i przytula usta do mroźnej wody. Wszyscy zaczynają wołać:

— »Sabała! Sabała! nie pijcie telo zimnej wody!«

Oburzony staruszek odpowiada z gniewem:

— »Dy ja mam miarę w zębak!«

Odpoczywamy tu i obiadujemy.

Miejsce na »herbę« wyborne, po wodę tylko sięgnąć kotlikiem; — z czego jednak nakładzono watrę, ognisko, nie przypominam sobie, chyba przewodnicy przynieśli z sobą, z dołu sucharzy i gałęzi kosówki

Przy ścieżce, wiodącej na przełęcz Zawratu, kładzie się w mchach całe towarzystwo. Bucha dym w górę; pękate torby góralskie rozkładają się na ziemi i po chwili szklanki z herbatą kurzą się, wśród mchu i na białych stołach z odłamów granitu.

Podróżni leżą chwilę w milczeniu, wodząc oczyma po ścianach turni i po błękitnym stropie nieba. Przewodnicy krzątają się, każdy około swego pana. Otulają, okrywają pledami, podścielają mchy, podstawiają poręczce z kamieni. Nalewają wódki, krają chleb, mięso, podają herbatę; — pielęgnują »pana«, jak najlepsza niańka, jak matka troskliwa. Pilnują, żeby się najadł, napił.

— »Pijciez! pijciez!« — słyhać ciągle. — Albo: — »Niekze jedzom. E! dy o telim kęsku na Zawrat nie wleziecie! niekze jedzom!«

Czynią to wszystko z taką zręcznością, z tak przyjemną twarzą, tak uprzejmym głosem, że niczem nie zmacą kontemplacyi turysty, który kończąc swój obiad, zapala cygaro i napół drzemiąc, leży spowity w pled na miękkich kobiercach mchów barwnych, patrząc na dziwne otoczenie i oddychając najpyszniejszym powietrzem, jakim tylko oddychać można.

Nakarmiwszy i napóiwszy »panów«, raczą się sami herbą, niektórzy piją wódkę, większość jej nie używa;

jedzą przytem bardzo mało. Po chwili torby ułożone, przewodnicy pykają fajki i gwarzą z cicha.

Orkiestra próbuje strun, — i powietrze zaczyna drzeć dźwiękami góralskiej pieśni.

Cisza pustyni słucha tej nikłej muzyki, której nie powtarzają żadne echa.

Nagle, gdzieś w blaskach słońca, na przeciwnym brzegu kotliny, pokazuje się stado owiec, biegnących na dół, a z niem, ledwo dostrzegalny wśród szarego otoczenia skał, juhas. Biegnie on ze swoim kierdelem, żeby się zbliżyć do muzyki, której ciche tony doleciały go gdzieś dumającego na wyżynach.

Dopadł widać do miejsca, gdzie dźwięki dochodzą wyraźnie, gdyż na wystającym brzeżku skały rzuca się w taniec, potrząsając kapeluszem i wykrzykując dziko.

Nasi przewodnicy już z torbami na plecach, przygotowani do drogi, puszczają się d r o b n e g o, śpiewając:

Styry kozy, piąty cap,
Kto wyskocy, będzie chłop...

i odkrzykują miotającemu się juhasowi, koło którego tłoczyło się białe stado.

Kiedyśmy jeszcze spoczywali, mijały nas rozmaite towarzystwa podróżnych, dążące na Zawrat. Przeszła i właścicielka pomarańczowego szalu, pilnie obserwowana przez wielu z nas z powodu białych rąbków spódniczek i nóg zgrabnych i silnych, wspinających się lekko z głązów na głązy.

Ruszyliśmy rozdołem, zasypanym piargiem, wśród którego leżały małe płyty śniegu, topniejące zwolna w spadających dokoła kroplach wody.

Przed nami, w górę, szedł skalny korytarz, między dwiema czarnymi ścianami granitu.

W górze widniał biały płatek śniegu; ponad nim czerniała się skała i małe sylwetki podróżnych, na tle jasnego nieba.

Z góry wołano na nas, żebyśmy czekali, aż tamci wejdą na przełęcz, ponieważ mogliby puścić z pod nóg kamień, który niejednego z idących w dole, bez wielkiej subiektywności »zniżyłby o głowę«.

W końcu idziemy, stając gęsiego, przewodnicy i podróżni naprzemian, jeden nad drugim, gdyż wąwóz ten nie jest ani tak gładkim, ani tak łagodnie pochylonym, jak się z dołu wydaje. Po większej części idzie się tak, że nogi idącego naprzód są na poziomie twarzy wspinającego się za nim.

Ruchome głązy, rodzaj szabru do naprawy jakiejś szosy, po którejby jeżdżono mamutami, dźwięczą ostro pod stopą, trą się jedne o drugie, chwiejąc się razem ze stojącą na nich nogą. Więc też idący niżej przytrzymuje często kamień, na którym się opiera poprzedzający go towarzysz.

Jesteśmy u »płotka« śniegu. Widziany z bliska jest on gruby na półtora do dwóch chłopów i trzeba się przedzierać wąską szparą między nim a ścianą skały, często wieszając się na rękach, a u góry wydostawać się tunelem, wytopniałym w nawisłej śniegowej skorupie.

Jeszcze jedno dość »styrbne« miejsce i nagle... doznaje się wrażenia, że z chłodnej i ciemnej piwnicy coś wyniosło i rzuciło w błękitny nieba i blaski słoneczne.

Ciepły, miękki wiatr obwiewa twarze, oczy lecą

gdzieś w dal, szukając oparcia; człowiek zdaje się wisieć nad otchłanią, twarzą na dół.

W pierwszej chwili doznaje się tylko wrażenia jakiegoś nawały światła i uciekania, gdzieś w przestrzeń bezgraniczną świata...

Ledwie ostatni z naszych towarzyszy wy dostał się z ciemnej i chłodnej gardzieli żlebu, zaczęła się w nim kłębić mgła i sunęła się szybko ku górze.

Przyszła i zawisła między czarnymi ścianami, jak szara zasłona, z pod której spadał na gruzy granitowe mrok wieczoru.

Ktoś, patrząc na nią, przypomina Homera i mówi do towarzyszy:

..... Czemu
Świat porzuciłeś i słońcu uciekłeś jasnemu?

Siedzieliśmy o parę kroków od wijącej się chmury, która kiedy niekiedy wyciągała długie, szare kosmyki, jak potworne macki, lub ramiona ośmiornicy, obejmowała niemi południową stronę skał, jak gdyby próbując lekliwie i nagle cofała je i chowała do ciemnego żlebu.

— To bardzo proste — mówił zgryźliwy przyrodnik: — ponieważ temperatura i nasycenie parami wodnymi prądów powietrznych bywają różne, po dwóch stronach łańcucha gór, zatem w miejscu ich zetknięcia się następuje osadzanie się wody. Chmura ta nie przyszła znikąd, tylko tu przed panem się utworzyła i będzie się tworzyła, dopóki nie nastąpi równowaga w prądach powietrza. Może pan wolisz ją uważać za tajemniczą zasłonę krajów Persefony; co do

mnie, samo to tak proste zjawisko wydaje mi się dosyć szczytnem...

Naturalnie nikt nie oponował. Zjawisko było istotnie szczytnem, choćby ze względu na to, że się zjawiało na wysokości 6.877 stóp nad poziomem morza.

Zresztą, mało kto się niem zajmował.

Na stromem zboczu, na tle skał szarych, błyszczał jaskrawo w słońcu szal pomarańczowy i zgrabne stopy, oparte na chropowatym głazie. Obok, siedział towarzysz pięknej pani i, zsunawszy niedbale kapelusz z czoła, puszczał obojętnie nadzwyczajne kłęby dymu.

Turyści, jak wróble na strzesze, zaglądale w dymnik, siedzieli uczepleni do stromej pochyłości, zwracając się z zaniechaniem dyskrecyi w stronę pięknej dziewczyny, poza którą przesuwaly się czasem miękkie kosmyki stojącej w żlebie chmury.

Nawet przewodnicy nie śpiewali, nie tańczyli, tylko spozierali ku pięknej twarzy, której błękitne oczy błędziły gdzieś na dalekich widnokręgach.

U stóp, w dolinie, leżało wielkie pawie oko na tle złotego żwiru, — to jeden z pięciu stawów, otoczony granitowem rumowiskiem.

Ponad doliną wznosił się wał, okryty zielenią, porozrywaną smugami żlebow i plamami skał jasnych. Wyżej, ciągnął się z zachodu na wschód ogromny gmach góry, szaro-błękitny, mieniący się opalowemi tonami, poorany żlebam, posypyany płatami śniegu. Nad nim sterczał wierzchołek pochylonej piramidy, wznoszącej się potężnym zrębem, z jakichś dolin, których dna nie można było dojrzeć.

Za nim bezmiar powietrza, pod nim niezmierne, jasne równiny, fioletowe fale gór dalekich, nad którymi,

jak piana, odpływały ku krańcom widnokręgu zwały chmur białych, oblanych słońcem.

— Krzywań! — mówił Sabała, wskazując ciupagą na fioletową piramidę.

— Zaś nizej, ten długi, ka te ogrody ze śniegiem, to Hruby wirch! — hej!

Inni przewodnicy wyliczali kolejno nazwy wirchów, wśród których dziko dźwięczały imiona, jak Szatan, Furkot, Cubryna, Garłuch...

To wielkie Tatry, — zasuwiają się jedne za drugie, coraz niklejsze, widne po przez tonie słonecznego światła, jak szklane tafle lub lodowe iglice.

Wszystko roztapia się w powietrzu, w blaskach, staje się czemś niepokalanie czystem, kryształowem... Oczy spoczywają w tej harmonii barw nikłych, przezroczystych, pełnych światła.

Bezludna, bezpłodna pustynia, zavalona ruinami świata, otulona w miękkie, fioletowe opary, traci swoją grozę i dzikość, i leży pod naszymi stopami, jak ciche, pogodne morze...

Nagle, na tle błękitów i opalów staje komiczna figura w serdaku na długim paltocie, w obwisłych, wlokących się spodniach. Zdejmuje kapelusz, kłania się, uśmiecha się z odcieniem pokory, strachu i chęci przypodobania się, defiluje przed całą bandą w ciągłych umizgach i znika, jak widmo, zostawiając za sobą trochę znajomego w dolinach zapachu.

Skąd się tu wziął ten Żydek? Z kim przyszedł? za kim poszedł? Nikt nie wie.

Trywialne, fantastyczne widmo, które w tejże chwili zaludniło Zawrat całemi tłumami myszuresów,

handlarzy, warchołem małomiasteczkowym, brudami, smrodem, kwestyą żydowską..

Zewsząd przez czyste otchłanie powietrzne zlatywały się brudne »cienie« i obsiadały wyobraźnię.

Ten grzeczny Żydek przyszedł tu, jak »cień nieprzyjaciela«, który się zjawia w Walenrodzie, — »aby krew mieszać w puhary wesela...«

* * *

Nareszcie zaczynamy się staczać z Zawratu, poprzedzani przez szal pomarańczowy, który dla wielu z naszych towarzyszy staje się pobudką do nadzwyczajnych skoków w dół, bez względu na ścieżkę, prowadzącą z góry łagodnymi spadkami w zakosy.

Napróżno dowódca wyprawy klnie i woła, napróżno kamienie, wyruszane uderzeniami obcasów, pędzą za nimi w szalonych susach, — lekkomyślni młodzieńcy w pewnym wieku staczają się między rumowisko skalne, i raz ostatni jeszcze okazują przed właścicielką pomarańczowego szala swoją galanterię niezwykłą, swoje spotniałe twarze i zdyszane płuca.

W końcu, cała banda zebrała się u podnóża Zawratu i ruszyła ku południowi, wstępując odrazu w zamęt zrzuconych jedno na drugie, ogromnych brył granitowych, pokrytych żółtym, jak siarka, porostem, poplamionym czarnymi łatami, suchym i zwartym ścielnie z powierzchnią granitu.

To, co się z góry wydawało złotym żwirem, na którym leżało oko pawiego pióra, jest wielką doliną, potrząśniętą odłamami, spadłymi z otaczających ją wir-

chów, głazami, na które trzeba się wdrapywać, staczać z nich, przeskakiwać ciasne między nimi szpary, wciągać się na rękach na szorstkie zręby, pracować nogami, rękami, grzbietem, skupiać uwagę, żeby nie złamać nogi, nie wywichnąć ręki, a co najmniej potłuc się i obedrzeć golenie. Jest to chaos, labirynt, zamieszanie małych celek, wązkich korytarzy, przejść ciasnych, ścian stromych, — który wobec ogromu gór, trudu i niebezpieczeństwa na graniach wirchów jest niczem, który jednak bardzo mało przypomina wygodne drogi, po jakich zwykliśmy chodzić. Praca ta odbiera przytem możliwość obserwowania natury, otoczenia. Cały człowiek jest zajęty, pochłonięty przez sprawę chodzenia.

Kiedy tak przedzieramy się w milczeniu, zatraceni między skałami, nagle, ponad głęboką ciszę pustyni zrywa się pyszny śpiew kobiecy.

Natychmiast wszystko się wydostaje ponad głazy, z pomiędzy żółtych zrębów wystają zaciekawione twarze i w dali, popod załomem góry, widzimy raz jeszcze szal pomarańczowy, błyszczący w słońcu. Wielkie brawo z naszej strony, a że między nami był śpiewak i dobry, mogliśmy więc godnie odpowiedzieć na ten krzyk z oddali.

— Jak jednak człowiek pomimo tego, co go naprawdę różni od zwierząt, pomimo swoich kapeluszy, fraczków, butów o śpiczastych nosach, amsterdamskiego likieru i Virginii, jak jednak ma dużo z nimi wspólnego! Czyż te dwa głosy, rozmawiające ponad przestrzeniami pustyni, nie są tem samym, co wabienie się ptaków, lub ryk drapieżców, umawiających się w ciemnościach puszczy na schadzkę?

Mniejsza o to! Idziemy dalej.

Rumowisko granitów okala staw, który ze swoją wodą, z brzegu szmaragdową, ku głębi przechodzącą w granat, wygląda, jak przepyszny kryształ szafiru, oprawny, jak w złoto, w mieniące się w słońcu żółte zręby gładów. Przed nami zatacza się wał wysoki, porośły trawami, potrząśnięty skałami i piargiem. Słońce z za niego przelewa się w dolinę, łamiąc się po tysiącach płaszczyzn kamieni i połyskując na brzegach stawu. Lekki, równy podmuch wiatru niesie się ponad wodą, marszczy ją w półkuliste falki, w srebrną łuskę równą i prawidłową i staw zdaje się wielką, szeroką rybą, leżącą na półmisku fajansowym koloru siarki.

Idziemy rozsypani długim sznurem między skałami, zapadając w jamy lub wydostając się na wierzch, jak gdybyśmy szli po skamieniałych falach morza. Czasem wszyscy giną, zaprzepaszczają się, jak drobne owady; to znów pojedynczo pokazują się rozmaite postacie panów, przy których na straży, to podając rękę, to odbierając laskę, to podtrzymując w skoku — idą górale.

Nadzwyczajne zajęcie budzi w nich jeden z naszych towarzyszy, młody, przystojny, »na gębie urośniony«, wysoki i dobrze odżywiony, słowem »ładny chłop, do rzeczy«, malarz z Monachium.

Ubrany w alpejski ubiór: j o p ę z zielonemi wyłogami i guzikami z jelenich rogów, kapelusz z ogonem cietrzewia, majteczki do kolan z czarnego zamszu, gołe różowe kolana, szare pończochy na łydki i ogromne, podkute całą masą żelaztwa trzewiki, które chrobocą na granicie i razem z długim alpenstockiem ułatwiają wyjście z równowagi. Nasz towarzysz jest bowiem pierwszy raz w tym kostiumie i po raz pierwszy

w górach, wykazuje więc z początku równie wielki entuzjazm, jak małą wprawę w chodzeniu. To też przewodnicy przy tym panu pracują tęgo; inni ciągle zwracają nań uwagę, robiąc różne dyskretne uwagi.

Sabała korzysta z chwilowego zatrzymania się pochodu i mówi:

— Prosem piknie, ik miłość, cy to im skóry chybiło na portecku, cy jako?

— E, nie! To taka moda, wiecie, jest.

— Ja też uważam, co to taka moda ma być kany. Hej! Bo u nas, to zaś choćby jaki płony cłek był, jużci portki ma do kostek. Cheba, taki skąpiec, co mu ta włosy bez kapelus rosnom, jużci ten to będzie siedział na gołym ciele, nie zaś na portkak!

Chwila odpoczynku. Cisza i pustka. Za nami wznosi się ściana, w której wybita jest szczerba Zawratu, ciągle dymiąca się obłokiem mgły szarej.

Na jej tle widać dwie drobne, czarne postacie i przyciszony, nosowy głos pieśni kościelnej dolatuje nas z góry. To dwóch księży, idących od Morskiego Oka, nim się zapuszczą w ciemny i chłodny korytarz, spadający w przepaść, śpiewają hymny. Był to ostatni głos, dolatujący do nas z wielkiego gościńca, po którym zwykle chodzą taternicy, trzymający się pewnej rutyny i ustalonych opinij.

Obszedłszy półkole stawu, odpoczywamy po przeciwnej stronie doliny przed wspinaniem się na wał Zaworów. Pod zwaliskiem granitowych odłamów, ukryty potok bełkoce z cicha, — gdzieś dalej wylewa się w wielkie błyszczące oka i znowu ginie w podziemiach tajemniczych, niosąc wody Zadniego stawu na niższe piętra doliny Roztoki.

Znużeni gimnastycznymi sztukami przy okrążaniu stawu, zapadamy w zupełny spokój i leżymy bezwładnie na mchach i kamieniach, puszczając dymy z fajek, cygar i papierosów.

Górale, wsparci na torbach, półgłosem prowadzą rozmowę o swoich sprawach. Z opowiadań Sabały wywiązuje się dyskusya:

— Bieda nie leci tak wartko, tylko pomalućku! W jeden rok cie weźmie, a na drugi, trzeci, po trochu! — mówił jeden.

— No i cóż ty chłopie bedzies robił? Choćbyś tu się smucił i łbem o mur bił, to się łeb nie mur ozbije. Hej! — pocieszał go jeszcze Sabała, i dalej kończył swoje opowiadanie.

»...Ale jak umirał! On leżał jak tu, a tu brat jego siedział, a bez sień w izbecce carnej, małej, jego matka Maciugowa mieszkała. No i dobrze niebardzo, przyszli trzej pankowie, toz to z sieni zara wołają: — Jasiak! jesteś? hybaj haw! To potem prosił ik, coby ostawili do jutra, do południa. Co się nie zrobiło, poseł on orać, tam na Buńdówki po pod Samków, ja zaś orałek na swoim polu i las nas ozdzielał. I zrobił się taki larm, baby się pozlatowały, wzięły krzyceć, — a tam wilki owce casem przysiadaly, to zaś myślałek co one. Skocylek po flinte nabitom, w sieni wisiąta, jużci lecem, a tu sie porwie wiater, taki, co kciało konie w pługu przewyrtnąć a smrecynę cieło jak siekierom — i w samej tej hurmawicy śmierć go wzięna. Zcerniał na gębie, na rękak, het! jak głównia węglowa. I nie wiem, grzek ku niemu przyseł, cy jako gadowali, alek tego nie widział. Hej!«

Z dalszej rozmowy widać było, że w sposób tak

dziwny umierał jakiś krzywoprzysięzca. Po chwili Sa-
bała wyjął z rękawa gęśliki i cicho przygrywając,
śpiewał:

Oj mamičko miła, czemuś mnie nie biła!
Kiej mnie wiesać bedom, bedzies se hańbiła!

No, ruszamy. Stopy góry zasypane piargiem, osu-
wającym się z pod nóg, im wyżej coraz drobniejszym,
upłazki porośłe szuwarem, wystające z pod darni żebra
turnic i guzy kamienne, porośłe mchem rudym, —
wszystko to służy za stopnie.

Dźwigamy się w górę, nie wszyscy z równą ener-
gią i zapałem; gdyż nasz Monachijczyk, zmęczony szar-
paniem się po głazach, traci cokolwiek fantazyę i czę-
ściej, niż na alpenstocku, wspiera się, zwłaszcza
w »štyrbnych« miejscach, na ramionach Wojtka.

Ostatecznie wychodzimy na długi grzbiet Zawo-
rów i odpoczywamy, nie tak ze zmęczenia, ile dlatego,
że właściwie po cóż ganiać po Tatrach, jeżeli się nie
ma ich używać, jeżeli się nie ma na nie patrzeć — żyć
z niemi.

Siedzimy na zboczu, jak na grzbiecie potwornego
płazu, którego łeb, zwrócony ku północy, wznosi się
przed nami kopulastą łysiną. Poza nim, zatapiając się
już w fioletowy opar, wznosi się piramida wirchu, do-
koła którego przesuwają się białe w słońcu obłoki — to
Świnica.

Cisza zupełna. Słońce przechodzi na zachodnią
stronę nieba i zalewa masą światła ogromną dolinę, za-
padającą w dół, gdzieś pod stopy gór fioletowych,
obrzeżonych blaskami.

U nóg naszych zaczyna się zbitym szuwarem, usianym stokrotkami i jaskrami, wielki, leżący na całej dolinie kobierzec traw i kwiatów, sfałdowany zarzynającymi się w nią odkosami podstaw, otaczających ją wirchów. Światło słoneczne drży na oddaleniu, mieni się po trawach i kwiatkach, zawiesza się w subtelnej mgłę, rozpylonej w powietrzu, oddala przedmioty powietrznością barw i zwiększa je, rozpraszając kontury, zatoczonymi dokoła nich tęczowemi, błyszczącymi kręgami.

Żadnego śladu innego życia — prócz gór, traw, kwiatów, słońca i powietrza. Żadnych głosów, — wiatr nie wieje, nie kołyszą się trawy, nie dolatuje żaden szmer żywych wód górskich. Nic, tylko słońce w blaskach, które zdaje się samo, tylko siłą swego światła wywoływać złudne wrażenie tych światów cichych i jasnych. Nikt tu nie pasie, nie depce tych traw, nie mąci naturalnego biegu życia natury, bytującej w tych pustaciach bez dozoru i pomocy człowieka.

Przyjemnie ogrzewani słońcem na tych chłodnych wyżynach, leżeliśmy w trawach, w milczeniu — słuchając ciszy...

Nagle, stłumiony głos zawołał: »Niedźwiedź!«

Rzeczywiście, w dali widać było coś, co się ruszało na stoku góry, szwędało się zwolna między trawami. Blask słońca nie dawał dobrze poznać kształtów, — rozpoczęła się więc cicha dyskusja: »Niedźwiedź, czy cap?«

Monachijczyk, wstawiony między kunsthandlerymi malowaniem polowań na niedźwiedzie, które obserwował za kratami zoologicznego ogrodu, zawsze zważając pilnie na napis: *Vorsicht! der Bär beisst!*

znalazł się pierwszy raz w życiu, oko w oko, jeżeli tak można powiedzieć, bez krat, z bohaterem swoich obrazów. Okazywał też wielkie zainteresowanie, trzymał mocno przy oczach lornetkę, którą napróżno usiłowaliśmy mu wydrzeć, i odpinał futerał, z którego błyszczała stal bronzowana pysznego rewolweru.

Ostatecznie, przez głosowanie zostało przyjętem, że ruszający się w dali zwierz jest niedźwiedziem. Zwłaszcza, że kiedy kilku górali ruszyło się, żeby podejść bliżej, zwierz umknął w wielkich susach, lecz nie poszedł w turnie, jakby uczynił cap, tylko w chóściaki, które miał za sobą.

Sabała, któremu katarakta nie pozwalała już widzieć w dali, próbował patrzeć »bez łurnietkę«, ale i to mu nie na wiele się zdało; a że stary myśliwiec, więc się ogromnie zainteresował bronią i z wielką ciekawością oglądał rewolwer malarza.

— He! — mówił — sprzęt godny, do rzeczy! Zaś to i flinty som takie, rafle w Amaryce na ośmnaście siusów. Ale to i myśliwiec musi być do sprzętu. Bo zaś jest i taki, co choćby ta jaki godny sprzęt miał w garzci, jak niedźwiedzia uwidzi, to tak zdygoce, co albo brzezek ka postrzeli, albo zaś Panu Bogu w okna! hej!

Nikt tego nie wziął do siebie...

Aczkolwiek z pewnemi zastrzeżeniami wewnętrznemi, zaregestrowaliśmy do wrażeń tatrzańskich: »Spotkanie z niedźwiedziem w dolinie Cichej« — i ruszyliśmy, zwracając się ku południo-wschodowi. Zrazu staczaliśmy się w coraz bujniejszą trawę, potem dźwignęliśmy się w górę i z drugiego grzbietu spojrzeliśmy w świat całym innym.

Mrok zalegał głęboką dolinę, zniżającą się ku oddaleniu. W głębi, wznosiły się czarno-granatowe przyczoła gór, pokrytych kosodrzewiną, wśród której wiła się biała nitka potoku. Wyżej, leżał wielki szafir stawu, oprawiony w srebro wiecznych śniegów i jasnych rumowisk skalnych, na które padało światło, przesiane przez gęszcze chmur, wiszących u góry. Ciemne wirchy szczybatymi zębami wpierały się w mgły potargane, które żółtawymi płatami światła rozdzierały, rozszarpywały ścianę gór, tworząc z nich jakieś ruiny wież olbrzymich. Dwa piętra doliny stawów ciemno-smreczyńskich całe nasiąkłe światłem, zdawały się nurzać w fosforescencji, pełnej blasków opalowych i perlistych, która je odcinała od całego ciemnego, ponurego otoczenia.

Z oddali, dolatywał przyciszony szum wody i ginął w przestworach powietrznych, jak słabe westchnienie.

Między turniami wału, okalającego dolinę od północy, pasło się stadko kozic, które, za ukazaniem się naszym, pomknęły i znikły w wirchu.

Schodzimy. Dolina pokryta bujnymi trawami, chłodna, podmoczona młakami, nad którymi kupią się gęszcze liści podbiału, zapada na prawo coraz gwałtowniej na dół, tam, niżej widać las czarny, a nad nim — potwór!

Świat zastawiony jakąś olbrzymią masą, fioletowo-opalową, ciągnącą się straszonym gmachem z zachodu na wschód. Zdaje się, że ziemia kiedyś jękała i zapadła się pod ciężarem tego niezmiernego cielska z granitu. Chcąc spojrzeć na niebo, trzeba zadzierać głowę i tylko z prawej strony, z poza ściętego zrębu świecą się gdzieś w dole, jakieś dalekie kraje w słońcu, roztopiając się w widmach gór powietrznych na widnokręgu i błyszczą,

jak srebro, kłęby białych obłoków. Ogrom tego wirchu, stojącego w jakimś groźnym spokoju, materyalny ciężar tej masy granitu, której kilka kilometrów zagradza nam drogę i wznosi się ponad światem głucho, niemo i obojętnie, denerwuje nas i złości... Nie możemy się wstrzymać od wymyślania tej bestyi kamiennej, która się nazywa: H r u b y W i r c h.

Ktokolwiek miał do czynienia z naturą, a zachował w sobie zdolność odbierania szczerych, bezpośrednich od niej wrażeń, które jedynie pozwalają odczuwać duszę świata, osobowość zjawisk, ten zdoła sobie uprzytomnić stosunek, zachodzący między ja ludzkim, a takimi potężnymi objawami przyrody, jak, przypuścmy, morze lub góry. Zdaje się, że nietylko wrażenia wzrokowe, nietylko kojarzenie się wyobrażeń, lecz jeszcze jakieś inne siły fizyczne, jakieś subtelne i nieznanne składniki natury i człowieka są czynnikami, dzięki którym wobec pewnych objawów przyrody doznaje się wrażeń, wpada się w stany psychiczne, które się nigdy w odmiennych warunkach nie powtarzają.

Dlatego to, góry malowane nie dają nigdy zupełnego przypomnienia tych wrażeń, jakich się doświadczało wobec rzeczywistości. I nie dlatego, żeby w malarstwie nie można było wydobyć wrażenia ogromu, wykazać stosunku wymiarowego między człowiekiem a górą. Gdyż, cokolwiek twierdził nasz Monachijczyk, do szczętu zdemoralizowany przebytemi trudami i przygniatającą potęgą Hrubego Wirchu, cokolwiek mówił o niewłaściwości, nie v e r k ä u f l i w o ś c i tego tematu,—góry malować można i wiele ich stron w zupełności w obrazie okazać, wywołać doskonałe wrażenie ich malowniczości, ich kształtu i barwy. Braknąć tylko w tem będzie tego

niewytłomaczonego pierwiastku, który uderza jak czad do głowy i przyprowadza duszę nad taki brzeżek, z którego zdaje się, że zdrowo nie zejdzie...

Lecz idźmy dalej!

Jesteśmy już znużeni i staczamy się za pochyłością doliny, jak gdyby przyciągani przez potworną bryłę Hrubego Wirchu.

Sabała czegoś ożywiony i wesół, rozgląda się dookoła i ciągle gwarzy:

— Dobrze nam się idzie, dobrze nam się idzie, droga gładka, to się dobrze lace!

Schodząc coraz niżej, natrafiamy na źródła, sączące się z pomiędzy kęp porośniętych borówkami i kamieni, pokrytych grubą warstwą mchu wilgotnego. Rzadkie krzaki kosówki czernią się gdzieniegdzie, a ponad nimi ogromne, białe pnie martwych smreków wznoszą się wysoko, nastroszone grubemi, krótkimi gałęzmi, oblażeni z kory.

Wchodzimy na małe szałasisko, potrząśnięte łupanicami granitowemi, tonącemi w bujnej, jaskrawej zieloności końskiego szczawiu, który zwartą gęstwą ściele się dookoła szałasu w ruinie. Dach ze świerkowej kory, w połowie zerwany, ściany czarne opierają się o pnie świerkowe, ciemne wnętrze ziejże wilgocią, wznoszącą się ze śliskiego mokradła, w które się zamieniło klepisko. Dawno tu już nikt nie pasie, gdyż te obszary, jak mówią górale, należą do »młodego cysarza«; są to »kralewskie polowania«, stojące pustkami.

Szałas ten, pod ścianą lasu, nęci znużonych podróżnych i postanawiamy tu nocować pomimo uwag Sabały, twierdzącego, że: »Nimas grzecniejsego nocnika, jako w lesie kany pod smrekiem, albo wantą!«

Mroczy się. Wieczorna rosa, bujna i ciężka pokrywa pomarszczone liście i kity kwiatów szczawio-
wych, które ścinamy, żeby z nich zrobić posłanie w sza-
łasie. Górale rozchodzą się po drwa na ogień, kilka
ciupag wstrząsa ciszę lasu, padają białe pnie sucha-
rzy i niedługo potem wielka watra, rozłożona między
płaskimi głazami, buzuje się z trzaskiem, rzucając
w górę kłęby dymu, który ponad lasem rozwieszał się
w rozłożysty baldachim.

Oczywista rzecz, że wszystkie kotliki nalane wodą,
natychmiast stanęły rzędem dookoła płomieni — czarne,
opotniałe, rozgrzewały się zwolna, pryskając przez
dziobki na ogień. Wydelegowani z pomiędzy towarzy-
stwa kucharze zabrali się do bigosu, a każdy z prze-
wodników rozkładał zapasy swego pana po płaskich
głazach, których poszczepane, zwietrzałe odłamy słu-
żyły za wyborne, naprawdę »granitowe« talerze.

Chłodno było, więc owinięci w serdaki, paltoty
i pledy leżeliśmy dokoła ogniska, wszyscy w gęstwą
wielkich liści szczawiu i piliśmy herbę, naturalnie po
uprzednim, nader uprzejmem przywitaniu się z innemi,
bardziej zdecydowanego charakteru płynami.

Na tych wycieczkach, mało wogóle się jada, na-
tomiasz herbata i wszelki inny płyn są wchłaniane
w wielkich ilościach.

Syci, ogrzani watrą, zaopatrzeni w ubrania podró-
żni, dopijając szklanki i kurząc tytóż w najrozmaitszych
formach, oddawali się spoczynkowi, gwarząc o wszyst-
kiem, słuchając opowiadań, anegdot, epizodów z życia
zwykłego, miejskiego, tak bardzo różniącego się od spo-
sobu, w jaki w tej chwili spędzaliśmy wieczór. Brakło
tylko lampy nad stołem, okrytym białą serwetą i zwy-

kłych herbacianych przyborów, tak dalece rozmowa była nie z tego świata, który nas otaczał. W ciągu dwunastogodzinnego marszu, drapania się i staczania po turniach i upłazach, zżyło się, zwykło z temi warunkami życia do takiego stopnia, że ani nasze kanapy z granitu, ani ściany, wytapetowane smrekowym lasem, ani białe postacie przewodników, rozdających herbatę, nikogo już nie raziły i nie dziwiły. Rozpętany z pod uroku bezpośredniego otoczenia filister, budził się w każdym z nas i oddawał się wygodnemu biegowi myśli, z którym się zżył przez długie lata.

Mówiono o wszystkim — o ludziach, literaturze i sztuce. Monachijczyk twierdził, że ze sztuką jest źle, gdyż cła, nałożone przez Amerykę na dzieła sztuki, wpływają na zastój handlu obrazami; że dziś najlepiej w Monachium maluje, to jest bierze największe pieniądze Kowalski, większe nawet od Brandta. Z Niemców najlepszym malarzem jest Claus-Meyer. Szalone pieniądze bierze! Potem twierdził, że gór malować nie należy; że dziś jedynie wnętrza pod światło i polowania na śniegu są verkäuflich, że gór nikt nie zrozumie, nie kupi, że sztuka nie istnieje dla sztuki, tylko dla publiczności, z którą się należy rachować...

Tymczasem słońce gasło, gdzieś za otaczającymi nas dookoła szczytami. Niebo jaśniało nikłe i przezroczyste, zabarwiając się ku zachodowi żółtawym pobrzaśkiem, blednąc u stropu i szarawym błękitem zapadając za grzbiet Hrubego Wirchu. Kilka gwiazd świeciło białym blaskiem z dna przezroczy.

Zachodzące na niebo wirchy stały, jak wielkie kryształy szkła fioletowego; — ostre, wyraźne, rysowały się szczerbatymi sylwetkami na jasnym tle powietrznej

bani. W barwach nieba i ziemi, w chłodnem powietrzu, w blasku gwiazd czuć było jakąś świeżość, czystość kryształową, — jakąś siłę młodą i jasną.

Z mrokiem nocy, na wschodnim krańcu Hrubego Wirchu ukazał się ostry brzeg księżyca, szybko wypływającego na niebo. Błyszcząca tarcza zdawała się toczyć po szczybach długiego grzbietu, zasuwając się za małe turniczki i skalne garby i ciągle uderzając się o chropowaty tułów góry.

Rozżarzona watra paliła się wielkim, jasnym płomieniem nad stosem czerwonych węgli, w których tkwiły czarne kłody i gałęzie.

Przewodnicy warzyli dla siebie herbę, jedli chleb z wielkich bochenków, częstowani zresztą przez pannó w wszystkich specyałami, jakie przydźwigali w swoich dwunastu torbach.

Nikt nie chciał właściwie spać, — zmęczenie jednak i to, że jutro ze słońcem mieliśmy wyruszyć, każało spróbować noclegu, na kupach szczawiu, rozestanych w szałasie. Więc pod pozostałą częścią dachu położyliśmy się rzędem, owinięci we wszystko, w co się owinąć dało.

Zgaszono świecę; — do ciemnego wnętrza wdzierał się migocący blask ogniska, cicha rozmowa górali, trzaskanie kłód i czasem zalaływał cichy szum wód dalekich.

Ani sposobu zasnąć.

Z chwilą, w której ciało znalazło się w zupełnym spoczynku, mózg w ciszy i mroku rozpoczął swoją robotę porządkowania wrażeń, robotę bez końca, rozrastającą się całemi legionami wyobrażeń, wniosków i myśli.

Chwilami powieki zapadają i na moment stan pół snu, pół czuwania mąci jasność myśli, — i znowu otwarte oko wpatruje się w ciemność, czepia się promienia gwiazdy, zaglądalej przez dach dziurawy, albo też na tle ciemności widzi obrazy, wywoływane wyobraźnią.

Ani sposobu zasnąć! Jednak każdy, przez grzeczność i wzgląd na sąsiada, który może śpi, leży cicho.

W końcu: — »Jontek śpisz?« — »Nie! a ty?« — »Nie mogę!« — »Panowie nie śpią?« — »Nie!« — »I ja nie«. — »Panie Adamie!« — »No?« — »Masz pan zapaki?« — »Mam«. — »Nie śpicie?« — »Nie« — i nagle całe towarzystwo przechodzi w ogólną rozmowę, jak żaby w bagnie, zaczynające od cichego kumkania, a kończące wielkim chórem powszechnego rzechotania.

Nikt nie spał. Pomału wszyscy wyszliśmy przed szafas.

Gruby szron biały pokrywał dach i belki, liście szczawiu i głazy. Wszystko w bladym blasku księżyca mszyło się białym aksamitem, iskrzącym się drobnymi płomykami.

Watra przygasła słabo się tliła, osypana dokoła popiołem, węglami i niedopalonemi głowniami. Ponad nią na kamieniu, grzbietem do ognia, z głową zawiniętą w cuhę, leżał Sabała i wytknąwszy ręce z pomiędzy nóg, raz w raz otwierał i zamykał przez sen palce.

Przyzwyczajenie starego myśliwca, który pół wieku przespał u ogniska w halach. Inni górale, zaszyeci w trawę, drzemali na mrozie, lub skuleni pykali fajki, patrząc w ognisko.

Dorzucono gałęzi, wsypano w żar węglowy kar-

tofli, przystawiono kotliki do ognia, i około godziny drugiej po północy, siedzieliśmy znowu dokoła huczącej płomieniem i sypiącej iskrami watry.

Sabała się zbudził, poprawił na sobie tórbkę i cuhę, klęknął na kamieniu ponad ogniskiem i mówił:

— Lógek se na kwile i zasnął, — przy ogniu dobrze się śpi. He, jak kto wie, to przy ogniu może się i wyleczyć godnie. Raz, co się nie zrobiło, z Jaworowej z Luptowskiej na głuchanie poleciałek. Jużci spał z wieczora w sałasie i do dnia wyleciałek takim źlebem do góry, słysem: klepka! Ale nie widzem, a on siedział przy smreku, ja zaś go wypatrzował we wirchu. Dopiro skrzydłami ruszył, tok go uwiidział, no, jużci, rzekę: — Pockaj az flintę do zębów podniesę, — i durknałek! Toz to spadł po gałęziak. Ale, jakę spał w tym sałasie, jużci smąd wesel do głowy taki, aze plamy czerwone w ocak latały. Nie skoro mnie było ku ptakowi iść, nawaliłek watre wielgom, to się raz grzybietem, to zaś brzukem obracam, pilno grzejem się i popuściło pi-knie, ten smąd wyciągło. Hej! przy ogniu zratuje się cłowiek godnie.

— No, a niedźwiedzie bywają tu ojczę? — pytał ktoś.

— He! Nimas na nik godniejszego miejsca, jako tu. Dolina głęboka, wiater nie mąci, nie zacuwajom. Dy my tu z bratem, z Józkiem, dwok ubili, zaś jednego samek dopadł, hań, ka się idzie ku wodzie.

Zaś było tak: Napirw z Józkiem z Obrochtą chodziliśmy bez siedem dni, — i nic i nic, — i nie mogli my na jedno się zgodzić, i jużci rzekę: Skoro ty na mnie nie kces przystać, to i ja na ciebie nie! Dopiro zajdem ku bratu, ku Józkowi, — na pile rzeze: —

Pójdź! — Ze cemu byk nie miał iść? Toz to poseł z nami i chodzili my cosi do sesci dni. Wylecielimy pod Krzywań, — jużci Józek z Obrochtą poseł do jednej doliny, ja do drugiej i, cy dyabli was tu przynieśli! przyšli Luptacy! Józek uwidział ik z gronki, ale nie śmiał wołać, — zaś kiej my chadzali bracia Krzeptowscy, to my się z wirchu na wirch dogadali kape-lusami, jużci brat zawiesił cuhe na flinte i ukazuje Obrochcie — ale ten się nie obraca.

No, i dobrze nie bardzo, Luptacy zaśli Obrochtę z drugiego boku — dopiro ten się obeżre — uwidział! — no, juz wtedy w uciekaca! Luptacy za nim. To go przegnali z drugiej strony z pod Krzywania do Niech-cyrki. Ten leci takim źlebem, śniega tam były do cie-nia, to się go łąpił pazdurami a seł, ci zaś obuci stą-pić nie mogli — uciok! Dopiro brat wyleci naproci mnie: Luptacy Obrochtę zajęli! — a Obrochta uciok ze sytkom stawom!

Zajdziemy do takiej dolinki, cok wiedział, ze je miejsce godne na świstaki, juze było prawie pociemiato. Mielimy takom małom motyckę, wziętek se grzebsć. Ziem była lekka, bez skale, grzebiem od wiecora do rania, ale zaś potem były takie skale, dziura się pod nie chowała, jużci grzebiem a gilnie pozierałek do nieba, cy nie uwidzem kany jakik gości. Dopiro z tej ćmy cosi prasło piargiem. — Józek mówi: »Cap!« ja zaś: »Cłowiek!« To zaś potem świsło trzy razy... porwę flintę — myśliwskie prawo krótkie! Cekam — nic! Daj grzebsć! Skoro na świtanu, jest stary, wielgi świstak. Ale, zabił się do skale, nie móg go dostać. Dziubne flintom — a on gryzie. Wezme rymac, kciał to wkrećić w skucine, zaś wywlec — odciął zębami rak na rymacu.

No, rzeke, juz ja cie dostane! Jużci paf! z jednej flinty do dziury, — posiedze na kwile! — paf! z drugiej. No, i co się nie zrobiło, dymem go zdusiło, — idzie z tej jamy taki pijany — ja go łap za skucinę, ten się sarpnął — skucina w garzści ostała — uciok!

Idziemy z pod Krzywania ku Ciemno-Smrecynom, ale, my nie jedli juz drugi dzień i dopiro ja patrzem: — Niedźwiedź! Idzie, rusa kudłami, jak Madziar gaciami. — Widzis go! jużci brat myślał, co Luptacy, porwie się biedz, — dopiro go wołam — hipnął ku mnie. Pokazujem mu niedźwiedzia: idzie proci nas — dy to teli jak sałas!

— Wyjmuj lotki, bij kulkę a hybaj za wode, siądz za smrekiem a puść blisko!

Jużci on przeleciał za wode, — syćko my odbiegli, i torby, i cuhy, prasnątek i kapelus, ino flinte do jednej, ciupage do drugiej garzści — lecem! No, juz zaleciałek, późrem, nic nie widzem: Co się to mogło stać? Pozieram pilno po tyk zieleninak, widzem jego pośrzodku — pasie sie — obraca... Przypadłek poza smreka, — flinta lotkami nabita, a na wierzchu kulka w kłaku, proku nasutek dość, coby niedźwiedź nie myślał, co mu załujem. Ale, z tej gronki strzelić było ni-jako, smrek prawie zasłaniał, — a tu styrbno, takie tur-nie gładkie dó dołu. Jużci rzeke: Nie porada mnie ku tobie zejść! Toz to na grzybiecie, na łokciak zjechałek dołu, on się przykręcił bokiem — strzeliłek!

Spadł — ani nie beknął!

Wartko nabijam flintę, juze prawie kapślik nakładam — przyleci Józek i zabiadkał. — »O mocny Boze! juze on nam useł! — Dopiro mu ukazujem, ten sie porwie do niego: — Stój! — rzeke, póki ja sie nie spra-

wie, a odwiedź flinte, bo jak on jesce żywy, to myby z telo zdrowi nie wysli. Dopiro chodzem zdaleka, patrzem, a mu ta ocy mgłom zielonom zasły, ale jesce mruga, hej! Wziołek skale, bar! w niego. Sarpnął się w jeden bok i leży. Kula jakok zamierzował przesła bez serce, zaś jeden lotek był w pięcie, a drugi za usami.

No i dobrze nie bardzo. Wyjątek nóż z tórbki, toz to kiej mu nozem brzuk ozepról, on się cofa, cofa i palcami rusa.

Co tchu nakładli my ognia, — Józek wątrobe piók, ja zaś sadła nawinał na patyk — wnet naciurcało to w kapelus. Pojedli my sytno, ino soli nam chybiało — onoby jesce lepsc było ze solom. Bo, niedźwiedzie mięso je godne! Śpitwać co tchu, coby się nie zaparzyło, to ono ta bedzie dobre. Cok przyniósł kany niedźwiedzia do domu, to to chłopci wnet skiel-tujom.

Co się nie zrobiło, Józek poleciał dó domu, przy-seł z Jędrzkiem bratem i pachółkiem, — baryłe wódki przynieśli; naskwarzyłek sadła w kapelus, ale im to było niedopowiedno, i dobrze niebardzo, tu kapelusa na głowę trza, tu sadła zal — wypitek! To mnie tak wy-maściło w plucak, cok pięć roków krzypoty nijakiej nie miał.

Jak juz potem trza było iść, niedźwiedzia tego my zabrali, ale nie mogli zdoleć w pięci chłopów za-brać syćkiego — kark ostał.

Jużci idziemy. Strzelił Józek do kozy w wiecór, ale nie mogli my jej najść, ćma taka była. W nocy, kiej zamirknie cłowiek we wirchu, bieda zejść — choć kany mignie sobom.

Dopiero naśliliśmy w lesie wielgom wante i przy niej takie wykroty, co wiater powywałowiał — bardzo godne miejsce na nocnik; tamok watre nałożyli, mięsa tego nawarzyli i tam spali. Skoro 'my się zabrali, małućko namieniało świtać, juz widzem nad nami capu, co stoi!

— Pójdziemy hań!

Pošli ci z jednej strony, ja z drugiej, ale wiater źle zaduwał, jużci wyjrzem z za turnicki, cap poseł we wirchy. Juzek prawie kciał lecieć takom gronkom do góry, tu Józek krzyczy: — Niechaj to!

Dopiero co tchu lecem do niego: — Juz on tam darmo nie krzyczy! hej!

Co się nie zrobiło! Luptacy przyšli na noc do lasa, cosi trzy, cy štyry ognie kładli — sešci ik było — a my ik nie widzieli — i śniezek przepadował, krew z torby kapała: pošlakowali nas!

Józek nie bojący chłop był, zaraz: — Bij kulkę do flinty!

Byliby my to poprali na kupę! Tam nie było nijakiej wymówki!

Rzeke: — »Stój! — hybaj dó domu!« — A oni zabrali te torby z mięsem!

Tak my wtedy wyjechali!

Takie było dawniej życie w Tatrach!

Dziś to się skończyło, może na zawsze; niema ani takich ludzi, ani tyle niedźwiedzi. Tylko z opowieści Sabaly dolatuje »hruby bek« ranionego niedźwiedzia,

echa strzałów i przekleństw, które niegdyś wstrząsały ciszą skalnych pustaci; obrazy tych walk śmiertelnych ludzi z ludźmi i ze zwierzętami.

»Kany myśmy się zwidzieli, to abo ja twój, abo ty mój!«

Takie polowanie to nie jest sport, nie jest tylko zamięrowanie do strzału, — jest to czysta walka o byt, między dwoma różnymi istotami, które siebie traktują na równi.

W walce tej idzie o skórę, o wątrobę drgającą, wyprótą nożem z pod żeber, o mózg z czaszki, rozłupanej łapą, uzbrojoną pazurami.

On, to znaczy Niedźwiedź. Ten mieszkaniec hal dzikich, ciemnych lasów i głębokich kolib, gazdujący w obszarach górskich po swojemu.

»To ma swoje dogadanie i swój sposób, jako i ludzie«.

Nie sieje, nie orze, nie kosi, nie juhasi, a ma wszystko.

Na wiosnę, latem chodzi »w cuze potarganej jak dziad«, biedy jednak nie cierpi.

Jak mu potrzeba, bije owce po halach, zje jałówkę »na lotku«, żre borówki, rozmaite korzonki, ścina tłustą trawę na szałasiskach; jak mu się chce, idzie na owies do dziedziny. Z ostatniej nędzy, przed zimą, je »glony po źródłiskach, albo sywarek ka najdzie«.

Na wiosnę pasie się po koplinach, na słonku, młodą trawką. Ma on swoje upodobania i obyczaje, których się stale trzyma. Na dwa tygodnie przed Godami idzie do dziury, — w pogodę nie rad to czyni, — na zimowe leże. Obiera sobie kolibę gdzieś w niedostępnych skałach i gąszczu.

Nałamie smreczyny, układzie ją pięknie drobnemi gałązkami do środka, zaś potem naściele szywaru, mchu miękkiego, i leży; żeby miał łapę ssać — to plotka.

Zresztą jest »grzecny«, bo jest tchórz i »zdrowego nie mas co się bać, cheba, jak się postrzeli a obali, to potem skocy obces do ciebie«.

— Raz, co nie było: Matus Karpieł miał brata, małe chłopcysko z 15 roków, sam zaś był tęgi, hruby chłop, i posli na niedźwiedzie. Toz to dopadli niedźwiedzice z dwioma małemi, ale małe były młode, to zaś siednom na grzybiecie tej matki, ucepiom się pazdurami za kudły, dopiro niedźwiedzica jedzie ś nimi, jak wóz do lasa.

No, jużci Karpieł ze stućca strzelił i trafił prosto na pluca, to się przewyrćła — leży. A, to chłopcysko dopadło za nogę małego, jak to zmercało, niedźwiedzica porwie się ku Matusowi ku Karpiełowi, stanęła tak, jako człowiek, a ten ciupage miał mężnom, jużci zaciął, ale trafił toporzyskiem złamało sie i poleciało! Ta niedźwiedzica stanęła i łapę jednom tu, drugom na ramie położyła i przewyrćła go, toz to przystąpiła, a tak nad nim ozmyślowała i zemgliło jom, i zesa ś niego grzecnie, nic mu nie zrobiła, — zaś był tamok dwoisty smrek, to się weń zabiła — i zdekla, hej!

W tem właśnie nieszczęście, że nikt w Tatrach jego zdrowia nie szanuje.

Ledwie niedźwiedź odrośnie od ziemi, już nań czyhają wszyscy, ile ich jest w górach, tacy, co umieją flintę podnieść do zębów, tak z naszej, jak i z Liptowskiej strony, tak z Orawy, jako i ze Spiza. I jeszcze potem wymyślają, że jest »plugac«, »nieobitelny dzwierz«,

że nie gnieździ się i nie siedzi na miejscu, że się »ś nim trudno zwidzieć!«

Sam Sabała, w walkach, staczanych głowa na głowę, zabił trzynaście! A ileż z potarganemi kudłami, z lotkami w ciele, albo kulką, która trafiła za nisko, nie »na kumorę ku sercu, ino na bandzioch popod tę przegrodę, co jest przegroda w kazdem zwierzęciu«, — ile takich poszło »z bekiem«, konało w długich męczarniach głodu i bólu, i zginęło bez wieści!

— I tak było: Poleciałek do hał, idem i były takie wielgie kosodrzewiny, widzem idzie ś nik niedźwiedź, a taki popod łopatki biały i głowę miał białom, ale takom złotawom. Myślałek, co ku mnie pójdzie, a on poseł dołem i bez taki źlebek, zaś potem wyseł na takom gronke i stał na syćkik łapak i pozierał ku dolinie. Nie mógłek go trafić na kumorę, bo smrecek zasłaniał i wiatr tom gałązkom rusał, toz to strzeliłek ponizej na bandzioch. A on klął na syćkie styry łapy, jako stał — odesła go włada — i spadł z gronki. Ja tu pilno kciałek nabić i strzelić, ale jakiek ku niemu pełznał, zdjąłek tórbkę, bo zbercała, juźci biegam, tu sukam, nie mogę najść!

No i dobrze niebardzo: niedźwiedź wstał i poseł. Toz to ślakował go ku wodzie i on seł temi wodami, opił się jej, ślak nasełek łapy na mule. Juźci idem za nim, toz to w jednym miejscu dwa kęsy krwi zaskrzepłej leżały na mchu. No i co się nie zrobiło, ja poseł za nim dołu, a on zaś w takie wiersyki zaseł i tam zdek! Cały tydzień go sukiałek. Do dnia na smreku siedział, a pozierał ka tez hawrani na te marsine ś niego polecom. Toz to potem owcarze naleźli go potarga-

nego, — kuny, liski, hawrani ozniesły to, — zaś tam ino kudły wałały się a kości. — Hej!

Niekiedy z tej walki, prowadzonej z obu stron z zaciekłością, bez miłosierdzia i względu, wynikają epizody nadzwyczaj dramatyczne.

— Raz polowace naśli niedźwiedzice z dwioma małemi i postrzelili jom; toz to sła i kopala doły na zdeknienie, — pietnaście dołów wykopała, aze w sesnastym zdekla. A te małe jom jesce dopadły i ssały zdeknionom, aze się zapieniły. Dopiro se pomiarkowały, co ona niezywa, to zaś posły temi samemi ślakami, skąd przysły, bośmy ik ślakowali bez Polskom Tomanowom. Ale, to małe było a mądre, i one wiedziały, jak się na zimę ułożyć!

Nie obeszło się bez strat i z ludzkiej strony. Ranny niedźwiedź, nim go dobito, obalił raz pięciu chłopów, z których dwóch poszarpał na śmierć. Zwykle jednak każda wyprawa, każde spotkanie bądź z Sabałą, bądź z innym myśliwcem, kończyło się strasznym pogromem niedźwiedzi, nadybanych pojedynczo, lub wycięciem w pień całych rodzin, bez żadnej krzywdy dla strzelców, o ile naturalnie Liptacy, polujący jednocześnie na Zakopiańców, nie popróli ich lotkami, — ale i na Liptaków były sposoby: kulka i lekkie nogi.

I tylko o jednym niedźwiedziu Sabała mówi: Trzysta dyabłów zjadłeś, toś ty mędrszy, jako ja, kiejś ty potrafił wystrzelić, to ty potrafis i nabić!

Temu jedynemu udało się wyprowadzić w pole przebiegłego nieprzyjaciela, zjeść przynętę, ostawioną pięciu nabitemi i połączonemi drutem strzelbami i pójść zdrowo na borówki.

Inne ginęły niechybnie od kuli, od lotek, albo zła-

pane »do oklepca«, z którego mogły się wydostać, chyba urwawszy część łapy, uwięzionej w żelazo.

I nie ma on tej nawet pociechy, żeby mógł słuchać opowiadań Sabały o sobie, tych wspaniałych epei, w których jest jedną z najgłówniejszych osób, które jego nieszczęścia opromieniają sławą i nadzwyczajnym urokiem poezyi.

Sabała należy do ludzi, których wartość jest niezawisłą od nabytych z zewnątrz bogactw, znaczenia lub nauki; to, co stanowi jego wyższość, jego istotną wartość, leży w nim samym, w szczególnej, wyjątkowej, oryginalnej budowie jego natury. Ludzie tacy nie mierzą się poziomem swego otoczenia, można ich przeprowadzić przez wszystkie szczeble społecznej drabiny, pozostaną zawsze tem, czem są i nie roztopią się w pospolitej masie tłumu.

Biedny, napół ślepy góral, którego całym majątkiem jest dziś kozi serdak i cuha, w której rękawie zesztywniałym mieszcza się jego gęśliki; chłop, który zaledwie umie czytać i pisać, którego cała nauka leży w obserwacjach, zebranych w walce z dziką naturą i Liptakami, — ten biedny starzec byłby zwykłym dziadem, o którego »uprzątnięcie« dopominałyby się w mieście brukowe pisemka, gdyby nie jego nadzwyczajna dusza, rzucająca na jego postać i słowa światło, w którym można odnaleźć blaski, bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów.

¶ Kiedym po raz pierwszy poszedł odszukać Sabałę, było to w zimie, zastałem go w ciasnej izbie góralskiej chałupy, niańczącego wnuka, w strasznym zaduchu i gorącu, w otoczeniu siedmiorga jagniąt i pary cieląt, zi-

mujących w izbie. Chudy był i schorzały. W mroku chałupy, światło okienka przełamywało się w jego przyciemnionych oczach, czerwonym, fosforycznym blaskiem, jakim świecą oczy owiec w ciemnościach.

Uradował się z naszego przyjścia, bo Sabała lubi świat i ludzi; nie trzeba też było długo namawiać, żeby z nami poszedł. Zarzucił cухę, która zadzwięczała strunami gęśli, ukrytych w rękawie, obwiązał chorą głowę kawałkiem szmaty, wziął ciupagę i poszliśmy.

Mały wnuczek, przywiązany do dziadka, wygramolił się przez próg i dreptał za nami bosem, zsiniałymi nóżkami po śniegu. Z trudem zatrzymano go przy chałupie. Sabała mówił: — Prosem piknie, to takie miłe, dobre chłopcy! A takie śpata sprzętne, wywyrtnie, z pieca cy kany to to hipnie, jak dziki cap! Hej!

Sabała liczy dziś ośmdziesiąt sześć czy siedm lat, i więcej niż połowa jego życia wiąże się z temi czasami bytu zakopiańskich górali, kiedy oni stanowili jakieś odrębne społeczeństwo, żyjące poza stosunkami, obowiązującymi w szerokich i zewsząd dostępnych dolinach.

W tych czasach, kiedy na całej dolinie Zakopanego stał jeden las czarny, kiedy »traców nie było, tylko łupali jedle i z takich łupanic stawiali chałupy wielgie, wysokie«, kiedy nie było w Zakopanem ani kościoła, ani dróg jezdnych, w czasach tych wszystkie formy bytu były tak różne od tego, do czego jesteśmy przywykli w dolinach, że się o nich słucha, jak o bajce, że w najprostszym opowiadaniu, dotyczącem najzwyczajniejszych stron życia górali, dosłuchuje się jakichś ech z bajek, które w dzieciństwie gwarzyły niańki.

Pasterstwo, myśliwstwo, zbójnictwo są głównym

tematem opowiadań Sabały, jak były wybitnemi przejawami życia górali. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł były temi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy, z którymi należało się przedewszystkiem rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzydz z grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierząt dzikich, to się dobierało, »pożyczało« z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych baców.

Z drugiej strony, lud ten, siedząc na pograniczu, wczesnie bardzo i jasno uświadomił swoją osobowość narodową, ponieważ jego sąsiedzi po tamtej stronie, którzy też »tęgie chłopcy bywają«, nie myśleli wcale darmo oddawać ani swoich wołów, ani owiec, ani »srybła« i w halach zawrzała nienawiść plemienna, będąca, niestety, dotąd jednym z koniecznych zdaje się pierwiastków narodowego wyodrębniania się.

Otóż z tych bitew homerycznych z Liptakami, z tych polowań na niedźwiedzie, z walki z tą całą naturą górską, z dziwnych obrazów pasterskiego życia, z legend i bajek, streszczających całą umysłowość górali, — z tych wszystkich motywów silnych i dzielnych składają się opowieści Sabały.

Pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia strzelca, ciągłego czuwania z odwiedzionemi kurkami, latania po wirchach, szybkości, z jaką przebiegają wypadki, — pomimo tego wszystkiego Sabała naturę obserwował, podpatrywał, zapamiętał tajemnice jej ży-

cia, ruchu, kształtu i barwy, stąd też jego mowa jest tak silną i obrazową.

Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi, i wonna zieleń smreków, i czarne krzaki koso-drzewiny, i szum wód spienionych, — słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objaśnia, ozdabia i uplastycznia.

Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określeń jest niezrównana.

Prostota i wielka szczerłość tej mowy robi to, że wszelkie fartuszki, narzucane przez konwenans na wyrazy, wydałyby się tu śmiesznymi. Sabała nazywa wszystko po imieniu, a nigdy jednak nie zdaje się być trywialnym.

Nie mówiąc już o uroku, jaki ma sama przez się gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, gwara ta użyta przez Sabałę staje się czemś tak artystycznym, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonemi wzorami doskonałości wyrażenia ludzkiej duszy i świata zapomocą słowa.

Samo jednak słowo mu nie wystarcza. On nie tylko dobrze myśli; umie dobrze tę myśl wyrazić, on umie mówić — opowiadać; — opowiadając, żyje życiem, które wspomina. Jego nieporównanie wyrazista i ruchliwa twarz mieni się wszystkimi odcieniami uczuć i tak, jak ton głosu, ilustruje wypadki, podkreśla spokój lub grozę położenia. Sabała w opowiadaniu jest i sobą, i niedźwiedziem, i orłem, i skałą, i Liptakiem, i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się, jak orle skrzydła, nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: »Do wirchu« —

wznosząc oczy i palce ku górze — to się widzi szczyt zaobłoczny.

Sabała nigdy nie kłamie. Jego opowiadania nie są »szklarstwem«, obrachowaniem na wychwalanie i wynoszenie siebie nad innych. Nigdy nie wyciąga siebie na pierwszy plan, — on jest jednym z działaczy poematu, momentem akcji i nic więcej. Sprawiedliwość, z jaką wychwala czyny innych strzelców, pobłażanie, jakie ma dla tych, którym się nie powiodło, przytem sympatya dla młodszych, których dzielność go cieszy, usuwają z jego opowiadań to wszystko, coby je mogło uczynić natrętnymi i nudnymi.

Sabały opowiadań słucha się tak, jak się patrzy po wiele razy na dobry, niezmanierowany obraz, jak się czyta po wiele razy pieśni Homera, — z którymi mają one wiele wspólnego.

Odrzuciwszy formę wiersza, której Sabała nie używa, to wszystko, co stanowi treść życia, ten materiał, z którego są zbudowane obrazy, w jednym i drugim wypadku są te same.

Przedewszystkiem górską naturą prowadzi do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabały i u Homera jest tak podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iliady lub Odysei, jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej, oprócz »złota i srybła«, których homezydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tarzańskich tylko marzyli.

Skala uczuć, poziom etyczny, stosunek do natury są tak dalece te same, że kiedyśmy raz, siedząc w ziemie u ogniska w Roztoce, czytali Odyseję góralom, słu-

chali jej, jak opowiadań Sabały, i bawili się również dobrze, a nadewszystko sam Sabała niewymownie się cieszył z pomysłów Odyseusza.

Ponieważ to podobieństwo, między treścią opowiadań Homera i Sabały, mogłoby stanowić materiał osobnego studyum, nie chcę zajmować tu miejsca dal- szym tej sprawy rozbiorem, zaznaczę tylko, iż wartość artystyczna Sabały opowiadań, podług mnie, nie często ustępuje pieśniom Homera.

Sabała gra na małych, bardzo starodawnych gę- ślikach. Nie jestem dość muzykalnym, żeby ocenić, co to skrzywienie jego gęślików jest warte pod względem muzycznym; ludzie zamiłowani w starodawnych melo- dyach góralskich i znający się na nich, jak np. ks. Sto- larczyk albo prof. Chałubiński, twierdzą, że są one nie- porównane pod względem charakteru. Dla mnie, wido- cznem jest, iż muzyka ta stanowi jeden ze sposobów jego mówienia. Są w człowieku takie przeczucia, takie nieokreślone myśli, które tylko dźwięk bezsłowny wy- razić potrafi.

Takim wyrazem jakichś stanów psychicznych są dla Sabały dźwięki jego gęślików. Smutek, malujący się przy tej muzyce na jego twarzy, jest dziwny i przejmujący. Gdzie są wtedy jego myśli, do czego lub po- czem tęskni jego dusza, nie wiem — ale on wygląda wtedy tak, jak gdyby największy żal po czemś straconem ścisnął jego serce. Ten Sabała, który mówi, że nigdy w życiu smutnym nie był, że »smutkiem się żyć nie opłaci«, że Pan Bóg nawet, jak widzi człowieka smutnego, to »banuje, co takiego stworzył« — ten Sa- bała przy swojej muzyce wygląda tak, jak gdyby się gwałtem wstrzymywał od płaczu. Gęśliki przytem jęczą

przeraźliwie. Nagle wchodzi mały Jędrak i poprzez smutek i bolesne drgania ust Sabały przebiega jakiś weselszy uśmiech, czoło się wygładza łagodnie, gęśliki zaczynają dreptać, coś wesołego, — Sabała rozmawia muzyką z Jędrkiem, który stoi przed nim zachwycony i mruczy: »O! Sabała gła!«

Jak w tej chwili na jego twarzy, podobnież w jego charakterze, mieszczą się obok siebie rysy nadzwyczajnej łagodności, gwałtowności i groźnego zapamiętania. Sabała nigdy z »ludźmi«, to jest ze swoimi Zakopiańcami »naremny« nie był, ale biada Liptakowi, który mu stanął w drodze, albo niedźwiedziowi, na którego się zawziął! Jeżeli, jak sam mówi, pod wpływem »palenki«, która mu się we łbie paliła, tracił pamięć z gniewu, to jednak sympatya, jaką on ma wszędzie, świadczy, że rzadko chyba dał się unieść tej pasyi burzliwego temperamentu. Temperament ten można porównać do natury arabskiego konia, tak ognistego, lotnego i odważnego, który pomimo tego jest tak łagodnym i ręcznym.

Ten jego lotny i niespokojny temperament, który go niósł tak daleko, jak ciągną się Tatry, tak wysoko, jak tylko sięgną ich szczyty, i dzięki któremu znają go i w liptowskich szafasach, i na Spiżu, i na Białym i Czarnym Dunajcu, i na Orawskich zamkach, i w dolinach po Kraków, — ten temperament nadaje też jego inteligencyi wszechstronność i dziwną ruchliwość. Wielki i daleki świat go nęci, interesuje. Jemu »cliwo« bez ludzi, on »od ojców wyucony, zeby z kazdym człowiekiem, cy on zyd, luter cy katolik ugwarzyć, poradzić albo se poradzić«. Kiedy w r. 1848 kozacy dońscy stali przechodem w Dzianiszu, Sabała zaraz poleciał z nimi ugwa-

rzyć. »Grzeczne ludzie do rzeczy, jużci pili my bez cały dzień; a ten ik oficerz cy wadmistr, to zaś mówił po polsku, jako i ja, toz to pedali, co u nik świat bogaty, ludzi moc i zycie majom dobre, no, juzci wolalek uwierzyć, jako mi pedali, niżli iść pytać! Hej!

Onby teraz jeszcze do Ameryki pojechał i spróbował ośmnasto-strzałowego karabina, o którym tyle słyszał.

Sabała, tłukąc się samotnie po halach, myślał o wszystkich zagadnieniach, jakie sobie umysł ludzki stawia i na wszystkie znalazł wyjaśnienia, albo bardzo bliskie tego, co uważamy za prawdę, co przez długie wieki wogóle wystarczało ludziom; a jeżeli jego pojęcia o zjawiskach natury lub życia ludzkiego są czasem jakieś bajeczne, to ukazują się w tak poetycznej formie, że trzeba je szanować.

Przedewszystkiem umysł jego jest wyższy nad wszelkie zabobony. Z jednej strony nadzwyczajna inteligencya, z drugiej życie w ciągłych niebezpieczeństwach, w ciągłym zetknięciu się z tym światem, w którym się lęgną wszelkie zabobony, a do którego on szedł uzbrojony odwagą i trzeźwą myślą, doprowadziły go do przekonania, że to są wszystko plotki, o których stare dziady sobie rozpowiadają. On sam o tem opowiada — ale jak o bajce.

— Ja ta cekog juz nie zaznał, ka juz nie był, a nigdzie nigdy nikany, takik figłów, duków nie widział!

Jak Homer, niezależnie od wartości artystycznej, od tej przyjemności, jaką sprawia umysłowi ludzkiemu sztuka, ułatwiając powstawanie w nim obrazów i wyobrażeń, ma wartość świadectwa pewnej epoki rozwoju

ludzkości, historycznego dokumentu, — podobnież opowiadania Sabały streszczają w sobie pojęcia, wierzenia i ustrój życiowy pewnego społeczeństwa, które przechodzi już do przeszłości i które pomimo małych granic przestrzennych, na których się rozwijało, przedstawia jednak nadzwyczajny i wielostronny interes dla badaczy.

* * *

Jedną z charakterystycznych cech dawnego społeczeństwa góralskiego w Tatrach było to, że, chociaż na swój sposób religijne, nie należało ono właściwie do żadnego wyznania, w stosunku zaś do panującego w kraju zachowywało się sceptycznie, a niekiedy nawet z pogardą.

Bez naciągania powiedzieć można, że górale zostali katolikami dopiero od czasów działalności księdza Stolarczyka. Wprawdzie nosili i dawniej dzieci do chrztu do Czarnego Dunajca, ale i o tym obrządku mówili z pewnem lekceważeniem. Ze wszystkich przepisów katolicyzmu zachowywali jedynie post z nadzwyczajną ścisłością, — co tem łatwiejszem było, iż ubóstwo, niedostatek ułatwiały im stosowanie się do najsurowszych w tym względzie wymagań. Wstrzemięźliwość górali jest przysłowiową. Warunki bytu, działając ciągle z jednaką siłą, doprowadziły w końcu do tego, że w ich naturze, w temperamentie leży dziś ta zdolność istnienia, wykazywania wielkiej energii przy niesłuchaniu małym posiłku. Żyją oni powietrzem, wodą i głodem. Bez wielkiego więc umartwienia mogli złożyć na ofiarę

pobożności swoją wstrzeźliwość: — pościli i tem się kwitowali z wymagań religii.

Jeżeli tam nawet, gdzie duchowieństwo było w dostatecznej liczbie do ciągłego czuwania nad pojęciami religijnymi ludu, jeżeli tam nawet zachował on do dziś dnia mnóstwo wierzeń i obyczajów, tak dalekich od katolicyzmu, tem bardziej w tym niedostępnym zakątku mogło się przechować lub potworzyć wiele, nader ciekawych odrębności w tej rzeczy.

Naturalnie, jak wszędzie, tak i tu, ta niezależność religijna rozmaicie była tłómaczoną, odpowiednio do osobistych przymiotów jednostki. Gdzie ciemny i dziki góral widział tylko w braku religii rozpętanie sumienia, tam umysł wyższy szukał swobodnego wytłómaczenia i wyjaśnienia swego stosunku do nieznaney mu Wszechmocy.

— Niejeden nie wie, cy go Bóg stworzył krowom cy niedźwiedzim, on myśli, co tak skapie, jako i dźwierz! Nie wierz, ty człowieku! Kiej Bóg przenajświętszy zmartwychstał, to i my możemy zmartwychwstać.

— Majestat boży granicy nie ma nijakiej, a tego cłek wypowiedzieć nie może.

— Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mas.

— Ociec Stary, pierw niżli świat stworzył, wiedział, jako na nim będzie.

— I co sie ja dyabła mam bać! Kie Bóg przenajświętszy za mnie cierpiał, to tobie odemnie zasię!

— W Pana Boga wierz, ale Mu nie wierz.

Oto jest kilka zdań Sabały, z których niejedno jest w zupełnej sprzeczności z tem, co mógł usłyszeć

w Czarnym Dunajcu, Chochołowie lub Zakopanem, a świadczących w każdym razie, że pojęcia religijne nie były przyjmowane jako martwe formułki, tylko stawały się żywą myślą, pobudką dla umysłu do pracy nad wyjaśnieniem ciemnych lub sprzecznych zasad.

Sam obrządek zdawał się góralom całkiem podrzędnym. »Ociec Stary« stał ponad wszystkimi praktykami zewnętrznymi.

— He! zaś to i wypowiada się cłek, ale tem nie wypłaci, cheba trza będzie tam odpowiadać, kie spytajom.

— Mnie ta, cy pod Krzywaniem, cy w Zakopanem na cmentarzu lezeć, to jedna rzecz. Niechaj ciało leży, jako kce, a dusa idzie, jako kce. Pan Bóg ta ma ocy, to mnie i pod Krzywaniem najdzie, kiej mu bedem potrzebny.

— Ja zaśby nie zycyl, ino z kozami we wirchach lezeć.

Bigoterya nie ma między góralami uznania, a jakkolwiek zapał jednego księdza zdołał wytworzyć między kobietami podhalskimi rodzaj sekty, zwanej od ludu Sizinarkami, działało się to nie w Zakopanem, i stało się tylko pobudką do szyderstwa.

— Jaby się hańbił telo Panu Bogu naprzykrzać!

— Racejbyś do lasu seł paciorek se zmówić, niżli teli cas w kościele siedzieć.

— Ja zaś wole przy pniaku, w lesie se pomodlić.

— Kciały (dewotki) mnie odrazu do nieba po drabinie wegnać, ale ja zaś nie rad tak bardzo Panu Bogu schlebiam. Mnie ta to niebo nie pilno było.

Samo niebo zresztą ukazywało się im inne w treści i formie.

— Niejeden człowiek myśli: Kiej się do nieba dostanie, jużci będzie królem. Hej! Ja tam nie potrzebuję królem, niekby mi ino te cielęta (kozice) dali paść, cobyk se przy niedzieli puknął!

Otóż między tych ludzi, z których jedni z niezwykłym sceptycyzmem patrzyli na religię, inni zaś nie wiedzieli, czy ich Bóg stworzył niedźwiedziem czy człowiekiem, przyszedł raz młody ksiądz i zabrał się do naprawy ich pojęć i zbudowania ścian drewnianego kościołka.

Przyjęto go tak, jak mogli przyjąć ludzie, którzy o księżach mieli jak najgorsze wyobrażenie.

— Przeżre świat i boskom tajemność, a dziorniki som nawiękse, nagorse.

— A nad tyk księzów pono twardszych ludzi niemas.

— Te księze pieniądze to takim psim pukem wyńdzie, a nie użyje tego cheba ten, co nie warce.

Te i tym podobne zdania obowiązywały w owym czasie między Zakopiancami. Ksiądz ze swoją sutanną, komżą, był dziwowskiem dla starszych, postrachem dla dzieci.

— Matulu! wyżeńze te bezere do pola! — wołało dziecko, widząc księdza, wchodzącego po kołędzie do chałupy.

Kiedy z wielkim trudem, często własnymi rękami dźwigając belki, postawił ksiądz wreszcie kościółek, nowi parafianie przyglądali się temu z szyderstwem i pogardą, a zapalając fajki o świece i lampki święcone, szli w hale paść owce, walczyć z niedźwiedziami, kopać rudę w Kościeliskach, uganiać się za dziwkim capem, lub »grzebsć« świstaki, w których sadle wi-

dzieli daleko więcej mocy tajemniczej, niż w mszachu i koronkach.

Ale ksiądz Stolarczyk miał wiele przymiotów, którymi mógł swemu ludowi zaimponować. Przedewszystkiem dla tych ludzi, którzy jak bohaterowie Homera mają cześć nadzwyczajną dla siły, dobrej budowy ciała, nóg lekkich i odwagi, ksiądz potężnego wzrostu, odważny, chodzący po górach narówni z najtęższymi kozia rzami, miał z pozoru, z pierwszego spojrzenia już pewien urok. W dodatku odznaczał się wielką inteligencją, zręcznością życiową, łatwością w poznaniu i wyzyskiwaniu na rzecz swoich celów właściwości góralskiego charakteru. Kiedy nie było innego sposobu zapędzenia krnąbrnej owczarni do kościoła, proboszcz brał ich na lep ich własnej chciwości, dając małe pożyczki pieniężne lub podarunki za przyjście do spowiedzi, wysłuchanie mszy i kazania. Te kazania stanowiły i stanowią największą siłę przyciągającą i przekonywającą, jaką proboszcz się posługiwał w swojej pracy. Jego nadzwyczajna wymowa, tak jędrna, obrazowa, ścisła i dobitna, jak zresztą wogóle mowa górali, oddziaływała silnie na lud. Pierwsze oczywiście nawróciły się kobiety; za niemi poszli gazdowie i dzicz juhaska i baczowska. Nie wszyscy jednak, — dziś jeszcze są tacy, którzy w kościele nie bywają, którzy szydzą ze swoich bab, wracających z kościoła, pytając: ile papierków dostały od proboszcza? Inni, zachowując niektóre szczegóły obrządku, nie przestają wyrażać się o tem ze sceptycyzmem, często bardzo krańcowym.

Ambona, przy sposobie mówienia ks. Stolarczyka, stała się dźwignią opinii, wywoływała uświadamianie się, wyodrębnianie się pierwiastków lepszych. Publi-

kując po imieniu tych, którzy postępowali wbrew etyce, przykrojonej nawet do miary niewielkich wymagań, ksiądz wydobywał na wierzch lepsze jednostki, głaszcząc z jednej strony drażliwą miłość własną górali, z drugiej okrywając hańbą tych, którzy ciągle woleli świstacze sadło i wyzieranie z poza buczka.

Naturalnie, wszystko to się robiło bez gorączki, z uwzględnieniem możliwości i z wielką tolerancją w stosunkach życiowych.

Trudno już dziś wystawić sobie, jako coś istniejącego w rzeczywistości, to Zakopane, jakim było przed laty pięćdziesięciu; dziś wydaje się to legendą, bajką. Musi być jednak w tem prawda, skoro nikt inaczey o tych czasach nie mówi.

Jednym z tych bajecznych dziś epizodów, bardzo jednak naturalnym w ówczesnych warunkach bytu Zakopianców, jest stosunek księdza Stolarczyka do ostatniego zbójnika zakopiańskiego — do Matei.

— Wojtek (Mateja) rad go widział, księdza kanonika!

Tymczasem rozeszła się pogłoska, że Mateja ma odwiedzić komorę księdza plebana. Zaniepokojony, udał się do jednego z takich, którzy się z Mateją znali i towarzyszyli się, — do Sabaly — i radził się: co tu robić? czy może kraty do okien wstawić? albo wyjechać do Krakowa?

— Jużci, rzeke, prosem ik piknie, kraty som nicem! Kiej Wojtek bedzie kciał weńśc, to i bez kratę weńdzie; a bez te przycynę, co się weźmie kawałek płótna, umaca się we wodzie, uwiąze się u kraty, kij sie włoży, zaś potem kręcić, toz to kraty ze słupami razem do pola wyjadom! A kiej fryśny chłop, to odrazu

hipnie bez okno na szrodek izby. To ta nic nie płaci ku Matejowi! Cheba, kiej majom srybło kany albo dudki, niekze to ozdzielom, a w trzok albo kielo miejscak pochowajom, to zaś jakby jedno mieli wzionć, coby drugie ostało!

Pleban usłuchał tej mądrej rady, ale nie miał spokoju. Więc poszedł po pod regle »drogom, ka chadzał Wojtek, cy go nie spotka; jużci kciał ś nim ugwarzyć skrony tego intarasu«.

Spotkał.

— Dzień dobry Wojtusi! Cóz ta słychno?

Mateja równie grzecznie i z uszanowaniem powitał jegomościa, który zaczął mu przekładać, że nic nie ma.

— Co ta u mnie najdziecie! Wiecie, co trzy papierki dadzą, to zaś pięć wezmą! — że jeżeli co jest, to dudki kościelne...

Dość, że skruszony Wojtek dał słowo, iż nie ruszy kuferków plebana.

— Toz to potem ksiądz bił z ambony na zbójników, ale Mateje nie publikował!

Jestże coś oryginalniejszego nad tę polemikę z ambony, między proboszczem a zbójnikiem, z zachowaniem incognito tego ostatniego?

Tak czy owak, działalność księdza Stolarczyka nie przeszła bez śladu; założyła ona podwaliny porządku społecznego, ociosała etyczne pojęcia górali, zgruba, ogólnie, gdyż, jak mówi w swoim pysznym stylu pleban zakopiański: — »Duch ludzki nie da się złamać, jak kij, na kolanie«, — i dziś, po pięćdziesięciu przeszło leciech, znajduje on, że rezultat jego pracy jest znacznie mniejszy, niż się spodziewał.

Ksiądz Stolarczyk jest jedną z tych postaci góralskich, których imię jest dobrze znane w całym kraju. Oprócz wielu innych przyczyn, na tę popularność składa się i to, że wybitniejsi ludzie w tem góralskiem społeczeństwie odznaczają się nadzwyczajną indywidualnością, charakterem bardzo zdecydowanym, ujawniającym się tak, jak i otaczająca ich natura, w formach wielkich, wyrazistych, uderzających.

Ks. Stolarczyk raz tylko wyjechał z Zakopanego — ale dobrze. Przez Rzym, Egipt, Palestynę — wrócił do swoich gór i od tego czasu krokiem się stąd nie ruszył.

Arabów, którzy go chcieli prowadzić na piramidę, odprawił i poszedł sam: — »Ja ta zwyczajny gór! Mnie pomagać nie trzeba«.

W Jerozolimie, »choć to miejsce święte i dla księdza przyjemne«, porwała go taka tęsknota do Tatr, że skrócił swoją podróż i co najprędzej wracał do Zakopanego.

W chwili, kiedy fala nowego życia, nowych ludzi uderzyła o ściany gór, ksiądz Stolarczyk był w pełni swojej władzy nad góralami. Był on tam takim starożytnym królem-kapłanem, teokratą, którego władzy i wpływów nie mąciła żadna inna siła, oprócz siły dzielnego temperamentu jego ludu.

Z chwilą przyjscia nowych żywiołów, stosunki zaczęły się zmieniać; zmieniały się pojęcia i kształty bytu góralskiego ludu. Obok księdza zjawili się inni ludzie, bardzo wpływowi, bardzo popularni. Przyływ i odpływ gości wprowadza pewne zamieszanie, pozostawia jako osad oprócz pieniędzy, trochę nowych pojęć i potrzeb. W murze, który oddzielał górali od reszty świata, wy-

bito wiele okien; na straży sumienia, obok kościoła, stanęli żandarmi z koguciami piórami na kapeluszach i kajdankami w kieszeni. Te wszystkie zmiany wywoływały nieraz w plebanie zwątpienie i pesymizm, pod których wpływem miał nawet opuścić Zakopane. Posłał więc żyda na Węgry, żeby co upatrzył. Nim jednak ten wrócił, ksiądz się rozmyślił i został.

Ksiądz Stolarczyk z Wojtkiem Rojem, pierwsi z Polaków weszli na Gerlach. Kiedy roztkliwiony własną sytuacją filister, wyszedłszy na jaką turniczkę, woła; »Bliżej Boga, dalej ludzi!« jest to śmieszne; kiedy jednak ksiądz Stolarczyk ze swymi Symciami i Wojtkami zwalczył »Garłucha« i na jego szczycie padł na kolana i zaśpiewał *Te Deum*; wygląda to poważnie, — jest w tem głęboka szczerłość, radość z dokonania wielkiego czynu i cześć dla potężnych objawów natury.

Naturę górską ks. Stolarczyk czci głęboko, zna ją i obserwuje wybornie; nadewszystko, co jest rzadkiem wogóle, doskonale pamięta barwy tego tak kolorystycznego zakątka ziemi.

Kiedy już wszyscy goście wyjadą z Zakopanego, a w cichych halach zrzadka się pojawia kierdel owiec, wygnanych na jesieniowisko, wtedy ks. Stolarczyk wybiera się zwykle w góry, koczuje w pustem schronisku u Morskiego Oka po dni kilka, po tygodniu, jak służy pogoda, żyje z Tatrami w jednej z najpiękniejszych chwil ich życia, którą tak rzadko widują uciekający przed jesienią do miasta turyści.

* * *

Zbójnika trzeba odróżnić od rozbójnika i złodzieja. Ci ostatni są zwykli rabusie, kradnący pieniądze, owce, mordujący ludzi dla rozboju, podli i wyzuci ze wszelkich dodatnich przymiotów.

Tymczasem zbójnik jest bohaterem, wcielającym w sobie najpiękniejsze przymioty rycerstwa; jest zbuntowanym przeciw sile junakiem, dla którego mord jest wstrętnym, którego się on dopuszcza tylko z ostatniej konieczności — w obronie życia. Jest on wspaniałomyślny, silny, mężny, hulaka i wierny towarzysz. Pieniądze, zdobyte na bogaczach, rozdaje ubogim i nigdy biedaków nie napastuje. Cnota ta, tak łatwa do praktykowania w stosunku do ludzi, z których nic się nie da zedrzeć, poczytywaną jest jednak za wielki przymiot tak dobrze Rinaldiniemu, Janosikowi, jak i Matei.

Zbójnicy odznaczeni się zamiłowaniem w zbytku, w bogatej odzieży; oni to wprowadzali do życia dzikich pasterzy wykwinniejsze potrzeby i zamiłowanie piękna w domowym otoczeniu. Był czas, kiedy wszelkie cyfrowania na portkach, wszelkie sprzączki i ozdoby pasów i kapeluszy uważane były za oznaki zbójnictwa, i gazda, który nie chciał synów na zbój puścić, surowo zabraniał im tej elegancyi w stroju. Według podania, serdaki wyszywane, w których dziś wszyscy chodzimy, pierwszy raz do Zakopanego sprowadził zbójnik Mateja dla swojej żony Kacki. Więc też kobiety przepadały za zbójnikami i w ich życiu miawały często wielkie znaczenie, — stanowiły o ich losie.

»Który się bab trzymał, ten niedługo zbójował«; ponieważ bądź chodząc na schadzki wpadał w ręce hajduków, bądź też był zdradzany i wydawany przez kochankę.

Banda zbójcka nazywa się towarzystwem albo familią, — jest rodzajem sprzysiężenia, rządzącego się, pod dowództwem harnasia, zasadami komunistycznymi. Zdobyć całą uważa się za pieniądze towarzyskie, skarb zaprzysiężony, zaklęty, którego bez porozumienia się ze wszystkimi nie można bezkarnie ruszyć.

»Suhy Jaś, Jędrak Cajka i Stolica z Bystrego chadzali po zbójcu wraz. I, co się nie zrobiło, Suhy zabrał te pieniądze zaprzysiężone, zakopał to pod jedliczkę, — jużci owcarze watre tamok zapalili i te pieniądze się spaliły. Naseł to jeden juhas: — pójdź z tem do Zyda. Zyd kupił odymionom bryłę, zaciął, a tu śrybło jasne! Zaś Suhy, jako tej przysięgi nie dotrzymał — oślepił! Toz to siedzi przed chałupom ślepy, a Stolica rzece: — »Siedzis, Jasiu? No to se siedź, kiej ci pieniądze milse, niżli ocy, to se siedź!«

W pieniądzach tych leżała dziwna moc zemsty, za złamanie wierności towarzyszom: — zawsze źle kończył ten, kto się na nie zlakomił. Oczywiście rzecz, że nikt inny, tylko ci sami towarzysze byli mścicielami tajemniczymi. Lecz wyobraźnia ludu, który o tych strasznych skarbach marzył, otoczyła je urokiem legendy, postrachem zemsty sił niewidzialnych.

Do dziś dnia jeszcze nie dają one spokoju, pragnącym przyjść do dudka juhasom i gazdom; dziś jeszcze szukają oni skarbów, których strzegą duchy zbójników, pomęczonych na orawskich szubienicach, w lochach kubińskiego zamku lub wiśnickiej turmy.

Niepokonany czar bił od tego swobodnego, pełnego niebezpieczeństw życia, i ciągnął wszystkich honornych chłopów ze spokojnej zagrody w dziedzinie,

do awanturniczych czynów i strasznej śmierci na haku. Wieszano ich za »pośrednie ziobro«, zostawiając na pastwę długiego konania.

— »Ale, na subienicy wisieć to ta honorna rzecz! Bo tam dziadów nie wieszajom, ino chłopca! Tam dziada nie wołajom, ino co natęższy chłop to musi wisieć!«

Tak streszcza Sabała ten urok, którym otoczona jest cała legenda tatrzańskich zbójników.

W jednej z pieśni, śpiewanych przez Sabałę, zbójnik Jaśko z Brzeziawicki, patrząc na szubienice, stojące na orawskim zamku, mówi:

Oj kiebyk se wiedział, na którejbyk wisieć miał,
Od spodku do wirchu powybijająbyk jom dał.
Ej od spodku talarkami, a do wirchu dukatami,
A na wirchu złatu kawku, tam położu moju gławku!

Ten zamek orawski, jak w życiu tak i w pieśni, jest ciągle w Tatrach wspominany. Poezya ludowa mówi często o tęskniących za jego kratami zbójnikami:

Z orawskiego zamku chłopcy pozierajom,
Cy się popod Tatry bucki ozwijajom!

Za czasów młodości Sabały zbójnictwo było bardzo zwykłym objawem, i w przekonaniu górali nie hańbiło nikogo.

Sam Sabała, zapytany: dlaczego nie został zbójnikiem? odpowiedział: — »Luto mi beło baby i dzieciaków«, — i zastrzegł się, że bynajmniej nie dlatego, żeby w tem było coś niegodnego, lub żeby on sam nie miał dosyć przymiotów honornego chłopca.

W jego opowiadaniach przesuwa się cały szereg pysznych postaci i towarzyszt zbójnickich. Legendowy Janosik, będący dla całego ludu, zamieszkującego podnóża tatrzańskie po obudwóch stronach, wcieleniem najpiękniejszych jego marzeń; wspaniała postać Tatarskiego Myśliwca, zapamiętały i krwawy Marduła, Mateja, ostatni z honornych, odżywają w tej opowieści takimi, jakimi byli, lub jakimi ich uczyniła wyobraźnia ludu, widzącego w nich uosobienie swobody i bohaterstwa.

Im w dalsze czasy sięga legenda, tem mniej jest w niej rzeczywistości. Postacie zbójników, ich czyny, wszystko potężnieje; przybiera fantastyczną, olbrzymią postać, i niesie się ponad wirchami w złocie, »sryble« i czerwieni.

Oj Janosik, Janosik, gdzieś podział pałasik?

— W tej wysokiej horze, zacięty w jaworze, —

śpiewają nasi Zakopiańcy, a z drugiej strony wtórują im tęskno Trencziniacy:

Oj Janosik, Janosik, hde je twój pałasik?

— W tej wisokiej hore, zacaty w jawore!

I opowiadają sobie pocichu, jak Janosik chciał się uczyć w szkole, jak mu tego zabroniono, a kiedy nie usłuchał, »przyłożono jemu i jego ojcu po sto kijów«, jak ojciec umarł, a Janosik, który był tak silny, że mając lat ośm podnosił chałupę i chował pod nią na psotę kapelusze towarzyszy, wytrzymał chłostę, ale na złość został zbójnikiem; jak po dziś dzień Luptacy muszą płacić cysarzowi po sto par wołów za to, że Janosika powiesili.

W legendzie tej musi się wyrażać duch niezależności Słowaków, pokonanych i ujarzmionych przez Madziarów. Więc też rząd węgierski prześladował w sposób okrutny, wszelkie o Janosiku wspomnienia. Za obrazy na szkłe, wystawiające jego bandę, za śpiewanie o nim pieśni bito kijami i sadzano do lochu, wskutek czego Trenczyniacy i Luptacy bardzo niechętnie dziś o tem mówią, i to chyba młodzi, którzy nie pamiętają czasów represyi.

Nad wygubieniem tradycyi zbójnickiej między Zakopiańcami pracował ks. Stolarczyk, a chociaż przy pasterskiej watrze i po chałupach mówią jeszcze o zbójnikach i śpiewają, rzadko jednak można już spotkać zbójnickie obrazy, dawniej konieczną ozdobę chałupy.

— O! te to z wielkiej familii! — mówi Sabała, przyglądając się dziwnemu malowidłu; a potem pokazuje: — Ten w cerwonyk portkak Janosik, to Gajdoś, Ilcyk, Miśko Hercyk, tego nie wiem, a na zadku Baczyński.

Ten Baczyński musiał być polskim szlachcicem, zbłąkanym między familią tatrzańską. Na innym obrazie, bardzo dziś rzadkim, widać Baczyńskiego w polskim stroju, obok Janosika, ubranego po góralsku, zbójnicku.

Legenda o Janosiku, żyjąca w opowieści ustnej, ulega ciągle rozmaitym przemianom. Inaczej opowiadają ją po polskiej stronie Tatr, inaczej po węgierskiej; każdy zresztą opowiadacz, zachowując główne fakty, resztę, w miarę swej fantazyi i zdolności, rozwija i przeobraża.

— Jakozby miał ostać zbójnikiem? Z młodości ino na piecu leżał i wylegiwał się na tym piecu i cią-

gle ozmyślował, coby zaś miał na świecie konać. Ale, to silne było chłopcysko, to zaś tam jakiegoś wołu chowali — Janosikowi było ośm roków i wołowi ośm, to go brał i nosił przed sobom. I dobrze niebardzo, poseł ociec na jarmark woły sprzedawać, a tymczasem Janosik se uradził spróbować, jakąsby on miał siłę. Ten ociec woły sprzedał, idzie z jarmarku, a Janosik idzie na proci i zastąpił go, pieniądze odebrał i poleciał przed ojcem i na piecu łóg. Przyńdzie ociec dó domu: »No, sprzedaliście woły?« — Juźci ociec ozpowiada, jako zbój go zastąpił i pieniądze wzion.

— I jakiz on był? Cy był telo co ja?

— I, co ty smarkacu stois proci niego!

Skoro zaś tak uzartował, oddał mu te pieniądze i poseł chodzić po halak. Zaseł do Ilcyka, — owcarzował tamok na sałasie, — ale ten nie kciał ś nim towarzyszyć, do trzok razy nie dał mu pokoju — musiał iść ś nim. Juźci zebrał towarzystwo, było ik pięci, zaś Janosik i Bacyński, to juz ci jako w równi z sobom byli — Janosik piersy harnaś, zaś Bacyński drugi.

Jak sie uzdobierali jeden do drugiego, tak potem śli na pieniądze. Janosik wiedział takie dowody, — zaślepić se wiedział, choć kany przyseł, to go nie widzieli; kiej nosił ciupagę, to ta ciupaga sama sie rąbała za nim, kiej go łapali.

Dopiero śli w Polskom, złota, srybła było beckami, to takie pieniądze on brał i chował. Ale to wtedy świat był nie taki, jako dzisiok — lasy były wielgie, kiejś seł, to tylko do nieba co widać było. Hej! Ale, oni, mieli takom wódke pacholskom, co jak nogę popod kolana posmarował, a wypił niemoc, to go więcej nosiła w powietrzu, niżli on sam seł. Tej wódki teraz

niemas, bo ta wódka z grzekem była, to Ojciec święty zakazał to w Rzymie.

A ludziom (t. j. chłopom) nie robili nic. Cheba furman bogaty, pan, albo kase cysarskom wzieni — to takie rzeczy brał!

Studenci, kiej śli do Węgier, dó domu, to on im naryktował sukna, a poodmierzował od bucka do bucka. He, on biednyk ludzi nie napastował, ino prędzej zratował!

Była pod Wiedniem karcyma, to samej cysarzowej odpisał, coby przysła, przyniósł złotom kurę i dwańście jajek, to przysła i tańczyła ś nimi haniok bez całom noc. Hej!

Zaś kiej im cego chybiało, cy sukna, cy jakiego sprzętu, to śli do Krakowa, przyśli cosi o zmroku, on kupuje i kupuje wsędy, to jedni śli za nim, a drudzy do woza nosili, a potem pojechali.

On, co naznosił pieniędzy z Polski, to som pochowane pokłady, i on to ofiarował młodemu królowi na ratunek.

I jedna stara baba mu przykazała tak: »Dotela be-dzies chodził, pokiel z cteka krwie nie wypuścis«.

Jużci, beł ś nimi student, i raz co sie nie zrobiło: klęknął se Janosik pod smreckiem paciorek zmówić, a to plugastwo strzeliło do niego z flinty, raz i drugi, ale Janosik sie modli i nie obziera, bo go sie kule nie imaly, dopiero ten strzeli trzeci raz, Janosik paciorek zmówił, porwie sie i zabił tego studenta.

No i dobrze niebardzo, — toz to potem Luptacy zjednali jego frajerke, i ona go zdradziła. Jużci zajeli go, subienice wystawili i mieli wiesać. Ale on odpisał do cysarza, co on sam stanie za jeden regiment wojska,

zaś drugi zapłaci ze swoik pieniędzy. I cysarz odpisał pismo, coby go popuścili, ale zakiel to pismo przysło, Luptacy Janosika powiesili; toz to wisiał, a fajkę palił i funt habryki wykurzył, zacem umarł. Zaś Luptacy, jako go powiesili, płacom cysarzowi i dzisiok za dwa regimenty pieniądze. Hej!

Taka jest w najkrótszem streszczeniu opowieść o Janosiku. Uderza w niej doskonała psychologia człowieka, który się urodził z duszą wyższą nad sferę, w której mu żyć przychodzi. Leży i rozmyśla, co robić na świecie? bo dla jego sił i temperamentu za duszno w biednym i ciasnym świątku góralskiego gazdowstwa. A kiedy dzięki swym nadzwyczajnym przymiotom, łamie wszystkie społeczne zapory i obcuje z najmożliwszymi i najpotężniejszymi na ziemi, wtedy wyobraźnia ludu nie widzi innego sposobu na wytłómaczenie tego zjawiska, prócz pomocy sił tajemniczych, niezbadanych, wszechmocnych potęg. We wszystkim, cokolwiek o Janosiku się mówi, wygląda on zawsze, jako rycerz nieustraszony, dobry i prawy człowiek, który nikomu krzywdy nie chciał zrobić, który nawet te »becki złota i śrybła«, jakie złupił u możnych, albo rozdał ubogim, albo też ofiarował królowi. Jeżeli są w jego życiu czyny okrutne, to jedynie w chęci ukarania ludzkiej przewrotności i chciwości zostały spełnione. Słowem, legenda o Janosiku, poza zabieraniem pańskich bogactw i kas cysarskich, pełna jest wysoce szlachetnego pierwiastku. Jest on skryształizowaniem marzeń chłopów o wymierzeniu im sprawiedliwości. Jak zawsze w takich razach, władza najwyższa jest po stronie ludu, i Janosik, rabując panów, obdziela zdobyczą »ludzi«, t. j. chłopów

i znajduje posłuch u cysarza, który dotąd karze sprawców jego śmierci.

Więc też dopóki w życiu górali nie zmieni się wszystko od góry do dołu, dopóki natura górską będzie ich miała w swej mocy i bytowi ich będzie nadawała te szczególne, samoistne kształty, dopóty legenda o Janosiku będzie żywą, będzie zapalała ich wyobraźnię, a chociaż nie wywoła nikogo »za Tatry«, na zbój, zawsze jednak będzie szczepiła popęd do czynów dzielnych i śmiałych.

Innym typem jest Tatar Myśliwiec. Jego dziwne przygody datują z bliższych nam czasów; niema w nich nic bajecznego, nadprzyrodzonego. Jednak to życie rzeczywiste, na tle rzeczywistego otoczenia, jest jednym z uderzających objawów form bytu, które już bezpowrotnie zniknęły.

— Co się nie zrobiło: — Tatar Myśliwiec dezenterował z wojska, kiej na francuskom wojne brali. Wojny strasne były, moc ludzi wyginena, to zaś sie bali a dezenterowali, ka ftóry móg; jużci Tatar uciok w hale i zył tam cosi z pięćdziesiąt lat. Mieskał po lasak, po kolibak, kradł barany, jarzec, co kany naseł i znosił to na zimę. W orawskik górak jest tamok taka turnia — Kuhnia, miał w niej takom dziurę, do słonka. Hej! toz to naniósł tam wągli, bo ognia nie śmiał palić, a kłosków jarcowych i pięć cy ośm baranów, porzezał i to mieso zakopał. I ten jarzec uwarzył, potem susył, zaś jak mu trza było, to utarł na takiej skrzyzalce, a stuckę baraniny w to włożył, i tak sie bez zimę zywił — hej!

Zaś te skórki z baranów jedne se upościerał, dru-

giemi sie okrył, — to juz miał godnie sypiać, a i ciepło — hej!

Jużci, kielo razy łapali go Orawcy! Raz co nie było: dopadli go przy frajerce, leśnicy Pietras i pięćdziesięci chłopów. On chycił nóż i byłby te dziewczkę, co przy nim była, zabił, bo on zara wiedział, co ona go zdradziła, ale ta sie pod łózko stulała — hej!

I dobrze niebardzo: ci chłopci zerdkami bez powałę, bez okna go kłóli, pas na nim potargali, zaś ten Pietras miał takom spadę w kij, hej! na trzy kanty do kłócia, i rzece:

— Zaraz ja cie tu dostanę! — ino bezedźwirz sie posunał, Myśliwiec zaciął ciupagom, wnet mu nos całkiem odwalił, co ino na skórcie wisiał, a krew ś niego chlupała.. Jużci ci chłopci z drągami pod oknem stali, a Myśliwiec prasnął bez okno guńkę takom carnom, ci myśleli, co to on, a on tymcasem hipnął po tyk drągak i hybaj! Uciok!

Ale, przecie raz pojмали go i w zamku orawskim zamknęli. No, dobrze: gacie miał i portki nowe, jużci pokrajał to na pasy i spuścił sie ku wodzie z towarzyssem. Ale tyk portek do dołu nie starcyło, to juz se cuhe rozpostarł, a na niej, jak na skrzydłak, na wodę upad, i teloś go widział!

Zaś kiej w Kubinie siedział, siedzieli ś nim zbójnicy — hej! — zbójnicy siedzieli, jużci był Harnaś i rzece Myśliwcowi: — »Zratuj ty nas z tela, a bedem ci wdzięcny telo, co do trzeciego pokolenia bedzies bogaty«. — No i dobrze: siedział ś nimi Cygan, i pozwalali go do miasta świnie, przepytujem, sprawić, i Myśliwiec kazał mu dwa noze kupić wąskie i oliwy, coby kratę mógł ozpiłować. Jużci Cygan noze kupił i oliwy

u Zyda uprosił; toz to potem Myśliwiec wywiódł ik tym sposobem, co jednego wziął na sobie i seł taki wysoki — hej! A straz myślała co duk, i nie śmiała zacepić — uciekli syćka. Ino jednego hajducy złapali, to on juz za syćkik kije musiał brać. Bo wtedy kto siedział w areście, to po sto kijów na raz, a pięć dwadzieści na kwartał bili. A ten kaştelan co ik kciał bić, telo sie zhańbił, co se strzelił do siebie z dubeltówki i zabił sie, — aze mózgiem ściany obryzgał.

Juźci, kiej uciok Myśliwiec z Kubina, to ino w portkak a w kosuli; toz to przyleciał na hale i tamok juhas owce paśł, to nań skocył, a kapelus, cuhę odebrał i poseł, ka mu trza było.

Kie go raz łapali, trzok Orawców uwisło mu we włosak, jak ciągnom i ciągnom, on zaś miał taki śpicek na ciupadze, juźci kole jednego pod ziobro, ten skrzyknął i padł, a tamci zaraz popuścili i on uciok do hał.

Ale go i tak raz wzieni, co bez ulice chodzić musiał, — wtedy to bez takie ulice się chodziło, co cie z dwók stron prętami bili — hej! — toz to seść ulic chodził, a przecie wyżył, i znowu zimował.

I to była niewielka chłopina, ale tu w sobie tęgi, i bardzo zajadliwe a wartkie!

Miał towarzysy, juźci zimowali to w Muraniu, to w Osobitej, to jak im w Muraniu chybiało, to zaś pošli pozycyc w Osobitej, hej! Pozycali z kotlika, z tyk towarzyskik pieniędzy, ale zaś takie pieniądze musom dośuć, kiej im Bóg nagodzi latem.

Raz co nie było: dopadli go Orawcy na zwyzce, i kiej hipnął dołu co go łapali, toz to widłami nogę mu przebili, he! kielo razy pokazował mi te kwiatki.

Zaś jedni go łapali, a drudzy go tez sanowali.

Pani tacy z Orawy, co im dzwierzynę nosił, to go zaś radzi widzieli i nie stali mu na zdradzie.

A i bacowie tamok w Orawie tez go radzi widzieli i dość go zratowali. Polany płaciły po dwadzieścia papierków za niedźwiedzia.

I prosili go, coby ik strzóg cy od wilków, cy od niedźwiedzi, i on temu zdoł, bo zaś nad niego godniejszego strzelca nie było. Hej! Nad Tatara, nad Myśliwca polowaca więksego nimas w całyk Tatrak.

No, juźci potem osłabł w tej starości, nie porada mu było po halak latać, na ocy tez nie tak do znaku widział — he! — juz cosi kany, kiej kciał na lotku strzelić, to nie móg trafić, toz to przyseł dó domu — juźci wrócił na umarcie — hej!

No i dobrze: nikt go nie łapał za to dezenterowanie, i tak juz tamok ostał i siedział przy bracie.

Ale, to naucone było we wirchak żyć śleobodno, to się mu cniło w chałupie — nie móg, a kciał w hale uciekać. To zaś tamok ludzie i baby się poschadzowali, a tak mu radzili: »Nie idźcie, kaz pójdziecie, kiejście starzy, kiej wam jus na najwyzszy wirk cas«. — Juźci on rzece: — »Dyćby i seł, bo mie tu tak mierzi, co jakbyś ogniem piók — ale te nogi nie dadzom!«

Toz to potem umarł — hej!

W opowiadaniu tem widać właściwie tylko jedną stronę jego życia: owe sposoby, jakimi się wydobywał z niewoli. Ale pięćdziesiąt lat, przebytych w halach, w samotności lub z towarzyszami zbójnikami, w ciągłej walce z naturą, z ludźmi, ze zwierzętami, cóż za niezliczona moc nadzwyczajnych wydarzeń i obrazów! Trzeba sobie wyobrazić te wszystkie zasadzki, z których się nań czaili hajducy, żeby złapać jako

zbója; Orawcy czy Spizacy, żeby się mścić za krzywdy; leśniczowie, aby w łeb mu strzelić, jako kłusownikowi; te spotkania z niedźwiedziami i wilkami, i zimę na niedostępnych wyżynach, zawałonych górami śniegu, których nie śmiał przestąpić, żeby nie zostawić śladów, po którychby go mogli tropić. Trzeba wyobrazić sobie tę samotność i pustkę, żeby zrozumieć całą nadzwyczajność natury ludzkiej, która to wytrzymała, która obsaczona przez wszystko i przez wszystkich, zdołała znieść głód, mróz, kije, rany, przełamać kraty, przeskoczyć mury, zwalczyć siłą, odwagą lub przebiegłością wszelkich nieprzyjaciół, — przetrzymać przez pół wieku nieustanny bój o istnienie, i dopiero zwyciężona przez starość, przez własną niemoc, poddała się i wróciła na śmierć w ciasne szranki zwykłego życia.

Mieli też oni nadzwyczajne przymioty rasowe, które i dziś są jeszcze cechą górali, a bez których istnienie takiego Myśliwca i wielu jemu podobnych byłoby całkiem niemożliwe.

Lotny umysł, łatwość oryentowania się w położeniu i szybkość postanowienia, przebiegłość dzikich zwierząt i inteligencyę ludzi ras wyższych, a przytem zdolność wytworzenia w danej chwili takiego natężenia siły nerwowej, która ich nosiła prawie po powietrzu, bez względu na odżywianie się; zdrowie i wytrzymałość organizmu — były przytem zdumiewające. Zresztą, kto przetrzymał dzieciństwo w takich warunkach, w jakich i dziś żyją dzieci górali, kto wyrósł na chłopca, ten był jak najtęższe, jedyne ziarno wysiane z korca; takiego już byle co zmódz nie zdołało.

Flintę raz rozerwało Sabale w garści i kawał żelaza się wbił »pod pulsowom żyłe«. Poszedł z tem do

miasta, do doktora; ten oglądnął, powiedział, że nic niema, dał opatrunek na ranę i to się zagoiło. Ale po kilku miesiącach, koło łokcia, zrobił się guz — »wypukło telo, jak pięść, i ta rana sie otworzyła. Juźci, zytnie ciasto z jajkiem na te rane przykładali, i nic a nic, i ta ręka tak zesłabła, cok jom położył przy sobie jak drewnianom saite, — a takik był słaby, widziało się co hnetki umrem, hej! Baby się pozłaziły, wzięły jajceć, ale ja ta nie rad słucham takiego larmu — juźci rzeke: — »Trzysta dyabłówście zjadły z tem piskiem, idźcie prec, do pola, kiej macie wołom krzyceć!

I zona mię pyta: — »No, Jašku, jakoz cie do truchły ubieremy, ka w jaki przyodziewek cie odziać?« — »He! rzeke, nie kładźcie me kapelusa, ino capke na usy, coby mi zaby nie burzyły po głowie!«

No, dobrze. Przysła jedna baba i kazała królika zabić, a te flaki i skórke, ciepłe przyłożyć. I, hnet, juz cujem, co me to zratowało i popuściło to całkiem. Juźci, kiej juz do władzy przysel, wziętek sydło, ozrytek te rane, he! cosi zbyrce! klepiem, a to zbyrce jak podkowa! Wziętek pilno pazdurem i to zelazo wychycilek! A tego był kęs godny — i to siedziało w ręce rok i seść niedziel — hej!

I po takiej terapii, po operacyi, zrobionej szydłem i pazurem, zostało mu tylko słabe zdrętwienie w wielkim palcu. Oczywista rzecz, że ludzie tak »twardzi na śmierć« jedynie mogli wytrzymywać życie w halach.

»Lekkie nogi« — nadzwyczajna szybkość biegu i zdolność do skoku — te przymioty bohaterów *Iliady*, są również przymiotami, cenionemi w sposób niezwykły w góralach.

Zbójnik, nowo zaciężny, zdawał rodzaj egzaminu ze swej zręczności i siły skoku »z bucka na jedliczkę«.

Wszakże opowiadają o jednym Roju, że jak go do wojska łapali, to on nie wprawdzie uciekał, aż go brali za kołnierz; biegł z początku na żart, obrócony twarzą do goniących, a potem, jak się puścił, to tyleś go widział. Każdego psa w najtęższym biegu dognał i za kark łapał. O innym mówią, że »Tak wartko leci, co każdego psa, kielo sam kce, kijem bije«. Wykazywanie tej lekkości nóg, tej sprawności i sprężystości ruchów towarzyszyło zabawie góralskiej, jak ucztom *Odysei* rzucanie kręgów i bieganie do mety.

— Na urodzinak Józka, ojciec dwoma palcami oparł się i hipnął bez stół, skłonkę (butelkę) i kapelus na niej postawił na stole i hipnął!

A chociaż o dzisiejszych ludziach mówią, że to »ciarapary«, że się nie uchowa »chłop fryśny i prędkie,« — dość jest przejść się parę dni w towarzystwie górali, żeby widzieć, do czego są zdolni, jak są wytrzymali i jaką rzeczywiście jest lekkość ich nóg.

Umieć w porę i rozumnie napadać, bić się mężnie, bronić zręcznie, a wartko i w porę uciekać w ostatniej potrzebie — oto taktyka tak dobrze zbójników, jak i polowacy, kłusowników, albo leśniczych.

— »Kielo dole zwidzem, telo dole skocem!« — mówił jeden z nich, opowiadając, jak się wydobył z pod kulek liptowskich.

Sabała mówi z podziwem o swojej młodości:

— »O telim kęsku moskala (placek) śtery dni latał, kiej piersy raz za kozami poleciał! I kieli to światy zleciał!« — Zdaje się, że się słyszy orła, opowiadającego o swoich powietrznych podróżach, ile razy się

przysłuchuje tej powieści. Oni zawsze lecieli pod Krzywań, albo na Krzywań. Mateja z towarzyszami zabrał kasę u »ryktara« na Liptowie o północy, »a na dziewiątom, na rano byli jus, powyzej Kościelisk, na upłazie«.

U takiego też ludu mógł się jedynie urodzić taki taniec zbójnicki, i tylko oni mogą po kilkunastu godzinach forsownego marszu, z ciężkimi torbami na plecach, zamiast spać, jak świstaki, tańczyć, jak opętani.

Oto na skrawku łączki, pod lasem, lub gdzie bądź przed szałasem lub schroniskiem, pozrzucali na kupę torby i cuhy, pozrzucali i kapelusze, albo je przymocowali pod brodą z awadłami, następnie wbijają wszystkie ciupagi w ziemię i zaczynają dokoła nich taniec. Każdy po kolei staje przed grajkiem, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę i puszcza się drobnego. W końcu wszyscy już są w kole, i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo, taniec opętany, waryacki, w którym, na tle pewnego, ogólnego tempa ruchów, każdy, odpowiednio do swego temperamentu i zdolności tancerskich, improwizuje rozmaite ruchy i skoki. Ten łagodny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod boki i wyprostowany, rzuca sobą w powietrze, padając ukośnie na ziemię, jak gwóźdź olbrzymi. Ten drab potężny, o czerwonej, spoconej twarzy, wyrzuca się w górę na sążęń, zgina nogi, uderza z trzaskiem, w locie, dłońmi po piętach i spada z hukiem. Ów, z nadzwyczajną elegancją i szykiem drepce w miejscu, pochylony, jak gdyby się zachwycał własnymi nogami. Tamten bije z zaciekłością nogą w ziemię, jak gdyby chciał w niej dziurę wybić, lub roztrzaskać własną piętę. Ów przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle

w powietrze, jak raca. Tamten przeciera obłąkane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętanym, pijanym jakimś szaleńcem, a jego nogi same, bez jego woli i wiedzy, trzęsą się na miejscu w jakichś zygzakowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamocą się, tupią, śmigają rękami i nogami, i zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, zczepiają je ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą wkoło zwolna, jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie, nad oczyma ukrytymi pod wystającym, jak okap, zrębem czoła, ścisza konwulsyjnie skrzyпки i rznie jeszcze wścieklejszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

Rzecz oczywista, że aby nogi tak latały, trzeba, iżby je nosił w powietrzu ten namiętny i zaciekły temperament, który żyje w góralach. Pasya, która ich porywa przy tym tańcu, jest tak gwałtowna, że kiedy stają przed grajkiem, najtęższe chłopcy z czerwonemi, jak rak gębami, bledną, jak trupy ze wzruszenia.

Ta zawziętość, zaciekłość, ta wybuchliwość temperamentu, przeniesiona w sferę innych niż taniec czynów i uczuć, wydawała gorsze, straszniejsze od wybitcia dziury w podłodze skutki. Żądza bogactwa, namiętność do kobiet, lub proste spotkanie się przy jednej jamie świstaczej, przy jednej kozicy lub trupie niedźwiedzia, albo zemsta za obrazę, zapisały się niejednym krwawym czynem w tradycyi Zakopiańców.

Wojtek Marduła, o którym mówią: — »Wiele chłopów honornych było, ale syćka ony ku Mardułowi to ta nic nie płacili!« — był równie odważnym, dzielnym, jak zaciekłym i krwiożerczym w zemście.

— Ten Marduła, co zrobił? Zabił jednego pana, hej! zabił. A tego pana znałek tak, jako ik miłość. Co się nie zrobiło: — Marduła kopał rudę w Magórze i kiej seł w wiecór dó domu z towarzysami, nabrali na cosi po kawałku zelaza. A mieli oni z jednym hawiarzem jakąsi urazę, i kiej to plugastwo śmigło zelazem, wybiło temu hawiarzowi zęby. Jużci ten pan, Kierciński, służył w dominii, — było ik trzok bratów, jeden Kliment, drugi tak go zwali safar, a trzeci Kierciński — toz to wzięli Mardułę i trzymali w prochni, kielo dni za tego hawiarza. Ale, on im tak odpowiedział: — Jednego z was dyabli musom wzionć! — hej! odpowiedział im w ocy, jako dyabli wzionć musom.

No i dobrze niebardzo, — ten pan Kierciński, sie działo to siedziało, i jakosi, cosi, kany, cy miejsce zwy-syło, poseł ci on do Orawy, na Witowom i tam se domek najął i żył, hej! Co mój Marduła nie zrobił. Zaseł za tym panem, no jużci pedział mu, jako nalazł miejsce na rude złotom, bardzo godne, to mu ukaze. I zjednali się oni telo i telo pieniędzy i coby te pieniądze zabrał, kiej ma wolom do tej złotnicy. — I dobrze — poseł ś nim ten pan — hej! Som ta w skałak takie dziury, co i niedźwiedzie w nik legajom, juści weseł ś nim Marduła i zaciał go siekierom i zabił, i przywalił s k r z y - z a l o m, co jom odłupił od skale. Ha, na sałasie słyseli tego pana, jak krzycoł, ale myśleli co wykrot go przywalił. No i dobrze — to tak ostało; Marduła zaś odrazu poseł tam na Węgry, banie tamok były, tam poseł i na

bani robił. A dziewczka chodziła na Stare Hory, na odpust, to zaś posyłał pieniądze babie i tym synom, — ale się już dó domu nie wrócił, — i to ludzie poabacowali, i nie było o tym Kiercińskim nijakiej gwary — hej!

Dopiero potem, posli my sukać niedźwiedzia na Osobitom: trzej Nędzowie, ja czwarty. Jużci takie były pogodne ostatki, co strasno było ognia skrzesać do fajki, trawy suche były, wielgie, jakby skra padła, bieda byłoby uciec. I naśli my dziure, ale w pogodę ta niedźwiedź nie rad do dziury idzie, hej! ja wlaź do tej dziury i znalazł tamok kości, tu z ręki, piscałki, i z tela gicale, — no jużci nabrałek na narąkę tyk kości, wołam drugiego, Wawrzka Nędzę, pokazujem mu: gołe, oblaźle z ciała. Opatrzujemy: I cóz to za niedźwiedź taki, co ma takie długie kości, jako i człowiek? Dopiero Nędza weźmie łopatkę, zadłubie pazdurem, powąchał i to go strząsło, strach go ogarnął i włosy powstały — hej! I to były kości z tego pana Kiercińskiego, bo to był chłop wysoki, a i tęgi — hej! No, jużci trza te kości odnieść, kiejście wzięli, bo to jego i bedom mu zaś potrzebne, — zaden nie kciał, bo się bali! toz to wziołek i zanosłek to nazad, i tamok w kolibie ostawił — hej!

O tych Mardułach mówią, że: — »Takie zajadliwe wej potwory były« — taka wściekła namiętność, taki nieprzytomny gniew ogarniał ich, kiedy się w karczmie pobili, że przerażenie ogarniało na sam widok ich twarzy, zdziczałej od złości i zapamiętania.

Uniesiony namiętnością, nie patrzył na nic — rzucał się, jak ryś, prosto do oczu, nietylko pojedynczym ludziom, ale całym tłumom. Raz poszedł na Węgry

i sam napadł na karczmę, w której było sześćdziesięciu Liptaków. Rzucił się między nich, wołając: »Gadajta, psia kość, po polsku, a nie to won!« Ciskał się z ciupagą do oczu każdemu, krzyżąc: »Tyś tu, tyś tu!« aż wygnał wszystkich na dwór. Potem zaś zaprosił do karczmy, płacił za wódkę i hulał z nimi przez noc całą.

Górale nasi, w swoich zagonach po obszarze Tatr, spotykali się od zachodu z Orawcami, z południa z Liptakami, a od wschodu ze Spizakami. Siedząc na pograniczu, wyrobili sobie wcześniej pojęcie swojej odrębności narodowej, zacieśnionej jednak od obszaru Podhala. Lud polski w dolinach, to już w pojęciach górali nie »Poloki« — to »Lachy«.

Zresztą Chochołowianie i Zakopiańcy, a w tej liczbie Sabała, dowiedli przed pięćdziesięciu laty, że, nawet w szerszym znaczeniu, są w stanie pojmować swoje plemienne stanowisko — dowiedli tego, występując całkiem wbrew chęciom i planom pana Metternicha...

A że takie sąsiedztwo rzadko prowadzi do zgody i miłości, więc też, na graniach wirchów granicznych, uderzały się o siebie egoizmy tych małych narodków i wrzała plemienna nienawiść.

Zbójnickie wyprawy za Tatry, szukanie złota i śrybła w beczkach liptowskich panów, pasterskie napady na orawskich i liptowskich wolarzy, walka kłusowników o zwierzynę — oto okazyje, przy których załatwiano krwawe rachunki ze Złemi ptakami, — jak, przekręcając złośliwie ich imię, ochrzczono Liptaków.

Oczywista rzecz, że po drugiej stronie Tatr odpłacano się nie mniejszą nienawiścią i mszczono się przy okazji bez miłosierdzia. A że i »Luptaki bywają

tęgie chłopcy«, i bić się umieją, niejednego więc guza naszym Zakopiańcom nabili. Każdy czyn gwałtowny lub krwawy, wywoływał taką samą odprawę.

Raz, dwóch Zakopiańców poszło »grzebsć« świ-staki. Jeden został przy dziurze i grzebał, a drugi gdzieś poszedł dalej. Tymczasem nadchodzi Liptak, odrazu porywa flintę Zakopiańca, ten rzuca się także do niej, zaczynają ją sobie wydzierać, ale obadwaj byli równej siły i żaden nie chciał puścić, bo wiedział, że raz puściwszy flintę z garści, natychmiast padłby trupem.

Trzymają więc za strzelbę i klną sobie do południa, — od południa nogi ich zaboląły — usiedli, a flinty nie popuścili. Nareszcie, ku wieczorowi, przyszedł drugi Zakopianiec, zaraz ściągnął Liptaka ciupagą po plecach, potem go złapali, położyli ręce na skale i rozkwasili mu palce obuchem, w końcu puścili go, mówiąc na drogę: — Idź ta do swoich z poselstwem od Polaków! powiedz coś u nik widział!

Te i tym podobne krwawe i dzikie czyny robiły to, że Zakopiańcy rzadko się spotykali z Liptakami inaczej, niż »z flintą przy zębach«.

W tych stosunkach nie było miejsca na żal i współczucie; pokonany lub zabity wróg nie budził żadnych innych uczuć, prócz wzdryki i urągania. I dziś jeszcze, najbardziej uspołecznieni z pomiędzy górali śmieją się serdecznie, kiedy w opowiadaniach o dawnych czasach, przychodzi moment krytyczny: — kiedy, ktoś padł!

Kiedy raz, na wąskiej perci, spotkał się z Liptakami jeden z naszych kłusowników, i wytrzymał dwa chybione strzały z dubeltówki leśnego, na trzeci już nie czekał, tylko wziął na cel i położył trupem Liptaka —

reszta uciekła. Sabała, opowiadając o tem zdarzeniu, dodaje od siebie z szyderstwem: — »I ten leśny brzycko patrzył, to mu ta skale dwie na oczak położył, a taki go zał zdjął, co mu ta zara buty ściągnął!« — Żadnego współczucia, ani potępienia zabójstwa. Dla Liptaka i Zakopiańca, którzy się spotkali w halach, nie zostawało nic innego, tylko walka na śmierć — albo ratowanie się »lekkimi nogami«.

Wśród tych wrogich stosunków z Liptakami, zdarzały się jednak, niekiedy wypadki, polubownego załatwienia sporów, zwykle krwawych. Czasem, który z naszych wyświadczał jakiemu panu z Liptowa przysługę, która go potem ratowała z lochu więziennego i z podkijów hajduckich.

Ojciec Sabały, Krzeptowski, przeprowadził raz kilkaset owiec wirchami, do Węgier, bez granicznej opłaty; za to potem, kiedy Sabałę na »kozach« ostąpili »z flintami przy zębach« leśniczowie węgierscy, związali, osadzili w więzieniu i mieli bić kije, a puścić go nie chcieli, ani za sto, ani za »dwiesto rymsskik«, — uwolnił go ów pan Aduś Pongrac i Dingo brat jego z Andrusiowej, wdzięczny za owce. Stosunki te zalatują jakimś archaizmem, dziczą, brakiem wszelkich norm, ciągłą zależnością od wypadków lub widzimi-się pojedynczych ludzi. Można się z podobnemi formami życia spotykać i dziś jeszcze za ścianami puszczy litewskich, w zakątkach, oddzielonych od świata mokradłami pińskich bagien, ale poza tem my, ludzie z dolin, tylko ze słychu, z bajki ludowej, lub opowiadań podróżników możemy coś o tem wiedzieć.

To, co, obok żądzy posiadania bogactwa, budzi najwięcej »mātu« na świecie — stosunek kobiet i męż-

czynn — naturalnie był i w społeczeństwie góralskiem, i do dziś dnia jest, pierwiastkiem, wywołującym gwałtowne starcia egoizmów, a nawet źródłem zbrodni. Górale są namiętni i kochliwi, małżeństwa zaś prawie bez wyjątku zawierają tylko dla interesu, bez względu na jakiegokolwiek uczucia; w następstwie tego, jednym z bardzo pospolitych zjawisk, jest żona, która uciekła od męża i wróciła do swojej rodziny. Jest to, oczywiście, jeden z najmniej szkodliwych, pod względem społecznym, skutków tego »podporządkowywania« tak mało dającej się okiełznać siły, jak miłość, pod rachunek interesów familijnych — bywają gorsze.

Jakkolwiek, na równi ze wszystkimi mężczyznami, górale wyrażają się o kobietach w sposób ubliżający, jak np.: »Pierwej dzikom świnie naucy tańczyć, niżli babe rozumu«. Albo: »Po jeden koń ma takom psiom kudłę, co nijak do wody nie kce iść; baba, ta ma tez takom psiom kudłę, co nijak jej nie namówić i nie zjednać«. Pomimo tych i innych obelg, górale są bardzo lipcy na te same b a b y, które zresztą nie ustępują mężczyznom pod względem temperamentu.

Cóż się potem dziwić, że zawierane w ten sposób małżeństwa bywają nieszczęśliwe, jak np. jedno, o którym ojciec dziewczyny tak mówił: — »Dziewczęciu, nie było cternaście lat, pleban nie kciał ślubu dać, tok jom sam dał zięciowi. Ja nie byłem zdradliwy chłop, a i on tez na zdradzie nie stał; juźci rzekę: — Weź, kiej jom kces z ojca ręki«. — I ten mąż trzynastoletniej dziewczynki był starym dziadem! Cóż się potem dziwić, że życie to nurtuje nieszczęście albo rozpusta?

Z opowiadań o niezbyt dawnej przeszłości, słynną jest K a c k a, żona zbójnika Matei, koło której kręciło

się wielu gachów. Raz zeszli się we czterech u niej; przyszło w chałupie do bójki, a kiedy jednego z nich dobijano, inny wołał: »Bij! zabij! ja ci go na funty zapłacę!« — Pozostali przy życiu, wyprawili sobie ucztę, i w dzikim szale tańczyli po trupie pokonanego współzawodnika.

To wszystko, co się wie o góralach z ich opowiadań lub obserwacji, maluje ich jako ludzi o temperamentie gwałtownym, którzy cokolwiek robią, wkładają w to całą, na jaką ich stać, pasję. Złe czy dobre będą te czyny, jakkolwiek jest ich cel i znaczenie, zawsze widać w tem istotę krańcową, która albo jest rozrzutną do ostatniej nitki, albo skąpą do zamorzenia się głodem; albo zupełnie bezinteresowną — bardzo zresztą rzadko, — albo potwornie chciwą; albo całkowicie wstrzemięźliwą, albo nurzającą się w rozpuście. W ten sposób przeciwstawiają się sobie wszelkie odmiany ludzkich przymiotów.

Górale wogóle nie cierpieli «głodu do pracy», jak sami mówią; ale z chwilą, w której się góral wziął do niej, to już jej póty nie popuścił, aż zmógł górę, zrobił tyle, że aż się sam w końcu zdziwił.

O jednym moim znajomym żona mówi: — »O! Jasiu, to nas syćkik nauczył pracować, bo sam ta nigdy nic nie robił«. — Otóż kiedy raz tak tłukł się z towarzyszami po wirkach, lub pił na Kirach w karczmie, a tu jego owies i jarzec żrałe, stały i czekały, aż je chyba wiatr halny skosi — bo baba nie mogła chłopów dostać do koszenia. Wraca Jasiu do domu, jak wziął kosę, to trzy dni i noce kosił. — »Na czwarty dzień nie trza było kosy pokładać, sama z garzści wy-

padła!« — Owies został na pokosach, a Jasiek wziął znowu strzelbę i poszedł w Orawę na niedźwiedzia.

Ta gwałtowność góralskiej natury, ten niepokonany temperament, który gospodarował w sposób tak burzliwy, wywoływał też równie surowy, bezwzględny i straszny w swej zemście wymiar sprawiedliwości. Sąd dominialny, który tu wówczas funkcjonował lub zwykły wójtowski, używał przy indagacyi środków, obliczonych na »psie natury, jastrzębowe, tygrysie«. Wieszano na łańcuchu za nogę pod belką, zakładano łańcuch na kostkę i kliny bukowe podeń zabijano; — »świecili po łapach świeckami, cy som cyste«! — bez przenośni: palono ręce świecami; — słowem, nie było tu śpasoów, — nie mówiąc już o tych kijach, które sypano bez liku i miłosierdzia.

Patrząc powierzchownie na dzisiejszych górali, stawiających domki na Krupówkach i Starej Polanie, usługujących panom, grzecznych, usłużnych, a jak teraz często nawet uniżonych, na tych zabiegliwych o dudki furmanów, stróżów, służących, baderów, restauratorów, przewodników, z trudnością wierzy się w tę tak niedawną przeszłość, która w opowiadaniach Sabały odżywa z całą swoją surowością, z całą wielkością swojej dzicy niepohamowanej, z tym urokiem, jaki ma, bądźco-bądź, ludzka natura, idąca bez oporu i wahania za głosem swoich sił żywiołowych.

Przyjrząwszy się jednak bliżej, widać, że to nowe Zakopane, które tak gwałtownie rośnie, dźwigane jest temi samemi siłami. Ten temperament, który niegdyś nosił ich po wirchach, dziś wprzęgnięty do pracy, podniecony, górującą w nich żądzą z bogacenia, wznosi te domy, które rosną, jak grzyby po deszczu, rozpala

w nich zawziętość do działalności i pracy. Patrząc, jak oni się »dorabiają«, zapracowują, domęczają się, jak zresztą chętnie myślą o nowych kierunkach zużytkowania swojej siły, poznaje się ten sam pierwiastek ludzki, z którego powstawali dawni »honorni chłopci«.

Wartość moralna górali została przecenioną przez tych, którzy pierwsi zaczęli żyć z nimi bliżej — zarówno wartość moralna samego ludu, jak i tych czynników, które ją mogły urabiać, tych ludzi, którzy stali na straży etycznych pojęć i czynów górali. To zresztą odnosi się do całego naszego ludu, który o wiele więcej jest dobrym siłą inercyi, pewnemi wrodzonymi przymiotami, niż siłą zasad moralnych żywych i ciągle nim kierujących.

Dziś, możnaby zrobić rachunek bliski ścisłości, któryby okazał, ile dobrych chęci i czynów, ile pieniędzy zostało w Zakopanem pogrzebanych na marne, wskutek tego właśnie bezkrytycznego zapatrywania się na ludność miejscową, jako pierwiastek społeczny, wskutek przeceniania, idealizowania ludzi ze względu na stanowisko, jakie wśród ludu zajmowali.

Górale przeciętnie są mało serdeczni, — bezinteresowność i wdzięczność nie są przymiotami, przeważającymi w ich naturze. Natomiast nadzwyczajna jej giętkość i sprężystość, robi z nich ludzi niezwykle towarzyskich, z łatwością stających na każdym punkcie widzenia, siadających na każdym stołku. Inteligencya, spryt i owa przytomność umysłu, dzięki której góral zawsze znajdzie w porę odpowiedź, nigdy nie szuka w torbie konceptu, wykręca się zręcznie z trudności towarzyskich, — nadają im pozory, na które łapie się

każdy człowiek serdeczniejszy i oddaje im swoje sympaty, bez zastrzeżeń.

Jakiegokolwiek jest dzisiaj to życie góralskie, jakiegokolwiek jest jego przyszłość, — ale to dawne życie już skończone na zawsze. Trzebaby świat przepędzić wstecz przez kilka epok historycznych, a może nawet geologicznych, żeby znów mogły się ukształtować podobne dawnym formy bytu.

Pewne gatunki ludzi, jak pewne gatunki zwierząt, muszą zginąć z powierzchni ziemi, razem z wielkimi przeobrażeniami w naturze, w zewnętrznych warunkach bytu. Myśliwy czerwono-skóry, jak polowac tatrzański, stają się z czasem niemożliwi — zaczyna być tak ciasno, że jest więcej ludzi niż »dźwierzca«, — a lasy, które dawniej »od Spiza, bez Polskom do Orawy« zakrywały świat — teraz znikły i z nimi znikła przyczyna, wywołująca do życia takich ludzi, o jakich mówi powieść Sabały.

To też Sabała, jako »starego wojska straż ostatnia«, budzi interes nadzwyczajny, — niezależny od interesu, jaki budzi jego własna indywidualność.

Z jego opowieści trudno wykroić moralną książkę, dla dzieci lub dorastających panienek, ale też i w Homerze trudno szukać przykładów cnót, które uważamy dziś za konieczne w ludziach. Słuchając tych opowiadań, żyjąc z tym ludem, schodzi się na ich poziom, przestaje się od nich żądać, żeby się stosowali do prawideł, o jakich nie mieli pojęcia; podziwia się natomiast skalę, na jaką było nastrojone to dawne ich życie.

Bardzo wielu, z pomiędzy bywających tu podróżników, którzy, spotykając Sabałę po drogach, zaciągali do siebie, leli w starca wódkę i wyciągali na anegdoty,

myśli, że kilka sprośnych konceptów, które usłyszeli, są najlepszą stroną Sabały. Jest to bardzo mylne wyobrażenie. Sabała ma tyle i tak różnorodnych rzeczy do opowiadania, że da każdemu, czego on szuka — i mądryemu mądre, i głupiemu głupie — wygodzi każdemu. Kilka myśliwskich opowiadań, które tu przytoczyłem daje pewne, choć bardzo niezupełne wyobrażenie o jego stylu, krystalizującym w sobie całe bogactwo i obrazowość góralskiej gwary. Ponieważ Sabała nie jest machiną, powtarzającą bezmyślnie zawsze te same słowa, bez podkładania pod nie swego uczucia, myśli, życia — przeto jedne i te same tematy opowiada bardzo rozmaicie i z różną wartością artystyczną.

I kto przeleje miarkę, kto zanadto »omaszcza« herbatę, podejmując starca, ten nie usłyszy najlepszych opowiadań. Nie każdemu zresztą on chce opowiadać, nie z każdym chce »ugwarzyć«. Ma on swoich przyjaciół, towarzyszy, jak np. Wojtek Roj, z którym całe noce czasem nie sypiają, jak się zejda w zimie i wtedy, we wściekłym gorącu kuchni, humor i werwa, obrazowość i bogactwo opowiadań jest nieporównane. Kto więc chce znać przeszłość góralską i naczytać się Sabały w najpoprawniejszej edycji, ten niech go słucha »we wirchach kany, przy watrze«, albo w szalasiu, jak on opowiada to swoim towarzyszom, dobrym znajomym z pomiędzy »panów«, młodzi góralskiej, która się go zasłuchuje, lub wspomina ze starymi bacami dawne czasy.

Oprócz opowiadań o przygodach swoich, lub innych myśliwców, zbójników, pasterzy, Sabała opowiada bajki, które są jako kompozycja całości, ściśłość i obrazowość wyrażenia, postawienie każdego wyrazu tam,

gdzie należy i akurat takiego, jak trzeba, jako wypunktowanie, podkreślenie sensu moralnego, zupełnie nadzwyczajnymi zjawiskami artystycznymi. Lecz nietylko całkowite powieści, lub bajki, których już sama treść faktyczna może zajmować, budzą wielki interes; pojedyncze zdania, w których maluje się ta nadzwyczajna przytomność, giętkość umysłu, a zarazem łatwość wypowiedzania myśli, sformułowania jej z finezyą i siłą są niemniej interesujące.

Ktoś »na despet« chwali jednego z bogatych i mądrych gazdów, chcąc wywołać replikę Sabały:

— To dobry człowiek?

— E! on je dobry — ale dyabeł je lepszy, co go dotąd nie wziął! — odpowiada Sabała.

Raz znowu pytają go o zdrowie żony!

— He! stęka! Kto się z młodości roboty bał, co się jej dość nie naje, to stęka! Ja ta jej nigdy łakomy nie był! — odpowiada, szydząc ze swego życia, które spędził głównie na myśliwskiej włóczędze.

O tej samej żonie mówi, że jest tak chuda: »co oreł dwie takie na Krzywań wyniesie, a nie odpocnie«.

Patrząc na domy i ziemie człowieka bogatego, lecz małej wartości osobistej, mówi: »On ta ze śmierzci nie będzie miał hasnu; bo mu w niebie takik majątków nie uświadcom!«

Żyd go napastuje o parę dudków, które mu wien. — Sabała się śmieje i pociesza go, mówiąc:

— »Dam wam Osobitą (wirch) w procencie wykościć, jak Orawcy zejdom z owcami!«

— »A kto je to prawo pisał? Cheba niedźwiedz na turnicy pazdurami!« — mówi na zakaz grania i śpiewania po drogach.

Zająto mu krowę w lesie: »Krowa to ta lasu nie zje, ino siekiera!« — tłómaczył Sabała.

Raz mówiono o wódce: — »Ku kościołowiby zniosła, cok jom zapłacił i wypił!« — twierdził Sabała, stojąc na turni Giewontu.

Ktoś twierdził, że dawniej ludzie mniej pili, mniej u Żyda zostawiali, — Sabała na to z szyderswem: — »E, to prawda! ze samego z Zakopanego do Bochni zajechał, a u Żyda nie był — bo go nie było, bo zaś chrześciance po karcmach siedzieli a synkowali!«

Sabała uważa świat i życie na nim za bardzo wesołe; rad twierdzi, że nigdy smutnym nie był. Posiada on w najwyższym stopniu te przymioty, które Schopenhauer uważa za konieczne warunki szczęścia: przyrodzoną wesołość i zdrowie.

— »Smutkiem się żyć nie oplaci«.

— »Smutne serce gorse, niżli chorosc, pilniej człowieka uśmierzci«.

— »Z trubacyi, a ze smutku krew do serca uchodzi — a jakze jom gonić? Cheba weselem«.

— »Cłowiek serca zatwardzialsego, to se smutku na serce bardzo nie popusca, choć i złe przyńdzie«.

Oto niektóre zdania, malujące jego filozofię życia, wyływającą z jego temperamentu.

Rzadko też można widzieć Sabałę smutnego — chyba jak gra, albo kiedy przyjdzie na niego choroba, osłabienie, wtedy zaczyna go trapić starość, niedołęstwo, markoci się i mocuje z życiem, idzie na wirchy, próbuje sił, aż znowu się skrzepi i znowu uczuje, że świat jest piękny i wesoły.

Sabała, pomimo ośmdziesięciu siedmiu lat swoich, jest młodym, żywym i rzeźkim. Różni się też tem od

swoich rówieśników, dziadów, siedzących po chałupach piecuchów i brudasów, którzy zdają się »za wodę płacić«, tak są pokryci brudem. Sabała pogardza takimi, natomiast bardzo rad widzi dzielną młodzież, która się wykrada z flintą w góry.

Taki, jakim dziś jest Sabała, jest on dziełem sztuki, nie przestając być żywym człowiekiem.

Jest on najpiękniejszym typem dawnego górala, jego opowiadania rzeczywistą epopeją górskiego ludu, krystalizującą w sobie wszystkie jego czucia i myśli w sposób niezwykły.

Na tym przełomie do nowych form życia, jego opowiadania są, jak luna, świecąca nad dogasającym ogniskiem, jak ostatni promień wspaniałego słońca, które się obziera po świecie świetnymi blaskami, nim zgaśnie na zawsze.

* * *

Dzień był już zupełny, kiedyśmy zwinęli obóz i ruszyli w drogę.

Za ścianą Hrubego Wirchu, rozlazała się jasność śpiesznie wschodzącego słońca. Nikłe, przezroczyste niebo rozpinało się ponad fioletowemi piramidami gór, stojących w tem chłodnem powietrzu, jak olbrzymie bryły lodu, nasiąkłe cieniami nocy.

Schodziliśmy w las, zostawiając za sobą, przed pustym szalasem, gasnące ognisko, z którego ulatywały błękitne smużki dymu. Ogień, przy którym się prze-
spalo, przegwarzyło lub przemyślało noc całą, zdaje się być istotą żywą, czującą; odchodząc go, odwraca się

człowiek, aby spojrzeć jeszcze raz, jak na jednego z towarzyszy, którego się z musu opuszcza...

Szron topniał na liściach szczawiu, wśród których zstępowaliśmy w dół, między potężne pnie smreków halnych.

Pod nogami chlupała woda z pod gęstwy paproci, ogromnych zwojów gencyany, mżące się liliowemi kłosciami kwiatów, wielkich gron ciemnego tojadu, czerwonych ogonów szczawiu, białych gwiazd rumianków, świecących żółtymi ognikami jaskrów i cykoryi i zbitych kęp strzępiastego szuwaru, nad którymi wznosiły się wysmukłe łodygi, jakichś wielkich roślin, trzymające baldachy jasno-różowych kwiatów.

Silne i wielkie smreki, o krótkich, pokręconych i grubych konarach, najeżonych igliwem, zbitem w szczeniaste kistki, stały ciche, poważne pod swemi ciemnozielonemi płaszczami, obwieszonemi pasmami szarych porostów.

Las szedł w górę, wśród wielkich głazów, oplątanych roślinnością, — zawalony olbrzymiami, rudemi trupami butwiejących pni drzewnych. Gdzieniegdzie, ze starzałe korzenie, nie mogąc utrzymać leśnego olbrzyma, urwały się i zwały go potężnym wykrotem. Czarne, splątane ich ramiona ściskają wielkie głazy, na których rosły i które wydarły i uniosły, upadając. Biały kawał skały, z którego się urwał taki smrek, świeci się wśród mchów, cały oplątany długimi sznurami korzeni, które jeszcze trzymają się pnia potężnego i zdają się być jego wnętrzościami, wydartemi z rozplatanego cielska. Wyżej, na głazach omszałych, zwisały krzaki kosodrzewiny, świeciły się, wśród ciemnych drzew iglastych, kity jaskrawych liści jarzębiny.

Na wszystkich kępach, na głazach i pniach zbudowanych, obrosłych materacami mchów, zieleniły się krzaki borówek, obwieszonych czarnymi jagodami.

Szliśmy, zatraceni wśród silnej i bujnej roślinności, tonąc wśród traw i kwiatów do pasa, brnąc w wodzie i ociekając rosą, która zlewała się na nas strumieniami.

Las ten urósł tu do tak potężnych drzew, dzięki wyjątkowo sprzyjającym mu warunkom otoczenia. Zasłonięte zewsząd od wichrów, mogły smreki dźwigać się w górę, zachowując tyle tylko ostrożności, iż nie odstawiały zbyt daleko od pnia konarów. Gdzieindziej, na tej wysokości, blisko pięciu tysięcy stóp, nie tak wyglądają smreki, którym przyjdzie rosnąć na stokach, odkrytych dla dostępu wiatru halnego. Obtracone, lub obdarte z kory wierzchołki świecą trupią białością; pień, dokoła nastrzępiony mnóstwem krótkich gałązek, ledwie gdzieś u dołu, przy samej ziemi, wypuszcza dłuższe konary, pochylając je starannie ku dołowi, kręcąc je i zgrubiając mnóstwem garbów i najeżonych kęp drobnych wyrostków.

W innych miejscach, stoją całe lasy młodych smreczków, których zrudniałe wierzchołki skręcone są ku północo-wschodowi, — widać, że drzewa te odwracały się, nie mogąc znieść strasznego oddechu takiego wichru.

Wogóle, cała ta roślinność górską tak jasno i otwarcie mówi o swoim losie, tak to, co ją cieszy i co ją boli, jest wypisane na jej kształtach; ma ona taki wyraz wskutek tego, że ten sam rodzaj rośliny widzi się w różnych warunkach bytu, iż cała ta ziemia zdaje się gadać, lub być otwartą kartką książki, napisanej jasną, zrozumiałą mową.

Idąc w górę, z dna dolin obrzeżonych zwartemi lasami zwykłych, rozłożystych smreków, pomieszanych z szerokimi koronami, śmiało wyciągających ramiona buków i jaworów, — przez wyższe piętra, gdzie w zacisznych kotlinach drzemią kopulaste limby, a jeszcze wyżej, gdzie, ponad zdruzgotanemi i skarłowaciałemi smrekami, rozciągają się wielkie lasy kosodrzewiny, podobnej do potężnych koron sosen, których pnie nie śmiały wyrzeć z pod ziemi, — aż tam, gdzie na potrząskanych wirchach granitowych, czarny porost, tak mało różniący się od ziaren granitu, ledwo odstaje chropowatą plamą od powierzchni skały, — przychodzi się do jakiegoś zbratania, jakiejś sympatyj psychicznej z roślinami. Przestają one być rzeczami, które, jeżeli się nie jest botanikiem i nie chce się wogóle robić z rośliny użytku, obserwuje się dla ich piękna, dla barwy, lub kształtu bawiącego, lub zadziwiającego oko, dla nęcącego wreszcie zapachu. Tu, rośliny zdają się być bardzo bliskimi człowieka istotami; tu, czuje się, że one żyją, tu widzi się, jak walczą, przystosowują się do warunków zewnętrznych lub cierpią i giną; — są nędzarzami, jak świerk u górnej granicy swego zasięgu, lub magnatami, jak te pyszne pnie, jak ta cała wspaniała roślinność, nie niszczone przez człowieka, broniona od sił wrogich przez ściany wirchów, — wśród której szliśmy doliną Hlińską.

Słońce wznosiło się szybko w górę, ściągając z nad lasu zasłonę cieniu, który się usuwał przed nami ku wschodniemu krańcowi Hrubego Wirchu. Las rzedniał, malał, kosodrzewina na lewo szła zboczem w górę, wyżej siedziały limby; — na prawo dolina zapadała pod podwaliny wirchów, dokoła których leżały rozsypane ogromne głazy.

Szliśmy wśród kęp borówek, zstępując ku brzegom potoku, błyszczącego pośród zwaliska wielkich, ciemnych, omszałych głazów. Słońce drgało na mchach, w rosie, połyskiwało na gładkich liściach borówek i rzeźbiło jasnymi smugami, poorany żlebami, tułów Hrubego Wirchu.

Wspaniała i wesoła pogoda jaśniała zewsząd. Rzeźwy chłód przeciągał od cieniów; w miejscach odkrytych, mocno przygrzewało słońce.

Towarzystwo rozsypało się długim sznurem. Noc nieprzespaną czuło się w nogach, w sennem usposobieniu, w odrętwieniu ruchów. Jaki taki ziewał aż się rozlegało, — inni podniecali się dymem, szli w milczeniu, utykając wśród trudności chropowatej drogi. Monachijczyk, wyniszczony, blady, z podsiniątemi oczyma, szedł chwiejnym krokiem, chętnie wspierając się na ramieniu przewodnika.

Tak, bez zapału i rozpędu dochodzimy do załomu, gdzie Hruba Wirch zagina się ku północy, przierzucamy się na drugi brzeg potoku, — perć idzie w górę, wspina się na kopulasty pagórek, potrząśnięty głazami, zarosły szuwarem i mchami. Odpoczynek. W tej chwili ogień się pali, kotliki stają dokoła między płonącymi gałęzmi kosówki, rozkładają się torby przewodnicze, krążą butelki, czarki z wódką, szklanki herbaty kurzą się z pomiędzy traw — wycieczkowe śniadanie w porządku.

Tymczasem słońce, wznosząc się coraz wyżej ponad wirchami, zaczyna z góry przypiekać, — bliski potok szumi na tle ogólnego szmeru wód dalszych, ogarnia nas senność, chęć spoczynku, wyciągnięcia się na mchach, — i tak leżymy, czas jakiś, w spokoju..

Ale górale ciągle spozierają w górę, gdzie w załomie skał, napół ukryte w cieniu, bielą się wielkie

płaty śniegu, zastawione szczybatymi turniami. Nagle, wszystkie ciupagi zwracają się w jeden punkt: — »Wis go! wis go! hań do cienia!« — Sabała wypatruje pilno — bo tam przy tych śniegach — w tak zwanych Ogrodach — ruszają się pewno kozice. I teraz widać małe stado, wędrujące sznurkiem ku górze, po śniegu. To rumowisko skalne, na którem rośnie trochę halnych roślin, żywionych wilgocią tających nad niem śniegów, jest latem ulubionem pastwiskiem kozic. Przewodnicy nasi, z których niejeden był z fachu koziarzem, a wszyscy mają instynkty myśliwskie, są wychowani w tradycjach kłusowniczych, — nie mogą oczu oderwać od tej gromadki kozic, robią plany wyprawy, jak wejść, skądby zajść i wszczynają opowiadania o rozmaitych myśliwskich przygodach.

Ale trzeba iść naprzód.

Teraz skręcamy trochę ku północy i idziemy wąską, wydłużoną kotliną, wznoszącą się coraz wyżej. Na prawo świat zasłoniiony potarganymi ścianami skał; na lewo mniej stromo, wznoszą się zielonemi upłazami, wysoko na niebo, wirchy, zakończone ząbkami szczybatych turni.

Dno doliny porozpadane, poorane wodami, potrząśnięte wielkimi odłamami skał, miejscami rozściela się w małe polanki, zieleniejące trawami, pogarbione w kopce, porośłe mchami i szuwarem. Potok ledwo szemrze w ogromnem łożysku, powietrze jasne, nasiąkłe słońcem i błękitem, nie drży najlżejszym podmuchem wiatru. W ciszy tej, rozlegają się tylko poświstywania straży świstaczych.

Głos ten działa na przewodników, jak ślad zająca na ogary. Świstak, według górali, jest jednym z tych

tajemniczych cudów [natury, w którego sadle i skórce znajdują się lekarstwa na wszystkie choroby, jakie mogą człowieka trafić.

Więc też, pomimo wszelkich niebezpieczeństw, grożących naszym kłusownikom od liptowskich leśniczych i myśliwców, góral musi mieć świstacze sadło i co rok, w jesieni, kiedy świstaki ułożą się do snu kto tylko może, idzie »grzebsć« w wirchy.

Napróżno, zachowując zupełną cichość, wyteżaliśmy oczy — nie mogliśmy dojrzeć żadnego świstaka. Za to po drugiej stronie doliny, u wylotu wąskiego żlebu, zawalonego śniegiem, stał wielki cap dziki. Nasza orkiestra zagrała mu orawskiego marsza. Przez lornetkę widać było, jak skakał z głazu na głaz, przyglądał się nam i strzygł uszyna; — doświadczouy widać i znający się na przestrzeni, wiedział, że żadna flinta do niego nie doniesie i nikt go nie zgoni. Poszliśmy dalej, zostawiając go, wypatrującego za nami z za szarej turniczki.

Słońce grzeje coraz mocniej; w kotlinie ostawionej ze wszystkich stron wysokimi ścianami gór, nie wieje żaden wietrzyk, — robi się parno i duszno. Opanowywa nas senność i cięży ołowiem na nogach. Słabsi towarzysze przysiadają często, najczęściej Monachijczyk, którego wełniane trykoty na łydkach, zamiszowe majtki i bawarska j o p a prażą niemiłosiernie, a podkute trzewiki na nogach, nieprzywykłych do chodzenia po górach, ciążą haniebnie. Co chwila towarzysz nasz niknie za kamieniami i wychodzi stamtąd z twarzą, zdradzającą coraz mniej zachwyty dla gór. Bezustannie też jesteśmy powstrzymywani w pochodzie na-

wolowaniem przewodnika, który dźwiga na ramieniu »pana ze zadku«, t. j. idącego na końcu.

Wlekliśmy się też długo, i dopiero koło południa stanęliśmy w górnym krańcu doliny, pod stromem, zielonem zboczem, usypanem kamieniami, po którym dźwigaliśmy się w górę na przełęcz Koprową. Był to najcięższy i najpracowitszy od rana moment, chociaż droga nie była wcale trudną, stromą lub niebezpieczną. Ale w nas znużenie, noc nieprzespana, upał i potrzeba spoczynku walczyły z postanowieniem wejścia na górę. Było to przystosowywanie się do gór, wytwarzanie szczególnych, góralskich właściwości organizmu. Jakoż, kiedy nakoniec spoceni wydostaliśmy się na siodło przełęczcy, opanowała nas rzeźwość i wesołość — to przejście, męczące starczyło za odpoczynek, — podbudzenie nerwowe wynagradzało wyczerpanie mięśni.

Siedzieliśmy więc na wielkim grzbiecie przełęczcy.

Pod nami, niezbyt gwałtowna z razu, pochyłość urywała się nagle ponad dnem doliny, w którym leżał staw szmaragdowy, obramowany białymi gruzami, a tuż nad nim gwałtownie piętrzyła się w niebo ogromna ściana, od dołu chropowata od zsypanych okruchów granitowych, na których białały kawały śniegu. Wyżej stożyły się ściany pionowe, porozpadane, potargane, porozrywane szczelinami i wąskimi pasemkami zielonych upłazków. W górze, na niebie sterczały ze ściany dwa potężne szczyty, rozdzielone rozdołem, jak garby potwornego wielbłąda.

Na lewo wiły się mgły wielkie, świecące w słońcu, zakrywając sobą wirchy, których niższe piętra wpierały się w gęstwę chmury. Na prawo od stawu, ku południowi, ziemia zapadała w dół tarasami, złącząciami się

w słońcu rdzawym porostem mchów i białym gruzem zgruchotanych granitów. Dwie potężne ściany turni stały z dwóch stron doliny, rozszerzając się w dali, jak olbrzymie wrota, za którymi widać było żółtawą, słoneczną dolinę, również roztopiającą się, po przez fiołkowe opary, w błękit nieba.

Całe towarzystwo było rade i dobrze usposobione. Przemogliśmy zmęczenie, płuca rzeźwiły się w pysznem halnem powietrzu, słońce otulało miękkim ciepłem, a oczy kąpały się w morzu niezliczonych odcieni i odbłyśków błękitu — od czystego, jasnego lazuru, do ciemnego fioletu i od fioletu do błysków złota.

Wszyscy, nawet nasz kolega malarz, popijając koniak, czuł się dobrze, siedział wygodnie, oparty o skałę, wyciągnąwszy silne nogi, nastroszone dokoła podeszew gwoździami.

Przy nim siedział jego przewodnik, chłop młody, popisujący się znajomością gór i drogi:

— Basta, Satan, Wysoka, a ta, co jom tak mgły otuliły, Cubryna, a to zaś Miegusowskie.

— Gdzie?

— Hań! Przełęczke widzom? Te turnie na lewo to scyt — ka ta wanta wielga — widzom?

— Więc my tam mamy iść? — spytał nagle malarz, stawiając srebrną czarękę z koniakiem.

— Zje tam!

— Kędyż się idzie? — pytał znów z niepokojem.

— Zje prosto dołu, — mówił przewodnik, — będziemy sie spodku chytać!

— Ale jakże tu iść? dokąd!? Przecież tu przepaść — wołał nasz towarzysz, — zerwał się, zatoczył oczami i nagle usiadł.

— E! to ino tak sie widzi! bo to je jest taka bula, dy my przejdziemy powyz niej, zaś sie unizymy — dy tam droga gładka i to wcale nie styrbne miejsce.

Malarz patrzył wyężonym wzrokiem; na twarzy jego malowało się ciężkie wahanie. Góral mówił dalej:

— Kiej zaś zejdziemy w doline i obeńdzie się staw z drugiego końca, widzom? hań! ka te białe skale! hej! Toz to będziemy się uwysać. Het! het! het! po piargu, potem zaś, widzom, ka sie ta woda do słonka świeci? — tu wskazał wysoko, stromą, gładką płaszczynę, lśniącą od wody, ciekącej z płatka śniegu, — to zaś bez te wode, i potem hań! hań! ka te turnie styrbne, toz to takim upłazem powyz źlebu weńdzie się na Przełęc.

W opowiadaniu wyglądało to łatwo i lekko, ale ten lśniący zrębek, wiszący nad przepaścią, po którego śliskiej powierzchni miało się iść, i ta cała potężna, przygniatająca ogromem masa, która wprawdzie zdawała się chropawą, lecz dyabelnie stromą — wszystko to nie robiło tak bardzo miłutkiego wrażenia.

Więc też na twarzy naszego towarzysza malowała się zupełna decepcya.

— Proszę pana! — zawołał na dowódcę wyprawy — to niemożliwe, to szaleństwo, ja tam nie pójdę! Ja nie mogę, ja nie chcę, ja wrócę!

Położenie stawało się przykrem. — Wrócić? Dokąd i kędy? Czyż na wszystkie strony nie czyhały podobne, lub gorsze przepaście?

Rzucono się na ratunek: trzeba było przynajmniej sprowadzić go w dolinę Hińczowych Stawów, skąd już dalej dolinami zeszedłby na Węgry i wrócił koleją do Zakopanego. Lecz napróżno nasz doświadczony dowódca

tłómaczył mu, że to nic nie znaczy, że niema czego się obawiać, że zejście łatwe, — napróżno radził mu, żeby odpoczął, nie patrzył w tę stronę, wypił jeszcze koniaku — wszystko napróżno. Na bladej twarzy i spocnem czole malował się straszny upór: — »Nie pójdę! nie chcę!«

Przyrodnik, pamiętający pomiary tatrzańskich wzniesień, mówił: — »Ależ, proszę pana! do stawu mamy w dół tylko 718 stóp! a od stawu w górę, na przełęcz ledwie 1.115, ponieważ leży on na wysokości 6.204 stóp nad poziomem morza! Przecież pan już wchodził i schodził na Zawrat i z Zawratu — niższego ledwie o 45 stóp od miejsca, na którym pan siedzisz.«

Wszystko na nic! Wiadomości te zdawały się jeszcze pogarszać sprawę.

Starsi przewodnicy wymyślali młodemu, że nie umie »z panem gazdować«, — grozili, że mu blachę z numerem odbiorą, jak będzie tak po głupiemu przewodnikował, — mała stąd pociecha.

Blada twarz, spoczone czoło i okrągłe oczy mówiły jedno: »Nie pójdę!«

Panika jest zaraźliwą. Zrozumiałem teraz, jak wojkiem rozbitem owłada ten najstraszniejszy wróg — strach, który rozdmuchuje armie potężne, jak kurz, na wszystkie strony świata. Kilku moich przyjaciół siedziało bladych, milczących, lub kopało gorączkowo ciupagami darń zieloną. We mnie budził się strach, który starałem się przewyciężyć, zaciskając zęby tak, że się o mało nie potrzaskały.

— Niech go dyabli wezmą! — mówił mój najbliższy towarzysz. — Trzeba go zostawić, bo wszyscy pozlatujemy z taką małą!

Byliśmy po raz pierwszy w górach; to, co nas czekało, było tajemnicą; wyczerpanie po trzydziestu godzinach marszu, bez snu, osłabiało; a zresztą, któż tam wie, jak się strach udziela? jak się udzielają ludziom te wielkie impulsy, które ciągną całe tłumy na pasku jednej myśli lub uczucia?

Wiedział o tem coś nasz towarzysz — hypnotyzer! Właśnie nasz dowódca odprowadził go na bok, w dół głęboki, rodzaj niezajętego świeżego grobu i tajemniczo coś mu mówił. Tamten się wzbraniał. Słysząc było, że mówią po francusku, wytrzęsali przytem rękami, a na twarzach widniały frasunek i zakłopotanie.

Na rekrutów taternictwa cała ta sprawa i tajemnica oddziaływały w sposób coraz gorszy. Odwróciłem się i, zapaliwszy cygaro, które gryzłem niecierpliwie, starałem się wyciągnąć Sabałę na gawędę.

Kiedyś się znowu obejrzał, hypnotyzer klęczał między rozstawionemi nogami wybladłego Tyrola i odbywał nad nim swoje tajemnicze praktyki... Ostatecznie, zdobyto na malarzu tyle, że się dał podnieść i wisząc na ramionach dwóch górali, zaczął się staczać na dół, przebierając nogami, jak zdecydowany tabeśnik. Cała fantazya i wdzięk tyrolskiego stroju poszły na nic. Rozpięta jopka, kapelusz z pomiętem piórem zsunięty z czoła, alpenstock i torebki w ręku przewodników — i tak jechało to w dół, piszcząc w żwirze kuteimi podszwami i puszczając z pod nich drobne kamienie.

Ci, na których robiło to przykre wrażenie, ja w ich liczbie, wysforowali się naprzód i starali się być jak najdalej od tego widoku, od wszelkiej rozmowy i słychu o nim. Biegliśmy też na dół, nie zważając na prze-

wodników, którzy się starali utrzymać nas na perci, wołając: — »Poleku! poleku!«

Zeszliśmy w dolinę, pooraną wielkimi rozpadlinami, pogarbioną w kopulaste wzniesienia, porośnię mchem i trawami, zavaloną rumowiskiem skalnym. Na prawo widać było, gdzieś niżej, z pod nastroszonego głazami brzeżku, skrawek ciemno-błękitnej wody stawku. Wyszliśmy przez wznoszące się na lewo wzgórze, nad wody dużego, spokojnego stawu, w którego ciemnym błękitnie przeglądały się turnie Mieguszwskie, i mgły, zwijające się ciągle nad Cubryną.

Słońce piekło dotkliwie, — w powietrzu unosił się zapach rozgrzanych mchów, traw i kwiatów halnych.

Ta kotlina, ostawiona pysznemi, malowniczymi i potężnymi wirchami, błyszcząca słońcem, grająca bogatym przeciwstawieniem barw granatowo-seledynowego stawu i złoto-rdzawych mszarników, nie robiła wrażenia dziczy i pustki. Owszem, byłoby tu zacisznie i spokojnie leżeć w mchach pachnących, nad błękitami wód, w których się topił błękit nieba, — gdyby — gdyby nie strach naszego towarzysza i niepokój, który nam kołatał do myśli.

Sprowadzono nakoniec z trudem Monachijczyka; usadzono na pysznem wężgłowi z mchu, popodkładano torby, pledy i góralskie cuhy. Wielka gąbka, umaczana w zimnej wodzie stawu, leżała na jego głowie i miała go otrzeźwiać; rozpalono ogień, uwarzono czarnej kawy, — każdy, najlepsze specyały, najwykwintniejsze trunki, co tylko kto posiadał dobrego, wszystko ofiarowywał mężnemu towarzyszowi. Dokoła niego zebrali się najprzytomniejsi, najwymowniejsi i najdowcipniejsi towarzysze; opowiadano mu sprośne anegdoty,

śpiewano birbanckie piosenki. On siedział, jak Dalaj Lama, dawał się obsługiwać, niańczyć, bawić się, tumanić i stopniowo wracał do siebie, nabierał koloru, a jego ładna twarz uśmiechała się dobrotliwie i z zaufaniem do przewodników.

Myśmy się też rzeźwili w seledynowej wodzie, trzymając się zdala od głównego bohatera chwili i opanowywali do reszty uczucie strachu.

Czułem, że we mnie jest dwóch ludzi, z których jeden boi się i ciągle widzi bladą, wystraszoną twarz i spocone czoło Monachijczyka, — a drugi bierze mnie za łeb i prowadzi. I głównie ta wola, napięta do ostatka, nie wyłącznie wiara w przewodników, lub ich pomoc, może człowieka zewsząd wyratować i wszędzie wyprowadzić. Kto jej nie ma, albo nie jest obdarzony zupełną niewrażliwością na przepaście — niechaj siedzi w domu.

Ruszamy. Monachijczyk, orzeźwiony, przybrany porządnie, wsparty na ciupadze, gdyż cienki alpenstock przestał w nim budzić zaufanie, idzie mężnie doliną, przechodzi po kamieniach, sterczących ponad wodą, małą odnogę stawu; zachowuje się mężnie i klnie po bawarsku: — »Sacra di no a mo!« — dla fantazyi.

Zaraz za wodą, rumowisko skalne pnie się gwałtownie w górę, na niem leżą płyty śniegu, potrząśnięte kamieniami, okurzone, brudne łachmany zimy, od których nawet żaden chłód nie wiał w ciepłe powietrze popołudniowej pory.

Natychmiast zaczynamy się szykować, przewodnicy i podróżni kolejno jeden nad drugim.

Więc mamy iść na tę bestyę?

Doznaję uczucia, jak gdybym wchodził do denty-
sty, — nie chcę, a muszę — i idę.

No! w porządku! ruszamy — marsz!

Lecz w tejże chwili, zachrobotwały żelaziwa tyrol-
skich trzewików i nasz towarzysz skoczył w dół i za-
czął uciekać w stronę widniejących w dali węgierskich
równin, przeciętych szarą nitką kolejowego toru.

— Ja nie chcę! proszę mnie puścić! Ja nic nie chcę!
Ja sam pójdę! Proszę mnie zostawić! — wołał zduszonym
głosem, a za nim pędził przewodnik i łapał go
wpół, jak cielę, które uciekło ze szlachtuza.

Spojrzałem w górę na mego najbliższego są-
siada, — twarz jego była zieloną. Czułem, że jeżeli
w tej chwili nie wezmę siebie za łeb i nie wstrzymam
szturmującego do mózgu strachu — to po mnie. Czu-
łem zresztą, że wzruszenie i niepokój jest dokoła...

No, uładzili się w końcu z malarzem, — zosta-
wiono mu przewodnika, który miał go odprowadzić do-
linami do kolei.

Zawracamy w górę i idziemy. Milczenie. Tylko
pod wspinającymi się nogami dygocą ostre, trące się
o siebie granitowe gruzy.

Przewodnik zaczyna coś mówić o znikłym mala-
rzu, proszę, żeby dał pokój, żeby o nim nie wspominał:
— »Milczcie do dyabła!« — wołam w końcu z gniewem
i prowadzę siebie w górę.

Wznosimy się gwałtownie ku górze, po ruchomych
głazach. Ktoby chciał wiedzieć, jak to wygląda, niech
wyobrazi sobie prostopadłą ścianę, wysoką, bardzo
nawet wysoką, przy której usypano okruchy skał —
żadnych osłon, żadnych poręczy.

Za każdym zakosem człowiek czuje, że się chwieje coraz wyżej ponad ziemią.

W pół góry, może, stajemy na odpoczynek. Każdy na głazie, na którym stała jego noga, — jedni nad drugimi, dotykając nogami kapeluszy tych, co są niżej, a kapeluszami łydek tych, co są wyżej.

Weszliśmy do cieniu, dyszącego chłodem; a że mam reputację popsutą, wskutek dłuższego pobytu w Meranie, więc nasz dowódca, a mój przyjaciel, troskliwy o moje zdrowie, mówi tonem przekonującym:

— Włóżcie serdak!

Tu, robi się coś nadzwyczajnego. Nigdy nie mam zwyczaju klócić się o rzeczy małe i serdak, dla przyjemności przyjaciela, włożyłbym nawet w upał; tym razem napięcie woli, którem pokonałem strach, jest tak silne, iż przechodzi w upór na wszystkich punktach. Odpowiadam też ostro:

— Dziękuję! nie potrzebuję!

— Ależ włóżcie! — mówi już z niecierpliwością dowódca.

— Mówiłem już panu, że nie włożę!

— Podajcie panu serdak! — woła nasrożony przyjaciel na przewodnika.

Ten wyciąga z dołu rękę z serdakiem i mówi:

— Włóżcie, panie!

— Idźcie do stu tysięcy dyabłów! Nikt was o to nie prosi! — odpowiadam z gniewem. Przed oczyma memi przesuwają się blada twarz i spocone czoło wystraszonego Monachijczyka, — zaciskam zęby i zaczynam wstępować, w milczeniu, w górę.

Myślę przytem: — »Serdakiem mnie będą częstowali! Przecież ja tu za siebie odpowiadam. Oni za

mnie nie polecą w przepaść; nie będą za mnie nóg stawali, ani rozbijali sobie łbów o granitowe skały!

W ogólności, uwagi jakież w takich razach, nauki dawane przez przewodników, a najbardziej wszelkie ustawianie nóg przez kogoś, są najkrótszą i najłatwiejszą drogą do dna przepaści. Tylko zupełna wiara w siebie, poczucie samodzielności i niezależności zostawia swobodę umysłu, konieczną do wybierania drogi, do umiejętnego stąpania, do walczenia z górą.

Nikt mnie już teraz nie proponował serdaków, nie radził, nie pytał o nic.

Szliśmy w górę, przystawając na coraz wyższych piętrach granitowego gmachu. Wskutek perspektywicznego skracania się wszystkie szczyty, występy, głązy malały ku dołowi i nabierały powietrznego koloru, i im wyżej, tem dotykaliśmy się czuło, że się wisi w powietrzu. Ściana jednak skał, ku której zbliżaliśmy się, służy za zasłonę, z jednej przynajmniej strony. Przechodzimy po śliskim, ociekłym wodą zbocz, które zbliżając się do dna doliny, do brzegu stawu, leżącego tam na dole w obramowaniu z białych skał i mchów złotych.

Przesuwamy się tuż około ściany granitowej nad przepaścią, i wdrapujemy się na strome zbocze, wiszące nad samym żlebem; nogi przywykłe do stąpania po twardym, dźwięcznym granicie, z niepokojem stąpają po trawiastym upłazie.

Chłodno, jakiś wiatr przeciąga wielką wyrwą między dwiema ścianami ciemnych turni; — za nami

rośnie przepaść i przestrzenie powietrza, jeszcze kilka kroków i...

— O! psia...!

.....

Pierwsze wrażenie jest uczuciem tracenia równowagi; zdaje się, że głowa zanadto ciężka, że się człowiek chwieje na wietrze, stojąc na ostrym zrębie, dzielącym dwie przepaście — jedną, z której wyszliśmy, i drugą, w którą mamy schodzić. Więc też ludzie nieotrząskani z temi wrażeniami, czują potrzebę natychmiastową sięść, lub położyć się — naturalnie, jak najdalej i nogami w przeciwną stronę, od przepaści, która zdaje się pociągać, ponieważ ciągnie tam do dna oczy. Człowiek nie patrzy przed siebie, jak przywykł, tylko w dół, a że zawsze za wzrokiem idą pobudki ruchu, więc też za spojrzeniem, coś rwie na dno. Idąc przez parę godzin z tamtej strony, przywykło się mieć przed sobą skałę z jednej przynajmniej strony: — stałą ścianę granitową, silną, potężną, twardą — tu, nagle, nic z tego!

Pod nogami, bez żadnej przerośnię, leżało Moriskie Oko, niewielka tafla błękitu, na którą od Mięgużowskiego wirchu padał cień, koloru ciemno-wiśniowego. Z jednej i drugiej strony od brzegów, okolonnych białą smugą piargów, wznosiły się góry okryte cieniem limb, świerków i kosodrzewiny, która coraz drobniała, rzędła ku górze, aż znikła, a z nad błękitnawo-zielonych upłazów występowały szare, zębate, nagie turnie. Stoki tych gór poorane, od szczytu do brzegów jeziora, żlebami, zawałonemi białemi okruchami granitów.

Z za tych szczytów wyglądały, z prawej i lewej

strony, czuby oblane słońcem, lub fioletowym cieniem, jakichś dalszych, wysokich wirchów.

Za Morskiem Okiem ciągnęły się lasy granatowe, wznosząc się coraz jaśniejszemi smugami do krańców widnokręgu. Jak olbrzymie fale oceanu, rozkołysane w powietrznej dali, wznosiła się ziemia górami i opadała dolinami, aż się rozplynęła, roztopiła w błękiecie nieba, którego bezmiary jasne i czyste płynęły nad nami.

Siedzieliśmy »Na przełęczy«, w siodle, między dwiema turniami, z których zachodnia, wirch Mięgu-szowski, sterczała na niebie chwiejną piramidą, ze ścianami, spadającemi, od północy, w przepaść z przerażającą pionowością.

Kiedy niektórzy z naszych towarzyszków przybie-rali najwdzięczniejsze pozy, nad samym skrajem prze-paści, dla skokietowania dam, które ich miały obserwo-wać ze schroniska nad Morskiem Okiem, — tymczasem strzelono na znak z rewolweru, na co odpowiedział mō-dziej z dołu, zbudziwszy straszliwy warchoł ech, które się długo rozlegały we wnętrzach gór, podobne do pot-wornego warczenia i ryku gryzących się strasznych bestyj.

Górale usiedli, zwiesiwszy nogi w przepaść i grali marsze i tańce.

Wszystko to jednak nie mogło zmniejszyć głębi przepaści, która zdawała się tem okropniejszą, że nigdzie nie było widać śladu drogi.

I właściwie nie świadomość niebezpieczeństwa, tylko odczuwanie własnej nicości, marności swoich sił wobec potęgi góry, działała tak przygnębiająco.

— Kędyż pójdziemy? — pytaliśmy się my, któ-

rzyśmy po raz pierwszy patrzyli na świat z tego punktu widzenia.

— Zje tędy! — pokazywał przewodnik na skałę, mało co odchyloną od pionu, chropawą wprawdzie, lecz w cieniu, który ją okrywał, nie znać było żadnej perci. Nie pytałem więcej. Paliłem w milczeniu papierosy, dano mi szklanekę wina — piłem — i nagle przypominała mi się blada twarz i spocone czoło...

— A bodajże cię!

Przyrodnik roztaczał przed kimś swoją erudycję taternicką: »Przełącz, mówił, jest wzniesiona na 7.319 stóp wiedeńskich nad poziom morza, Morskie Oko zaś na 4.379, czyli, jesteśmy nad przepaścią, mającą 2.940 stóp głębi — czyli około wiorsty« — recytował, jakby wykladał komu lekcję. — »Proszę sobie wyobrazić 55 kamienic trzypiętrowych, postawionych jedne nad drugie, i to, że się stoi na gzemisie kamienicy najwyższej znajdującej się...«

Wyobraziłem sobie w tejże chwili, i zejście w przepaść wydało mi się znacznie przyjemniejszym od stania na gzemisie, nawet jednego trzypiętrowego domu.

— »Zresztą« — mówił dalej przyrodnik — »niema obawy, żeby kto doleciał do dna, ponieważ przedtem roztrzaska się o pierwszy wystający gzemsik, tak, że z niego zostanie tylko plaster — raczej tylko plama na skale«.

To ostatnie zdanie, wypowiedziane tak spokojnym tonem, — ta podróż w przepaść skrócona, załatwiona zapomocą zamienienia się w plamę, — wszystko to wywoływało jakieś przyjemne, uspakajające wrażenie.

Nie u wszystkich jednak!

Jeden z podróżnych wstał nagle, podszedł do wpa-

trującego się w dół dowódcy, i mówił mu z podrażnieniem: — »Proszę pana, ja się dziwię, jak pan mógł mnie dać takiego przewodnika! Jakiś chmyza, niedołęga — cóż on mnie pomoże?«

Ledwie odszedł jeden — drugi wstaje, błądy jak ściana, żuje wąsy i żalonym głosem wyrzeka: — »Ja jestem pierwszy raz w takim położeniu, a pan mi dajesz przewodnika, którego jabyłem mógł uczyć, jak się chodzi! A tamci panowie, stare taterniki, mają najlepszych! Czy to się godzi? Gdybym ja wiedział, co mnie czeka, tobym wolał zostać na dole — z takim przewodnikiem, co dobry może na Kozieńcu, ale nie na takim Bravourtour!«

Nieprawda: Przewodnicy byli tędzy — tylko że i strach był tęgi.

No, ale iść trzeba — więc ruszamy. Po kolei wchodzą na gzemsik turni z prawej strony: — przewodnik, za nim podróżny, i tak na przemiany. Sabale, który mało już widzi, przystawiono dwóch przewodników, ale tak, żeby on o tem nie [wiedział, boby się shańbił. — On! dla którego wirchy i przepaście tyle znaczyły, co dla orła!]

Droga ma szerokości stopę, często mniej, czasem trochę więcej. Na lewo przepaść, pod obcasami Morskie Oko; — na prawo skała, o którą się można oprzeć, odchylając się od otchłani, — za którą jednak nie można się ucześcić, ani przytrzymać. Ktoby się [tu pośliznął, tego nikt i nic nie wstrzyma; — bo ten, coby chciał ratować, nie ma żadnego punktu oporu, żadnego przyczepienia. Wpływ przewodników jest tylko czysto moralny. Widok silnych i pewnych nóg [białych, które pewnie, zręcznie i zwinnie zstępują przed podróżnym,

unosząc się lekko ponad błękitem przepaści, z takim spokojem, jakby szły po wielkiej równinie, — widok ten uspokaja, wzbudza ufność i obniża urok przepaści. Więc też guzik na pasie przewodnika, świecący z tyłu, jest punktem, na którym chętnie spoczywa oko podróżnika, który woli nie uświadamiać sobie swego położenia i nie zachwycać się takimi cudami natury, z których patrzą oczy śmierci.

Pierwszych kilkadziesiąt kroków idziemy w milczeniu; słyhać tylko stukanie kijów, ciupag i odgłos kroków. Kiedy niekiedy basetła, niesiona na grzbiecie, zaczepia o skałę strunami i swoim buczeniem rozprasza trochę to skupienie ducha, w jakim zstępujemy do otchłani.

Nagle słyhać głośne cmoknięcie, i ktoś mówi wesoło: — »Wiesz co, Władziu, mam dla ciebie uszanowanie!« — To ten, [który niedawno wyrzucał, że ma złego przewodnika, zdziwiony własną odwagą, całuje siebie w rękę i wyraża swoje uwielbienie z humorem.

Skończyło się ze strachem!

Gzemsik, po którym idziemy, zdaje się nam nagle szeroką drogą, lub wielkim chodnikiem asfaltowym, — a jest tak wąski w tej chwili, że z trudem dwie nogi obok siebieby się na nim zmieściły. Zaczyna się rozmowa, zapalanie papierosów. Niema przepaści! niema niebezpieczeństwa! Wszystko jest tylko w człowieku, nic poza nim!

Ten pan, idący teraz tak śmiało i wesoło w miejscach, gdzie możnaby zawołać: »I ręką tam nie wskazuj, nie masz u rąk pierza!« — przed chwilą robił sceny, siedząc na szerokim upłazie, — liczył tylko na przewo-

dnika, nie przypuszczał nawet, że sam zejdzie, że go nie poprowadzą, lub nie poniosą.

Gzemsik biegnie na dół, zaginając się po załomach turni. Na przodzie widać zgrabną figurę przewodnika, który idzie znacznie dalej przed wszystkimi, pokazuje się na zakrętach i znów niknie za ścianą skały. Idziemy teraz swobodnie, patrząc, bez najmniejszego wrażenia niepokoju, na leżące pod nogami Morskie Oko, zalane blaskiem słonecznego światła; widzimy smukłe smreki, i kopulaste limby, i białą nitkę potoku, wypływającego z jeziora i ginącego wśród ciemnych lasów.

Prostopadłe ściany Miękuszwowskiego wirchu stoją ciemne, gładkie, okropne!

Przychodzimy nad jakiś bardzo stromy żlebek, rodzaj rynny granitowej, zawieszonej przy ścianie. Ciemno tu, chłodno, skała czarna, gładka, a w dole widać jasną, powietrzną przepaść. Zsuwamy się tą rynną w dół po klamrach żelaznych, bez których nie byłoby na czym nogi postawić. U dołu ze żleбку, perć przeluzca się na rodzaj ogromnej szkarpy, przypierającej do gmachu turni, wisi na wężutkiej szczerbce skały, w którą wbite są znowu klamry; za nie się trzyma, przesuając się ponad przepaścią, otwartą ku Czarnemu stawowi. Na tej wąskiej szkarpie, »buli«, jak mówią górale, otoczonej zewsząd przepaściami, odpoczywamy. Dzicz straszna dokoła.

Nad nami wiszą skały, po których niewiadomo jak zeszliśmy; za nami zieją paszcze przepaści; wszędzie potrzaskane, potargane, czarne łomy granitu i płyty wiecznych śniegów w ciasnych i ciemnych szparach żlebków; — na szkarpie trochę mchu rudego i dziedzielnicy trawy porastają. Zimno i ciemno, bo strona pół-

nocna, a czarne skały nie odbijają dalekich światła, zalewających resztę świata, leżącego pod nami.

Jesteśmy w pysznym humorze; orkiestra zaczyna grać i przewodnicy na wąskim brzeżku, nad urwiskiem, tańczą swobodnie, objuczeni torbami. Nagle, zaczynają krzyczeć przeraźliwie i machać kapeluszami w stronę Miękusowskiego szczytu. Tam, wysoko, na tle nieba, nad samym zrębem, spadających prostopadle z nagłością błyskawicy ścian, czarnych, widać małą sylwetkę tańczącego górala — czyjś przewodnik wypatrzył nas i opowiada się towarzyszom, gdzieś z pod nieba.

Ze szkarpy ścieżka spada gwałtownie na dół, za łożyskami wód, podarta, zasypana gruzem, błędna, rozgałęzia się w mnóstwo wężykowatych wyżłobień; przechodzi koło wielkich płatów wiecznego śniegu, podtającego od dołu, sączącego, na leżące pod nim gruzy, kroplę po kropli, kryształową wodę. U dołu buli trafiamy na zwał potężnych gładów czarnych, spękanych, strząśniętych gdzieś ze szczytu dokoła równych krzesanic, silnemi złomami wpierających się w rumowisko. Po tych ogromnych, nieforemnych gładach idzie się, wtaczając się w górę, spadając na dół, przeskakując nad wielkimi między niemi otworami. Opoka granitu chropawa, szorstka, doskonale trzyma stopę na najstromej pochyłości; odgłos, który wydaje przy uderzeniu obcasem lub kijem, jest dźwięczny, granit wzbudza zaufanie, śmiało się nań stawia nogę i po nim chodzi.

Nie tak, jak gąbczaste, wyświechtane, kruszące się, zradne wapienie. Jeżeli w naturze coś może być tanętnego — to są skały wapienne w porównaniu z granitem. Przybierają one wprawdzie fantastyczniejsze, dzi-

wniejsze kształty, — ale właśnie dlatego, że woda i powietrze łatwiej je niszczą.

Z pod czarnych krzesanic, chropawą wyrwą, wyżłobioną między głazami i piargiem, idziemy w dół; okalamy wielkie przypory granitu i wchodzimy na pochyłość, zasypaną ruchomemi głazami, wśród których zieleni się szuwar i kity paproci; znowu zwracamy się w górę, wprost na turnie, i wychodzimy na grzbiet usypiska.

Pod nami, w dole, leży zwierciadło stawu w kotlinie ze szczerzej skały. Szare, poplamione płatami śniegu, strome, niedostępne turnie dźwigają się prawie prosto z wody, wysoko na niebo, — a drugie także skały łbami na dół widać było w stawie, który nie drżał najmniejszą zmarszczką fali. Górale mówią, że to widać »tamten świat, drugi«, — jest to Staw Czarny pod Rysami.

Schodzimy nad jego wody, otoczone z trzech stron amfiteatrem skał, podpartych usypiskami gruzów, na których widnieje pod śniegami trochę porostu; — zresztą lite skały, z jednej strony wiszące potworną, pochyloną ścianą, przegładają się w martwej, nieruchomej wodzie, utrzymywanej w tej kotlinie naturalną groblą granitową, przez którą zlewa się jej nadmiar szumiącym, spienionym potokiem do, leżącego pięćset stóp niżej, Morskiego Oka.

Leży ono, tam w dole, pod nami, ciche, ciemne, tajemnicze, osłonięte cieniami gór, połyskujące przy brzegach srebrnymi smugami, wchłaniające w ciemne swoje wody odbicia otaczających je potężnych, mrocznych wirchów. Podmuch wiatru przeciąga nad wodą,

która się skrzy przez chwilę srebrnym błyskiem i znowu wygładza się w ciemną, miękką taflę.

Schodzimy nad brzeg, gdzie nas czeka tratwa, świecąca, jak złoto, jasnym, nowem drzewem świerkowem, na tle ciemnej, granatowej wody.

Przewodnicy nasi idą pieszo dokoła jeziora, wrzeszcząc:

Wsyćkie wirchy przeseł, wsyćkie przewędrował,
Przyseł do Morskiego, tam se zanocował, hu!

Zabieramy na tratwę Sabałę i płyniemy.

Po tych wirchowych, powietrznych krajach, z których zstąpiliśmy na toń gładką, doznaje się wrażenia jakiegoś bezmiernego zakłęśnięcia się, zagłębienia tej doliny — poprostu czuję, że jestem na dnie. Potworny gmach Mięguszowskich turni, po którym schodziliśmy przez cztery godziny, zdaje się tak strasznie wysokim, tak naprawdę niebotycznym, nam, którzyśmy niedawno patrzyli z jego szczytu w dwie strony świata bez granic. Chociaż słońce ukryte tylko za górami, ciemna woda i ciemne skały i lasy wywołują wrażenie wieczornego mroku.

Dzień cały spędziliśmy, wysilając się na pokonanie trudności drogi; czuliśmy ciągle osobistą odpowiedzialność za każdy krok, za ruch każdy; przywykliśmy patrzeć z góry w przepaść, której dno mierzyliśmy dokładnie okiem, jak je wyraźnie, ze wszystkimi szczegółami, widzieliśmy; przywykliśmy też do granitu, do tej pewnej, silnej, stałej podstawy. Teraz, stojąc na tratwie, pchanej przez kogoś, kołyszącej się zlekka, niezależnie od naszej woli, wiszącej nad czarną,

tajemniczą głębią, — w czemś tak różnem od niewzruszonych złomów granitowych, w miękkim atlasie wody, lśniącym, skrzącym się, ruchliwym, rozstępującym się pod uderzeniami wiosła, — naraz, czuje człowiek całą różnicę swego stosunku do wody i skały; widzi, że te wszystkie środki, któremi walczył z górą, są tu na nic, że znowu jest wobec czegoś nieznanego, do czego musi się przystosować, lub co potrzebuje opanować.

To są dalsze refleksye — ale pierwsze wrażenie nie wyrozumowane, wywołuje poczucie niepewności i nieufności.

Przybijamy do brzegu, robiąc wielkie wrażenie wśród publiczności, zebranej na galeryi schroniska.

Niektórzy z naszych towarzyszków, odrazu odczuwają urok dam, przyglądających się z góry i w tejże chwili nabierają wdzięku, który im był tak niepotrzebny i tak zresztą niemożliwy do zachowania, przy złączeniu na grzbiecie po klamrach.

Lecz góry, Morskie Oko, nawet nasz głód i zmęczenie, nawet damy — wszystko niknie wobec piorunującego wrażenia, jakiego doznajemy na widok dwóch, — dwóch czystej wody Anglików! Nakoniec! nakoniec! Koło cywilizacyi zaczepiło o nas nareszcie! Tatry otrzymają chrzest sportowo-rycerski! Nakoniec są Anglicy!

I jacy jeszcze! Pokratkowani tak, jak gdyby mieli służyć za warcabnice; w szkockich pończochach, w trzewikach, z krótkimi fajkami w zębach — słowem Anglicy, jakich przywykliśmy widzieć w *Graphic'u* lub *Illustrated London News*. Jeden olbrzym »z istic brytańską flegmą«, jak twierdził dziennikarz, pisujący korespondencye z Londynu w Warszawie, — przyglądał się nam przez monokl, trzymając pod pachą albumy.

Drugi, mniejszy, zdawał się szczytem flegmy, lordowskiego spokoju, pychy i »przebiegłości synów Albionu«, jak twierdził tenże sam dziennikarz, który tłumaczył nam też: »że Anglik nie jest wprawdzie tak dumnym, jak Hiszpan, jest jednak zimniejszym od gorącego Francuza«.

Po chwili wahania, jeden z naszych, biegły w rozmowach z cudzoziemcami, podług Ollendorfa, przystąpił do olbrzyma i spytał, jak można najniwyraźniej — po angielsku: — jak mu się nasz kraj podoba?

— It is my country! (to jest mój kraj) — odpowiedział na to z siłą głębokiego przekonania i dumy »syn Albionu«, wyrzucając, drgnieniem powieki, monokl z oka.

Zdumienie! Jak to! już zaanektowali? Dwóch ich jest i już mówią tak, jak gdyby ich pancerniki: »Formidable«, »Invincible« i t. p. potwory, of Her Majesty Navy kołysały się na falach Morskiego Oka!

Już miał wystąpić do walki dziennikarz, biegły w kontrowersjach dyplomatycznych, kiedy mniejszy Anglik, z pewnem zniecierpliwieniem, rzekł po polsku, z silnym cudzoziemskim akcentem:

— Ten pan jest takim samym Polakiem, jak ja i panowie.

»Więc było po uroku, po czarach, po dziwie!...«

Nasi Anglicy mieli tylko kratki, pończochy i akcent angielski — akurat to, co zwykle my bierzemy, za pośrednictwem klas wyższych, od cudzoziemców.

— Więc pocóżeś pan, u dyabła, ubrał się tak i odpowiadał po angielsku? — krzyknął do olbrzyma jeden z nas z irytacją.

— Gielgud! Tell him I do'nt speak polish —

rzekł olbrzym do mniejszego Polako-Anglika cichym głosem.

Znowu zagadka! Nic bestya nie rozumie po polsku! Niedługo nastąpiło wyjaśnienie. Olbrzym nazywał się Bronisław Jazdowski, był lekarzem of Her Majesty Army. Jego »flegma« była spokojem, zdobytym na polach bitew w Indyach, lub Egipcie, pod Tel-el-Kebirem czy gdzieś tam, — w spotkaniach wśród dżungli z tygrysami, lub wyłapywaniu okularników — z pod własnej poduszki! Matka jego była Szkotką, ojciec odumarł go kilkoletnim chłopcem, zostawiwszy mu imię, nazwisko i dukata z Matką Boską. Z temi pierwiastkami polskości Jazdowski przeszedł świetnie karierę wojskową, kilkanaście lat w Indyach, resztę w Egipcie, i wszędzie nosił z sobą tęsknotę do nieznanego mu »native country«.

Z chwilą też, w której został zaliczony do rezerwy, miał czas i swobodę, przyjechał do swego kraju.

Drugi Anglik, to Adam Giełgud, którego nazwisko spotyka się przy każdej sprawie, dotyczącej Polaków w Anglii, niemniej jego literacko-dziennikarska działalność służyła i służy gorliwie sprawie poznamienia angielskiej publiczności z rzeczami polskimi. Giełgud, urodzony też na obczyźnie, lecz wychowany w rodzinie polskiej, zachował nietylko myśl, ale i mowę polską. Jest on dziś wysokim urzędnikiem angielskiego ministeryum wojny.

Jakkolwiek trudno się było pogodzić z myślą, że jeszcze nie przyjechali prawdziwi Anglicy, — jednak, poznanie dwóch takich Polaków, sprawiło nam nadzwyczajną rozkosz.

Przyznawać się do bogatych i możnych krewnych, będąc w nędzy — nie jest zaszczytnem, ani trudnem. Ale będąc obywatelami tak potężnego państwa, jak Anglia, używając w zupełności nadzwyczajnych przywilejów tego obywatelstwa, być dumnym, że się pochodzi z kraju, stojącego na wprost przeciwnym biegunie losu — tego byle kto nie robi.

Native country bardzo im się podoba. Jazdowski, który chodził po najwyższych szczytach Himalajów, znajduje, że Tatry są najpiękniejszymi górami na świecie, a Krupówki w Zakopanem wcale nie gorsze od Piccadilly! W towarzystwie swoich countryman'ów przebywa po sześć godzin i słucha, jak najpiękniejszej muzyki, ich mowy, której nie rozumie!

Obadwaj robią wrażenie ludzi, którzy, mogąc być zupełnie zdrowymi, zabili sobie pod paznokieć drzazgę — polskość — i cieszą się nią...

O rodakach, których poznali w Tatrach, mówią, że zaprędko chodzą, a za często odpoczywają, jedzą i piją, — uwagi całkiem słuszne.

Oczywista rzecz, że nasza słowiańska ekspansywność musiała się przejawiać w chęci ucałowania rodaków. Tu pokazało się, że jesteśmy wychowani w innych formach stosunków. Kiedy jeden z naszych rzucił się na szyję olbrzymowi i chciał go gwałtem pocałować, ten, przywykły do ściśnięcia ręki i »Good bye«, zachwiał się, monokl wypadł mu z oka, nie wiedział, co z nim chcą zrobić — tak, że ostatecznie nasz towarzysz pocałował go w kark.

No, dobre i to!

Na galeryi schroniska ścisk był wielki. Damy i mężczyźni tłoczyli się w wąskim przejściu, depcąc

po nogach podróżnych, siedzących za stołami, którzy jedząc, patrzyli z pod oka na stojące naprzeciw Mię-guszowskie turnie i ciemne jezioro u dołu. Przewodnicy krzatali się około panów, nosząc z kuchni jajecnicę, piwo, kawę, mleko — każdy dbały o swego podróżnika.

Kto budował to Schronisko?

Popisane ono jest od góry do dołu nazwiskami turystów, — ale najgodniejszego nazwiska: twórcy tej budowy niema. Szkoda!

Najlichsza koliba juhasów ma swój wdzięk, ma swoją logikę, charakter, ze względu na to, gdzie, na co i przez kogo jest zbudowaną. Ale taki chlew, jak ten, który bezimienny budowniczy wznosił w miejscu naj-sławniejszym z piękna na całym obszarze kraju — jest poprostu odrażającym. Jest to coś przedkultur-nego — jest to Holzconstruction, jak mówią profesorowie szkoły snycerskiej w Zakopanem, zredu-kowane do najprostszyc pierwiastków budownictwa. Cztery ściany i dach, trzy izby, kurytarzyk i kuchnia, potwornie ciemna, brudna nora z ogniskiem, tlejącem pod okapem. Od strony Morskiego Oka »galerya«, z której ma się przyglądać »cudom natury«. I cudne też one być muszą, żeby potracany i deptany po no-gach turysta mógł się nimi zachwycić, a zwłaszcza, żeby jego uniesień nie mącił skrzyp dwojga drzwi bez napisów... prowadzących z tejże galeryi...

Są jednak natury tak poetyczne, że ich nic nie oziębła w zapale, nic nie krępuje.

Żydek, który się przesunął przed nami na Zawra-cie, siedział teraz w kącie galeryi, najbliższym owych drzwi fatalnych, i pisał, w książce pamiątkowej sonet po niemiecku na cześć Morskiego Oka, wyśpiewawszy

przedtem czterowersz hebrajski i następną zwrotkę po polsku:

Byłem przy Morskiem Oku,
Zachwył, czar i raj!
Powrócę w przyszłym roku,
Daj Boże! daj!

Antysemita podpowiadał: »Aj! waj!« lecz musiał się zgodzić, że hebrajska apostrofa, w której poeta wołał: »Chciałbym mieć tysiąc oczu, żeby patrzeć w twoje jedyne!« wyrażała z siłą i charakterem jego temperament.

Te książki pamiątkowe muszą jednak mieć głęboką psychologiczną rację bytu, skoro tylu ludzi w nich pisze i jak pisze!

Jakakolwiek jest dusza, która czuje potrzebę przełania nadmiaru uczuć do »skarbnicy pamiątek«, maluje się ona jasno, albo w naiwnym wykrzykniku, albo w dobieranych starannie słowach, w pensyonarskich ach i och! w ciężkich sentencyach, albo prostem skonstatowaniu swojej obecności, lub opisaniu trudów podróży.

»Przyszłam przez Zawrat do Morskiego Oka prawie sama (z przewodnikiem i towarzyszem!), przebyłam straszliwe niebezpieczeństwa — odtąd żadne przeciwności, ani przeszkody nie powstrzymają mnie w drodze do celu!

»Jadwiga z Warszawy«.

Tak zawiadamia potomność, tuż nad hebrajskim czterowerszem, o swoich czynach jakaś pani, przejęta do głębi uwielbieniem dla siebie — zapominając o Tatrach.

Noc zapadała. Dno doliny mroczyło się gęstym cieniem, leżącym na ciemnej wodzie i czarnych lasach

kosodrzewiny, limb i smreków. W górze jaśniały jeszcze skały, otulone z jednej strony pobrzaskiem zachodniej zorzy, z drugiej światłem, wytaczającego się z za Ry-sów, księżycą.

W chwili, kiedy księżyc przesuwiał się wśród szczyb Mięguszowskich turni, zjawiły się na nich kosmyki mgieł, świecących na przezroczy srebrzysto-żółtawym światłem. Zdawało się, że to się kurzy z księżycą, że tam po wirchach ktoś chodzi z jasnym kagankiem, z którego się zwijają obłoki dymu.

Wszystko to przeglądało się w gładkim jeziorze, drzemającym w mrokach nocy.

Powoli cichło dokoła. Przewodnicy, odtańczywszy z pasyą i szaleństwem, ile mogli, gwarzyli teraz koło watry; wewnątrz schroniska szemrały przyciszone głosy — zdala dolatywał szum wody — ciągły, jednostajny, senny.

Idziemy spać. Cokolwiek złego da się powiedzieć o estetyce i komforcie budowy schronisk — można w nich jednak odpocząć. Po nocy niespanej, po dniu pracowicie spędzonym, po doznaniu tylu krańcowych wrażeń i wzruszeń, po bytności *N a p r z e ł ę c z y*, z przyjemnością kładziemy się w niezbyt czysto posłane łóżka, zatapiamy się w miękkie posłanie słomy i, kończąc prowadzone rozmowy, zaczynamy drzemać.

Jeszcze świece niepogaszone, jeszcze słychać ciche stąpania górali, obutych w kierpce.

Drzwi, na drewnianych zawiasach, skrzypią prze-rażliwie, do izby wchodzi wysoki, młody człowiek w słomkowym kapeluszu, w serdaku na eleganckim ubraniu, w kamaszach, bez laski lub ciupagi. Ogląda się po izbie, widzi puste łóżko, kładzie się na niem, przy-

kłada kilka razy rękę do głowy, potem wstrząsa nią, jakby chciał powiedzieć: »No, wszystko jedno — trudno! co będzie, to będzie«. Przewodnik, który z nim przyszedł, zdejmuje mu kapelusz, wkłada jakąś czapkę z przyłbicą, zdejmuje buty, rozpina surdut, nakręca zegarek, wkłada pantofle, obwija w pled i kładzie na posłaniu, jak mumię gotową do wstawienia w piramidę, — poczem mówi mu coś do ucha i wychodzi. Gasimy światło i śpimy.

* * *

Ranek. Jasne, nikłe, prawie bezbarwne niebo, rozpina się nad szczytami. Wszystko jest blade, — w rozproszonem świetle poranka znikły wszystkie cienie. Szarawo-mleczne turnie wznoszą się dokoła gładkiego jeziora, — tak gładkiego, że odbicie w wodzie nie różni się niczem od rzeczywistych barw i kształtów, — nie wiadomo, czy świat piętrzy się w górę, czy zapada w bezdnie. Woda nie ma żadnej swojej barwy, — niknie — jest tylko najczystszem zwierciadłem bez skazy, w którym się przeglądają szczyty, które w swojej jasności, wyraźności każdego żlebu, turniczki, rysu, brzeżka zdają się zbliżać, skupiać się zewsząd ku wodzie. Na kamieniach, na deskach dachu i promu, na liściach traw, wrzosów, paproci, na kępach mchów bieli się szron gęsty; lekki opar przesłania ciemne krzaki kosówek, pnie limb i smreków. Wszystko zdaje się dążyć do unicestwienia się, do roztopienia się w bladym niebie, — świat wygląda, jak gdyby bladł, mdlał, konał, ledwie jeszcze coś niecoś widział oczyma, które przesłaniała mgła śmierci.

Z szerokiego jaru, zalanego cieniem lasów, okolo- nego z zachodu i ze wschodu wałami wirchów, dolatuje monotony szum wody — ciągły, jednostajny. Nad wodą płynie mgła lekka, uchodzi za jej biegiem, kryje się w lasach, unosi się nagle ponad ciemne smreki i cią- gnie wielkim, białym obłokiem, znowu w górę, ku Mor- skiemu Oku. Zdaje się, że Ptak-góra wraca z nocnego żerowiska do swego gniazda, którem jest cała kotlina jeziora.

Wielkie, białe skrzydła pływają bez szumu, ważą się nad głębią wody, muskają miękkim pierzem o skały i nagle, jakby porwane przerażeniem, unoszą się w górę po płaszczyznach ścian pionowych, zwijają się, znów roztaczają i rozpinają się, uniesione prądem powietrza, gdzieś poza skałami.

Znów pusto, biało i martwo.

Nagle, na szczycie najwyższym zapala się krwawy ognek, jeden, drugi — dziesiąty, pożar rośnie, ogarnia wirch cały, który przez chwilę zdaje się żarzyć jak pi- ramida tlejących węgla.

Łuna rozlewa się coraz szerzej i stopniowo traci odblask czerwony — staje się pomarańczową, żółknie — bieleje. Jednocześnie dno doliny ciemnieje, — lasy na- bierają barwy granatowej, cienie żlebów, strome ściany turni i szkarp skalnych błękitnieją; po jasnej, zwiercia- dlanej powierzchni jeziora przebiega jakieś drzenie i cień zielonawy przesłania jego wody. W miarę, jak wstające szybko słońce coraz jaśniejszem, czystem, bia- łem światłem oblewa górne kończyny ścian skalnych, Morskie Oko coraz ciemnieje, granatowieje, a po brze- gach świeci się smugą jaskrawego seledynu.

Słońce z za wschodniej krawędzi Żabiego wirchu

pędzi szybko do góry. Zastłona cieniów opada coraz niżej z Miękuszkowskich turni. To, co w pomroce wieczornej zdawało się równą ścianą, teraz, oświetlone skośnymi promieniami słońca, wygląda jak bok gotyckiego kościoła, najeżony szkarpami, gżemsami, wieżyczkami. Cień osuwa się jeszcze niżej, już światło sięga wielkich usypisk gruzów granitowych, które od brzegu jeziora wznoszą się do ścian turni wielkimi piramidami, bielejącymi się u góry wieczystym śniegiem, o który właśnie drasnęły ostre promienie słońca. W tejże chwili, olbrzymi snop światła wytrysnął z za ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów. Wszystko dokoła ściemniało, — woda jeziora zamroczyła się, jak gdyby w niej zatopiła się noc bezksiężycowa; lasy zczerniały i tylko tam, u przeciwnego brzegu, wysunięty skrawek ziemi błyszczał, na tle ciemnego aksamitu, jak srebro, mienił się tęczowemi blaskami, jak brylant, świecił, jak elektryczne ognisko. To słońce stopiło kryształę szronu i drgało w ciężkiej rosie, zalewającej mchy, trawy i kiście borówek i korony limb, które jak białe płomienie zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

Jeżeli kiedy Morskie Oko naprawdę jest podobne do oka, to w tej chwili. Otoczone jasnymi gruzami granitów, niby białkiem, ze źrenicą czarną w środku, rozchodzącą się do brzegów przezroczytymi tonami seledynu, z tym połyskiem słonecznym zdaje się patrzeć w niebo z pod szarej skał powieki.

Poprzez smugi świetlne, drżące w lekkim oparze, wznoszą się wysoko równe ściany Rysów — mgliste, powietrzne; słońce wpada w kotlinę Czarnego stawu i świeci się tam, jak gdyby poza skalnym ciemnym

progiem żarzyła się lampa elektryczna, promieniująca gwałtownie na skały, których każdy załom i występ rysuje się ostro i wyraźnie.

Jeziro leży ciche, gładkie, chłonąc wszelkie blaski, cienie i barwy ciemnych skał granitowych, srebrzystych śniegów, szarych usypisk piargów i czarno-zielonych kosodrzewin. U brzegu, z pod seledynowego przeźroczca przezierają jasne kamienie; na głębi, od czasu do czasu, pluskają pstrągi, rozcinając srebrnymi kółkami granatowy atlas wody.

Słońce, z południa, wznosząc się ponad szczyty, załało całą kotlinę blaskiem, tylko woda ciemniała w obramowaniu skał jasnych, nad którymi zaczynały się kosówkowe lasy, ścieląc się w górę zboczami Żabiego i Miedzianego wirchu. Wśród gęstwy potężnych krzaków kosodrzewiny stały limby ciche, trącając kistkami długich igieł o pokręcone gałęzie halnych smreków, lub białe, uschłe pnie potrzaskanych sucharzy. W potoku leżą butwiejące pnie rude, — z pośród omszałych głązów wnoszą się nastraszony czarne wykroty. Wszędzie rozsypuje się rumowisko skalne, walają się białe wielkie odłamy granitów. W blasku słonecznym widać ten świat w ruinie, — widać, że potężne turnie kruszą się, rozpadają i zamieniają w gruz miazgi i kurz, który wiatr rozwieje; — widać, jak umierają smreki, widać całe ich pokolenia, blade, nędzne, karłowate, konające lub już martwe. Limba trzyma się blisko jeziora i nie śmie iść dalej w górę. Nawet kosodrzewina, która tu jest u siebie i roztacza się nieprzebytym lasem wielkich krzaków, płaczących swoje giętkie, silne gałęzie w gąszcz ciemny i tajemniczy — i ta nawet, świeci gnieniedzie rudemi plamami zeschniętego igliwia. Żółkną kity paproci, więdną

trawy. Wszystko nosi na sobie ślady rozkładu, zamierania, przetwarzania się i odradzania — zmienności i nie trwałości. Jedna tylko woda ciemna, lśniąca, jednolita, cała tak różna od tego, co ją otacza, zdaje się być trwałą, jak wieczność.

— A wszystko to musi zniknąć! — mówił zgryźliwy przyrodnik. — Jest to tylko kwestya czasu; — kruszące się skały zsypują nieustannie swoje gruzy w kotłinę, podnoszą poziom dna i wyprą wody poza progi skalne, które je teraz trzymają. Z czasem, na zwierzale rumowisku skalnem, zasieją się porosty, mchy, trawy, przyjdzie kosodrzewina — a choćby nie przyszła, Morskiego Oka już nie będzie, jak niema już wielu jemu podobnych zbiorników wodnych! Nie ubiegło sto lat od czasu, kiedy Staszic widział, podobno, poza Mnichem Staw Czarny — z którego dziś pozostała tylko martwa kotlina, jak pusty oczodół po wylupionem oku...

Po południu, zaczął przeciągać wiatr chłodny z północy, marszcząc i mącąc wody jeziora. Na grani Miękuszkowskiej zjawiała się mgła, kłębiąca się szybko z góry na dół w długie pasma, na których żółto świeciło słońce. Widać było, że tam u góry walczą z sobą dwa prądy powietrzne, między którymi szamoce się ni-
kła przedza mgły, coraz jednak rozrastająca się w większą kądziel, której kosmyki odrywały się i zatykały źleby lub płynęły i grzęzły w kotlinie Czarnego Stawu, pod Rysami.

Nęciło nas to »wylupione oko« poza Mnichem, więc poszliśmy, zrazu brzegiem Morskiego Oka, percią, wijącą się między kosodrzewiną, okalającą pnie limbowe, których pachnące liliowe szyszki, połupane przez sójki, znajdowaliśmy wśród głazów. Potem ścieżka rzuca się

w górę, brzegiem żlebu dzikiego, rozdartego w ścianie góry, jak wielka najeżona strupami rana. Trochę wody sączy się wśród białych głazów. Wydostajemy się w kraj porostów, mchów i traw. Kosodrzewina coraz rzadszemi, mniejszemi krzaczkami trzyma się przy ziemi, wśród rozrzuconych skalnych odłamów, białych, ostrych, które tu stoczyły się po śniegach i których ślady dawnego przyczepienia widać u góry, w białych bliznach na tle ciemnych skał granitu.

Głucho i cicho. Jedynym śladem istot żyjących był m a r t w y Recek, leżący wśród dróżki. Perć coraz błędniejsza, często niedostrzegalna dla naszych nieobeznanych z górami oczu. Idąc coraz wyżej, pomijamy kolibę pasterską, zapewne jedną z najwyższej położonych — czarną kupę desek, kamieni i płatów kory, przypartą do wystającego skalnego garbu. Wyżej wchodzimy na zielone zbocza, osypane skałami, dokoła leżą płaty śniegu — jeszcze wyżej, wielki taras, ponad którym widać wysoką, gładką, ciemną wieżę gotycką, którą właśnie obejmuje i przesłania mgła gęsta — szara. To niedostępna turnia Mnicha ukryła się w chmurze, jak gdyby nie chciała nas przyjąć. Podeszliśmy do stóp jej. Czarny złom granitu wznosił się stromo i ginął tuż nad naszymi głowami we mgle, która nagle zniżyła się tak, żeśmy w niej utonęli. Kiedy mgła znowu uleciała, stał przy nas młody człowiek, tak cienki i wąły, jak trzcinka, kołysząca się nad wodą jeziora, tak elegancki, jak gdyby szedł na five o'clock, z tak łagodnym, błękitnym okiem, jak gdyby był kochankiem lilii. Stał, patrzył w górę z wyrazem zachwytu i żądy, ściągał ramionami, rozstawiał ręce i wydawał ciche jęki, podobne do gruchania gołębi. Tuż na kamieniu siedział jego

barczysty przewodnik, z bystrem i sprytnem oczkiem, kurzył fajkę i uśmiechał się z pod płowego, rzadkiego wąsa.

— Więc cóż, Wojtku, pójdziecie?

— No i zje cemuz byk nie seł! Ja, wiecie, jako ja. Ino cobyście wy potem mąki nie mleli nogami, ka na turnie, kiej wam będzie niewygodnie!

Młody turysta, ten sam, który w nocy przyszedł do schroniska, był zakochany w Mnichu i postanowił nie ruszyć stąd, aż mgła opadnie, i wejść na ten szpic, na którym przed nim był jeden tylko taternik i jeden góral. Wchodzi się nań wąską szparą w granicie, w którą się wkłada ręce i nogi, wisząc całym ciałem ciągle nad przepaścią.

Zeszliśmy na taras. Za nami, niżej leżała szara chmura, przez której rozdarcia widać było ciemno-granatową wodę Morskiego Oka.

Chłodny, szary dzień nas otaczał i przeglądał się w małych zbiornikach wody, leżących na granicie, wśród mchów rudych, jak kawałki szkła czarnego. W grobowej ciszy tej pustyni, rozlegało się tylko poświstywanie siwarnika.

Nad zrębem przepaści, otaczających trawiasty taras, leżały wielkie głązy, — potężne sześciany granitu, pokryte czarnym porostem, stały na cmentarzysku, jak posępne sarkofagi. W dole widać było pustą, zasypaną odłamami skał kotlinę, która bieląła wśród otoczenia ścian zczerniałych, mchów brunatnych i zielonych upłazów, jak olbrzymia wyschła muszla. Może to właśnie jest, to »wyłupione oko«, które wyciekło stąd niewiadomo gdzie: — czy je pochłonęły tajemnicze podziemia, czy też wyparte z łożyska ruinami otaczających je

szczytów, spłynęło do Morskiego Oka, w którego ciemnej źrenicy dotąd przegładają się niebiosa i Tatry.

Górali naszych nie zajmowała ta sprawa. Ich porwała namiętność stoczenia jednego z wielkich głazów w przepaść. Ułożyli się więc na grzbietach, wparli nogi w bryłę, która tu leży od wieków i pchnęli z całej mocy. Ale bryła była uparta i nie dawała się ruszyć z miejsca. Przyszło kilku panów na pomoc, jeden dodawał odwagi, wrzeszcząc i wywijając kijem; górali opanowywała pasya, wspierali się na łokciach, twarze ich posiniały i parli tak gwałtownie, że głaz zaczął dygotać.

Nagle, młody turysta, wybierający się na Mnicha, tak się zdenerwował tym widokiem wysiłku nad samą przepaścią, że rzucił się z wrzaskiem na walczących ze skałą, zaczął ich szarpać, kładł się na nich nieprzytomny, wieszał się na ich rękach, chcąc powstrzymywać. Na próżno!

Czarny sarkofag chwiał się, przechylił się poważnie nad przepaścią i spadł!

Zdawało się, że leci wolno; — spadając zawadził o rumowisko ogromnych bloków granitowych — rozległ się huk straszliwy i zerwał się w górę tuman kurzu, a cały tłum wielkich i małych głazów porwał się i poleciał za czarną masą, która w podskokach waliła się w przepaść, porywając za każdym uderzeniem całe gromady kamieni za sobą. Wszystko w szalonych rzutach z hukiem i chrzęstem, potracając o siebie, stoczyło się w jasną kotlinę i zsypało się wałem dokoła czarnego bloku, który spadłszy na dno, jeszcze jakiś czas toczył się, tarzał się czarnem cielskiem i resztkami rozpędu

gruchotał co stało na drodze. Przez chwilę głucho warczały echa, zbudzone hukiem granitowej lawiny.

Przebyliśmy na tych zimnych, leżących na granicy skalnych, wirchowych pustaci, wysoczyznach, dzień cały, a kiedy przyszło schodzić, otuliła nas zewsząd mgła gęsta, ciężka i zimna. Zdawało się, że noc zgęstniała, że ciemność stała się dotykalną. Zapalono pochodnię i szliśmy za jej blaskiem, a za nami skradały się potworne, rozwieszające się na mgle cienie, — dziwne, z ogromnemi łbami, chwiały się na tle mgły nasiąkłej światłem. Tak eskortowani dokoła przez bajeczne widma, zesliśmy do Morskiego Oka, które spało otulone nocą i climurą.

* * *

Nie ujrzelśmy już go więcej. W mglisty i szary ranek odeszliśmy, zostawiając w schronisku czciciela Mnicha, który rzeczywiście nazajutrz wszedł na turnię i który, jak się potem pokazało, jest jednym z najodważniejszych taterników. Szliśmy drogą ku Roztoce, przez monotony las świerkowy, zaległy mgłą, która skraplała się na smrekach i spadała z cichym szelestem na ziemię.

W Roztoce, na odpoczynek, przechodzimy za Białą Wodę — na Węgry. Słońce rozdarło mgliste opary, świat okryty rosą, stał cały w blaskach i śmiał się świeżością poranku. Wielka polana, równa, zielona rozściela się szerokim zboczem ku północy, poza nią widać odosobnioną piramidę skalistą, porośłą lasem. Na południe, pod blaskiem słońca, ponad świerkowe lasy i bliższe szczyty majaczeje w dali szczyt Garłucha.

Silna, rzeźwa, wesółta woda z szumem toczy się i przewala po okrągłych, wygładzonych kamieniach.

Zapalono mały ogienek, tyle, by uwarzyć herbatę. Leżymy na równym, miękkim pościu traw pysznych, na które zeszliliśmy z niezatartemi żadnem wrażeniem wspomnieniami dzikiej, martwej, zimnej pustyni skalnej poza Mnichem. Tu wszystko jest bogactwem, przepychem, słońcem i życiem.

Przychodzi juhaska z mlekiem. Młoda, niewysoka dziewczyna, tak nadzwyczajnie zgrabna i tyle mająca wdzięku, że z zupełnem osłupieniem patrzy się na jej bosc, zabłocone nogi, — nogi małe, zgrabne i silne, wyglądające z pod krótkiej spódnicy. Szerokie rękawy od koszuli, zsunięte powyżej łokcia, odkrywają ręce, które z takim wdziękiem trzymają podaną sobie szklanke herbaty, jak gdyby nigdy nie doily krów, kóz i owiec, jak gdyby nigdy nie przerzucały gnoju trójzębnymi widłami. Czarny gorset opina giętki i silny tors dziewczyny, a z pod czerwonej chustki patrzą jasne oczy w oprawie rzęs czarnych i brwi trochę ściągniętych, co jej nadaje wyraz surowy i poważny.

— Skądżeście?

— Z Jurgowa.

— Czy wy Polka?

— O haj!

To: haj! — tak! — powiedziane jest takim śpiwnym, tęsknym, dziwnym tonem, jak gdyby było echem — którego nigdy nie można zapomnieć.

— My Węgrzy, ale my Polaki.

— Po polsku się modlicie?

— O haj!

Nie! To: h a j! jest takie, że niektórzy z nas po

prostu słaniają się, słysząc to dziwne gędziolenie, jakby jakiegoś ptaka cudnego.

Siedzi oto na kamieniu pod smrekiem, z wdziękiem, spokojem i prostotą tak wykwintną, jakiej nie daje żadna najbardziej staranna tresura salonowa.

Jurgów, jest to wieś polska na Spiżu, wcielona jak wiele innych w polityczne granice Węgier.

Kiedyśmy tak rozmawiali z tą dziwną dziewczyną, wsłuchując się w jej dźwięczną, śpiewną mowę, — ujrzeliśmy nad sobą, staczającego się z pagórka najczystszy strzelca tyrolskiego, który z dubeltówką przez plecy zbiegał, przerzucając w rękę długi kij alpejski, ciągle na stronę pochyłości.

Zbliżył się do nas i z wielką pewnością zaczął:

— Es ist nicht erlaubt i t. d., — betreten, — to wszystko, co jest napisane na każdej łące w Niemczech.

I cóż z tem zrobić?

Choćby się nie wiem jak burzyła krew słowiańska, — musi się jednak pogodzić z germańskiem: Es ist nicht erlaubt — musi, raz wypuściwszy z rąk swoją ziemię...

Znaczna część Tatr, za węgierską granicą, należy do ks. Hohenlohe'go, i z jednym z jego főrsterów mieliśmy do czynienia.

Wobec naszej przeważającej siły: Es ist nicht erlaubt — pozostało tylko osobistem przekonaniem mówiącego, grochem na ścianę. Kto jednak dostał się w małej kompanii tym panom, z tym gorzej się działo.

Jakże grzeczni wobec tego byli ci Niemcy, do których należało przez lat dwadzieścia Zakopane! Pozwalali Polakom chodzić po ich górach, palić ognie

budować się u stóp Tatr; nigdzie nie stawiali napisów: *Es ist nicht erlaubt...* nie zagradzali drutami wierzchów, nie sprzedawali kart wejścia na Świnicę i nie stawiali rogatek na Zawracie. Byli nawet tak grzeczni, że zbankrutowali... Z księciem Hohenlohe'm i jego försterami trudniej się pogodzić...

Znowu toniemy w smutnym, monotonnym lesie świerkowym. Chwilami idziemy kamienistą drogą, to znowu śliskimi, wilgotnymi perciami.

Wszędzie rudo-szare pnie, nastroszone uszlęmi gałązkami; u góry ciemna zieleń, u dołu albo brunatne podścielisko igliwia, albo mchy i kitki paproci. Wychodzimy na wielkie rąbanisko, — wśród płataniny wykrotów, gałęzi, pni, rosną, na całym zboczu, brusznicę i maliny, — słońce wyziera z za mgieł i mży się na ich prętach i liściach. Droga rzuca się w górę, przez las i wychodzimy na małą polankę, otoczoną ciemnym lasem z wyłomem ku południowi. Pochyłość porosła smrekami spada w dół gwałtownie. Stoimy ponad wielkimi obszarami puszczy ciemnych, zapadających zrazu ku dołowi, potem wznoszących się po stokach gór, których stopy wpierały się w zalaną słońcem dolinę.

W dali, z jej dna, srebrzącego się blaskami, wznosiła się równa, stroma turnia, jak jeden z filarów zgruchotanego łuku; po drugiej stronie, strome zbocze porośnięte lasem, z nad którego sterczały szczyrbate skały. Poza tem, blask słoneczny topił się od dołu w oparze tak jasnym i powietrznym, iż zdawało, że to już niebo — lecz wyżej, z tej mgły świetlanej, stożyły się ogromne ściany gór, zavalone śniegami, — ciągnęły się silnym murem, z nad którego dźwigała się na niebo wielka ściana piramida, zatopiona w morzu blasków i fal powie-

trza: to najwyższy wierzch tatrzański — Gałuch, — stał tam w dali, ponad doliną Białej wody.

Było to ostatnie, pożegnalne spojrzenie w Tatry. Znowu zapadliśmy w lasy ciemne, z których wypłynęliśmy dopiero aż pod Jaszczurówką.

Podróżnicy, wracający z kilkudniowej wycieczki, witani są przez rodziny i przyjaciół, jak wracający z wojny żołnierze. Z wyprawy górskiej można nie wrócić wcale, lub wrócić z potrzaskanymi kośćmi, z ranami lub co najmniej sińcami — albo też zdrowo i z chwałą. My, choć straciliśmy jednego towarzysza, wrócił on jednak wygodnie koleją — cało, choć bez chwały. Reszta, przy dźwiękach góralskiej pieśni, maszerowała ostro, niosąc limbowe gałązki na kapeluszach. Ogorzałe i schudłe twarze, nastroszone brody i wąsy, zmięte ubranie, schodzone buty, a na wszystkim ślady trudu i długiej drogi, coś z dziczy wiało od całej bandy, na którą damy, wychodzące z kąpieli w Jaszczurówce, spoglądały z pewnym sentymentem.

W opłotkach wsi stały żony i dzieci i zabierały swoich do domu. Tak banda topniała, rozsypywała się po Zakopanem, przeszedłszy przedtem, z muzyką na czele, przed profesorem Chałubińskim, który w bramie przed swoim domem witał nas, jak weteran wielkiej armii, żołnierzy i rekrutów, wracających z honorem z walki.

* * *

Krótkie lato tatrzańskie konało w jakichś konwulsjach powietrznych. Straszne nawałnice spadały nagle z wichrami tak szalonymi, że »widziało się, co świat

urwie«. Powstawały gdzieś w górach i, z hukiem grzmotów, szły ku wschodowi i znowu odparte od widnokregu, wracały ku Tatom z trzaskiem piorunów, które rozbijały się straszliwemi echemi po turniach.

To znowu wypogadzało się niebo tak, że przez dni kilka, na szklanej, błękitnej kopule nigdzie najmniejszej mgiełki nie można było dojrzeć. Powietrze przezroczyste, rzeźwe płynęło nad halami, przepojone zapachem świerków i potrawu łąk górskich, pachnącego, jak jakieś dziwne, egzotyczne kwiaty. Z tego powietrza, z tych zapachów, z tych barw i blasków bił jakiś czar dziwny, jakaś wesołość, nad którą nie można było zapanować, ani jej zrozumieć.

Zbliżała się pora halnych wichrów i gazdowie, których owies stał jeszcze »zieleniaty«, z trwogą patrzyli, czy go wiatr zniszczy, czy też śniegi zasypią. W nocy można było widzieć siedzących z kosami w rękę, na przyzbach chałup, — tuż baby czekały, żeby łapać z pod kosy garście i wiązać, aby wiatr nie uniósł. Te noce przed halnym wiatrem mają w sobie coś złowieszczego.

Niebo czarne, jak aksamitna opona, na niem księżyc bez promieni, biały, ostry i gwiazdy migocące gwałtownie; — ponad wirchami, daleko, małe kłębki białych obłoków, jak ptaki burzy, lecą i przewalają się na miejscu; — od czasu do czasu przylatuje od gór gorące tchnienie, a wprawne ucho dosłyszcy daleki szum wichru, który się szarpie o szczyty.

Coraz puściej, coraz mniej przyjezdnych, a razem z nimi giną gdzieś i ci górale, których latem spotykało się co chwila.

Okna domków, pozabijane brudnymi deskami, wyglądają jak popodbijane i plastrami zaklejone oczy.

Fala ludzka odpłynęła, zostawiwszy kilku niedobitków, kilka ślimaków, których prąd nie poniósł i którzy tłuką się wśród pustki. Zdaje się, że świat się oddalił, że wydłużyły się drogi — że Zakopane leży dalej.

Po pustych Krupówkach przelata z wściekłością wiatr halny; — gnie, jak trzciny smreki i jesiony, wrywa i unosi dranice z dachów, niesie rozpylone kłęby ulewy; — a tam, nad Giewontem, ruchoma, potworna masa chmur, szarpana i szamotana raz spada na dół, do spodu regli, to znowu porwana huraganem, jak olbrzymi słup kurzu, zrywa się i ulatuje w górę, — i tak się tłucze i trzepie o niebo i ziemię.

Z północy, po czystych szlakach błękitu, ciągnie olbrzymi klucz żurawi, — lecą z jękiem prosto na południe, już są nad Zakopanem, gdy nagle uderzyły się o wściekłą falę wichru, który je porwał, zbił w kupę i rzucił gdzieś na bok, jak garstkę zwiędłych liści.

Wiatr szumi, wyje, szamoce lasem, porywa wodę z potoków i zdziera oraną ziemię do czystego żwiru; zgromadza coraz potworniejsze góry chmur nad górami z kamienia, zaciąga szarą zasłoną całe niebo, i jakby swoje zrobił, cichnie. Chmury się zniżają i spadają na ziemię w okropnej ulewie.

Nad zachodem kopuła obłoków pęka, jakby rozdarła ostremi, czerwonymi blaskami, — straszna, krwawa łuna chwyta się pojedynczych wirchów, które zmieniają się w jakieś niepojęte piramidy z krwawników i granatów. Wszystko: — skała, las świerkowy, zielone upłazy, wszystko jest czerwono-czarne.

Dokoła zwykły szary wieczór. Nagle, czerwone światło zgasło, jakieś zielone, fioletowe cienie zalewają ciemny i ponury gmach gór, nad którym wiszą ociężałe ulewą, krwawe chmury.

Zorze wieczorne płoną długo w noc wielką luną, a cały wał gór wydaje się bryłą sinego żelaza, którego zachodni koniec topi się i żarzy w ognisku, rozpalonem na połowie świata.

Znowu przychodzą dni tak szare, że się zapomina, iż słońce kiedykolwiek było. W powietrzu, nasiąkłem wilgocią, bezustannie, jak widma, zjawiają się obłoki, wiją się po jarach, płyną wśród lasów, unoszą się nad potokami, kładą się na chałupach i znowu opadają z deszczem, lub miecą wielkimi płatami śniegu, żeby za chwilę podnieść się z ziemi mgłą białą.

W Zakopanem, nawet w lesie poniżej papierni, jeszcze deszcz pada; ale trochę wyżej, na Bystrem, biała zima zamiata po polach, zasypując nieskoszone owsy lub nieskopane ziemniaki.

W lasach widać miryady żuczków, komarów, motyli zaskoczonych zimą, uciekających w popłochu i ginących tłumami na śniegu. Pająki spuszczaają się na długich niciach do ziemi, uciekając przed śniegiem, za legającym konary świerkowe i znowu przerażone śniegiem u dołu, uciekają w górę, nim je zimno zabije.

Po drogach, dzieci góralskie, często w szczątkach ubrań, zostawionych przez gości, częściej w koszulnach, bose, zsiniałe, bawią się na strasznej wichurze, wilgoci i zimnie.

Na słupie, z którego zdjęto latarnię, trzepocze się afisz zlany ulewą:

Polski prestydygator!

.

Wieczór czarodziejski

czyli

»Dwie godziny w krainie złudzeń«

pod tytułem

Walka człowieka z niewidzialną siłą.

Zdawałoby się, że to, co się tu dzieje, to jest właśnie pobyt w krainie złudzeń i ta ciągła walka z niewidzialną siłą! Lecz afisz szarpany halnym wiatrem mówi dalej:

1. Preludjum magika, czyli złudzenie w salonie.
2. Szapoklak Twardowskiego.
3. Wyspa Kanaryjska, czyli znikanie kłatek prawdziwych bez nakrycia.

i t. d. i dalej: a na zakończenie:

Uczęta dyabelska à la Boruta

»humorystyczne«.

Trudno uwierzyć, że to tu, w tym kraju tak dziwnym, gdzie co chwila natura daje magiczne, wspaniałe widowiska, że tutaj ktoś takiej uczyty potrzebował. Ten afisz, który pozostał po ludziach »ze świata«, wygląda tu potwornie, — jest on jak głupstwo, które ktoś powiedział, które po nim zostało niezatarte, nie do naprawienia...

Kilka osób, które tu jeszcze pozostały, rozsypane na wielkiej przestrzeni od Kościelisk do Bystrego, prowadzą życie dziwaczne; chodzą do siebie na herbaty przez lasy dzikie i zaśnieżone wertepy, w nocy włóczą się z pochodniami, i powoli tak zwykają się z tem oto-

czniem, z tą pustką, nabierają takiego zaufania do pustego pola i ciemnego lasu, szalejącego halną burzą, że potem, dostawszy się do miasta, doznają przykrości, idąc ulicą oświeconą gazem, wiedząc, że za ścianami domów, za ciemnymi oknami wszędzie pełno ludzi.

Znowu wybuchą pogoda, jeszcze jaśniejsza, jeszcze czystsza, kryształowa jakaś, bajeczna.

Wychodzimy z Sabałą w dziką kotlinę ponad czarnymi lasami, ukrytą za ścianami wiszących nad nią turni. Zimno, w cieniach, przez dzień cały, leży ciężka rosa.

Sabała czegoś smutny, trapi go niepokój, czy aby nie przychodzi już niedołęstwo starcze, którego się boi. Więc się mociuje, próbuje sił swoich, całe tygodnie spędza w pustych, zimnych halach, wraca blady, znędzniały, i ciągle nieprzekonany.

Nawalił okropną wiatrę, na którą zrzwał i zniósł wielkie krzaki kosodrzewiny. Bucha potężny płomień, i ogromny słup dymu, jak z krateru wulkanu, wznosi się ponad czarne turnie.

Sabała grzeje się przy tym ogniu z twarzą okopconą, wyciąga zgrabiałe ręce nad płomieniem i patrzy w ognisko swemi napół zamglonemi oczyma — potem bierze gęśle, gra i śpiewa:

Młodość moja młodość!
Przysłaś mi na marność,
Radość moja ginie,
Jak liść na wierzbinnie.

Nie możemy go rozruszać; ani wódka, ani herbata, omaszczona koniakiem, nie chwyta się dziś jego mózgu.

Nagle, ponad kotliną widzimy ważące się na potężnych skrzydłach orła. Sabała goni za nim zaćmionemi oczyma i ożywia się.

— E, to je honorny ptak! to je wirchowy ptak! I to ma takie wiedzenie, — z pod Krzywiania zacuł, co my juz tu — ale to je takie wiedzenie, — bo jakizby ten nos miał, coby nas zacuł z tela? hej! A jako dąb trzysta roków rośnie, tak oreł a i kruk trzysta roków żyje! E! to je honorny ptak, — mówił z upodobaniem. — Raz, cok był jesce małem chłopcyskiem, ubiłek orła — hej! Na przynęte. Maluško namieniało na świtanie, a on tu — na przynęcie. Juźci ma takie kapy nad ocami, toz to prościutko pół-kulka trafiła popod nie i wypaliła oba ocy. On się zdźwignął — alek go dopadł za skrzydliska i dobił takom sajtom bukowom, hej!

Wspomnienia ożywiły Sabałę, porywała go myśliwska ochota.

— Śniegi przegineny, casy som jest ładne, toz to polowace i pilnowace, jako z Luptowa tak i z nasej strony syćka we wirchak! O! teraz tam bez towarzy-sabyś nie był! Kabyś w hale poseł — sędy ik pełno!

Wróciliśmy mroźnym wieczorem do domu i wkrótce zabraliśmy się do odlotu. /

Słońce wstaje gdzieś za Hawranem w wielkich krwawych blaskach, przesuwa się wśród chmur potarganych, które się mieszają w jakiś chaos z górami. Ze wszystkich jarów kurzyły się mgły wielkie, jak gdyby tam wszędzie porozpalano ogniska.

Po wsi przeciągali orawscy szklarze, w rudych cuhach i portkach, i z jękiem wołali: »Okna naprawić!« — to zima tak woła i ostrzega.

Na Obidowej wiał straszny wiatr, ostry, zimny od

Babiej góry. Górale, kopiający ziemniaki, stawiali sobie przez szerokość zagonu zasłony, bo ciała by ich skostniało i spękało od wichru. Widać było chłopów idących z temi zasłonami na plecach, jak Samson z bramami miasta.

Wszystko dokoła szare, martwe, tylko smreki zawsze zielone witają zimę ze spokojem.

Spojrzeliliśmy ku Tatrom. Płynęły morzem blasków i błękitów — czyste, jasne, kryształowe, srebrzyste, w śnieżnej, skrzęcej się, niepokalanej bieli.



SPIS RZECZY.

Po latach. — Tatry w śniegu. — Na przełęczy.



Miejska Biblioteka Publiczna
w Zakopanem

82-92



0003-015164-00